ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 14¼.

Druk ukończono d. 28 Czerwca 1894 r.





NOWY OBJAW

ZWYRODNIENIA SZTUKI

oraz istotne jéj zadanie.

„Szał” Podkowińskiego zginął pod nożem swego twórcy, lecz nie zamilkły jeszcze spory o znaczeniu i wartości obrazu, nie zatarło się wrażenie, które artysta dziełem swém w setkach, a może tysiącach ludzi wywołał. Najważniejszém jednak jest to, że moment dziejowy, w którym malarz natchnienie swe czerpał, nie przeszedł jeszcze do historyi. Tło ideałów, myśli i uczuć, snujących się z naszego życia, odbija się w duchowéj perspektywie obrazu, i jeszcze żyje wśród społeczeństwa. Nie jest ono, rozumié się, kanwą naszego życia, gdyż zaledwie cząstkę jego stanowi, ale bądź co bądź cząstkę z porywów ducha utkaną. Daje to nam prawo spoglądać na dzieło sztuki, jako na odbicie myśli, uczuć i pożądań społeczeństwa, lub jego części, zogniskowanych pod twórczym pędzlem artysty. I dlatego nie popadniemy może w przesadę, prosząc czytelnika o przypomnienie sobie treści pomienionego obrazu.

Rozjuszone do wściekłości, rozbukane wezbraną zmysłowością zwierzę, silne budową, a potężne gęstą, rozczochraną grzywą i szeroko rozwartemi nozdrzami, ziejące pianą i żarem namiętności, unosi gdzieś, w nieskończoność nagą kobiétę. Ona w nawpół leżącéj postawie, obejmując zlekka konia za szyję, nie ściska nawet go dość silnie nogami; przylgnęła całém ciałem do zwierza, lecz swemi członkami nie włada. Upojona szałem, obezwładniona cieleśnie i duchowo, całkiem się jemu

oddaje. Zamknięte oczy świat przed nią zakryły, krew namiętnością wzburzona odpłynęła z jéj lica, rzucając nań alabastrów bladość, w któréj się tylko zapomnienie bez granic, czar zmysłowego upojenia odbija. Rozszalałe żądze potężnego zwierza i spokojna rozkosz oddanéj zmysłowości kobiéty, znakomicie uplastyczniają kontrast pomiędzy siłą a słabością, pomiędzy czynną a bierną rolą uczucia, między władcą a władaną, w uciechach.

Tło obrazu, doskonale do jego treści przystosowane, przedstawia chaos ze światła i cieni złożony. W tym to chaosie dzika siła w postaci czarnego potworu unosi powolne zmysły wymuskanéj cywilizacyą niewiasty.

Nie jest rzeczą widza wchodzić w pobudki malarza, które go skłoniły do wybrania takich, a nie innych świateł i cieni, tych lub owych kontrastów. Technika sztuki obojętna jest dla niego i patrząc na obraz, o jéj tajniki nie pyta. Nie idzie mu o to, dlaczego artysta usadowił kobiétę na koniu, lub dlaczego złociste jéj włosy wraz z czarną grzywą wiatry rozwiały. Pospolity zwiedzacz galeryi obrazów może tylko zapytać, dlaczego pierś konia zbyt jest szeroką, dlaczego tylko jego nogi zadają kłam naturze, czemu barwa włosów kobiéty za wiele światła rozléwa, a dolna część nogi nieco nabrzmiała. Po za tém widzi on doskonale odtworzoną myśl autora i czyta, wyczytaną ideę w swym mózgu przetwarza, a skojarzone z nią uczucie we własnym sercu przetapia.

Cóż właściwie widzieliśmy w obrazie Podkowińskiego? Burzę namiętności, a ściśléj dwie, jedną błyskawicą rozniecone burze w dwu krańcach zwierzęcego świata wcielone: w pełnéj siły i energii dzikiéj bestyi, oraz w uległéj zmysłów porywom, ubezwładnionéj szałem kobiécie. Zwierzę i człowiek, jedną podnieceni żądzą, pospołu mkną w nieskończoność; zwierzę rozszalałe w swych chuciach, człowiek upojony do obłędu namiętności czarem.

Czy można sobie wyobrazić zmysłowość w bardziéj nagiéj, bardziéj pozioméj, jeszcze potworniejszéj formie? Jeżeli widok bachanalii i podobnych utworów obrzydzeniem i zgrozą wykształconego człowieka przejmuje, to cóż powiedziéć o tém wcieleniu zmysłowego związku zwierzęcia z człowiekiem, w imię tylko jedności żądz i pokrewieństwa szału?

Człowiek, co prawda, pomimo wszelkich pozorów wyższéj kultury, bywa często zwierzęciem, ale duch ludzki, poszukujący lepszych form życia, wzbijający się w coraz wyższe krainy prawdy, sprawiedliwości i piękna, usiłuje pohamować tkwiące w jego naturze zwierzęce instynkta, grę zmysłowości do *minimum* sprowadzić. Nasz chłop, któ-

rego pojęć jeszcze żadne „szkoły” malarstwa nie zbałamuciły, nie mający wyobrażenia o „naturalizmie”, z pogardą i oburzeniem patrzy na nasze „nimfy” i „syreny”. Nawet wśród dzikich wyspiarzy oceanu Wielkiego znajdują się plemiona, gdzie wyuzdana zmysłowość pogardę i potępienie krajowców napotyka. Tylko my, narody, cywilizowanemi zwane, przystrojeni w piórka cudzéj wiedzy i cnoty, lubujemy się w ogołoconych z myśli i uczucia awanturach miłosnych, w zmysłowéj grze najszaleńszych orgii. Część społeczeństwa, zaliczająca siebie do warstwy ukształconéj duchowo, gdyż wszelkie na sobie nosi ku temu kwalifikacye, wyjałowiła swą umysłową glebę, opróżniła serce ze szlachetniejszych pożądań i uczuć. Pozostały tylko wypieszczone w próżniactwie, drażliwe aż do histeryi zmysły, które dniem i nocą czuwają nad światem, by coraz to nowe, a coraz silniejsze czerpać wrażenia. Tacy ludzie nie myślą o niczém, nie pragną niczego, żadnych bowiem zadań życia nie znają, lub nie uznają. Żyją w nich tylko nerwy, nieczułe na dolę i niedolę ludzką, lecz niezmiernie drażliwe na wszystko, co oziębłą ich krew rozgrzéwa, co pobudza fantazyę, podnieca żądze. Karmi dla ducha nie potrzebują, gdyż ten uwięziony jest w okowach ciała; ono zaś, dopóki się odżywia, zapas swéj energii w jakikolwiek sposób zużytkować musi. Ani praca fizyczna, ani myśl i uczucie energii téj nie zużywa, gdyż odnośne organa u istot „z nerwami” zgoła nie funkcyonują. Pozostaje więc nadwrażliwość zmysłowa, która jak ogień gasnący ciągłego dolewania oliwy wymaga.

Czémże jest sztuka dla tych ludzi o subtelnych zmysłach, a zwiędłém uczuciu i skostniałéj od dzieciństwa myśli? Jest ona tém samém co i nauka, przemysł, kultura, a nawet świat cały, t. j. źródłem wrażeń, łechtających zmysły, pobudzających do życia tę część człowieka, która jeszcze po zabiciu w nim wszystkiego co ludzkie, wegetować może. Sztukę, wytwory cywilizacyi i dzieła przyrody osądzają zmysłowcy podług ilości i jakości wrażeń, jakie dla uciechy ciała czerpać mogą. Stopień pobudliwości organizmu, natężenie wzruszeń niższego rzędu, wywołane powieścią, operą, sonatą, malowidłem, służą im za miarę wartości dzieła sztuki.

Jakkolwiek trudno nie przyznać oryginalności talentu w „Szale” Podkowińskiego, to z drugiéj strony w potwornym tym pomyśle widzimy echa pomijającego obecnie obłędu Zolowskiéj szkoły artystów. Spółczesny „naturalizm” w sztuce, będący, pomimo tak ścisłéj przedmiotowości w szczegółach, skoślawieniem natury wogóle, nie jest bynajmniéj owocem nowoczesnéj wiedzy i metod badania, jak to niektórzy mniemają. Skalpel analizy nie jest wcale jedyném narzędziem nauki. Rozwijanie okrytych mroczną osłoną tajemnic, obnażanie choć-

by najboleśniejszych prawd samo przez się nigdy zadaniem ludzkiego ducha nie było. Wszystko złożone podlegało rozbiorowi, lecz po to, żeby lepiéj i lepsze budować. Analiza już od kolébki życia ludzkiego począwszy, była zawsze środkiem do syntezy wiodącym. Podobnie, jak budowniczy rozwala zużyte gmachy, aby z ich części odpowiedniejsze do potrzeb życia budować, tak i wszelki rozbiór badacza tyle tylko dla cywilizacyi, a więc dla dobra ludzkiego posiada znaczenia, o ile z marnych cząstek niewłaściwéj dla celów ludzkich całości, daje się wznieść jaknajpiękniejszy przybytek dobrobytu, prawdy i sprawiedliwości.

Nietrafnie nazwany „naturalizm" skąpał się zaledwie w prądach realistycznego kierunku mysli, wykwitł jednakże nie na gruncie naukowym i filozoficznym, lecz raczéj życiowym. Historya nauk, przemysłu i wogóle historya wszelkich odkryć wykazuje wyraźnie, że potrzeba wywołuje odkrycia, które nie zjawiają się niezależnie od wymagań życiowych. W głębiach więc naszego życia szukać należy źródeł twórczości artystycznéj, z nich bowiem tylko tryska uczucie, które pragnienia nasze albo ku wyżynom harmonii, ideałom miłości i braterstwa unosi, albo tarza je w najczarniejszéj otchłani brudów, występku i zmysłowości. Pewne dysonanse społeczno-ekonomicznéj natury sprawiły, że nawet ci, którym nic widocznie nie przeszkadza rozwinąć pełni swego życia, doprowadzić do harmonijnego rozrostu wszystkich władz ducha, ba, może myśléć i czuć za miliony, że ci wpadli w całkowitą, lub częściową niemoc fizyczną i moralną. Nieszczęśliwe te istoty, jakeśmy to powiedzieli, nic przed sobą nie widzą, niczego nie pragną; pustka zapełnia duchowy ich widnokrąg, żaden promień nie oświetla myśli, żadna iskra nie rozgrzéwa serca, tylko w łonie chuci zwierzęcych budzą się i zamiérają dzikie instynkta, a najwściekléjsza ich burza największą jest dla tych ludzi rozkoszą. Do nich to śpieszą Flauberty, Zole i wszyscy ich naśladowcy, by rozgrzebując śmietniki życia, narkotyzować więdnące zmysły ubogich duchem, a zasobnych w złoto.

Więc sztuka, ta nadobna córa niebios, ma być na usługi tych „untermenszów" oddana? ma zostać powolną służebnicą zmysłowych uciech? Jeżeli kierunek „naturalistyczny", który się wolnym mianuje, nie chce lub nie może wyzwolić się z hańbiącego służenia zwierzęcym porywom zwyrodniałéj garstki narodu, to niechże zechce uwzględnić zdrowych jego członków. Człowiek-zwierzę, tak skwapliwie przez mistrzów „naturalizmu" z otchłani brzydoty i podłości wydobywany, może być niekiedy pouczającym okazem dla przyrodnika, psychologa, medyka, lecz dla społeczeństwa roznosi on tylko zarazę, szerząc zgniliznę wznioślejszych uczuć i zamęt jaśniejszych myśli. Takie samo mniéj

więcéj znaczenie, tylko w różnym stopniu, mają wszystkie utwory sztuki, których zadaniem jest wcielenie popędów płciowych w ich nagiéj, nie rozwiniętéj w wyższe uczucia formie. Nie sam pierwiastek zmysłowy w uciechach i życiu ludzkiém wogóle obraża nasze estetyczne, a jeszcze bardziéj moralne poczucie; zwierzęcość naszych funkcyi fizyologicznych ani nas poniżać, ani wstydzić nie może, gdyż ona w łonie rodu ludzkiego spoczywa i jest konieczną, jak samo życie. Lecz skoro tylko czynności fizyologiczne biorą nad duchowemi górę, lub je całkiem zastępują, wówczas nawet w najpiękniejszym kwiecie zoologicznego drzewa, w najpowabniejszych kształtach kobiéty widzimy zwierzę. Trzeba więc być pozbawionym nabytków ludzkiéj kultury, nie znać wyższych nad fizyologiczne potrzeb życia, wybujałym indywidualizmem stłumić dążenia społeczne, trzeba życiem roślinném zaćmić światło myśli, a w dzikich żądz otchłani zatopić wyższe, ludzkość jednoczące uczucia, żeby w odartym z ducha człowieku widziéć współbrata i poczuwać się z nim do solidarności.

Co nam daje taki np. Pruszkowski w swym obrazie („Na kwiatach”), gdzie całkiem naga kobiéta, o bezmyślnym, prawie zniechęconym wyrazie twarzy, z nawpół przymrużonemi oczyma rozrzuciła niedbale swe członki na gęsto usłanych kwiatach? Postać ta zdaje się powszednią prozą przemawiać: bierz i rób ze mną, co ci się podoba. Albo niewiasta Suchorowskiego, któréj nagość w części zaledwie koszula pokrywa, rozwalona, rozmarzona, do połowy uchylając powieki namiętnych swych oczu, ukrywająca niby od niechcenia najpowabniejsze dla zmysłowców skarby, cóż miała w sobie kobiécego, ludzkiego, prócz ciała i zmysłowości? A jednak mówią, że sprawia silne wrażenie. Że jest ono niższego rzędu, o ile z fizyologią wyłącznie ma związek, rozumié to chyba każdy. Myśl nieco głębsza w podobnego rodzaju utworach nie ratuje bynajmniéj ich położenia w szeregu demoralizujących dzieł sztuki. Piękne z wielu względów malowidło Sztencela pod nazwą „Goplana”, przedstawiające dziewicę w chwilę przed zanurzeniem się jéj w nurtach jeziora, uplastycznia w kobiécie jedynie wdzięki ciała, którego kształty, barwa i świéżość na tle ciché nocy, ujętéj w zaroślach Gopła i jego wód zwierciedle, nie na myśl i serce, tylko na zmysły oddziałać może. „Goplana”, jak i wiele innych podobnych utworów, niezależnie od ich historycznego lub mytologicznego znaczenia, znajduje się się zapewne na krańcu dzieł artystów, lubujących się w podrażnieniach zmysłowych, miłujących nadewszystko fizyologiczną stronę człowieka. Jeżeli „Szal” uważać można za wyraz najdzikszéj zmysłowości, to kreacye w rodzaju „Goplany”

w najsłabszym stopniu pierwiastek ten posiadają, nie są go wszakże całkiem pozbawione.

Mnóstwo utworów utalentowanych i najzdolniejszych artystów stanowi przejścia pomiędzy wcieleniem nieokiełznanych instynktów zwierzęcych w najpowabniejsze ciała ludzkie, a dziełami, w których miłość w embryonalnym stanie bodaj drugorzędne znaczenie posiada. W ocenie dzieł sztuki ze stanowiska ogólno-cywilizacyjnego i psychologicznego obojętną jest intencya autora, oraz to wrażenie, które melodya, obraz, poezya może na kimś wywrzéć, ważnym zaś jest wpływ, który wywiéra zwykle, który na przeciętnege widza czy słuchacza oddziałać musi. Właśnie w utworach malarskich, stanowiących przejście od skrajnego, odmętami życia (jak „Nana") posiłkującego się „naturalizmu", aż do erotyzmu w najskromniejszéj jego nagości i pierwowzorach, tracimy z łatwością owo społeczno-psychologiczne kryteryum. Oto np. „Sąd Parysa" Henryka Siemiradzkiego może odtworzyć w pamięci mytologiczne powody wielkiéj wyprawy trojańskiéj, lub wskrzesić tło starożytnéj kultury, na którém w postaci bohatérów ówczesne wyrastały idee, lecz, być może nawet wbrew inteacyi mistrza, wywołuje ten obraz inne zgoła myśli i uczucia na olbrzymiéj większości widzów. Publiczność nie składa się z historyków i filozofów, ani w „Sądzie Parysa", ani w „Święcie Bachusa" głębszych nie dopatrzy myśli, a jeżeli i dojrzy, to wrażenia te na ostatni plan pójdą wobec innych zupełnie widocznych i dla każdego zrozumiałych. Możnaby za ogólną przyjąć zasadę, że w szeregu myśli i uczuć, za pomocą obrazu, prasy, wychowania poddanych, działają te, które się najlepiéj z daną umysłowością kojarzą, które w niéj odpowiedni grunt znajdują. Ponieważ zaś poziom umysłowo moralny ogółu o wiele jest niższym od skali spółczesnych ideałów, żyjących już w cząstce społeczeństwa, lub tkwiących w systemie wiedzy, to domieszka fałszu w każdéj prawd wiązance (nie specyalnie naukowéj), grzechu w cnót koronie, na szali wpływów najczęściéj przeważać musi. Dlaczego musi — tłumaczy to nam psychologiczna teorya kojarzeń.

Oddziaływanie obrazu, sztuki teatralnéj, sceny życia i wogóle wszelkiego jawnego wyrazu uczuć i myśli, bardziéj zrozumiałem i doniosłem się staje, kiedy uwzględnimy fizyo-psychiczne prawa naśladownictwa. Każdy obraz żywy, czy malowany, o ile odtwarza życie, lub mające z niém związek stany przyrody i ducha (np. krajobraz), poddaje nam tkwiącą w nim myśl albo bezpośrednio, albo pośrednio, lub téż obiema temi drogami. W pierwszym wypadku naśladujemy w mniejszéj lub większéj mierze to, co widzimy, słyszymy, czujemy; w drugim możemy, nie naśladując tego bezpośrednio, odtworzyć wrażenia danym

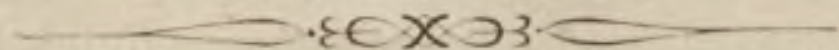
przedmiotem wywołane; w trzecim nareszcie przejmujemy się bezpośrednio uzmysłowioną akcyą, naśladujemy zewnętrzny wyraz uczuć i myśli, które już same przez się, na mocy prawa skojarzeń odpowiedni stan ducha rozbudzają. Tak uganianie się „najpiękniejszéj” w „Sądzie Parysa” o prawo pierwszeństwa nie koniecznie ma widzów do naśladownictwa bezpośrednio pobudzić, musi jednak z natury rzeczy poddać cały szereg myśli i uczuć, skojarzonych z wyobrażeniem rozkoszy zmysłowych. Czemu zmysłowych, a nie intelektualnych, widoczna po pierwsze z przewagi pierwiastku tego w samym obrazie, a po drugie z większéj podatności zmysłów widza na bodziec fizycznéj natury.

Więc artysta ma się oblec w szatę mentora i swojém dziełem pouczać publiczność? — zapyta może obrońca niezależności sztuki. Sądzimy, że nie, gdyż sztuka, o ile ma tylko praktyczne, wyrozumowane, a nie odczute cele na widoku, przestaje być piękną, artystyczną i przechodzi w rzemiosło. Z drugiéj wszakże strony każdy piękny utwór muzyczny, każde dzieło artystycznego dłuta, pędzla lub pióra jest odtworzeniem przejmującego artystę uczucia w perspektywie otaczającéj go atmosfery duchowéj. Muzyk, rzeźbiarz, malarz, poeta nie odtwarza byle jakich uczuć, lecz tylko takie, które w chwili twórczości najsilniéj wzruszają. Ale gra uczuć w ścisłéj jest zależności od naszych wyobrażeń, pojęć, ideałów. Dziedzina poznania jest polem, z którego tryskają źródła boleści i radości, rozczarowania i nadziei, niechęci i pragnień. Zasób doświadczenia życiowego, tudzież rozmach i natężenie myśli (nietylko fantazyi) zakreślają granice uczuć, zamykając je w ciaśniejszym lub szerszym ideałów kole. Wynika stąd, że treść obrazu jest treścią uczuć i myśli autora. Uboga myśl i poziome uczucie trywialną tylko treść mogą obrazowi nadać; najwierniéj skopiowane harbuzy i winogrona nikogo nie wzruszą, prócz smakoszów, lubujących się w podrażnieniach podniebienia, oraz ludzi drobnemi pochłoniętych ideami; najjaskrawszemi barwami odfotografowana „piękność” w kąpieli zachwyci tylko tych, którzy po za ciałem kobiéty nic wiedzieć i kochać nie chcą. Ale oprócz skarłowaciałych niedorostków społeczeństwa, oraz zwyrodniałych jego potomków, jest liczna rzesza takich, których myśl skrzydlata do rozleglejszych dziedzin się wzbija, a uczucie z krociami innych uczuć w harmonijne pasmo wyższych pożądań się splata; są wreszcie masy, ze starszych i młodszych złożone pokoleń, którym wiosna życia odsłaniać dopiéro zaczyna krainę prawdy, sprawiedliwości i piękna. Oni to właśnie, t. j. wszyscy zdrowi na ciele i duszy, patrząc na dzieła sztuki, pragną odtworzyć w sobie uczucia rzeczywiście wyższe nad poziom powszednich wahań ducha. Artysta, który zna tylko niskich żądz i wzruszeń sferę, który ukochał cele

wspólne zwierzętom i dzikim, poniża skalę cywilizacyjnych dążności człowieka. Nie podnosić ludzkość jest jego zdaniem, gdyż tendencyjność, w utartém wyrazu tego znaczeniu, ze sztuką nie da się pogodzić, lecz celem prawdziwego artysty chyba zawsze było i jest dzielić się ze społeczeństwem przejmującém go uczuciem za pośrednictwem tonów, linii, słowa. Podobnie jak wszelki zewnętrzny wyraz uczuć i myśli, jest tylko środkiem wzajemnego porozumienia się, tak téż i dzieło sztuki jest symbolem górującego stanu ducha, który na wszystkie podobne do nas istoty rozlać pragniemy.

Życie społeczne we wznioślejszych i szlachetniejszych jego pojawach wytwarza normy, tudzież zakreśla mniéj więcéj granice dla rozlewu duchowych prądów jednostki na społeczność całą. W widokach ogólnego dobra powinna się ona wystrzegać napływu ohydnych ducha wytworów, zabagniających i tak niezbyt szerokie strumienie myśli i woli. Ani talent artysty, ani szkoła, z któréj się jego dzieło wyłania, nie gwarantują wartości i piękna obrazu. Jedyną jego miarą, pomijając technikę — *conditio sine qua non* w utworze — jest zawarta w nim wzniosłość myśli i głębokość odpowiadającego jéj uczucia. Prawdziwy mistrz sztuki nie sonduje prototypów ludzkości, by z nich iskry zapału dla współczesnych krzesać, lecz zmierza tam, gdzie tępy wzrok nie sięga, w te sfery, które lotna myśl przebija. Zapatrzony w widoki lepszéj przyszłości, myślą i uczuciem przenosi się w pełnią jéj życia, a zstępując z tych wyżyn na ziemię, usiłuje w najpiękniejszych formach skrystalizować stan swego ducha, chce, żeby promieniejąca siła wyższego uczucia w tysiącach serc podobnym odbiła się echem. Dążenie to jest właśnie tendencyą, we właściwém znaczeniu, każdego wytworu piękna, lubo kapłani jego nie zawsze są tego świadomi. Można więc powiedziéć, że tendencyjne są wszystkie objawy twórczości ludzkiéj, zacząwszy od prostego naśladownictwa dźwięków przyrody, a kończąc na wspaniałych dramatach i obrazach przyszłości. Lecz tendencyjność w powyższém rozumieniu wtedy tylko względem najliczniejszych mas odegra godną siebie rolę, jeżeli się artysta wzniesie na szerszą widownię życia, zgłębi ważniejsze, nurtujące społeczność uczucia, i wyprzedzając ją w dziejowym pochodzie, artystyczną swą dłonią rzuci przed światem snop jasnych promieni z jutrzenki, co ma wszystkim przyświecać.

S. Karpowicz.



Pasorzytnictwo i współżycie w przyrodzie
w świetle nowszych poglądów.

Co to jest pasorzytnictwo? Pozornie zdaje się, że pojęcie to bez wszelkiéj trudności da się określić dokładnie i ściśle; wszak każdy wié o tém, że pasorzyt — to istota żyjąca kosztem innéj, karmiąca się sokami innych żywych tworów. Wszelako nie zawsze naturalista odróżnić może pasorzyta od niepasorzyta, bo jak nigdzie w przyrodzie nie ma przeskoków i znacznych różnic, jak wszędzie jedne zjawiska łączą się z innemi łańcuchem przejść stopniowych, tak téż i w dziedzinie pasorzytnictwa znajdujemy istoty o wybitnych cechach parazytyzmu, oraz takie, u których ten ostatni występuje tylko połowicznie lub częściowo, albo nie przedstawia w ogólności tak znamiennych cech, jak w przypadkach typowych.

Dziś wiemy, że pasorzyt, żyjący stale wewnątrz lub na powierzchni ciała innego organizmu, dostaje się do swego żywiciela, lub jak się w zoologii wyrażamy, do swego gospodarza, z zewnątrz; pasorzyty, zamieszkujące wnętrze jelit lub innych trzewi żywiciela, dostają się tam zawsze jako jaja lub zarodki, przypadkowo połykane wraz z pokarmem lub wodą. Dziś wiemy, jaką drogą odbywa się ta wędrówka zarodków pasorzytniczych, w jaki sposób ma miejsce „zarażanie się” pasorzytami i jak złożonym przemianom podlegają jestestwa w skutek przystosowywania się do warunków bytu pasorzytnego. Atoli jak każda prawda naukowa, tak i ta nie odrazu i nie prędko została poznaną, a przez długie wieki cała ta dziedzina zjawisk biologicznych

okryta była tajemnicą, właściwe zaś poglądy wyłaniały się bardzo powoli z labiryntu błędnych mniemań i przypuszczeń, nie opartych na ścisłych spostrzeżeniach.

Już w pismach Arystotelesa znajdujemy wiadomości o pasorzytach; filozof ten opisuje kilka gatunków robaków, zamieszkujących jelita ludzkie. Arystoteles był zwolennikiem teoryi samorodztwa; twierdził on, że żaby lęgną się z iłu, mole z sukna, ikra niektórych ryb — z miałkiego piasku przybrzeżnego, tworzącego wraz z wodą i powietrzem pianę morską! Nie dziw więc, że w obec tak błędnych poglądów na powstawanie życia w ogólności, filozof grecki nie mógł mieć właściwego pojęcia o pochodzeniu pasorzytów i wyobrażał sobie, że np. pasorzyty, zamieszkujące jelita (np. soliter) rozwijają się z resztek pokarmu, jaki się w tychże znajduje, lub że t. zw. „robaki” białe czyli właściwie gąsienice, pojawiające się na nieświeżém mięsie lub w otwartych ranach, rozwijają się z samego mięsa. Myśliciel grecki nie wiedział o tém, że we wszystkich tych przypadkach pasorzyty rozwijają się z jaj lub zarodków, które się z zewnątrz dostają do żywiciela. Trudno atoli uwierzyć, jak długo i uparcie trzymano się tych nawskroś błędnych i na niczém nie opartych poglądów, bo jeszcze w czwartym dziesiątku lat naszego stulecia lekarze mówili o usposobieniu do rozwoju pasorzytów i twierdzili, że te ostatnie są zawsze wytworem ciała osobników niemi dotkniętych i że powstają na drodze samorodztwa!

Wprawdzie już Redi, naturalista włoski z XVII stulecia wykazał, że „robaki,” lęgnące się w mięsie, rozwijają się tam z jaj, składanych przez pewne muchy i że są larwami much tych; wprawdzie Leeuwenhoek, przyrodnik holenderski, głosił w końcu siedemnastego wieku, że robaki wnętrzne, pasorzytujące w jelitach człowieka, dostają się tam z jaj wraz z wodą, używaną do picia lub z mlekiem, do „którego wieśniacy często wody dolewają” (stary więc to obyczaj!); wprawdzie badacz niemiecki Pallas twierdził również, że pasorzyty dostają się do żywicieli swoich nie inaczéj jak za pośrednictwem jaj, produkowanych w ogromnéj ilości przez istoty pasorzytne; — ale wszystkie te tak słuszne i tak uzasadnione poglądy przez długi czas nie znajdywały należytego uznania i ustąpić musiały miejsca teryi o „odziedziczaniu” pasorzytów i o samorodnym ich rozwoju u osobników odpowiednio usposobionych.

Teorya o „odziedziczaniu” pasorzytów głosiła, że żywiciel, zawierający w swych wnętrznościach pasorzyty, przekazuje te ostatnie w dziedzictwie potomstwu swemu. Vallisneri, Andry, Hartsoeker i inni twierdzili, że ponieważ pasorzyty produkują bardzo wiele jaj,

przeto te ostatnie mogą się przedostać do naczyń krwionośnych żywiciela, przenikać do różnych organów jego, unoszone prądem krwi i że tą drogą przechodzić mogą wreszcie do płodu rozwijającego się w łonie żywiciela lub w ogólności do produktów rozrodczych. Według téj naiwnéj teoryi dziecko, posiadające robaki, odziedziczyło je od rodziców, którzy znowu otrzymali pasorzyty te w spadkobierstwie od dziadów i pradziadów i t. d. wstecz aż do pierwszych ludzi, którzy na ziemi istnieli, podobnie téż zwierzęta odziedziczają swe pasorzyty od najodleglejszych przodków, a właściwego zarażania się nie ma wcale, lub tylko w rzadkich bardzo wypadkach może się zdarzać. Van Phelssum głosił, że już ze stworzeniem Adama i Ewy istniały w ich trzewiach pasorzyty, których potomstwo trapi do dziś dnia ludzkość. Inni atoli, jak np. Rudolphi oraz słynny lekarz wiedeński Bremser nauczali, że to jest niemożliwe, bo gdyby rzeczywiście pierwszy pasorzyt, powodujący np. t. zw. kołowaciznę u owiec (choroba ta zależy od obecności w mózgu owiec pewnego pasorzyta, zwanego *(Coenurus cerebralis)* „stworzony został jednocześnie z pierwszą owcą — jak mówi Bremser — to zarówno ta owca jak i cały jéj gatunek nie mógł by się rozmnażać i wyginąłby, a my nie moglibyśmy dzisiaj zarówno spożywać baraniny, jak i zachowywać w spirytusie tego robaka" dla celów naukowych! Na miejsce więc teoryi o odziedziczaniu pasorzytów biologowie ci postawili inną, według któréj robaki lęgną się samorodnie z ciała przyszłego swego żywiciela. Odróżniali oni w medycynie „chorobę robaczą" *(Wurmkrankheit)*, która polegać miała na tém, że części chorego organu przeistaczają się w żywe robaki lub w inne pasorzyty. Dziś wiemy, że pasorzyty są przyczyną chorób, że np. drobny pajączek, zwany świerzbowcem, wywołuje chorobę skórną, zwaną świerzbą. Bremser zaś i Rudolphi nauczali, że świerzbowiec jest skutkiem choroby skóry, która zmienia się patologicznie i produkuje świerzbowce. Tak tedy uczeni błądzili i fałszywie tłumaczyli sobie zjawiska pasorzytnictwa aż do czwartego dziesiątka lat naszego stulecia, kiedy eksperymentalne badania Siebolda, Eschrichta, Küchenmeistra, a następnie Leuckarta i innych uczonych zadały cios ostateczny tym błędnym mniemaniom i wykazały, że pasorzyty dostają się do organizmu swego żywiciela jako jajeczka lub zarodki z zewnątrz i że w ogóle ma miejsce zarażanie się pasorzytami, przyczém drogi i sposoby tego zarażania są nadzwyczaj różnorodne i od wielu warunków zależne.

Nie zawsze gdy jedna istota przebywa na drugiéj lub nawet wewnątrz niéj, jest ona pasorzytną; za taką uważać ją należy tylko wówczas, gdy żywi się sokami „gospodarza" swego, gdy żyje kosztem

swego żywiciela. Natomiast bardzo często istota, żyjąca na drugiéj lub we wnętrzu drugiéj, nie karmi się wcale jéj sokami, lecz jest tylko jéj lokatorem; lokator taki niekiedy nie płaci wcale gospodarzowi komornego; ten mając dosyć miejsca, pozwala bezkarnie na to bezpłatne mieszkanie przyjacielowi. Zjawisko to nosi nazwę „pasorzytnictwa przestrzeniowego" (*Raumparasitismus*). Tak np. pewne drobne ryby (z rodzaju różanki — *Rodeus*) składają swe jaja pomiędzy skrzela mięczaków dwuskorupowych czyli małżów; w skrzelach mięczaka wylęgają się młode rybki i gdy już pływać umieją, opuszczają gościnne pomieszkanie. Rybek tych nie można uważać za pasorzyty małża, nie żywią się one sokami jego, nie pozbawiają go pokarmu, korzystają tylko z wolnéj przestrzeni znajdującéj się pomiędzy blaszkami skrzel. Naturalnie, że lokatorowie tacy osiągają zawsze pewien pożytek ze swego mieszkania; gospodarz ochrania je mimowoli swém ciałem od napaści nieprzyjaciół, przed których wzrokiem są ukryte. W przytoczonym wyżéj przypadku zarodki rybie otrzymują także bez żadnego ze swéj strony wysiłku świeże wciąż zapasy wody (wraz z powietrzem w niéj rozpuszczonéni), albowiem małż w skutek ruchów skorupy przepędza wciąż nowe zapasy wody po przez skrzela swoje. Ale podobnie jak u ludzi, tak téż i w świecie zwierzęcym, tacy bezinteresowni gospodarze są rzadkością, najczęściéj zaś gospodarz wyzyskuje swych lokatorów; ci ostatni płacą mu sowity haracz... naturalnie nie monetą brzęczącą. Otóż, po największéj części istoty dające innym przytułek, otrzymują od nich pewne korzyści, słowem obie istoty, związane z sobą wzajemnie, wyświadczają sobie obopólnie przysługi; słusznie téż takie współżycie nazwano w nowszych czasach „spółką" życiową czyli „symbiozą" albo téż „mutualizmem" dla odróżnienia od pasorzytnictwa, które polega na tém, że jedna istota eksploatuje drugą. Naturalnie, że pomiędzy parazytyzmem i symbiozą nie we wszystkich przypadkach przeprowadzić się daje ścisła granica i niejednokrotnie trudno orzec, czy w danym razie mamy do czynienia z pierwszym czy z drugą. I tu znów analogia z człowiekiem! Jakże często pod pozorem spółki kryje się jaknajskrajniejsza eksploatacya cudzych pomysłów i cudzéj pracy? Przytaczamy kilka przykładów, ilustrujących symbiozę [1]). Pewna rodzina morskich skorupiaków czyli raków zwana pustelnikami (*Paguridae*) odznacza się nader miękkim i delikatnym odwłokiem; ten jest ubogi w chitynę, t. j. w substancyą

---

[1]) Nie chcąc powiększać rozmiarów niniejszego szkicu, pominiemy zupełnie przykłady symbiozy w obrębie samego świata roślinnego (np. pewnych grzybków z korzeniami wyższych roślin).

nadającą twardość skórze skorupiaków. W skutek tego odwłok narażony jest na zęby i szczęki nieprzyjaciół, a skorupiaki, unikając napaści, wybierają sobie opuszczone muszle ślimaków, ukrywają w nich swój odwłok, a przednią część ciała wysuwają z otworu muszli. Pustelnik wlecze wszędzie z sobą swój domek, a w miarę wzrostu i powiększania się, opuszcza starą muszlę i wyszukuje sobie nowéj. Otóż w spółce z pustelnikiem żyją pewne korale, a mianowicie z grupy ukwiałów. Ukwiał sadowi się szeroką podstawą swego ciała na brzegu otworu muszli, zamieszkanéj przez pustelnika i tak obaj wspólnicy razem wiodą żywot. Pustelnik korzysta na téj spółce dlatego, iż ukwiał, posiadając w swéj skórze szczególne t. zw. ciałka parzące, ciska niemi, jak gdyby strzałami, na zbliżające się do wspólników drobne zwierzęta morskie, które zostają oszołamiane temi pociskami, tracą równowagę i łatwo stać się mogą zdobyczą tak ukwiała jako téż pustelnika. Ukwiał zaś korzysta z téj spółki, ponieważ bez żadnéj pracy przenoszony zostaje z miejsca na miejsce przez wędrującego wciąż skorupiaka. Symbiotyczny stosunek znajdujemy także pomiędzy pewnemi ptakami i krokodylami; ptaki te czasowo przebywają na ciele potwora i nawet czasami do paszczy mu wchodzą, zjadając różne pasorzyty, prześladujące gada.

Nader ciekawe stosunki symbiozy znajdujemy pomiędzy roślinami i zwierzętami. Pasorzyty roślinne (pleśnie, bakterye i bacyle) toczą ciało żywych zwierząt, pasorzyty zwierzęce (np. mszyce i czerwce lub pewne robaki z grupy t. zw. nicieni) żyją na roślinach lub wewnątrz nich i karmią się ich sokami. W wypadkach zaś symbiozy pewne gatunki zwierząt żyją wewnątrz roślin, lub też rośliny w ciele zwierząt, przyczém jedne nie eksploatują drugich, lecz obaj wspólnicy wyświadczają sobie nawzajem przysługi fizyologiczne. Tak np. znane są w krajach gorących stosunki symbiotyczne pomiędzy pewnemi roślinami i mrówkami. Stosunki te są wielce ciekawe i zostały bliżéj poznane dopiéro w ostatnich latach, dzięki badaniom W e t t s t e i n a, T r e u b a, B u r c k a i wielu innych przyrodników, którzy téj kwestyi poświęcili wiele pracy i poczynili w tym kierunku bardzo interesujące spostrzeżenia. Obecnie posiadamy, rzec można, całą literaturę, dosyć obszerną i pokaźną, odnoszącą się do kwestyi mutualizmu pomiędzy roślinami i mrówkami.

We wszystkich wypadkach symbiozy roślin z mrówkami, te drugie znajdują na roślinach przytułek i schronienie, a często bardzo także pożywienie, dają zaś roślinie w zamian za to obronę przed nieprzyjaciołmi, zjadają bowiem i tępią owady, które roślinę napastują. Niekiedy cała budowa rośliny jest w znacznéj mierze p r z y s t o s o-

wana do mrówek. U niektórych np. roślin krajów gorących (np. u południowo-amerykańskiéj rośliny *Cecropia peltata)* łodyga jest rozszerzona, pusta wewnątrz i za pomocą szeregu przegródek poprzecznych podzielona na znaczną ilość komór, ułożonych jedna nad drugą. Jeżeli przekroimy taką łodygę wzdłuż, znajdziemy po największéj części wewnątrz każdéj komory mrowisko. Łodyga jest wielkim domem mieszkalnym dla mrówek, jest to jakby wysoki budynek o wielu piętrach, z których każde zamieszkane jest przez jedną, liczną rodzinę mrówczą. Ściany téj dętéj łodygi są dosyć grube i twarde, mimowoli nasuwa się więc pytanie, jak się mali lokatorowie dostają do wnętrza swych pomieszkań? I pod tym względem roślina przystosowana jest w swéj budowie do mrówek, ułatwiając im dostęp do mieszkań. A mianowicie od nasady każdego ogonka liściowego ciągnie się na powierzchni łodygi rowek podłużny w kierunku pionowym; u dołu rowek ten kończy się niewielkiém zagłębieniem w ścianie łodygi, które to zagłębienie przypada tuż pod przegrodą odpowiedniéj komory. W skutek obecności takiego zagłębienia ściana łodygi jest w tém miejscu dosyć cienka. Otóż samica mrówki dostaje się po rowku do zagłębienia i tutaj z łatwością już przegryza cienką ścianę łodygi, przedostając się do wnętrza komory, gdzie składa swe jajeczka. Tym sposobem zaludniają się oddzielne komory, a przez owe otworki mrówki wychodzić mogą na zewnątrz. Biegając bezustannie po łodygach i liściach rośliny, mrówki spełniają rolę straży, która broni gościnnéj rośliny od wszelkich szkodników owadziego świata. Tym sposobem *Cecropia*, dając przytułek i schronienie mrówkom, ochraniana jest przez nie od napaści gąsienic, mszyc i innych owadów, które w przeciwnym razie wyrządzałyby niemałą szkodę, karmiąc się jéj tkankami.

Cecropia nie tylko tém wabi do siebie mrówki, iż udziela im przestronnych, obszernych i bezpiecznych schronisk, ale i tém także, że dostarcza swym lokatorom pożywnéj i smacznéj strawy, albowiem u nasady ogonków liściowych znajdują się szczególne twory eliptyczne, nazwane „ciałkami Müllera," a zawierające w wielkiéj obfitości substancye białkowe i tłuszczowe, które stanowią pożywny pokarm dla mrówek. Nie wiadomo, czy ciałka te mają jakąkolwiek bezpośrednią doniosłość fizyologiczną dla rośliny; zdaje się, że główne ich znaczenie polega na dostarczaniu pokarmu mrówkom i na zwabianiu ich ku roślinie. Że ciałka te nie mają dla rośliny znaczenia bezpośredniego, zdaje się to wynikać z faktu, iż jeśli nie zostają spożyte przez mrówki, opadają na ziemię bez pożytku.

I w naszéj florze istnieje nie mało roślin, odznaczających się

t. z. „myrmekofilią" (przyjaznemi stosunkami względem mrówek). Liczne rośliny nasze posiadają miodniki nie w głębi koron kwiatowych, lecz w innych miejscach. Miodniki t. j. gruczołki, wydzielające słodki nektar, służą krzyżowaniu się roślin, gdy znajdują się w głębi koron kwiatu, w pobliżu narządów rozrodczych (pręcików i słupków), albowiem zwabiają wówczas do kwiatów różne owady, które ocierając się swém ciałem o pylniki pręcików, przenoszą mimowoli pyłek z jednych kwiatów na drugie i pośredniczą tym sposobem w sprawie zapłodnienia i krzyżowania się roślin. Gdy jednak miodniki znajdują się na roślinie po za obrębem jéj narządów rozrodczych, wówczas nie pośredniczą w krzyżowaniu, lecz rola ich jest zupełnie inna. Otóż, przekonano się w ostatnich czasach, że w bardzo wielu wypadkach miodniki służą wtedy do zwabiania mrówek, które gromadnie odwiedzają roślinę, poszukując slodkiego przysmaku i za jedną drogą tępią też różnego rodzaju pasorzyty i szkodniki, dręczące daną roślinę; mamy tu więc znowu współżycie polegające na wzajemnéj wymianie usług.

Interesującą wymianę usług spotykamy u rośliny naszéj flory, zwanéj pszeńcem (*Melampyrum*). A mianowicie, liście téj rośliny uposażone są w małe gruczołki, wydzielające słodki nektar, bardzo poszukiwany przez mrówki. Te ostatnie odwiedzając roślinę, bronią jéj tém samém, jak zwykle, od gąsienic i innych szkodników. Ale na tém się nie kończą przysługi, oddawane przez mrówki. Otóż, nasiona rośliny, o któréj mowa, są łudząco podobne do poczwarek mrówczych i dlatego téż mrówki, wędrując w pobliżu pszeńca, biorą często te nasiona za poczwarki i zanoszą je do mrowisk, a tym sposobem mimowoli przyczyniają się do rozsiewania rośliny. Mrówki zatém, w zamian za słodkie wydzieliny, podwójnie wywdzięczają się roślinie.

Inna dziedzina współżycia daje się spostrzegać pomiedzy pewnemi niższemi zwierzętami, a jednokomórkowemi zielonemi roślinkami z grupy wodorostów. Na ten rodzaj mutualizmu zwrócono dopiéro uwagę w nowszych czasach. Mianowicie u wielu niższych zwierząt np. u niektórych pierwotniaków (u t. zw. *radiolaryj* i innych), u wielu robaków płaskich i u jamochłonnych (np. u hydry czyli polipa wód słodkich) znajdowano wewnątrz ciała lub pod skórą kuleczki zielone, które, jak się przekonano, przedstawiają jednokomórkowe, mikroskopowe wodorosty, zawierające gałązki zieleni czyli chlorofilu. Chlorofil odgrywa, jak wiadomo, ważną bardzo rolę w życiu roślin, albowiem tylko przy jego obecności rośliny przyswajają sobie z powietrza węgiel. Pod wpływem promieni słońca komórki zielonych części rośliny, czyli komórki zawierające zieleń, pobierają z powietrza dwu-

tlenek węgla czyli bezwodnik kwasu węglanego i rozkładają go na tlen i węgiel, przyczém tlen zostaje wydalony z rośliny, a węgiel się zatrzymuje i służy do budowy organicznych, bogatych w węgiel substancyi, a przedewszystkiém — skrobi czyli krochmalu. Zwierzę, nie posiadające w swém ciele zieleni, nie może sobie przyswajać węgla z powietrza i musi się przeto odżywiać gotowemi już substancyami organicznemi, zawierającemi węgiel. Otóż w symbiozie zwierząt z wodorostami zielonemi, te zastępują w części zwierzętom chlorofil i tém przynoszą im niemałą korzyść fizyologiczną. Badania Gezy Entza, Brandta, Geddesa i wielu innych biologów nowszych czasów stwierdziły dokładnie tę współzależność. Brandt wykazał między innemi, że wodorosty, przebywające w ciele zwierzęcia, asymilują węgiel z powietrza, albowiem po przez cienkie powłoki ustroju zwierzęcego gazy mogą łatwo dyfundować, zwłaszcza iż wodorosty zamieszkują po większéj części najpowierzchowniejsze warstwy ciała gospodarza swego. Produkty téj asymilacyi, a mianowicie skrobia, w nadmiarze nagromadzające się w wodorostach, zostają z nich wydzielone na zewnątrz i wchodzą do ciała ustroju zwierzęcego, stanowiąc dlań pokarm. Wzmiankowany badacz wykazał za pomocą reakcyi z jodem (który to odczynnik pozwala łatwo stwierdzić obecność krochmalu, barwiąc go w sposób swoisty), że w ciele radiolaryi, zamieszkanych przez jednokomórkowe wodorosty, występują w bezpośredniém sąsiedztwie wodorostów — ziarenka krochmalu, gdy natomiast ziarnek tych nie ma u radiolaryi, pozbawionych wodorostów. Spostrzeżenia te oraz liczne inne, dowodzą, że wodorosty, żyjące w spółce ze zwierzętami, dostarczają im pokarmu organicznego. Z drugiéj znów strony zwierzę wydziela w skutek oddychania dwutlenek węgla, który służy wodorostowi jako materyał dla asymilacyi. Prócz tego, gdy wodorosty zamierają, ciała ich pozostają w ustroju zwierzęcym i służą mu za pokarm bezpośredni; wreszcie wodorosty nadają zieloną barwę licznym zwierzętom, przebywającym pomiędzy roślinami wodnemi, a barwa ta jest w skutek tego ochronną dla zwierząt, trudno je bowiem zauważyć na tle zielonych roślin. Tym sposobem zwierzę i roślina przez tę współkę wzajemną wyświadczają sobie różnego rodzaju przysługi fizyologiczne.

Tak więc, widzimy, objawy współżycia bywają bardzo różnorodne, zawsze jednak polegają na pewnych większych lub mniejszych korzyściach zobopólnych. Zupełnie co innego zachodzi, jak widzieliśmy, przy pasorzytnictwie: tu istnieje zawsze ustrój eksploatowany i eksplotujący, gospodarz i właściwy pasorzyt.

Objawy pasorzytnictwa i jego stopień w świecie zwierzęcym [1]) przedstawiają tak wielką rozmaitość, że nauka o pasorzytach mogłaby dziś utworzyć samodzielną, a obszerną gałąź biologii. W szkicu niniejszym nie chodzi nam zresztą o zapoznanie czytelnika z poszczególnemi wypadkami pasorzytnictwa, zwłaszcza, iż przytoczenie chociażby najważniejszych przykładów zajęłoby niepomiernie wiele miejsca. Jak wielka istnieje ilość różnorodnych pasorzytów zwierzęcych, wynika z tego już jedynie faktu, iż nie ma prawie obszerniejszéj grupy zwierząt, pośród którój nie byłyby znane postaci pasorzytne. Z drugiéj zaś strony nie ma literalnie ani jednego gatunku zwierząt, któregoby ciało nie było zamieszkane przez pasorzyty, a po większéj części przez różne ich gatunki. Pod tym względem organizm ludzki przewyższa nieledwie wszystkie inne istoty żyjące, gdyż ciało jego zamieszkuje (naturalnie nie zawsze i nie jednocześnie) 8 gatunków pierwotniaków, 51 gatunków robaków i do 20 stawonogów! Zwierzęta domowe, zwłaszcza bydło, świnie i t. d. a także żaby są również wielce gościnne dla różnych gatunków pasorzytów. Ilość osobników zamieszkujących ciało gospodarza bywa bardzo rozmaita, niekiedy dosięga milionów! Van Beneden opisuje, że u pewnego młodego, dwuletniego konia znaleziono kilka milionów drobnych robaków, do tysiąca większych t. zw. robaków obłych, 69 soliterów, 190 czerwi (larw pewnych owadów muchowatych) i 6 t. zw. węgrów. Miłe towarzystwo i jak na jednego konia, dosyć liczne! Leuckart zaś podaje, że u pewnego łabędzia czarnego wykryto 24 osobników robaka *Filaria labiata* w płucach, 60 osobników robaka *Syngamus trachealis* w tchawicy, przeszło 100 osobników robaka *Spiroptera alata* w żołądku, wiele set osobników robaka *Holostomum* w jelitach cienkich, około 130 osobników robaków z rodziny motylicy *(Distomum)* — pomimo to wszystko gospodarz, zaludniony w ten sposób, miał się zupełnie dobrze; przynajmniéj nazewnątrz niczém się nie objawiał jakikolwiekbądź nienormalny stan jego zdrowia [2]).

Powiedzieliśmy wyżéj, że stopień pasorzytyzmu bywa bardzo rozmaity i że często trudno przeprowadzić ścisłą granicę pomiędzy pa-

---

[1]) Przy rozpatrywaniu właściwego pasorzytnictwa ograniczymy się prawie wyłącznie na świecie zwierzęcym, tu bowiem istnieje większa różnorodność takich objawów.

[2]) Por. D-ra A. Loos. „Schmarotzertum in der Tierwelt.” Lipsk, 1892. W interesującém tém dziele czytelnik może znaleść liczne bardzo przykłady pasorzytnictwa u zwierząt.

sorzytnictwem a nie-pasorzytnictwem. A mianowicie, w wielu wypadkach zwierzęta są tylko „czasowemi” pasorzytami, t. j. tylko od czasu do czasu, przy nadarzających się sposobnościach żywią się pasorzytnie, kiedyindziéj zaś prowadzą życie wolne i samodzielnie szukują sobie pokarmu. Tak np. pijawki, znalazłszy odpowiednią ofiarę, sadowią się na niéj i krew z niéj wysysają, poczém jednak opuszczają swego gospodarza; w braku zaś zwierząt kręgowych, którymby krew wysysać mogły, żywią się ślimakami i innemi drobnemi zwierzątkami, prowadzą więc wówczas życie rozbójnicze, ale już nie pasorzytne. Kiedyindziéj zwierzę przez jedną część życia jest stale pasorzytem, przez drugą zaś wiedzie swobodny żywot. Tak np. pewne owady, gdy są larwami, żyją pasorzytnie, gdy zaś przeobrażają się w postaci zupełnie rozwinięte, przestają się karmić pasorzytnie; tyczy się to wielu much, których białe robakowate larwy, czyli t. zw. czerwie przebywają w żołądku zwierząt domowych (np. konia), albo téż niektórych chrząszczy (np. maików), których larwy żyją pasorzytnie w gniazdach niektórych owadów pszczołowatych i t. p. Są wreszcie i takie zwierzęta, co przez całe życie są pasorzytami i nie mogą w żadnym okresie życia samodzielnie zdobywać sobie pokarmu, jak np. trychina. Stałe pasorzyty, przez całe życie karmiące się kosztem swych żywicieli, odbywają po większéj części wędrówki z jednych zwierząt do drugich, np. trychina, jak wiadomo, przenosić się może z organizmu świni do ustroju ludzkiego, soliter żyje, jako t. zw. węgier, czyli postać młodociana w ciele świni lub wołu, jako zwierzę dorosłe—w jelitach ludzkich, dokąd się dostaje wtedy, gdy człowiek zjada wieprzowinę lub wołowinę, zarażoną węgrami. Nie będziemy, jak powiedziałem, rozpatrywali bliżéj tych rozmaitych przykładów parazytyzmu, których nauka dzisiejsza zna ogromną ilość, a natomiast zastanowimy się nad tém, jak dzisiejsi biologowie objaśniają powstanie pasorzytów w rozwoju rodowym świata zwierzęcego, jak sobie tłómaczą pochodzenie życia pasorzytniczego?

Otóż, objaśniamy dziś pasorzytnictwo w przyrodzie przez teoryę ewolucyi, przez zasadę doboru naturalnego i p r z y s t o s o w a n i a; droga, jaką rozwinął się parazytyzm, jest dla nas zupełnie jasną, a mianowicie wyobrażamy ją sobie w sposób następujący [1]).

Pewne małe, nisko zorganizowane zwierzę używa pokarmu zwierzęcego, napadając inne, słabsze zwierzęta, które spożywa. Może się atoli przytrafić, iż te ostatnie zwierzęta z jakichkolwiek powodów ilo-

---

[1]) Por. przytoczone dzieło Loossa, str. 45, gdzie znajdujemy objaśnienie, niżej podane.

ściowo się zwiększą, lub też zupełnie wyginą, albo też jakiebądź inne przyczyny mogą sprawić, iż zwierzęta te nie będą już mogły stanowić odpowiedniego pokarmu dla wyżéj wspomnianego drapieżnego ustroju. Jeśli ten jest słaby, wówczas skazany zostaje na zagładę, będąc pozbawionym dotychczasowych środków do życia. Jeśli jednak dany ustrój odznacza się żywotnością, wówczas na innéj drodze zdobywać sobie może pokarm, a mianowicie w celu zaspokojenia głodu napastuje większe od niego organizmy, a nie będąc w stanie uśmiercać ich i całkowicie pożérać, odrywa od nich tylko części ciała, żywi się tylko cząstkami ciała ustroju napastowanego, np. rzuca się nań i krwią się nasyca lub t. p., słowem staje się czasowym pasorzytem, podobnie, jak to bywa np. z pijawkami. Ustrój przystosowuje się powoli do tych nowych warunków życia, otrzymuje np. pewne narządy, któremi snadnie czepiać się może swego czasowego żywiciela, lub téż pewne organy, któremi może mu krew wysysać i t. p. Gdy taki czasowy parazytyzm jest korzystny dla ustroju, gdy, dzięki jemu, tenże odżywia się dobrze i, co za tém idzie, rozmnaża, łatwo zrozumiéć, że im częściéj i im przez dłuższy czas ustrój pasorzytnie się karmi, tém mu to bardziéj na korzyść wychodzi. Tym sposobem organizm, będący początkowo czasowym tylko pasorzytem, staje się powoli w biegu rozwoju rodowego, w ciągu długiego bardzo szeregu pokoleń — pasorzytem stałym. Życie pasorzytnicze, do którego przystosowuje się dany ustrój, wywołuje cały szereg zmian w jego organizacyi, jak to niżéj zobaczymy.

Z pasorzyta czasowego powstaje zatém stały. Ten jest początkowo pasorzytem zewnętrznym, żyjącym na powierzchni ciała swego gospodarza, tutaj bowiem warunki, otaczające najmniéj się jeszcze różnią od tych, pośród których dotychczas przodkowie jego przebywali. Życie na powierzchni ciała gospodarza nie zawsze jest bezpieczne, liczni wrogowie czatują na pasorzyty zewnętrzne, nieruchomo przytwierdzone do skóry gospodarza. Daleko więcéj bezpiecznemi są różne kryjówki na ciele żywicieli, jak np. szczeliny pomiędzy skrzelami, jama paszczowa lub t. p., kryjówki, do których nieprzyjaciele nie tak łatwy mają dostęp. Stąd już nietrudne przejście do parazytyzmu zupełnie wewnętrznego; z jamy paszczowéj przenoszą się np. pasorzyty do żołądka i jelit gospodarza i t. p. Tym sposobem w biegu rozwoju rodowego ze zwierząt drapieżnych powstają, przy pewnych warunkach specyalnych, czasowe pasorzyty zewnętrzne, z tych — stałe zewnętrzne, a wreszcie i wewnętrzne. Oto droga, na jakiéj z wielkiém prawdopodobieństwem powstało pasorzytnictwo w przyrodzie.

Czytelnik, który krytycznie zastanowi się nad tą hipotezą po-

wstania parazytyzmu, zapyta z pewnością, na jakiéj podstawie biologowie tłómaczą sobie w ten sposób jego pochodzenie, na jakiéj zasadzie kréślą prawdopodobne jego dzieje w genealogicznym rozwoju świata organicznego. Tutaj podobnie jak we wszystkich innych dociekaniach rodowodowych, opiéramy przedewszystkiém swe wywody na porównywaniu różnych stanów u organizmów dziś żyjących. Otóż liczne zwierzęta pozostają dziś jeszcze w początkowém stadyum pasorzytnictwa, przedstawiają, że tak powiem, jeden z pierwszych etapów, które formy pasorzytne przebiegały w rozwoju rodowym. Tak, pewne gatunki much, gdy nadarza się sposobność, karmią się, jako pasorzyty czasowe, ciepłą krwią ssących zwierząt; gdy jednak nie znajdują ofiar wyzysku, zadawalniają się także padliną; podobnie téż pijawka jest jakby rozpoczynającym się pasorzytem, który przy sprzyjających warunkach karmi się krwią kręgowców, w braku zaś tego pożywienia prowadzi życie rozbójnicze, uśmiércając mniejsze i słabsze zwierzęta, np. ślimaki. Daléj znajdujemy w przyrodzie pasorzyty pozostające, że tak powiem, w stadyum posuniętego parazytyzmu: są to mianowicie pasorzyty stałe, lecz zewnętrzne, np. liczne owady pasorzytne lub pajączki z grupy roztoczy, jak świérzbowce, które żyją stale w skórze ciepłokrwistych kręgowców. Wreszcie istnieją, jak wiemy, stałe pasorzyty, żyjące w różnych zagłębieniach ciała oraz zupełne wnętrzniaki, ukryte w trzewiach i t. p. gospodarza. Różne te stopnie parazytyzmu są, być może, tylko przejściowemi fazami rodowemi, pasorzyty dziś czasowe, przeobrażą się może kiedyś w stałe i wewnętrzne. Naturalnie na przeobrażenia podobne potrzeba nie setek, a nawet nie tysięcy lat, lecz olbrzymich okresów, o których równie trudno wyrobić sobie pojęcie, jak o odległości ciał niebieskich, skąd promienie światła, tak zadziwiająco szybko się rozchodzącego, przez lat tysiące biegną do naszéj ziemi! Z drugiéj atoli strony liczne niezupełne postaci pasorzytne dosięgły już, być może, kresu swego rozwoju w tym kierunku, skoro już doskonale przystosowały się do swego sposobu do życia.

Ale istnieje jeszcze inny dowód prawdziwości naszéj hipotezy, dowód większéj doniosłości. Embryologia, czyli nauka o rozwoju osobnika od najwcześniejszego zawiązka, t. j. od jajeczka, aż do stanu dorosłego, wykazuje, że indywiduum przebiega w swym rozwoju kolejne stadya, mniéj lub więcéj odpowiadające fazom rozwoju rodowego, t. j. tym etapom ewelucyi genealogicznéj, jakim podlegali rodowi przodkowie danego gatunku w dziejach świata zwierzęcego. Prawo to, mające wielką doniosłość we współczesnéj morfologii zwierzęcéj, nosi nazwę prawa równoległości rozwoju osobnikowego i rodowego, lub inaczéj, prawa biogenetycznego.

Jeśli więc prawdziwą jest hipoteza, że zwierzęta pasorzytne pochodzą od swobodnie żyjących, to ślady tych dziejów powinnyby się tu i owdzie zachować w rozwoju osobnikowym pasorzytów, na zasadzie prawa biogenetycznego. Otóż rzeczywiście ma to miejsce w bardzo wielu wypadkach. Liczne np. skorupiaki pasorzytne [1]) swobodnie żyją w wieku młodocianym i są wówczas najzupełniéj podobne do larw innych skorupiaków, nie będących pasorzytami, co dowodzi właśnie w wysokim stopniu pokrewieństwa form pasorzytnych i swobodnie żyjących i wspólności ich pochodzenia od jednych i tych samych przodków.

Wreszcie jeszcze kilka słów o przemianach, którym podlegają ustroje w miarę, jak się przystosowują do życia pasorzytniczego.

Byt pasorzytniczy prowadzi do całego szeregu regresyjnych czyli wstecznych przemian, powodujących uproszczenie organizacyi. Stały pasorzyt, nie opuszczający nigdy swego żywiciela, nie używa swych organów ruchu w tym stopniu, jak zwierzę wiodące życie samodzielne; naturalném tego następstwém jest zanik narządów ruchowych, a przedewszystkiém kończyn; to téż wszystkie pasorzyty stałe, wewnętrzne, nie posiadają organów miejscozmienności, a jest ich również pozbawiona znaczna bardzo część pasorzytów zewnętrznych.

Ruch dowolny odbywa się w ten sposób, że pobudzenia ruchowe dochodzą po n e r w a c h do mięśni i powodują ich skurcz. Skoro więc u pasorzytów zanikają w znacznéj mierze mięśnie, rzecz naturalna, że i nerwy ruchowe, jako téż ośrodki, z których one biorą początek, ulegać muszą redukcyi, albowiem jest to ogólne prawo biologiczne, iż z zanikiem lub z osłabieniem czynności dany organ ulega degeneracyi i wreszcie może zaniknąć.

Ależ i pod innym także względem ustrój pasorzytny ulega zwyrodnieniu. Nie mając potrzeby samodzielnego zdobywania sobie pokarmu, nie ćwiczy on zmysłów, nie rozwija zdolności umysłowych, niezbędnych organizmom żyjącym swobodnie i staczającym ciężkie walki o byt — wszystko to prowadzi do uproszczenia lub zaniku organów zmysłów oraz układu nerwowego.

Wreszcie pasorzyt wnętrzny, żyjący w trzewiach swego gospodarza i pogrążony, że tak powiemy, całém ciałem w pożywnych sokach, traci bardzo często własne swoje organy trawienia, organy słu-

---

[1]) Np. należące do grupy widłonogów (*Copepoda*); swobodnie żyjąca ich larwa nazywa się *nauplius* i występuje także w rozwoju form niepasorzytnych.

żące do pobierania pokarmu i przerabiania go w odpowiedni sposób, albowiem całą powierzchnią ciała może on pochłaniać pożywne soki, zewsząd go otaczające.

Tym sposobem pasorzyt przystosowując się do warunków, w jakich się znajduje, traci w mniejszym lub większym stopniu narządy ruchowe, zmysłowe, nerwowe oraz organa trawienia, co też rzeczywiście znajdujemy u wielu bardzo pasorzytów wnętrznych, np. u soliterów oraz u wielu pasorzytnych skorupiaków, wysoce uwstecznionych w swéj organizacyi. Ale jak z jednéj strony parazytyzm prowadzi do wielu procesów regresyjnych, tak znów odmienne i swoiste warunki jego życia powodują rozwój i doskonalenie się innych stron organizacyi. Przedewszystkiem pojawiają się pewne specyalne organa, służące pasorzytowi do przytwierdzania się do ciała gospodarza, a więc haczyki, przyssawki i t. p. części, tak pospolite u pasorzytów. A daléj, obfitość pożywienia sprzyja rozmnażaniu się, to też pasorzyty odznaczają się niezwykłą płodnością; niektóre wnętrzniaki produkują setki tysięcy i miliony jaj w ciągu swego życia. Ta nadzwyczajna płodność, uwarunkowana obfitością pokarmu, jest ważném przystosowaniem naturalném w życiu pasorzytów. Przyrodzie chodzi przedewszystkiém o zachowanie gatunku, o utrzymanie łańcucha życia w szeregu pokoleń. Otóż, większość pasorzytów, odbywających wędrówki z ciała jednego gospodarza do drugiego, narażona jest przez to samo na zagładę; potrzeba bowiem wielce szczęśliwego zbiegu okoliczności, aby dana postać pasorzyta natrafiła na właściwego gospodarza. Jajeczka np. solitera, wydostające się z ustroju ludzkiego na zewnątrz, muszą być koniecznie przypadkowo pochłonięte przez świnię lub wołu, aby się mogły daléj rozwijać, a mięso wieprzowe lub wołowe, zawierające młodociane postaci tego pasorzyta, musi być znów w stanie napółsurowym spożyte przypadkowo przez człowieka, aby te postaci mogły się rozwinąć w dorosłe solitery i t. p.; niektóre pasorzyty dla odbycia całego cyklu przemian muszą przechodzić aż przez trzech różnych, a określonych gospodarzy. Ileż to potrzeba szczęśliwych okoliczności, sprzyjających warunków! To też przyroda, dbała — *sit venia verba* — o zachowanie gatunku, produkuje w ciele pasorzytów olbrzymie ilości jaj; z tych miliardy giną, ale wśród téj olbrzymiéj masy niektóre i to stosunkowo liczne natrafić muszą na warunki odpowiednie i zachowują ciągłość gatunku. Można więc powiedzićć, że tu „wielu zostaje powołanych, lecz mało wybranych.”

Na tém ograniczymy nasz zarys spółżycia i parazytyzmu w przyrodzie. Nie szło nam tyle o zapoznanie czytelnika z pewnemi faktami,

dotyczącemi tych wielce ciekawych objawów biologicznych, ile raczéj o zwrócenie uwagi jego na ogólne zapatrywania biologów na te przejawy życia organicznego. Biolog dzisiejszy nie zadawalnia się samém tylko stwierdzeniem faktów przyrodniczych, lecz dąży do ich objaśnienia; i w kwestyi zatém symbiozy i pasorzytnictwa stara się wytłómaczyć dostrzegane objawy, zrozumiéć ich genezę, a jak widzieliśmy, w znacznéj mierze zdołał je rzeczywiście wyjaśnić za pośrednictwem zasady przystosowywania się do warunków.

Dr. Józef Nusbaum.



DŻALI.

Słońce rzucało jeszcze z za szczytów gór Adama czerwonawe błyski, kiedy brzegiem skalistym rzeki Kalu Ganga szło szybkim krokiem dziesięcioletnie na pół nagie chłopię, co chwila zatrzymując się, jakby dla nabrania sił do dalszéj drogi. Pot kroplisty spływał z kędzierzawych czarnych włosów chłopca na piersi, które podnosiły się i opadały konwulsyjnym prawie ruchem, wtórując ustom otwartym i dyszącym. Ale bo téż nie mały ciężar dźwigał on na ramionach. Siedziała tam czteroletnia dziewczynka, trzymając się oburącz wzniesionéj w górę lewéj ręki chłopca, oparta główką i piersiami o jego głowę.

Droga była nierówna, często trzeba było wymijać zarośla, a chłopiec, chociaż mógł iść górzystém polem, widocznie starał się nie oddalać od rzeki. Od czasu do czasu rzucał wzrok niespokojny za siebie w stronę wzgórza, jakby się obawiał oczu ludzkich czy pogoni. I rzeczywiście obawa ta nie była bez podstawy.

Było to w czasach, kiedy po wypadkach r. 1848 wicehrabia Torringot, pełnomocnik królowéj Wielkiéj Brytanii strasznym krwi rozléwem wpajał w ludność Cejlonu przywiązanie do swéj pani. Wszechwładny gubernator nie znał litości ani przebaczenia. Wszystko, co się śmiało oprzéć jego woli, było skazaném na zniszczenie. Palono wsi całe, do ludzi strzelano, jak dla igraszki, a egzekucye na ulicach Kolombo i wszędzie, gdzie tylko garstka śmielszych tuziemców stawiała opór władzy, były zjawiskiem codziennem. Najwięcéj ucierpiało pokolenie Weddasów, do którego prawdopodobnie należało dwoje dzieci, śpieszących w stronę morza. Tak przynajmniéj można było wnosić

z zupełnego prawie braku ubrania i z silnie rozwiniętych muskułów chłopca, widocznie obytego z niewygodą i wpływem powietrza.

Kiedy się już zciemniło, chłopiec pochylił się, zsadził z ramion siostrzyczkę i wziąwszy ją za rękę, szedł z nią daléj, co chwila przystając, rozglądając się i nasłuchując.

— Gdzie my idziemy, Geto?—zapytała dziéweczka.

— Zaraz robaczysz, Dżali—odrzekł brat jéj.

Dochodzili właśnie nad brzeg morza. Krajobraz był cudowny. Przed nimi rozścielało się morze, podnoszące się przed okiem widza, a spływające się w dali z szafirami nieba. Z za kotary ciemnych wód wysunęła się spokojnie wielka, płomienna swoją czerwonością, tarcza księżyca, rzucając w stronę wyspy przez całą powierzchnię morza smugi świetlne, jakby drogą jasną, drogiemi kamieniami różnych barw usłaną. Żywe, drgające fale kołysały się z szumem; zdawało się, że zadowolone ze świateł, jak dziecię, igrają z niemi, podrzucając je i zmieniając. Tuż obok ciche wody Kalu Ganga łączyły się z bałwaniącém się morzem. Z drugiéj strony rzeki na wzgórzu czernił się las palmowy, u którego stóp leżały pola bujną zielonością pokryte. Brzegi rzeki porosłe były liliami i lotusami, których liście i duże różnobarwne kwiaty rysowały się wyraźnie na niebieskawych wodach.

Nie dochodząc do brzegu morza, Geto przystanął, chwilę rozglądał się w różne strony, a przekonawszy się, że nikogo z ludzi tam nie ma, zaczął szukać wkoło siebie miejsca, gdzieby mógł ukryć swoją małą siostrzyczkę. U stóp niewielkiego wzgórza znalazł ukryte śród krzaków jaśminowych wgłębienie i tam pozostawił swoją małą siostrzyczkę, a sam zajął się szybko i zwinnie zrywaniem kęp trawy, jaką bujnie pokrywała się miejscowość.

Po chwili zebrało się jéj tyle, że Dżali mogła miéć wygodne posłanie. Geto zgrabił trawę rękoma, przeniósł ją do wgłębienia i na tak usłanéj ziemi ułożył siostrę.

— Czy nas tu oni nie znajdą?—spytała Dżali.

— Nie, moja droga. Dobry Budda nas osłoni. Zanim tu przyjdą, my uciekniemy stąd daleko, gdzie dobrzy ludzie nie biją małych dzieci, nie niszczą im domu, nie zabiérają tatusia. Słyszałaś, jak tatuś opowiadał nam, że na okrętach, co pływają po Manuarze, są dobrzy ludzie, kupujący perły. Ludzie ci nie prześladują biédnych Weddasów, dają im chleba dużo, mają dla nich słodką wodę i spać im pozwalają pod dachem. My się do nich dostaniemy, sprzedamy im się za chléb i wodę słodką. Ja im będę służyć wiernie, a ty, jak dorośniesz, będziesz im siać kwiatki i pasać owieczki małe i będziesz miała chleba dosyć i ciepłą sukienkę i...

— A czy tatuś nie przyjdzie tam do nas?—przerwała dziéweczka.

— Nie, Dżali moja—odrzekł chłopiec.—Widziałaś, jak go Anglicy bili, bili, aż zabili. Duch jego, jeśli Wielki Budda pozwoli, przyjdzie do ciebie, jako gołąb biały i siądzie na twojém ramieniu i patrzéć będzie w twoje oczy czarne, ale on nie przyjdzie. Albo jak robaczek ognisty latać będzie wokoło i świécić tobie i bawić cię, ale on już nie przyjdzie. Albo jak trawka kłaść się będzie u twoich nóżek, żeby im miękko było i ciepło, ale on już nie przyjdzie...

Łzy, spływające po twarzy chłopca, nie pozwoliły mówić mu daléj, kiedy siostrzyczka zagadnęła go:

— A czy Budda nie mocniejszy od złych ludzi, co zabili tatusia? Czy on ich się boi, tak jak my? Czemu on uciekł przed nimi, kiedy bili tatusia?

Pytanie to widocznie zakłopotało chłopca. Zamiast odpowiedzi, przytulił do siebie Dżali, ucalował jéj oczy i patrząc w stronę gwiazd, głosem drżącym wyszeptał:

— Buddo Wielki! ratuj ty moją Dżali. Ona nic złego nikomu nie zrobiła. Tyś mądry i wielki! Zamień Dżali w mewę. Niech duch jéj na białych skrzydłach odleci do dobrych ludzi z téj biédnéj ziemi, gdzie tak ciężko biédnym siérotom!...

— Geto — przerwało dziecię — a ty nie będziesz mewą? Ty ze mną nie odlecisz? Ja nie chcę być ptakiem, ja wolę z tobą pozostać— i dziecina przytuliła się do brata, obejmując go rączkami i kładąc głowę na jego kolanach, jakby się obawiała, żeby czasem Budda nie przemienił jéj w mewę i nie zmusił do odlotu.

Chłopiec spojrzał na nią żałośnie, z wyrzutem, że nie chce modłów jego i pragnień zrozumiéć, przechylił się i szepnął:

— Śpij teraz, Dżali.

Na te słowa dziecina poprawiła się na swojém posłaniu i zmrużywszy oczy, rzekła:

— Zaśpiéwaj mi, Geto.

— Nie, Dżali moja—odszepnął człopiec—nie można śpiéwać, bo mógłby nas kto usłyszéć; ale opowiem ci to, co nasz drogi tatuś tak lubiał opowiadać.

Tu chłopiec zaczął przytłumionym głosem:

Biédny Weddas szedł przez pole szukać pośród ludzi
Dla swych dzieci trochy chleba. A miał dzieci czworo,
Głodnych, nagich, małych dzieci. Gdy tak idzie smutny,
Dziki zwiérz mu zajdzie drogę i rzecze:
— Weddasie!
Po cóż idziesz próżno szukać dla swych dzieci chleba?!
Nikt nie przyjmie cię do chaty, nikt ci nie da pracy, —

Boś ty Paria. Lepiéj oddaj mnie pisklęta swoje;
Ja uwolnię cię od dzieci...
Weddas drgnął i szybko
Pobiegł dalej, aż do miejsca, gdzie na skłonie góry
Czarna przepaść się otwiéra bezdenna i straszna.
Stanął,—spojrzał w głąb' i słyszy, jak coś stamtąd woła:
— Czemu lękasz się i wahasz, nieszczęsny człowiecze?!
Chodź tu do mnie. Skocz! raz tylko.—Ja ci troski twoje
I łzy twoje i twą rozpacz ukoję na zawsze.
Jam Nirwana! Ja przez wieki wieków unicestwiam
Wszystko, co złe i co dobre. U mych piersi spokoj!... —
Weddas zadrżał,—i byłby się już rzucił w tę przepaść,
Ale żal mu było dzieci, które tam, w szałasie
Pozostawił, którym chleba miał przynieść od ludzi.
Poszedł smętny w pole ku wsi, gdzie bogate łany
Złotokłosych paddy [1]) wielki znaczyły dostatek.
Patrząc się na bujną ziemię i na łany zboża,
Myślał z żalem, czemu swoich piskląt tu nie przywiódł.
Lecz zastąpił Weddasowi drogę Singhalejczyk
I zawołał:
— Precz stąd plemię podłe! — Nie dla ciebie
Zbiory moje. Jeszcze wzrokiem zarazisz mi ziemię!...
Weddas cofnął się i odszedł cicho ku lasowi,
Gdzie go biédne jego dzieci czekały zgłodniałe.
Słońce piekło jego czaszkę,—pragnienie miał straszne.
Zaczął szukać w polu wody, gdy w tém, po pod lasem
W dole zoczył czerwonawy piękny kwiat nelumby [2])
Skoczył chyżo i wyrwawszy kilka krzów z korzeniem
Zaniósł je dla swoich dzieci, szczęśliwy, że będą
Miały co jeść. Budda Wielki! Budda Miłosierny!...

Ostatnie te wyrazy Geto wypowiedział z wiarą i nadzieją, że i dla niego i dla jego siostrzyczki Budda będzie miłosiernym. Spojrzał na Dżali, — spokojny miarowy oddech, wydobywający się z piersi dzieciny dowodził, że dobry Budda zesłał sen i ukoił jedno z cierpiących. Chłopiec zdjął z siebie zawój muślinowy, pokrywający jego biodra, z troskliwością matki otulił nim Dżali i na nóżki jéj położył kępy trawy.

Upewniwszy się, że śpi Dżali, brat jéj powolnym krokiem oddalił się w stronę rzeki i pośród zarośli zaczął przepatrywać, czy czasami który z rybaków nie pozostawił tam łodzi. Ale poszukiwania były daremne; na przestrzeni kilkuset kroków aż do ujścia rzeki nawet śladów

---

[1]) Gatunek ryżu.
[2]) Gatunek lotusu, którego korzeniami słodkiemi żywią się mieszkańcy Południa.

łodzi nie znalazł. Utraciwszy nadzieję łatwego przedostania się do okrętów, Geto udał się na najwyżéj wzniesione wzgórze, ażeby stamtąd lepiéj rozejrzéć się w miejscowości.

W oddali widać było nad morzem rozłożone namioty, pośród których paliły się ognie. Były to tak zwane Kuttos, miejsca ogrodzone palami i pilnie strzeżone, gdzie na matach ze słomy składano muszle z morza wydobyte, ażeby ułatwić gnicie i wysychanie zamieszkujących je mięczaków. Zwracać się w tamtą sronę było więcéj niż niebezpiecznie. Zbliżenie się do Kuttos bez uzasadnionéj do tego przyczyny mogło zrodzić podejrzenie kradzieży i pociągnąć za sobą doraźną karę, tém cięższą, że przez nikogo niekontrolowaną. Chłopiec wiedział o tém i wiedział również, że do pilnowania pereł używani są Shinghalejczycy, zapamiętale nienawidzący plemienia Weddasów, do którego on sam należał.

Po tém rozejrzeniu się w miejscowości Geto powrócił do swojéj kryjówki, ułożył się obok siostry i na chwilę zasnął snen twardym.

Nazajutrz Geto obudził się jeszcze przed świtem. Przetarł oczy, jakby przypominając sobie gdzie jest, rozejrzał się wokoło, a kiedy zobaczył śpiącą Dżali, pochylił się ku niéj i przytulił do jéj główki usta swoje. Dziecina spała twardo. Zarumieniona twarzyczka i spokój malujący się na niéj świadczyły, że było tam ciepło i dobrze. Kwiatek biały, co się w czasie nocy oderwał z gałązki jaśminu, stroił włosy Dżali, jakby go tam umieściła ręka najczulszéj matki. Geto popatrzył z żalem i miłością na swoją drogą siostrzyczkę i szybko podniósłszy się, krokiem pewnym poszedł w stronę rzeki.

Nad brzegiem Kalu-Ganga w oparzeliskach, pozostałych po wylewie rzeki, rosły kępy sitowia. Wiedział o nich Geto, widocznie już poprzedniego wieczoru je upatrzył, bo wprost ku nim skierował swe kroki. Wyrwawszy kilkanaście kęp z korzeniem, zaczął je otrzepywać z ziemi, porozdzielał łodyżki, zmierzył jedną z nich z długością swego kadłuba, a następnie wszystkie inne poobcinal zębami do téj saméj, co tamta, długości i układał je na ziemi. Kiedy już miał przygotowaną taką ilość sitowia, że można było zrobić z niego pływaki, ukręcił z najdłuższych łodyg dwa powrósła, rozdzielił sitowie na dwie równe części i przewiązał je w dwóch miejscach na takiéj odległości, żeby leżąc na wodzie mógł je miéć z obu swoich boków i z gotowemi już pływakami udał się na to samo wzgórze, z którego poprzedniego wieczora przypatrywał się namiotom i ogniom. Słońce, wychylające się z za wielkiéj wód przestrzeni złociło ziemię i niebo, po którém bu-

jały swobodnie mewy o białych jak śnieg skrzydłach, połyskujących na tle szafirów. Dzień był ciepły i jasny. Z oddali dochodziły naszego chłopca głosy robotników, przygotowujących się do wyprawy za nowym połowem pereł. Kilka łodzi z ludźmi i przyrządami odbiło od brzegów wyspy i popłynęło w stronę pełnego morza.

Ale wzrok Geta utkwiony był w przedmiot dalszy. Wpatrywał się on w najbliżéj stojący okręt kupiecki. I tam ruch był na pokładzie widoczny; załoga krzątała się, biegając w różne strony. Za chwilę jakiś ciemny przedmiot odłączył się od statku i podrzucany przez fale zaczął się zbliżać w stronę łodzi, płynących od wyspy. Bystry wzrok chłopca rozpoznał łódź kupiecką, obsługiwaną przez kilku majtków. Chłopiec zdawał się wyczekiwać téj chwili, bo szybko zawrócił się i pobiegł do swojéj kryjówki. Ukląkł przy Dżali i zbudził ją.

Dzieweczka szeroko otworzyła oczy i zobaczywszy obok siebie brata, uśmiéchnęła się i wyciągnęła do niego rączkę.

— Wstawaj, Dżali! — zawołał chłopiec, — musimy płynąć daleko?

— A gdzie, Geto?—zapytała dziecina.

— Do dobrych ludzi, co ci dadzą chleba.

Na te słowa dzieweczka podniosła się, otrząsnęła z siebie listki ciepłéj jeszcze trawy, zarzuciła sobie na ramię zawój, pod którym spała i spokojnie poszła za bratem na brzeg morza.

Chłopiec wziął ją za rączkę, wprowadził do wody, przyklęknął, nieco pochylił się naprzód i kazał się siostrze uczepić za szyję obiema rękami, tak, żeby w wodzie mogła leżéć na jego plecach.

Dżali nie sprzeciwiała się temu; widocznie przywykła do wykonywania poleceń starszego od siebie brata. Zresztą tego rodzaju przejażdżka bywa częstą zabawą nadbrzeżnych mieszkańców wód południowych i dla naszéj Dżali nie przedstawiała ona nic nadzwyczajnego.

Kiedy rączki dzieciny okoliły szyję naszego bohatóra, przewiązał on zawojem siostrę i siebie w pasie, ustawił na wodzie pływaki i położywszy się na nich, zawołał:

— Trzymaj się dobrze, Dżali.

Za chwilę na powierzchni wody można było zauważyć jakieś ciało dwugłowe, posuwające się spokojnie ale dosyć szybko w stronę ku okrętom. Wprawne ręce chłopca pruły fale, torując drogę i rozdzielając na dwie strony szarawe kłęby; za każdém wyciągnięciem nóg Geta nasi podróżnicy posuwali się naprzód o kilka kroków. Patrząc na fale bałwaniące się, tworzące ruchome wzgórza i zagłębienia, jakby żywe wielkie zagony ziemi, można było myśléć, że coś pełza po nich

i prześlizguje się. Co pewien czas, kiedy na grzbiecie bałwanów podnosili się nad powierzchnię morza, Geto mierzył wzrokiem przestrzeń dzielącą go od okrętów.

Czasami woda wskutek ściérania się fal zaléwała głowy Geta i Dżali; zdawało się wtenczas, że ich morze pochłonęło, za chwilę jednak w innėm miejscu pokazywały się ich główki, otrząsające się z wody. Kilka razy dzieweczka zapytywała brata, czy jeszcze daleko będą tak płynąć. Geto odpowiadał, że już słyszy rozmowy ludzi, choć rzeczywiście szum fali i borykanie się z żywiołem wyczerpywały całą uwagę chłopca i nie pozwalały słyszéć głosów, mogących dochodzić z oddali.

Kto na pełném morzu pływał choć raz w życiu i to nie okręt lub łódź mając pod sobą, ale piersią własną leżąc na powierzchni wody, ten wié dobrze, jakiego wrażenia doznaje się wtenczas.

Geto wiedział, że pod nim w téj ciemnéj przestrzeni wód jest głębia bezdenna, chciwa ofiary i czyhająca na nią, pełna ukrytych tuż może obok będących potworów, z których każdy mógł ukarać śmiałość dwojga dzieci straszną śmiercią. Jeden ruch nieuważny, jedno usunięcie z pod ramienia kępy sitowia lub przechylenia się na bok mogło spowodować utratę równowagi i zatonięcie nietylko jego, ale i jego drogiéj Dżali. To téż wytężał wszystkie siły, ażeby koła na powierzchni wody zataczać i rękami i nogami jaknajregularniéj i trzymać się równo, a jednocześnie i posuwać naprzód. Co pewien czas przestrzegał siostrę, żeby trzymała się mocno i nie przechylała na bok główki, kiedy fale bryzgały w nią wodę; dziecina jednak nie bardzo słuchała téj ostatniéj przestrogi, bo często powtarzające się niespodziane bryzgnięcie fali tamowały jéj oddech i wywoływały bezwiednie prawie samozachowawcze odruchy.

Po pewnym czasie zaczęło opanowywać chłopca zmęczenie. Czuł, że traci siły. Pływaki unosiły dobrze jego ciało, ale było ono przygniatane ciężarem Dżali, a przytém pływaki, choć szczelnie przystające do boków Geta, utrudniały swobodny ruch jego rąk. To téż ostatnich sił dobywał, żeby przyśpieszyć przebycie przestrzeni, oddzielającéj go od łodzi kupieckiéj i nie poddać się obezwładnieniu, które nieuchronną groziła zgubą.

Po upływie pół godziny od chwili odbicia od brzegu siły jego były wyczerpane, a przyczyniało się do tego z początku ciche łkanie a późniéj i głośny płacz Dżali, nie umiejącéj sobie radzić z bezustannie powtarzającém się zaléwaniem jéj przez fale.

To dziecko przeczuwało coś strasznego. I dla niéj i dla jéj

brata pływanie po morzu dawniéj stanowiło przyjemną zabawę; dziś czuła, że to jest jakaś ciężka praca, coś, co było nad siły.

Szczęściem, pływaki były zrobione mocno i utrzymywały ich na powierzchni, ale coraz słabiéj posuwali się naprzód, bo ruchy Geta były coraz powolniejsze i mniéj prawidłowe.

Kiedy Dżali odrzuciła główkę w tył, ażeby się uwolnić od nowego bryzgnięcia fali i otworzyła oczy, ujrzała tuż prawie stojące łodzie. I Geto zobaczył je, bo zdwoiwszy siły, kilku energicznemi ruchami rąk i nóg posunął się naprzód i zbliżył o kilkanaście kroków do zajętych połowem pereł rybaków.

Na najbliższéj łodzi stało dwóch ludzi. Młodszy z nich trzymał wiosło zanurzone w wodzie i starał się utrzymywać łódź w jedném miejscu, starszy zaś miał w ręku linkę jednym końcem zanurzoną w morzu i wyciągniętą. Wzrok jego utkwiony w morzu zdawał się wyczekiwać rozkazu z ciemnych głębin. Na linie téj był uczepiony nurek, pełzający w téj chwili po dnie morskiém i poszukujący pereł. Szarpnięcie linki miało oznaczać potrzebę szybkiego wydostania się na powierzchnię morza dla wypoczynku i zasilenia płuc świeżym zapasem powietrza. Towarzysz stojący na łodzi w téj chwili stróżem życia nurka; to téż cała jego uwaga była skupiona na wpatrywaniu się w linkę i wyczuwaniu ręką ruchów znajdującego się na dnie człowieka, kiedy z niewielkiéj odległości, jakby z głębin morskich, dały się słyszéć przytłumione i nieśmiałe wołania Geta:

— Ratuj nas!

Na te słowa zwróciły się z ciekawością w stronę, skąd głos pochodził, oczy obu ludzi.

— Ratuj nas! — powtórzyły dwa głosy dziecinne, a główki co chwila wychylające się z obryzgującéj je fali i zwrócone w stronę łodzi twarzyczki z wyrazem strachu i rozpaczy, zdawały się wymowniéj jeszcze, niż usta, wypowiadać błaganie.

— Tyś *Paria?*—odezwał się pytająco głos z łodzi.

— *Paria*—odrzekł szybko Geto — ale ja nic złego nie zrobiłem. Ratuj moją Dżali, jeżeli chcesz, żeby ci słońce świeciło jasno, jeżeli chcesz, żeby matka twoja była czystym duchem! Kaguar każe ratować nieszczęśliwych, moja Dżali nieszczęśliwa, ratuj ją! — błagał chłopiec ochrypłym od zmęczeniem głosem.

— Precz! — zawołał szorstko starszy z ludzi stojących w łodzi, a jego towarzysz podniósł w górę wiosło, jak gdyby chciał niém dosięgnąć i uderzyć nieproszonych przybyszów.

Z innych łodzi, opodal stojących, widząc ruch wiosła i słysząc głos podniesiony, zaczęto pytać:

— A co tam? czy rekina macie?

— Gorzéj rekina—była odpowiedź—to *Paria!*

Geto widział, że nie może liczyć na litość tych ludzi. Zresztą nie do tych łodzi dążył on ze swoją siostrą. Gdyby nie upadające siły, byłby się tu nie zatrzymywal i nie prosił o pomoc tych, co do których z góry prawie był przykonanym, że go odepchną z pogardą. Popłynął daléj w stronę, w któréj widać bylo okręt w przekonaniu, że po drodze spotka kupieckie statki, a na nich ludzi o mniéj kamiennych sercach.

Łodzie stały szeregiem. Odpowiedź udzielona na zapytanie kogoś z ciekawych zainteresowała wszystkich. Zaczęto sobie wzajemnie pokazywać naszych biédaków, walczących prawie ze śmiercią.

I rzeczywiście widok był niezwykły. Na znacznéj odległości od brzegów wyspy, w miejscu, które i dla silnie rozwiniętych i obytych z niespodziankami morza Indusów było pełném niebezpieczeństwa, gdzie bez dobrze wyostrzonego noża żaden z nurków nie poważyłby się puszczać na wodę, nagle pojawiło się dwoje nagich i bezbronnych dzieci. Na falach kołysały się dwie główki dziecinne, jedna za drugą, oświetlane promieniami słońca. Pieniąca się woda co chwila spłukiwała je i zaléwała, ale one znowuż wychylały się, otrząsały i walcząc o życie, wołały płaczliwie do serc ludzkich i świeciły oczami, z których łzy wypijało morze.

— *Paria! Paria!* — wołano zewsząd i pokazywano sobie śród śmiechu i wesołości owe zjawisko rzadkie.

Jeden z młodych wioślarzy chwycił kawał drzewa i rzucił niém w stronę skąd słychać było płacz dziecinny i wołania o pomoc. Spostrzegł to Geto. Żeby uniknąć ciosu, rzucił się w bok, a ruch ten gwałtowny pochylił ciało jego siostrzyczki, które ciężarem swoim pociągnęło brata. Pęk sitowia wysunął się z pod boków chłopca, który nagle znalazł się w postawie leżącéj na wznak, mając pod sobą w wodzie szarpiącą się Dżali. Żeby ją ratować, Geto szybko rozwiązał zawój, którym był przepasany razem z siostrą, ale zanim zdołał to uczynić, już go Dżali ciężarem swoim pociągnęła pod wodę. Uwolniwszy się od ciała siostry, zmienił położenie, chciał chwycić ją, żeby razem wydostać się na powierzchnię wody, ale ręce jego daremnie zwracały się to w tę, to w ową stronę. Nie mogąc znaleść siostry pod wodą, wybił się na powierzchnię morza, nabrał powietrza i rozglądając się po falach, całą piersią głosem przeraźliwym zawołał:

— Dżali moja droga!...

Ale Dżali nie odzywała się, a fale szumiące prysnęły mu w twarz,

jakby mówiąc: Idź tam, szukaj zguby swojéj tam, gdzie głębie nasze!... Chłopiec zrozumiał to i znikł pod wodą.

Na łodziach zainteresowanie się wzrastało. Południowcy ze spokojem derwiszów robili uwagi, wypowiadali domysły o przyczynie przybycia tu tych dwojga dzieci, mówili o ich zręczności i prawdopodobieństwie wyratowania się. Nie wszyscy jednak z takim spokojem brali tam udział w niezwykłém widowisku.

Na jednéj z dalszych łodzi stał młodzian, wyróżniający się od innych i cerą i ubiorem. Twarz biała, włosy jasne, oko pełne i błękitne i ubiór europejski świadczyły, że jest on przybyszem ze stron dalekich. I on też był świadkiem tego, co się działo, choć widział i słyszał wszystko i czuł i myślał nie tak, jak jego towarzysze.

Dostrzegłszy rzucenie drewna i przechylenie się dzieci, zapłonął cały gniéwem i bólem i doniosłym głosem zawołał:

— Dam funta temu, kto mi ich przyprowadzi!

Odpowiedzią było ogólne milczenie.

— Dziesięć funtów dam—powtórzył młodzieniec.

Lecz i to wołanie nie odniosło na razie skutku. Zaczęto szeptać, oglądać się, naradzać, ale nikt do wody się nie rzucił, ani z łodzią nie podpłynął.

Młody człowiek zrozumiał, że każda chwila była drogą i że na namysły nie było czasu. Szybko zrzucił z siebie zwierzchnie ubranie i obuwie i skokiem jednym był już daleko za łodzią. Jak strzała powietrze, tak on pruł fale; każdy ruch zbliżał go znacznie do miejsca, gdzie przed chwilą widziano dzieci. Dopłynąwszy tam, gdzie na fali kołysało się drewno, wyrzucone z łodzi, rozejrzał się wkoło siebie, zakręcił w miejscu i znikł pod wodą.

Po upływie chwil kilku ze środka wzniesionego bałwanu wychyliła się najprzód głowa Dżali, trzymana męską ręką za włosy, a późniéj nieco — i głowa młodzieńca, który drugą ręką torował sobie drogę ku statkom. Ludzie jego podpłynęli tuż obok i odebrawszy z rąk jego nieprzytomną dziecinę, jemu samemu dopomogli wejść do łodzi.

A Geto?... On sam wypłynął na powierzchnię morza. Oczy jego otwarte pierwszy raz nie mrużyły się, patrząc na tarczę słoneczną. Usta uśmiéchnięte zdawały się wołać z miłością:

— Dżali moja droga!...



LISTY CZESKIE.

XXV.

Tout est perdu fors l'honneur — pisał do swéj siostry Małgorzaty Franciszek I-szy po przegranéj bitwie pod Pawią; *tout est perdu et l'honneur aussi* — mogliby nasi posłowie młodoczescy napisać teraz do swych wyborców, gdyby im chcieli powiedziéć czystą prawdę. Przegrali oni stanowczo bitwę parlamentarną, na którą wyruszyli przed trzema laty z taką otuchą, w radzie państwa zaś są obecnie pozbawieni wszelkiéj siły i wpływu; co więcéj jednak, utracili przytém swą powagę osobistą wskutek taktyki, która wcale niepochlebnie świadczy o ich zręczności. Za pomocą radykalnéj opozycyi i szorstkiego wystąpienia, chcieli oni wymusić na rządzie spełnienie życzeń narodu czeskiego. Taktykę tego rodzaju możnaby oczywiście nazwać prawie dziecinném przecenianiem swych sił, ale i taką walkę, nie mającą żadnych widoków powodzenia, można było poprowadzić w ten sposób, iżby walczący zachowali pozory odważnych i stanowczych bojowników, zapalonych dla swéj sprawy, acz owianych cokolwiek niepraktycznym idealizmem. Tymczasem panowie ci byli w swém zaślepieniu na tyle nieostrożni, że posunęli się nietylko względem rządu, ale także względem sprzymierzonych z nim stronnictw do ubliżających zaczépek osobistych, i wskutek tego ich klęska polityczna otrzymala koniec końców stanowczo niezaszczytne zabarwienie. Jeżeli już ich ulubioną taktykę przerywania mów swemi wykrzyknikami trzeba było nazwać niegodną,

jeżeli ich próby wygłaszania w parlamencie wiedeńskim mów czeskich można było uważać za środek chybiony, to nareszcie to, do czego się ci panowie ostatecznie posunęli, należy z całą stanowczością potępić. Nie jakiś podrzędniejszy zawadyaka, lecz jeden z pomiędzy ich najpierwszych mówców parlamentarnych zapomniał się tak dalece, że w wielkiéj mowie rzucił wyrazy, uwłaczające jednemu z wielkich kół parlamentarnych, następnie zaś, dla dopełnienia miary, drugi młodoczech pan dr. Vašatý, uważający się przynajmniéj sam za jednego z koryfeuszów delegacyi młodoczeskiéj, kiedy z owego koła rozległ się głos słusznego oburzenia, ubliżył mu swym okrzykiem „nikczemność”. Przyjęto naturalnie tę rzecz badrzo poważnie, zażądano stanowczo satysfakcyi, zanosiło się na pojedynki, i waleczni gębacze młodoczescy musieli się w pokorze zdecydować na przeproszenie i formalne odwołanie swych słów. Tym sposobem tedy honor delegacyi młodoczeskiéj na polu bitwy parlamentarnéj został również stracony, czeski zaś naród nie odniesie stąd oczywiście żadnéj korzyści.

Już dość dawno burzy się coś w klubie młodoczeskim, wymienione zaś ostatnie skutki jego działalności nie nadają się do powstrzymania procesu rozkładowego. Obiegają w téj mierze najrozmaitsze pogłoski, z pomiędzy których najdziwniejszą jest właśnie najświeższa; według niéj ma nastąpić podział klubu młodoczeskiego na dwa odłamy, z których jeden, obejmujący członków umiarkowanych, ma się przyłączyć do klubu Hohenwartha, gdy tymczasem drugi, składający się z radykałów, ma wejść w związek z lewicą niemiecką, prawdopodobnie demokratyczną. Pogłoska ta wygląda nieco awanturniczo, i w każdym razie można ją uważać tylko za oznakę, że w klubie młodoczeskim panuje nie najlepszy porządek.

Gdzie się podziały czasy, kiedy delegacya czeska, licząca nie jakichś 30-tu, lecz około 70 członków, była poważana wszędzie jako część większości rządowéj i zajmowała w parlamencie stanowisko wpływowe, kiedy mogła się szczycić nie wielkiemi wprawdzie i stanowczemi, ale ciągle zwiększającemi się skutkami swych zabiegów i po każdéj niemal sesyi mogła okazać ziomkom jakąś zdobycz narodową! W owych czasach można było po każdéj sesyi parlamentu słyszéć w kraju zapytanie: Co nam przynosicie z Wiednia? i prawie zawsze coś się przynosiło. Była to czasami niewielka rzecz, ale zawsze był jakiś pomyślny skutek, i naród czeski, lubo powoli, kroczył stale naprzód po trudnéj drodze do uzyskania swych praw politycznych. Teraz wszystko dzieje się zupełnie inaczéj. Młodoczesi, którzy nigdy nie byli zadowoleni z działalności staroczechów, powołują się teraz na krótkość czasu i każą narodowi czekać cierpliwie na chwilę przyjaź-

niejszą. Zapomnieli oni o dawnych niegdyś świetnych obietnicach i postępują tak, jakby nigdy nic nie przyrzekali; zdaje się nawet, jak gdyby właściwie sami nie wiedzieli, co mają robić. Jednego tylko pragną stanowczo, a mianowicie podtrzymywać w narodzie ślepe złudzenie co do właściwości obranéj drogi i dostateczności swych sił, podsycać nadal polityczny radykalizm i szowinizm narodowy, nie dać się narodowi opamiętać, a tym sposobem zatrzymać swe mandaty. Co się zaś stanie właściwie z narodowością czeską, o to troszczą się jaknajmniéj.

Młodoczesi stanowią osobliwszą partyą polityczną, albo właściwie nie są oni żadną partyą, gdyż skupiła ich jedynie dążność do czystego przeczenia. Wypisali oni na swym sztandarze hasło: „Precz ze staroczechami! my musimy zrobić wszystko inaczéj!" — i to im się rzeczywiście powiodło. Liczą oni w swém gronie przedstawicieli radykalizmu politycznego we wszelkich jego odcieniach. Rękawicznik Březnovský w praskiéj radzie miejskiéj odznaczył się takiém zachowaniem, które zwykle w każdém przyzwoitém towarzystwie bywa oceniane bardzo nieprzychylnie; młodoczesi jednak na téj zasadzie promowali go na posła do rady państwa, i rzeczywiście został on wybrany. Obecnie zasiada w parlamencie i popisuje się tam również swoją „siłą", polegającą na przerywaniu cudzych mów nie zawsze dobranemi wykrzyknikami; jest jednak na tyle przebiegły, że wygłasza je w języku czeskim, ażeby się uchylić od niewygodnéj krytyki. Jak tylko wszakże idzie o jakieś pozytywne zasady polityczne, wtedy pomiędzy młodoczechami ujawnia się natychmiast różnica połączonych sztucznie żywiołów. Chcą oni nibyto zdobyć w Wiedniu czeskie prawo państwowe, większość jednak nie umié sobie zdać sprawy, co przez to prawo należy właściwie rozumiéć. Obok tego nad wymienionym, konserwatywnym punktem ich programu bierze górę pospolity radykalizm, i razem występują oni z wnioskiem zaprowadzenia prawa głosowania powszechnego.

Na jednym punkcie wszakże wśród młodoczechów zdaje się panować zupełna jedność, a mianowicie gdy chodzi o systematyczne podsycanie szowinizmu narodowego.

Jeżeli wielki i potężny naród zostanie dotknięty szowinizmem, to może się stać bardzo niemiłym dla sąsiadów, albowiem głównym objawem téj choroby narodowéj jest zawsze żądza panowania; rzecz jednak może miéć, bądź co bądź, poważne następstwa. Przykład taki mamy na Francuzach. Napoleon I-szy, ażeby dogodzić własnéj żądzy panowania i za pomocą sławy wojennéj wynagrodzić narodowi utratę wolności politycznéj, był tam właściwym krzewicielem szowinizmu.

Dokonano wielkich czynów wojennych, Francuzi owładnęli prawie połową naszéj części świata, ostatecznie jednak cała Europa powstała, i idea napoleońska została tragicznie zakończoną pod Sedanem.

Ale jeżeli jakiś drobny naród wpadnie w szowinizm, to naraża się on jedynie na niebezpieczeństwo porównania z ową żabą w bajce; może on swym potężniejszym sąsiadom sprawić także dużo nieprzyjemności, ale jeszcze pytanie, czy nie staje się dla nich przedmiotem raczéj litosnego uśmiechu, aniżeli trwożliwéj obawy. My Czesi nie mieliśmy wcale przyczyny do narażania się na takie niebezpieczeństwo. Nasza przeszłość, stanowisko w monarchii austryackiéj i należyte zastanowienie się nad stosunkami państwowemi, jak się te ukształtowały w nowszych czasach, powinnyby nas były uchronić od takich zachcianek. Młodoczesi jednak nie chcą nic wiedzieć o naszéj przeszłości, nie chcą zrozumieć naszego stanowiska w państwie, a względem stosunków politycznych w Europie oddają się najdziwniejszym złudzeniom. Zdaje się niemal, jak gdyby rzeczywiście przypuszczali, że cała polityka państw europejskich nic zajmuje się niczém innėm, tylko kwestyą czeską.

A jednak Czesi mieli jasno nakreślony program swego podniesienia się narodowego. Chodziło tu właściwie o odrodzenie narodowe, gdyż narodowość czeska była już skazana na wymarcie. Czytelnicy dawniejszych „Listów" wiedzą, w jakiém położeniu znajdowała się narodowość czeska przed 50-ciu laty zarówno w samych Czechach, jak i na Morawie, jakie zmiany zaszły od owych czasów chociażby tylko w naszém szkolnictwie, i jakie postępy zrobił język czeski w sądownictwie, w instytucyach rządowych i wogóle w stosunkach publicznych. Jeżeli zaś nie można powiedzieć, iżby pod tym względem zostało już wszystko osiągnięte, to należy pamiętać, że i Rzym nie odrazu zbudowano. Wszystkie te zdobycze narodowe, posiadające niezaprzeczoną ważność, są owocem usiłowań wyłącznie tylko dawniejszéj partyi narodowéj, tak zwanych staroczechów. Młodoczesi nie dodali do tego nic a nic, a chociaż dość już pewny grunt, na którym stoją, został stworzony przez staroczechów, to jednak ignorują oni całą przeszłość, zaprzeczają bez ogródek wszelkim zasługom dawniejszéj partyi narodowéj i wmawiają w naród, że nie osiągnął on jeszcze nic. W twierdzeniu takiém kryje się oczywiście albo jawna niedorzeczność, albo też widoczna nieuczciwość.

Po za tém ukrywa się właśnie młodoczeski szowinizm, stanowiący charakterystyczną różnicę pomiędzy staroczechami i młodoczechami. Staroczesi mieli ściśle określony program. Początkowo, t. j. przed

rokiem 1848-ym, kiedy naród czeski należało podnieść z jego poniżenia, program ten opiewał równouprawnienie narodowe z Niemcami; po roku 1848-ym, kiedy się nadarzyła po temu sposobność, staroczesi dążyli do równouprawnienia politycznego z Niemcami; zawsze jednak było to tylko równouprawnienie, i przywódcom staroczechów ani na myśl nie przychodziło odwracać cały stosunek i z panujących robić opanowanych i uciśnionych. Staroczesi dokładali usiłowań, ażeby obalić hegemonię Niemców, nigdy jednak nie mieli zamiaru stawiania na jéj miejscu hegemonii Czechów. Dopiéro udziałem młodoczechów miało się stać rozpowszechnienie tego rodzaju myśli wśród narodu, i oni to oznajmili głośno: My, Czesi, jesteśmy panami w kraju; utraciliśmy nasze ojczyste obszary na rzecz Niemców, więc teraz musimy je napowrót zawojować. Tak mówił na publiczném posiedzeniu sejmowém dr. Herold, jedna z najtęższych głów młodoczeskich. Jeżeli staroczechom chodziło o to, żeby Czechy nie były więcéj niemczone, to młodoczesi wypowiedzieli zupełnie otwarcie, że teraz musi się rozpocząć czeszczenie kraju. Naród czeski sądził, że wreszcie znalazł swych prawdziwych przywódców narodowych, odsunął więc staroczechów na bok i z okrzykami radości postawił na czele nowych ludzi, którzy obiecywali mu zdobycie w śmiałym ataku wszystkiego, o czém tylko zamarzy. Nowi ci przywódcy postępowali w myśl niemieckiéj sentencyi.

Skromność młodzieńca zdobi,
Lecz bez niéj więcéj się zrobi.

I nie byli oni istotnie skromni ani w swych obietnicach, któremi potrafili omamić łatwowiernych wyborców, ani w wystąpieniu na arenie parlamentarnéj, gdzie, jak sądzili, złamanie wszelkiego oporu będzie dla nich igraszką. Nie stali się téż do dziśdnia skromniejszymi, gdyż nie mogą pozbyć się swojéj skóry.

Rzecz to całkiem naturalna, że młodoczesi musieli dążyć do pozyskania sobie młodzieży, i tym oto sposobem powstała spłodzona i wyhodowana przez nich „Omladina”, która w ostatnich czasach narobiła u nas dużo wrzawy.

„Omladina” oznacza to samo, co młodzież, rzeczywista młodzież ze względu na wiek. Niższa granica nie jest przytém stale określona, to téż są omladyniści nawet czternastoletni; z góry granica nie jest także ściśle oznaczona, tak iż można powiedzieć, że „Omladina” jest połączeniem ludzi, mających od 14-tu do jakich 30-tu lat. Ponieważ raz postawiono za zasadę, że młodzi rozumieją wszystko lepiéj, aniżeli starzy, i że zwłaszcza w polityce nie z długoletniego doświadczenia ro-

dzi się potrzebne uzdolnienie, lecz że młodzieńczy zapał nadaje się lepiéj do energicznego działania, więc w zupełnie naturalném następstwie musiała wreszcie na rzeczywistą młodzież przyjść kolej do odegrania roli politycznéj. Teraźniejsi młodoczesi byli rzeczywiście młodymi Czechami przed 30-tu z górą laty, kiedy to dr. Juliusz Grégr rozpoczął swą walkę gubicielską przeciwko staroczechom. Od owéj pory stali się oni o tyleż starszymi, i dr. Juliusz Grégr ma już za sobą 60 lat, a brat jego, dr. Edward Grégr, jest jeszcze starszy. Panowie ci zatém, podobnie jak ich przyjaciele i towarzysze, są jeżeli nie staroczechami, to w każdym razie już Czechami starymi, a zasada, jaką postawili przed 30-tu laty, może być zastosowana do nich samych. Dr. Juliusz Grégr, właściciel „Narodowych listów", za pomocą swoich agentów użył, jako praktyczny negocyant, studentów czeskich na to, ażeby dla swego dziennika zdobyć w kraju jaknajwiększe rozpowszechnienie; późniéj zaś, kiedy chodziło o odbicie staroczechom mandatów poselskich do sejmu krajowego i do rady państwa, studenci czescy byli znowu dla niego usłużnymi agitatorami wyborczymi. Dla wielu z tych młodych ludzi działalność polityczna miała naturalnie szczególniejszy powab, i doczekaliśmy się, niestety, już wielu przykładów, że studya były rzucane w kąt, i że agitacya polityczna stawała się właściwym celem życia wielu zwichniętych egzystencyi. Całkiem naturalném następstwem takiego nastroju było to, że studenci zapragnęli wreszcie utworzyć samodzielne stronnictwo polityczne. Nowoczesny ruch socyalistyczny zrobił w tym czasie wśród robotników już znaczne postępy, a ponieważ młodzież jest zawsze skłonną do krańcowości, więc ostatecznie powstał związek pomiędzy „studentami postępowymi" a partyą robotników-socyalistów, i to jest czeska „Omladina". Większość z pomiędzy nich zapewne dokładnie nie wiedziała, co było właściwym celem tego zjednoczenia. Ten i ów posiadał może jakieś określone myśli, ale w sposób namacalny ujawnił się tylko jeden zamiar, mianowicie urządzanie hałaśliwych demonstracyi ulicznych. Nie ulega żadnéj wątpliwości, że „Omladina" podtrzymywała jakieś stosunki z młodoczeskimi przedstawicielami narodu, i jest również rzeczą pewną, że politycy młodoczescy zamierzali demonstracye uliczne „Omladiny" wyzyskać i spożytkować do swych celów. Byli oni o tyle przezorni, że unikali kierownictwa w tych demonstracyach, czy zaś brali w nich udział, tego można się tylko domyślać, ale dowodów na to nie ma. Jedynie na pamiętném posiedzeniu sejmu krajowego 17-go maja 1893 r. młodoczescy posłowie sejmowi dali przykład hałaśliwéj demonstracyi, poczém „Omladina" przeniosła takie demonstracye na

ulicę. W każdym razie trudno powątpiéwać o związku przyczynowym pomiędzy temi demonstracyami.

Demonstracye uliczne Omladiny były nietylko prostemi zakłóceniami publicznego spokoju i porządku, lecz przybrały wkrótce barwę obrazy majestatu i zdrady stanu. Jeżeli politycy młodoczescy przypuszczali, że tym sposobem nastraszą kogo, albo nawet wywołają rewolucyjny przewrót w Czechach, to dowiedli jedynie, że przeceniają siły narodu, o czém ich zresztą przestrzegano słusznie już w parlamencie wiedeńskim. Nad Pragą i jéj okolicami ogłoszono stan małego oblężenia i uwięziono wielu omladynistów. Było to we wrześniu r. 1893. Śledztwo sądowe zabrało dużo czasu i w końcu skomplikowało się wskutek zabójstwa, które 23 grudnia 1893 r. wywołało w Pradze niemałe wzburzenie. Ofiarą tego morderstwa padł 20-letni pomocnik rękawicznika Rudolf Mrva, znany wśród omladynistów pod przydomkiem „Rigoletto z Toskany". Młody ten, skądinąd najzwyczajniejszy człowiek, był, zapewne wskutek czytania różnego rodzaju okropnych powieści, nastrojony przewrotnie i awanturniczo. Mieszkał na Małéj stronie, gdzie przed kilku laty założył związek tajny, którego był „wielkim mistrzem". Tajny ten związek pod nazwą „Podzemni Praha", nie miał zgoła nic do czynienia z polityką. Celem jego było badanie Pragi podziemnéj, jako członków zaś liczył w swém gronie samych tylko wyrostków. Ustawy związku były również okropne, albo właściwie jeszcze okropniejsze, aniżeli jego cel: niechybna śmierć groziła każdemu członkowi, któryby zdradził najmniejszy szczegół o tajnych czynach związku. Ostatecznie jednak wszystko zostało zdradzone, policya wyłapała młodzieńczych zwolenników tajnych stowarzyszeń, którzy po przesłuchaniu zostali uwolnieni, ponieważ się przekonała, że całemu związkowi chodziło jedynie o dziecinne upodobanie w nocnych, wogóle zupełnie nieszkodliwych wyprawach. Nieubłagana śmierć nie dosięgła zdrajcy i okropne stowarzyszenie tajemne zakończyło się bez przeléwu krwi. W czasie tworzenia się Omladiny, Rudolf Mrva był naturalnie zgóry przeznaczony na jéj członka. Ponieważ brał czynny udział w demonstracyach ulicznych, więc oczywiście i jego policya pociągnęła do śledztwa. Jakie tam były jego zeznania, nie wiem. Prawdopodobnie nazwisko Rudolfa Mrvy wraz z przydomkiem Rigoletta z Toskany, chociaż przedostało się do wiadomości publicznéj wskutek wykrycia owego związku tajnego, byłoby atoli poszło znowu w zupełne zapomnienie, gdyby całkiem niespodziéwany wypadek nie był mu dopomógł do nabycia smutnego rozgłosu.

Skoro się rozeszła wiaoomość, że na śledztwie sądowém Omladinie zarzucają obrazę majestatu i zbrodnię stanu, młodoczesi poczęli

szukać sposobu, ażeby uchylić od siebie wszelkie posądzenie o współwinę. Najlepszym środkiem wydawało im się twierdzenie, że Omladina nie była właściwie rzeczywistym związkiem tajnym i że w śledztwie policyi chodzi jedynie o to, ażeby drobne swawole młokosów podnieść do stopnia wielkich przestępstw państwowych i tym sposobem zyskać na znaczeniu. W radzie państwa młodoczesi interpelowali naturalnie ministeryum co do ogłoszenia stanu oblężenia i przy téj sposobności wytrawny ich rzecznik, d-r Herold, używany przez nich do obrony spraw wątpliwych, powiedział dosłownie, co następuje (17 października 1893 r.):

„O ile młodzi ludzie, należący do tak zwanéj Omladiny, są winni, tego nie wiemy, za to wiemy napewno, że jeden z przywódców Omladiny pozostaje w usługach policyi. Mam tutaj notatnik tego agenta-poduszczacza. Ponieważ ludzie tacy miewają także kochanki i ponieważ niekiedy dobrze jest podtrzymywać stosunki z damami, więc notatnik ten znajduje się w moich rękach. Otóż z notatnika tego można się dowiedzieć, że ów Rigoletto znajdował się w stosunkach z policyą. Mam, naprzykład, ułożony przez tego człowieka, którego nie chcę wymieniać z nazwiska—nie należy bowiem dawać pozoru, jakobym go chciał denuncyować—wiersz, napisany z powodu ogłoszenia stanu oblężenia. Starał się on rozrzucić ten wiersz pomiędzy ludzi, którzy jeszcze nie byli aresztowani. W wierszu tym napada on na namiestnika czeskiego w wyrazach najgwałtowniejszych; każdy wiersz jest pełen dynamitu. W notatniku tym jest także rysunek, sporządzony przez tego agenta i wręczony potém przez niego pannie, którą tak gorąco kochał. Rysunek ten—to całkowity plan, nakréślony w tym celu, ażeby pałac namiestnika, hr. Thuna, wysadzić w powietrze. Ten agent policyjny ma także swoje własne nazwisko: zowie się Rigoletto z Toskany, jak to można wyczytać na jego biletach wizytowych. Podżegał on bez ustanku ludzi do tego, ażeby zawalali orły cesarskie na skrzynkach od listów. Był już dwa razy aresztowany, ale zawsze wypuszczano go na wolność. Tymczasem 80-iu zbałamuconych przez niego młodzieńców siedzi w areszcie śledczym wskutek posądzenia o zbrodnię stanu; siedzą oni w więzieniu już 8 miesięcy, gdy tymczasem on, ich kusiciel, buja sobie swobodnie po Pradze; jemu nie dzieje się żadna krzywda".

Kiedy minister sprawiedliwości, hr. Schönborn, przy tych słowach potrząsł przecząco głową, d-r Herold dodał:

„Proszę waszéj ekscelencyi, tutaj kiwanie głową nie pomoże. Wasza ekscelencya nie jest temu winna, ale jest źle poinformowaną. I urzędnicy waszéj ekscelencyi nie mogą za to całkowicie odpowiadać,

są jednak pomiędzy nimi karyerowicze, którzy bądź co bądź przygotowują rewolucyę, jeżeli jéj nie mogą wykryć. Niech wasza ekscelencya wierzy człowiekowi, który, jak ja, spotkał się z napaściami od wszystkich klas robotniczych za to, że pewnego członka Omladiny, jakkolwiek był uniewinniony przez sąd, zwolniłem ze służby u siebie. Powiadam waszéj ekscelencyi: Ludzie ci, jeżeli nie formalnie według prawa, to przynajmniéj moralnie są niewinni."

Minister spraw wewnętrznych, markiz Bacquehem, który następnie w dłuższéj mowie uzasadnił konieczność stanu oblężenia, wynurzył się o Rudolfie Mrvie w sposób następujący:

„Teraz muszę jeszcze, choć tylko pokrótce, zająć się rękawicznikiem Mrvą, znanym bardziéj pod jego *nom de guerre* Rigoletta z Toskany, gdyż twierdzono, że cały materyał rządowy w procesie Omladiny polega na zeznaniach tego człowieka, którego przedstawiają jako agenta policyi i co do którego, chociaż to nie było powiedziane tak wyraźnie, nadmieniono, że jako agent-podszczuwacz urządzał on wiele wybryków Omladiny. Za podstawę tego twierdzenia przytaczano, że rękawicznik Mrva był wprawdzie dwukrotnie aresztowany, teraz wszakże, chociaż jest członkiem Omladiny, znajduje się na wolnéj stopie. Mrva był naprzód założycielem związku tajnego „podziemna Praga". Związek ten odbywał swe posiedzenia w piwnicach i ułożył sobie plan przedostania się do gmachu namiestnictwa, gdzie się znajduje kasa państwowa. Mrva został 22 października 1892 r. aresztowany przez policyę i natychmiast wydany w ręce sądu, po ukończeniu postępowania sądowego został wraz ze wszystkimi swymi towarzyszami bezkarnie wypuszczony na wolność. Po raz wtóry Mrva zetknął się z policyą przy sposobności wybryków pod Strašnicem (demonstracye robotników). Znowu oddano go pod sąd karny i pozostawał w więzieniu śledczém aż do głównych rozpraw, po których 30 czerwca 1893 r. został wraz z wielu innymi oskarżonymi uniewinniony i wypuszczony. Od owego czasu Mrwa był jeszcze raz aresztowany przez policyę, mianowicie 25 sierpnia roku bież. Po tych demonstracyach ulicznych zarządzono dużo aresztowań i wielu z pomiędzy aresztowanych członków Omladiny zeznało, że Mrwa był uczestnikiem związku tajnego. Został on przesłuchany i na zasadzie §§ 65 *a*, *b*, *c*, 285, 286, 287 kod. karnego znajduje się obecnie pod śledztwem sądowém. Wytykano też, że nie zatrzymano go w więzieniu, i okoliczności téj nadano znaczenie decydujące. Na to muszę odpowiedzieć, że z łaski téj korzysta on na równi z wielu innymi członkami Omladiny, których znaczną liczbę pozostawiono dotychczas na wolnéj stopie. Nie było przyczyny zatrzymania go w więzieniu śledczém, gdyż jest on samo-

dzielnym robotnikiem i nie zostaje w podejrzeniu, jakoby chciał zbiedz. Złożył też całkowite zeznanie i nie było powodu do obawy, że je odwoła."

Dzień 17 października 1893 r. był dla d-ra Herolda nieszczęśliwy, co mu się zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz przytrafiło. Ażeby obmyć partyę młodoczeską ze wszelkiéj spółwiny, wpadł on na niefortunny pomysł określenia naprzód całego ruchu omladynistycznego, jako czystego wymysłu policyi, powtóre zaś, odmalował całkiem niepozornego, garbatego rękawicznika Mrvę, jako jedynego organizatora i kierownika owych niebezpiecznych demonstracyi ulicznych. Wyrostek ów, o którego się w Pradze nikt nie troszczył i co do którego sami omladyniści nigdy nie przeczuwali, ażeby mógł być uważany za ich przywódzcę, stał się oto nagle, dzięki mowie d-ra Herolda, główną figurą w całéj sprawie i to w obmierzłym charakterze niecnego zdrajcy swych towarzyszy. D-r Herold nie chce wymieniać jego nazwiska, ażeby go nie denuncyować (przed kim? chyba tylko przed Omladiną), przytacza tylko jego przezwisko, pod którém był znany wśród omladynistów, co znowu wygląda tak, jak gdyby go chciał zadenuncyować przed samą Omladiną. Czy d-r Herold miał taki zamiar lub nie, faktem jest, że po jego mowie w parlamencie, Rudolf Mrva, *alias* Rigoletto zaczął być przez omladynistów uważany za zdrajcę i faktem jest, że 23 grudnia 1893 r. został przez omladynistów zasztyletowany. Bliższe szczegóły tego morderstwa są dosyć ciekawe.

Wskutek mowy d-ra Herolda omladyniści poczęli unikać Mrvy i ten wkrótce nie czuł się pewnym życia. Przebywał on po większéj części w swojém mieszkaniu i bardzo mało przyjmował odwiedzających. Do takich gości należeli także zabójcy, dwaj zupełnie młodzi robotnicy, młodsi niż Mrva. 23 grudnia 1893 r. popołudniu wpuścił on obu tych ludzi do swego mieszkania. Grali oni we trzech w karty, Mrva przytém śpiéwał, następnie zaś chciał sobie przystroić choinkę złotym papiérem. O godzinie 7 wieczorem znaleziono trupa ze złotym papiérem w ręce. Nazajutrz obaj mordercy znajdowali się w rękach policyi.

To najwyraźniejsze morderstwo polityczne, rzecz dotychczas w Pradze niebywała, zrobiło naturalnie na całéj ludności bardzo przykre wrażenie. Pisma publiczne, z wyjątkiem młodoczeskich, nazwały zupełnie otwarcie ten sensacyjny wypadek smutném następstwem agitacyi młodoczechów. Dzienniki rządowe wyraziły się oczywiście przy téj sposobności z największą stanowczością i energią.

Sejm czeski zebrał się 28 grudnia. Deputaci młodoczescy uznali za konieczne, za pomocą uroczystego oświadczenia, nadać nieprzychylnéj dla nich opinii publicznéj inny kierunek. Już na drugiém posie-

dzeniu 29 grudnia d-r Engel, przewodniczący klubu młodoczeskiego, zabrał głos i złożył następujące oświadczenie, które przytaczam tutaj dosłownie bez wszelkiego komentarza:

„Wskutek wypadków, które z naszemi dążeniami politycznemi nie mają absolutnie żadnego związku, posłowie narodu czeskiego stali się przedmiotem napaści (d-r Vašatý woła: nikczemnych napaści!), których podłość i kłamliwość bodaj nie mają sobie równych. Pomimo to nie jest naszym zamiarem wszczynać z tego powodu debatów; włożono tylko na mnie obowiązek wypowiedzenia kilku słów, za pomocą których winienem dać wyraz naszemu przekonaniu, przekonaniu całéj naszéj partyi i, jak się spodziéwam, przekonaniu całego narodu czeskiego. Mamy świadomość naszego znaczenia i naszéj siły i świadomość ta chroni nas od wzburzenia z tego powodu, że najnowsze napaści, o których wspomniałem, wystąpiły na jaw za pośrednictwem niewątpliwych organów rządowych (wołanie wśród młodoczechów: *Prager Zeitung! Prager Abendblatt!* Hańba!), i że równoczesność i zgodność tych napaści znamionuje zarazem nader jasno ich tendencyę. Nie mamy w istocie żadnego powodu bronienia się wobec takich podłości, które nas i naszego sumienia dotknąć nie mogą, składamy zaś nasze oświadczenie tylko po to, ażeby ten zamiar złośliwy należycie scharakteryzować. O ile posiadamy wpływ na wychowanie naszéj młodzieży i naszego ludu, wychowujemy je w najpoczciwszych tradycyach prawdziwéj miłości ojczyzny, uczciwéj świadomości narodowéj i szlachetnéj ludzkości. Obstając z całą stanowczością za naszemi zasadami państwowo-prawnemi, od których nigdy nie ostąpimy, nigdy jednak nie głosiliśmy w naszym programie dążenia do samodzielności królestwa czeskiego po za granicami austryackiego związku państwowego; jeżeli to wszakże jest na rękę zdziczałym opryszkom politycznym, to przekręcają oni bez wahania prawdę. Jesteśmy także przekonani, że dla owych faryzeuszów, którzy teraz płaczą łzami krokodylemi, nawet największa zawierucha nie byłaby obecnie sama przez się niepożądaną; lecz powaga czeskiego ruchu narodowego staje im na zawadzie, a ponieważ im stoi na zawadzie, więc chcą ten ruch jaknajbardziéj zdyskredytować i, przejęci szalonym gniéwem, wskazując na istnienie niby to jakiegoś związku przyczynowego, usiłują w sposób podstępny przedstawić ten ruch przewrotowy. My przeciwnie dzisiaj i na całą przyszłość zwalamy całą odpowiedzialność na tych, którzy swą przewrotną i wyzywającą polityką naród czeski ustawicznie podburzają. (Głosy wśród młodoczechów: *Prager Abendblatt*). Nienawiść ta, którą naród nasz swym zdrowym i pewnym instynktem całkowicie odczuwa, ona to tłómaczy nasze usiłowania w sposób zgoła kłamliwy, ona to

stara się za pomocą oczerniania i przekręcania prawdy wytworzyć nam wrogów na wszystkich stronach, ona to sromoci imię czeskie zagranicą. (Głosy na ławach młodoczeskich: Hańba! Tak jest! „Mistodržitel"! [1]). Ale jak wszelkie zło niszczy, dzięki Bogu, samo siebie, tak samo ma się rzecz i z tą nienawiścią, która nas coraz ściśléj skupia pomiędzy sobą, która nas uczy, ażebyśmy coraz mocniéj i coraz bardziéj pobratersku ściskali dłoń tym mężom z pośród nas, którzy z żywiołową siłą uszykowali nas w potężną linię bojową (okrzyki wśród młodoczechów: „Ať žije d-r Grégr! ať žije d-r Herold!) i o których niewzruszoność rozbiją się wszystkie te podstępne zamysły! („Výborně! výborně"! pomiędzy młodoczechami). Tak powtarzamy to jeszcze raz: jesteśmy silną partyą, silną przez świadomość naszego prawa, silną przez zaufanie naszego ludu, silną przez wiarę, miłość i nadzieję. Za pomocą prześladowań i ucisku nie uprzątnie się kwestyi czeskiéj, ponieważ kwestya ta nietylko jest kwestyą austryacką, lecz ma ona także doniosłe znaczenie dla całéj Europy. („Výborně"! wśród młodoczechów). Niechże mi tedy będzie dozwoloném nasze oświadczenie zakończyć wyrażeniem zdania, że owym doradcom korony, którzy byli za tém, żeby sprawiedliwe rozwiązanie kwestyi czeskiéj i dziś jeszcze zostało odroczone, należy koniecznie przypomniéć bardzo pouczające opowiadanie o księgach sybillińskich."

To nieco napuszone oświadczenie dr. Engel czytał z trzymanego w ręce papiéru. Należy zatém przypuszczać, że było ono wynikiem narad i że każde jego słowo miało swe zamierzone i dobrze rozmyślone znaczenie. Młodoczesi sami oklaskiwali swe oświadczenie, to samo czyniła galerya, gdyż tam siedzieli właśnie omladyniści. Na pozostałych członkach sejmu i na opinii publicznéj oświadczenie to wywarło nie zbyt korzystne wrażenie. Pisma niemieckie przytaczały zaraz słowa, które d-r Edward Grégr wypowiedział był w radzie państwa: „wśród narodu czeskiego przechodzi prąd przeciwdynastyczny i przeciwaustyacki"—a zarazem ten ustęp z mowy radykalnego młodoczecha Hermana Tandy, który był wygłoszony przez niego na ostatniém posiedzeniu sejmu czeskiego: „Idee nasze — mówił ten młody człowiek — zaszczepimy najszerszym warstwom narodu; pójdziemy pomiędzy robotników, uorganizujemy się aż do najdrobniejszéj lepianki; że zaś potrafimy naród uorganizować, za to wam ręczę. I kiedy będziemy już zorganizowani, i kiedy rząd, oraz najbliżsi kierownicy w tém cesarstwie zbliżą się do nas, wtedy przypomnimy im, jak się zachowywali względem nas od r. 1526 i wyciągniemy stąd wnioski, jak mamy sami postę-

---

[1]) Namiestnik.

pować.” Przytaczając te słowa, dzienniki niemieckie mówiły zarazem, że potężnym oklaskiem posłowie młodoczescy nagrodzili mówcę przytoczonego ustępu.

Oświadczenie młodoczeskie pozostało w sejmie bez odpowiedzi; nikogo ono nie przekonało; była to jedynie ofiara oratorska, którą młodoczesi uważali za konieczne złożyć wzburzonéj opinii publicznéj.

15 stycznia 1894 r. rozpoczęły się rozprawy ostateczne w procesie omladynistów. Ponieważ w stanie oblężenia procesy polityczne były odebrane sądom przysięgłych, więc rozprawy owe odbywały się przed kolegium sędziów. Trwały 5 tygodni i obfitowały w różne epizody, o których tutaj zamilczę. Zauważę natomiast, że dziennikarstwo młodoczeskie tak przed procesem, jak i w czasie onego nieustannie starało się, o ile na to pozwalał stan oblężenia, dowieść światu, że proces ten musi się skończyć na niczém, albowiem nie ma tu żadnéj winy dotykalnéj. Przytém pismom młodoczeskim sprzyjała ta okoliczność, że znaczna część rozpraw sądowych została uznana za tajemnicę, i wskutek tego ani cała treść oskarżenia, ani odnośne rozprawy nie mogły być publikowane. Kiedy wreszcie nastąpiło kilka wyroków, skazujących na ciężkie więzienie aż do sześciu lat, wtedy, ma się rozumiéć, zeprzestano wszelkiego ubarwiania i uspokajania.

Wkrótce potém nastąpiły rozprawy ostateczne w sprawie zabójców Rudolfa Mrvy, którzy się zupełnie przyznali do swego czynu i zostali również skazani na długoletnie więzienie.

W żadnym z tych procesów politycy młodoczescy, t. j. posłowie na sejm krajowy i do parlamentu, nie byli osobiście skompromitowani i trzeba pozostawić dopiéro historyi ustanowienie związku pomiędzy ruchem młodoczeskim a epizodem z „Omladiną”. Ja tymczasem mogę tylko zaznaczyć, że pod tym względem zdania pomiędzy samymi młodoczechami są podzielone. Kiedy umiarkowańsi lub przynajmniéj ostrożniejsi z pośród nich z całą stanowczością zaprzeczają jakiemukolwiek związkowi między „dojrzałymi politykami” a „niedojrzałą młodzieżą”, inni ogłaszają „Omladinę” za lewe skrzydło partyi młodoczeskiéj i przypisują jéj nawet rolę kierowniczą.

Nie chcę uprzedzać wyroku historyi, ale trudno mi się opędzić myśli, że jéj sąd bezstronny odmówi wzmiankowanemu ruchowi narodowemu właśnie tego, co jedynie mogłoby mu nadać racyę bytu, mianowicie podstawy moralnéj. Że większość narodu czeskiego pozwoliła ambitnym karyerowiczom, postępującym swawolnie według zasady *Ote-toi de là, que je m'y mette*, pociągnąć się do tak wzgardliwéj nie-

wdzięczności względem pierwszych i bezinteresownych bojowników za jego prawa narodowe, względem ludzi, którym zawdzięcza tak wielkie powodzenie, to narodowi naszemu nie może przynieść błogosławieństwa. Ruch młodoczeski nie wynikł z potrzeb naturalnych narodowości czeskiéj, i jego ostateczny rezultat nie będzie chyba pomyślnym dla naszych prawdziwych interesów.

W listopadzie 1893 r. ustąpiło ministeryum Taafego; jego wniosek, dotyczący wprowadzenia prawa powszechnego głosowania, napotkał na jednozgodny i stanowczy opór trzech wielkich stronnictw: zjednoczonéj lewicy niemieckiéj, posłów galicyjskich i klubu Hohenwartha. Jego miejsce zajęło teraz tak zwane ministeryum koalicyjne ks. Windischgrätza, złożone z trzech wymienionych stronnictw, które utworzyły nową większość rządową. Młodoczesi wyjawili swą zgodę na wniosek Taafego, teraz więc przeszli do opozycyi. Powiedziałem już na początku, jak im poszło na tém nowém stanowisku; teraz mogę tylko jeszcze dodać, że narobili oni dużo wrzawy próbą wytworzenia koalicyi wszystkich Słowian, którą mieli przeciwstawić ministeryum koalicyjnemu. Ponieważ jednak posłowie galicyjscy, jako członkowie większości rządowéj, z konieczności nie mogliby wejść do owéj koalicyi wszystkich Słowian, więc cały plan był od samego początku zupełnie chybiony. Aliści okazało się już niewątpliwie, że i posłowie włościańscy z Galicyi wschodniéj i Słoweńcy również nie mają chęci przystąpienia do téj koalicyi, i wskutek tego oto stanowisko młodoczechów w parlamencie stało się jeszcze przykrzejszém, niż było przedtém; to téż jeden z ministrów na posiedzeniu oświadczył im, że ich opozycya nie powstrzyma rządu od zarządzenia środków, które uważa za dobre i konieczne. A zatém i wpływ polityczny młodoczechów w radzie państwa zmniejszył się jeszcze bardziéj, i w dodatku stracili oni na wziętości osobistéj.

Co się tyczy sejmu czeskiego, to ministeryum Windischgrätza, zdaje się, zaniechało albo przynajmniéj odłożyło rozprawy ugodowe pomiędzy Czechami i Niemcami. Tymczasem młodoczesi ujawniają tendencyę, która bodaj czy doprowadzi do pomyślnego rezultatu. Wydaje się niemal, jak gdyby zamkniętemu obszarowi języka niemieckiego chcieli przeciwstawić takiż obszar języka czeskiego. Zaniedbali oni widocznie tego, co dawniéj stanowiło główny program czeskiéj partyi narodowéj, mianowicie równouprawnienia obu narodowości, gdyż tylko w ten sposób można sobie wytłómaczyć rozporządzenie, jakie w najnowszych czasach przeprowadzili w praskiéj radzie miejskiéj. Jestto nieszczęsna sprawa tabliczek ulicznych. Przed r. 1848-ym mie-

liśmy tylko tabliczki niemieckie; wkrótce po r. 1848-ym były one niemiecko-czeskie, to znaczy, że u góry stała nazwa niemiecka, a pod nią czeska. Nakoniec zaprowadzono tabliczki czesko-niemieckie, z czeskiemi napisami u góry i niemieckiemi pod spodem, i tak rzecz stała do r. 1894. Teraz oto wszystkie tabliczki na ulicach Pragi mają być tylko w języku czeskim, oczywiście żeby miastu nadać wygląd zupełnie czeski. Niemcy protestowali przeciwko temu rozporządzeniu, rząd jednak uznał, że reprezentacya miejska ma prawo rozstrzygania téj kwestyi samodzielnie. Otóż Niemcy poumieszczali na swych domach tabliczki z samemi tylko niemieckiemi nazwami ulic, i dziś mamy w Pradze dwojakie tabliczki: jedne na tle czerwoném z białym napisem po czesku, drugie zaś z czarnym napisem niemieckim na tle żółtém. Przeciwko temu praska reprezantacya miejska wydała obwieszczenie, że w Pradze wszystkie ulice i place mają tylko nazwy czeskie. Obwieszczenie to, ułożone w obu językach krajowych, można czytać na rogach ulic; w niemieckim tekście figurują nazwy: „*Auf der Altstadt*", „*Auf der Neustadt*", „*Auf der Kleinseite*", „*Am Hradschin*", daléj zaś następują czeskie nazwy ulic i placów. I sama nazwa miasta „*Prag*" w niemieckim tekście pozostała. Dla konsekwencyi powinnoby być także powiedziane: Praha, Staré město, Nové město, Malá strana, Hradčany. Obok tego zresztą reprezentacya miejska uchwaliła, że we wszystkich językach obcych należy używać tylko czeskich nazw ulic i placów. Trudno istotnie pojąć, jakim sposobem da się Niemców zmusić do tego, ażeby mówili „Ferdinandova třida", a nie „Ferdinandsstrasse", „Karlovo náměstí", a nie „Karlsplatz". Namiestnictwo uchyliło rzeczone obwieszczenie deputatów miejskich, rada zaś miejska ze swéj strony poleciła magistratowi, ażeby wystąpił przeciwko wszystkim właścicielom owych domów, którzy poumieszczali tabliczki niemieckie. Mamy więc przed sobą konflikt narodowościowy, którego końca nie można przewidziéć. Nie przyczyni się on chyba do upragnionego pojednania pomiędzy Czechami i Niemcami.

13 lutego z powodu obrad generalnych nad budżetem krajowym dr. Rieger wygłosił w sejmie czeskim znakomitą mowę, w któréj wyłuszczał i bronił wymownemi słowy programu politycznego partyi staroczeskiéj. Kończę swój list słowami, któremi on zamknął swoją mowę:

„Konieczną jest rzeczą poradzić naszemu narodowi, ażeby losy swoje powierzał rękom mężów uczciwych, sumiennych i bezinteresownych, którzyby umieli połączyć energię z rozwagą, którzyby pamiętali o tém, ażeby wszystkie nasze siły narodowe, lud, stan mieszczański,

duchowieństwo i szlachtę, zjednoczyć ku wspólnéj pracy, i którzyby dążyli do jednego celu, a mianowicie do osiągnienia zgody z naszymi ziomkami niemieckimi i pozyskania sobie przyjaciół i sprzymierzeńców w cesarstwie nawet po za temi sferami. Tylko wtenczas możemy mieć nadzieję dojścia do obiecanéj krainy naszych pragnień narodowych."

Gdyby naród czeski zechciał uwzględnić i pójść za tą życzliwą radą, to wtedy cały ruch młodoczeski byłby wkrótce potępiony i zakończony.

Praga, 20 maja 1894 r.

Dr. Gabler.



Z TEKI
ALFREDA TENNYSONA.

GODIVA.

Niedawnom czekał w Coventry na pociąg;
Wsparty na moście z groomem i lokajem
I wpatrzon w smukłe trzy wieżyce miasta,
Tak jego dawną streścilem legendę:

Nie my jedyni, ostatni siew czasu,
Ród ludzi nowych, co tocząc się kołem,
Chce zgłuszyć przeszłość, o, nie my jedyni,
Co o bezprawiu krzyczym i o prawie,
Lud miłujemy, pieniąc się, gdy zbytnie
Gniecie go jarzmo podatków; lecz ona
Zrobiła więcéj i cierpiała więcéj,
Przed lat tysiącem żyjąca niewiasta,
Godiva, żona surowego hrabi,
Pana Coventry, bo gdy ten daniną
Gród swój obłożył, kiedy matki z dziećmi
Rzekły: „Umrzemy, jeśli płacić trzeba",
Poszła go szukać i wraz z psów gromadą
Znalazła męża w komnacie, samego,
Z brodą na przodzie długą na dwie stopy

I z włosem w tyle na łokieć. Opowie
O łzach ujrzanych, prosząc temi słowy:
„Umrą, jeżeli będzie płacić trzeba".
On, wpół zdumiony, odrzecze jéj na to:
„Nie zechcesz chyba narazić małego
Palca dla takich?" Ona: „Umrę nawet..."
Śmiał się i klął się na Piotra i Pawła,
Ciągnąc za kolczyk jéj dyamentowy:
„Hej! hej! co mówisz?"—„Ach!"—wyjęknie ona —
Czegoż ja dla nich nie uczynię! spróbuj!"
I, jak Ezawa dłoń, z szorstkiego serca
On jéj odpowie: „Przejedź nago miasto,
A ja odwołam..." I z wyrazem wzgardy
Wielkimi kroki odejdzie ze sforą.

* *
*

Gdy była sama, namiętności duszy,
Jak te z przeciwnych stron wiejące wiatry,
Toczyły walkę z sobą przez godzinę,
Aż zwyciężyła—litość... I posłańca
Śląc, przy trąb dźwięku obwieścić mu każe
Twardy warunek; lecz że zbawić pragnie
Lud, tak na wszystką zaklina go miłość,
Niech do południa na ulice miasta
Żaden nie stąpi krok, ani téż żadna
Wyjrzy źrenica, lecz, ażeby wszyscy,
Gdy ona będzie przejeżdżać, zostali
W domu, zawarlszy drzwi, zamknąwszy okna.

* *
*

Potém się schroni do wnętrza komnaty
I pas o spinkach z orłami odpasze,
Srogiego hrabi podarek; lecz każdy
Wstrzymuje oddech, tak jak owy miesiąc,
Gdy letniéj nocy, na wpół przysłonięty,
Z za chmur spogląda; potém strząśnie głową
I aż do kolan rozpuści kędziory;
Sama rozbierze się śpiesznie i chyłkiem
Zbiegłszy ze schodów, filar za filarem
Mija, jak promień słoneczny, aż wreszcie
Dobiegnie bramy, gdzie jéj rumak czeka,

Strojny w purpurę i złociste herby.
Potém popędzi naodziana wstydem...
Powietrze wokół słucha z tchem zamarłym,
Gdy ona pędzi; wiatr się nie odważy,
Widać ze strachu, powiać choć najciszéj.
Małe rynw główki, otwarłszy swe paszcze,
Patrzą źrenicą chytrze uśmiéchniętą.
Gdy pies zaszczeka, na jéj twarz wystąpi
Płomień rumieńca: tętent kopyt końskich
Rozbudza grozę w jéj żyłach; mur ślepy
Straszy szczerbami: dachów fantastyczne
Szczyty nad głową drętwieją; lecz ona
Nie wstrzyma biegu, aż ujrzy na polu
Krzak bzu, płonący białym puchem kwiecia
Przez łuk gotycki, wzniesion po nad murem.

* * *

Potém nawróci, naodziana wstydem,
A jeden nędznik, twór niewdzięcznéj gliny,
Ohyda czasów, które idą po nim,
Wyżłobił, drżący, mały otwór w murze,
Aby ją ujrzéć; lecz oczy, nim była
Chęć ich spełniona, ogarnęła ciemność:
Zgasły na zawsze. Tak moc ta, co chroni
Czyny szlachetne, ukarała oto
Zmysł nadużyty... Ona, nic nie wiedząc,
Popędzi daléj... Wtém naraz dwunastą
Z stu wież naokół bezwstydne południe
Zacznie wydzwaniać i wybijać—jedno
Po drugiém straszne uderzenie. Ona
Właśnie do swojéj dobiegła komnaty,
A potém w sukni i koronie, poszła
Do swego pana i zniósłszy podatek,
Wieczyste sobie zgotowała imię...

Z oryg. tłóm. Jan Kasprowicz.



O PALAFITACH.

Podczas srogiéj zimy z r. 1829 na 1830-ty jezioro zurychskie zamarzło aż do dna. Mieszkańcy okoliczni skorzystali z tego i wzięli się do oczyszczania jednéj z przystani jeziornych. W dobywanym mule znachodzono różne przedmioty z kamienia i rogu, zrazu jednak nie zwracano na nie większéj uwagi [1]). Trzeba było dopiéro nadzwyczajnego opadnięcia wód jeziornych w r. 1854, aby na nowo rozdmuchać zapał do badania tych niemych świadków prastaréj kultury ludzkiéj. Wody jeziorne na wielkiéj przestrzeni odstąpiły od brzegów, a ludność zużytkowała tę sposobność do zakładania przystani i osuszania nadbrzeżnych kawałków ziemi. Nie obeszło się, oczywiście, przytém bez prac ziemnych, wykonywanych na opuszczoném przez wody dnie jeziora. Tym właśnie pracom zawdzięczamy ważne dla nauki odkrycie budowli palowych.

W głębokości około 5 stóp w szlamie jeziornym natrafiono na pale, które gęstemi szeregami tkwiły we dnie. Między palami znaleziono najrozmaitsze pierwotne wyroby ręki ludzkiéj [2]). Zawiadomiono o tém odkryciu dr. Kellera [3]) w Zürichu, który gorliwie się niém zajął

[1]) „Die Pfahlbauten in den Schweizer-Seen" von J. Staub. Fluntern bei Zürich, 1864. — [2]) Zob. „Mittheil. d. antiquarischen Gesellschaft in Zürich" (Pfahlbauten), B. IX (J. 1853—56), B. XII (1858), B. XIII (1860). — [3]) Prezesa tamtejszego towarzystwa badaczy starożytności.

i zdołał rozbudzić zapał badawczy u innych. Po 10-ciu już latach w saméj Szwajcaryi poznano przeszło 100 takich miejsc, gdzie niegdyś wznosiły się budowle palowe czyli palafity.

Z kolei zapytamy się, jak wyglądały takie budowle, dlaczego je budowano wśród wód jeziornych, do jakich czasów należy je odnieść, co to była za ludność, która je wznosiła i jakiém wogóle było życie téj ludności.

Rozpatrzywszy się w szczątkach palafitów szwajcarskich, widzimy, że na słupach wbijanych w dno jeziora wznosiło się belkowanie i pomosty. Na tych dopiéro pomostach stały chaty prawie zwykle mające kształt prostokątny. Podłogi i pomosty nie były zbijane gwoźdźmi, ani też wiązane, lecz pojedyncze belki wciskane między pale. Takie podłogi posiadały wcale znaczną spoistość, gdy zaś jedne zniszczały, nie zrywając ich, kładziono drugie. W ten sposób natrafić można na kilka nawet podłóg. Pale były do 30 stóp długie, a do dziesięciu cali grube w przekroju. Ściany chat pleciono z chrustu i narzucano gliną, krył zaś je trzcinowy dach. W środku mieszkania gorzało ognisko. Osada na jeziorze zurychskiém była dość wielka, podpierało ją bowiem około 40,000 palów, a z brzegiem łączyła się za pomocą mostu [1]).

Gdy się zapytamy o cel tego zabudowywania się wśród jezior, słyszymy zazwyczaj, że działo się to dla zabezpieczenia się przed napadami sąsiadów i dzikich zwierząt. Nie wszyscy jednak zadawalniają się tą odpowiedzią, owszem, znajdują się liczni sceptycy, odpowiadający, że jeżeli rzeczywiście zabudowywano się wśród jezior i rzek dlatego, żeby dziki zwierz i nieprzyjaciel nie miał do takich mieszkań przystępu, to jakiż mógł być ich cel w zimie, gdy powierzchnia wód pokryła się lodem. Inni upatrują znowu związek między mieszkaniami nawodnemi, a nadzwyczaj ważną w owych czasach komunikacyą wodną. Twierdzenie to jednak pozbawioném jest podstaw, bo przecież dogodniéj i łatwiéj jest w takim razie sadowić się na brzegach niż wśród samych wód.

---

[1]) Przy téj sposobności wypada zrobić uwagę, że przy obliczaniu obszaru zajmowanego niegdyś przez palafit należy postępować nadzwyczaj ostrożnie i nie zawsze z liczby palów wnioskować o obszarze. Trzeba mieć na oku przedewszystkiém oddalenie palów od siebie, jak niemniéj pewien procent odtrącić na pale niezdatne. Pale zazwyczaj stały od siebie w odległości 3 — 5 stóp. Jeżeli dno jeziorne było niezbyt twarde, to słupy wprost wbijano w takowe, obrzucano zaś głazami i żwirem, gdy grunt był skalisty. Budowle takie często niszczył ogień, a po szczątkach palów i innych pozostałościach stwierdzono, że omawiana właśnie osada na jeziorze zurychskiém padła ofiarą płomieni. Materyał budulcowy stanowiło głównie drzewo dębowe, bukowe, brzozowe i jodłowe.

Znakomity uczony Karol Vogt przypuszcza, że budowle palowe były tylko śpichlerzami pierwotnych mieszkańców, podobnemi do dzisiejszych śpichrzów norweskich [1]). Innego zdania jest Franciszek Maurer. Sądzi on, że palafity byly dziełem obcych kupców i rzemieślników, którzy zabudowywali się na wodach i składali tam swe towary, aby zasłonić się przed napadami tubylców. Przemawiać ma za tém nadzwyczajne podobieństwo zabytków bronzowych z niektórych palafitów do wyrobów greckich i rzymskich. Zdanie Maurera zbija Karol Vogt, dowodząc, że przyjęciu téj hypotezy przedewszystkiém przeszkadza zbytnią w niektórych krajach obfitość palafitów. W Szwajcaryi np. w każdéj prawie stojącéj wodzie i torfowisku spotkać można takowe. Jakże wreszcie objaśnić te palafity, w których znachodzimy tylko wyroby z kamienia i rogu. — Karol Libelt w swéj rozprawie „Mieszkania nawodne przedhistoryczne" [2]) przypisuje budowlom palowym charakter i cel religijny, mówiąc: „Rozciągłość tego rodzaju budowli (rozumié on tu palafity) zdaje się ograniczać pomiędzy morzem Baltyckiém, przez całe Niemcy dzisiejsze, przez Szwajcaryę i Włochy północne. Od zachodu sięgają we wschodnie granice dzisiejszéj Francyi, od wschodu nie powiem żeby sięgały po Wisłę, ale zajmowały zachodnią część dawniéj słowiańskich dzielnic Pomorza, Wielkopolski, Morawii aż ku Tryestowi. Cały ten obszar gruntów zajęty może był pierwotnie przez Celtów, może przez pokolenia Finów, ale zawsze przez ludność, w któréj musiały być rozwinięte uczucia religijne, bo nie natrafiamy nigdzie śladów dzikiego barbarzyństwa [3]), ludożerstwa, ani tak nazwanych kannibalów. Sądzę—mówi Libelt — że u tego pogańskiego ludu w wysokiéj czci musiała być woda, co u ludów północnych zostających prawie przez pół roku pod naciskiem zimy, śniegów i lodów, łatwém jest do pojęcia. Woda uwolniona z więzów lodu, pokazująca wartki pęd swych przezroczystych nurtów, w których się tak cudnie za dnia promienie słońca łamią, a nocą blask świetnego księżyca i licznych gwiazd odbija; — woda unosząca na swym grzbiecie łodzie ładowne ludźmi i towarami, dająca komunikacye między odległemi pokoleniami, podnosząca wilgocią swoją wiosenny i letni urok oko-

---

[1]) Zwracamy uwagę na dawne śpichrze irlandzkie zwane „Kranoog". Budowano je na mocnych palach wbijanych w dno morskie.

[2]) „Tygodnik wielkopolski" z r. 1871, od numeru 1—5.

[3]) Libelt zapomniał, że religia nie wyklucza zgoła barbarzyństwa i że ona właśnie wywołuje i wywoływała niejeden czyn barbarzyński. Nawet ludożerstwo w wielu okolicach, według najnowszych badań, da się sprowadzić do przyczyn religijnych. Rozumowanie więc Libelta w ten sposób, że jeżeli nie ma śladów barbarzyństwa ludność musiała być religijną, jest bezpodstawném.

licy—woda ta, w której powierzchni świat okoliczny i niebieski się przeglądał, musiała się wydać mieszkańcom północnym wielkiém i cudownėm bóstwem, któremu się należała wysoka cześć i poświęcenie. A jedne i drugie sprawowali kapłani. Nie godziło się takiemu bóstwu sprawiać ofiary na lądzie, ale trzeba je było sprawiać na wodzie. Nie uchodziło kapłanom takiego bóstwa mieszkać na ziemi wśród gromad nie poświęconych ludzi, oni powinni służyć bóstwu swojemu na wodzie i mieszkać na wodzie."

„Otóż całe osady pogańskie — ciągnie dalėj Libelt — gromadzące się, jak rzecz naturalna siedzibami swojemi ponad wodą, czy jeziorną, czy rzeczną, czy morską, gromadną, wspólną pracą obrabiały pnie i grube gałęzie drzewne na pale i kłody; pierwsze wbijali w grunt wody, drugie pokładali na palach i uformowawszy obszerną podłogę na igrzyska i ofiary religijne, stawiali na nich chaty już jako mieszkania kapłanów, już jako ich magazyny, znosząc im wszystko, co im do życia było potrzebném, a krom tego ofiary ze zwierząt i roślin dla samego bóstwa."

„Kiedy nastąpiła epoka bronzowa, a po niéj żelazna, przyszły w te strony z nową kulturą, nowe wyobrażenia religijne, może fenickie, może etruskie; powstały nowe bóstwa, nowa cześć. Ludy albo ustępowały z miejsc, które nachodzili cudzoziemcy, albo z nową kulturą przyjmowali nową religię. W każdym razie cel budowli nawodnych się zmienił, dawniejsi ich mieszkańcy ustąpili, a nowi przybysze zajęli ich miejsce, uważając takie odosobnienie od mieszkańców okolicznych za stosowne i korzystne dla siebie."

„Dopiéro, gdy dzicz germańska od Skandynawii ruszyła w te strony i wyparła z nich pierwotnych Celtów czy Finów, burzyła wszystko ogniem, bo im mieszkania na wodzie nie przypadały do smaku. A resztę puścili z dymem do nieba rozkrzewiciele nauki Chrystusa, jako niegodne pamiątki starożytnego pogaństwa. I oto powód zniszczenia ogniem wszystkich tych zabytków budowli nawodnych."

„Nie upieramy się — kończy Libelt — aby był początek i taki koniec wszelakich nawodzisk [1]), bo nie posiadamy żadnego faktu historycznego, którymbyśmy domysły nasze poprzéć mogli; ale taki sposób tłómaczenia najlepiéj jeszcze wyjaśnia te liczne przeddziejowe budowy na wodach, ku czemu trzeba było gromadnéj pracy nad-

---

[1]) Ten nowy wyraz polski ukuł Libelt na oznaczenie budowli palowych. Ze względu jednak, że wcale on nie tłómaczy istoty rzeczy, nie używam go w mojéj rozprawce.

brzeżnych mieszkańców, dającéj się tylko tłómaczyć wspólnym religijnym interesem."

Jak widzimy i Libelt nie zbyt mocno obstaje przy swém zdaniu i przyznaje, że „nie posiadamy żadnego faktu historycznego", — a mybyśmy dodali i archeologicznego — „którymbyśmy domysły" takie „poprzéć mogli". Ze wszystkich téż przytoczonych przezemnie prób objaśnienia celu palafitów, nienaukowo lecz poetycznie wyrażona myśl Libelta wydaje mi się najmniéj prawdopodobną i odpowiedziéć muszę słowami K. Vogta, że zbytnia obfitość palafitów pozbawia tę hypotezę podstawy, tak samo jak hypotezę Maurera. Jeżeli np. w Szwajcaryi było tyle świątyń ile palafitów, jak gęstém musiało być naówczas jéj zaludnienie. Inaczéj przypuszczać musimy, że całe życie ówczesnéj ludności schodziło na sławieniu bogów, co znowu wobec jéj ciężkiéj walki o byt jest niemożliwością.

Zdaniem naszém, stawianie budowli palowych miało różny cel na oku, przedewszystkiém jednak zasłonięcie się przed niespodziewanemi napadami sąsiadów, w podmokłych zaś na wskroś okolicach, jak np. w Prusach zachodnich i w Wielkopolsce, także zabezpieczenie się przed zalewami wód. W historycznych jeszcze czasach Prusy zachodnie i Wielkopolska podobnemi były, zwłaszcza na wiosnę, do wielkiego jeziora nasianego gdzieniegdzie wyspami. — Wziąwszy na oko pierwszy cel, t. j. zasłonięcie się przed napadami sąsiadów, bez kwestyi przyznać musimy, że w zimie budowle palowe rozmijałyby się z swym celem, przez znaczniejszą jednak część roku odpowiadały mu nieźle. Po zerwaniu mostu, łączącego osadę z lądem, stawała się ona wcale bezpieczném, jak na owe czasy, schroniskiem i warownią, któréj nie zbywało ani na wodzie, ani na pożywieniu, jezioro bowiem obfitowało w ryby. Do tego sposobu obrony uciekają się dziś ludy, którym brak wyższéj organizacyi społecznéj, ludy, które nie rozporządzają armiami, gdzie każda gromada, każda nawet jednostka musi myśléć nad zabezpieczeniem sobie życia i mienia, słowem — ludy, które stoją na takim mniéj więcéj stopniu kultury, na jakim przed kilku tysiącami lat w jednych, a przed tysiącem zaledwie w drugich stronach stała znaczna część Europejczyków. W nowszych np. czasach nie inaczéj postąpili sobie w kilku stronach Afryki Murzyni. Narażeni na ciągłe napady Arabów, szukających czarnego towaru, schronili się na jeziora i tam na palach pobudowali swe osady. W drugim celu, t. j. aby się zasłonić przed zalewami wód budują np. w naszych czasach mieszkania palowe Dajacy na Borneo [1].

---

[1] „Deutsche Rundschau für Geographie u. Statistik", XIV Jahrg., 1 Heft.

Szwajcarskie budowle palowe są różnego wieku, kwestya też starości tych budowli była już niejednokrotnie przedmiotem żywych sporów. Rozróżnić można trzy warstwy zabytków z różnych epok. Prof. Marlot ocenił wiek pierwszéj (rzymskiéj warstwy) na 18—19 stuleci, drugiéj (bronzowéj) na 30—40, trzeciéj (kamiennéj) na 50 i więcéj. W zachodniéj Szwajcaryi zrobiono spostrzeżenie, że palatity, budowane na mieliznach i tuż koło wybrzeży odnoszą się do epoki kamiennéj, do innych zaś należą przeważnie te, które wznosiły się na znaczniejszych głębiach. Wogóle jak z obliczaniem obszaru, tak też z obliczaniem wieku palafitu postępować należy nadzwyczaj ostrożnie, częstokroć bowiem obok bardzo starych budowli palowych znachodzą się ślady stosunkowo nowych. W niektórych stronach Europy zaprzestano już bardzo dawno ich stawiania, w drugich wznoszono je jeszcze w wiekach średnich, np. palafit pod Moosecdorf, w innych zaś częściach ziemi dziś jeszcze w ten sposób ludzie zabudowywują się na wodach, jużto rzecznych, jużto jeziornych, jużto nawet morskich [1]). Wszystko przemawia za tém, że szwajcarskie budowle palowe były dziełem ludów celtyckich, które w znacznéj części Europy zostawiły mnóstwo pomników. Nie wynika stąd jednak, aby wszystkie palafity europejskie wyszły z rąk Celtów, owszem przypuścić wypada, że i inne ludy w ten sposób się zabudowywały, pomiędzy bowiem szczątkami palafitów znachodzimy tak dolicho- jak i brachicefalów, oprócz czaszek pośrednich.

Ludność, zamieszkująca palafity, w części żyła z myśliwstwa, w części z rybołówstwa, a w części z uprawy roli. Koni hodowano niewiele, zwierzęta te bowiem były stosunkowo najmniéj przydatne dla ludności, zamieszkującéj budowle palowe. Z innych zwierząt znaleziono kości 2 ras wołu, psa podobnego do naszego wyżła, owcy, kozy, osła, kury, a najpóźniejszych osadach także kota i świni. To był zastęp zwierząt domowych, chowanych przez mieszkańców budowli palowych. Ze zbóż uprawiano pszenicę, jęczmień, owies i wiele prosa,

---

S. 22 u. f. Artykuł E. Mayera p. t. „Bilder aus den Sunda Inseln". — Mayer mówi wyraźnie: „Das Unterbauen der Häuser mit Pfahlgerüsten ist in jenen Gegenden unerlässlich, um den Wassermassen Abfluss zu gewähren." W innem znowu miejscu wyraża się tak: „Zugleich gewähren ihnen solche (d. h. Pfahlbauten) einigen Schutz gegen Angriffe feindlicher Menschen."

[1]) Bardzo słuszną w tym względzie robi uwagę Virchow w jednéj z swych rozpraw („Antropologie und prähistorische Forschungen"), mówiąc: „Noch jetzt verbinden Manche mit dem Namen der Pfahlbauten regelmässig den Begriff uraltester Wohnungen der Steinzeit, obwohl die weiter gehenden Forschungen gelernt hatten, das selbst in Europa noch bis in die historiche Zeit hinein in sehr verschiedenen Ländern Pfahlbauten gebaut wurden.

z innych zaś roślin len [1]. Żyta zrazu nie znano [2]. Ziarna mielono między głazami, a z mąki wypiekano między rozpalonemi kamieniami chléb. Prócz tego znaleziono jeszcze pestki wiśni, orzechy laskowe, brukiew, maliny, poziomki i inne jagody; natrafiono również na małe jabłka i gruszki. Resztę pożywienia szukał sobie mieszkaniec budowli palowych w wodach jeziornych i okolicznych kniejach, gdzie podówczas roiło się przeróżnym drobniejszym i grubszym zwierzem. Sądząc z pozostałych szczątków, powiedzieć można, że mieszkańcy starszych palafitów żywili się przeważnie dziczyzną i rybami, młodszych zaś mięsem zwierząt domowych, mlékiem, sérem i płodami rolnemi. Jak wszędzie, tak i tu odbywało się przejście z życia myśliwskiego do pasterskiego, z pasterskiego do rolniczego powoli. Wogóle stan kultury ludności mieszkań palowych był znacznie wyższy od kultury tych ludzi, którzy pozostawili usypiska odpadków kuchennych, każda już bowiem praca, wykonywana wspólnemi siłami, dowodzi pewnéj dojrzałości ludu, który ją wykonywa. Nie znajdziesz tu także śladów ludożerstwa. Widać również, że ludność palafitów dbała o przyzwoite pochowanie nieboszczyków, kości ludzkich znaleziono bowiem w palafitach niewiele.

Zrazu sądzono, że tylko w Szwajcaryi i przyległych okolicach gnieździł się lud, budujący swe mieszkania na palach wśród jezior. Pokazało się jednak, że mylném jest takie zdanie. Wnet przypomniano sobie relacye dawnych i nowszych podróżników, wspominające wyraźnie o mieszkaniach palowych. Najstarsze świadectwo budowli palowych daje Herodot w 16 rozdziale 5-éj księgi swych dziejów, mówiąc mniéj więcéj w ten sposób: Ludność, mieszkająca około góry Pangaeos, t. j. Doberowie, Agrianowie, Odomantowie i ludność z nad jeziora Prazias wcale podbitą nie została przez Megabarosa. Usiłował on także i tych podbić, którzy na wbitych w dno jeziorne palach mieszkali i na nich budowali swe chaty, z lądu zaś do ich mieszkań prowadził tylko jeden most. Pale, podpiérające ich budowle, pochodziły z dawnych czasów, następnie zaś utarł się zwyczaj, że każdy z obywateli téj nawodnéj gminy, biorąc sobie żonę, był obowiązany do wbicia trzech nowych palów. Ponieważ zaś wielożeństwo panowało w osadzie, liczba palów rosła. Oprócz Herodota ze starożytnych wspomina o budowlach palowych jeszcze Hippokrates (ur. około 460 r. przed Chr.).

---

[1] Podobny do *linum montanum*.

[2] W palafitach na jeziorze Garda odszukano także ślady żyta, winogron i innych jeszcze roślin uprawnych. Żyto znaleziono także w palafitach morawskich.

Metoda Gustawa Klemma, szukająca u dziś żyjących ludów objaśnienia zagadkowych przeznaczeń i celów zabytków, pochodzących z dawnych czasów i zestawiająca obok siebie równorzędne stopnie kultury, naprowadziła d-ra Kellera na myśl śledzenia ludów, które w naszych jeszcze czasach gnieżdżą się na wodach, lub do niedawna to czyniły. Przekonano się, że w ten lub podobny sposób mieszkali nowozelandczycy [1]; że na Nowéj Gwinei mieszka na palach część Papuasów, na Sumatrze Battakowie, na Borneo Dajacy. Nie brak również mieszkań palowych w Ameryce i Afryce.

* * *

W Europie szczątki palafitów odnaleziono na bardzo znacznéj przestrzeni. Pierwszym który je u nas odkrył i opisał [2]), był prof. archeologii przy uniwersytecie jagiellońskim, p. Józef Łepkowski, nie, jak częstokroć mylnie podają, Karol Libelt [3]), lub Aleksander hr. Przeździecki [4]). Obaj ci uczeni uznają zresztą w swych pismach prof. Łepkowskiego za pierwszego palafitów naszych odkrywcę [5]). Odkrycia tego dokonał on w 1865 r. na jeziorze Czeszewskiém w Wielkopolsce. Jezioro Czeszewskie leży w powiecie wągrowieckim na południe od Nakła. Przed 30 laty liczyło ono 450 (nie, jak Przeździecki mylnie podaje, 750) morgów magdeburskich obszaru, dziś zaś powierzchnia jego wynosi tylko 350 morgów, a to wskutek znacznego obniżenia się stanu wód jeziornych od czasu, gdy wykopano rowy, służące do osuszania brzegów jeziora. Temu to właśnie ubytkowi wody zawdzięcza prof. Łepkowski odkrycie palafitu, który pod niektóremi względami budzi wiele zajęcia. Z pomiędzy np. różnych znalezionych tam przedmiotów, topór z rogu jeleniego na międzynarodowym kongresie archeologicznym w Bononii zwracał powszechną

---

[1]) Piękny opis mieszkań zostawił kap. Cook. Bawił on na Nowéj Zelandyi w r. 1769.

[2]) „Czas“ z r. 1865, n-r 246 i 247.

[3]) „Mittheilungen der Antropologischen Gesellschaft in Wien. Wien, 1872. n-r 3. (Rozprawa d-ra H. Biegla „Ueber prähistorische Gräber Polens“. Toż samo czyni Lissauer w dziele: „Die prähistorischen Denkmäler der Provinz Westpreussen“. Leipzig, 1887, str. 180 (arb. nord. Epoche), jak niemniéj Ossowski w dziele: „Carte archeologique da la Prusse occidentale“. Kraków, 1881.

[4]) N. p. L'Union Liberale n-r 128 (Mardi 17, Octobre 1871).

[5]) Libelt w rozprawie: „O mieszkaniach...“, hr. Przeździecki zaś w swéj relacyi o kongresie archeologicznym w Bononii (r. 1871). Relacya ta, zamieszczona w roczniku krak. Towarz. Nauk. w XLIII tomie ogólnego zbioru.

uwagę. Ogólnie jednak biorąc, palafit czeszewski w niczém nie różni się od palafitów szwajcarskich i niemieckich.

Jeżeli gazeta szwajcarska *L'Union Liberale* jeszcze w 1871 r. donosząc o palaficie czeszewskim, pisała: *C'est jusqu'à présent la station la plus orientale, qui ait été, observée*, to dziś stanowczo tego powiedzieć nie możemy, gdyż w okolicach jeszcze daléj na wschód wysuniętych znaleziono także palafity, np. w Elblągu [1]) i we wsi Białce w powiecie lubelskim [2]). Ten ostatni palafit należy nawet odnieść do epoki neolitycznéj. Odkryto wogóle największą liczbę palafitów w dorzeczu dolnéj Warty i Noteci. Nie idzie jednak za tém, aby tylko w tych okolicach skupiła się najliczniéj ludność budowli nawodnych, nikt bowiem tego zaręczyć nie może, że i w innych okolicach dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj nie znajdują się również liczne ale dotąd nieodkryte szczątki palafitów.

Dorzecze dolnéj Warty i Noteci jest krajem prawdziwie klasycznym pod budowę mieszkań palowych. Dziś jeszcze zadziwiają te okolice obfitością jezior i robią wrażenie, jakby niegdyś na znacznéj przestrzeni były zalane wodą. Gromadząca się tu woda rozléwa się w jeziora, których wody tylko powoli odprowadzają tutejsze rzeki. W pasie około 25 mil długim, a kilka szerokim odkryto tu blisko 10 takich miejsc, gdzie niegdyś stały palafity. W téj grupie leży także palafit czeszewski.

Drugą grupę palafitów odkryto w przylegającém do granic dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj Pomorzu (w dorzeczu Persanty). Palafity te dlatego uważam za leżące na ziemiach polskich, gdyż jeszcze w czasach historycznych Pomorze stanowiło z Polską całość etnograficzną. Najlepiéj z palafitów, należących do téj grupy poznano palafit w Persanzig. Na przestrzeni dawnych Prus królewskich po lewéj stronie Wisły, dotąd śladów palafitów nie znaleziono, rzekome bowiem ślady budowli palowych w Warłubiach koło Kwidzyna mocno zakwestyonowano [3]). Spotkano się natomiast z niemi na prawym brzegu Wisły w Elblągu i w kilku innych punktach koło Brodnicy, Torunia i Chełmna. Palafity te utworzyły w ten sposób trzecią grupę.

---

[1]) Anger, Preussische Prov. Blätter, 1879 r. XVI, str. 125—140.

[2]) Palafit ten odkrył w 1875 r. Przyborowski. (Ob. „Wiadomości archeologiczne“ warszawskie).

[3]) Zobacz Ossowskiego: Karta archeologiczna Prus zachodnich (tekst objaśniający). Kraków, 1881.

Rozumié się, że ten podział budowli palowych na 3 grupy jest całkiem dowolny i ma tylko na celu okazanie ich rozmieszczenia geograficznego po naszych ziemiach. Z czasem, gdy zostanie odkrytém więcéj budowli nawodnych, granice tych trzech grup albo się zatrą, albo powstanie potrzeba uczynienia nowego podziału.

Prócz tych trzech grup znaleziono jeszcze palafity, leżące osobno. Takim jest np. palafit we wsi Białce w powiecie lubelskim. A. H. Kirkor odkrył także przed kilkunastu laty w powiecie chrzanowskim koło wsi Kwaczały w tamtejszém torfowisku rzekome szczątki niegdyś w tém miejscu istniejącego palafitu i podał to ciekawe odkrycie do publicznéj wiadomości w rozprawie p. t. „Badania archeologiczne w okolicach Babic i Kwaczały", zamieszczonéj w „Rozprawach i sprawozdaniach z posiedzień wydziału historyczno-filozoficznego Akademii umiejętności krakowskiéj [1]). Odkrycie to jednak zakwestyonowano ze stanowiska naukowego i wydelegowano komisyę z łona Akademii umiejęt., która, złożona z Kuczyńskiego, Altha, Pokutyńskiego i Sadowskiego, orzekła, iż „wszystkich wymienionych" w powyższéj rozprawie A. H. Kirkora „spostrzeżeń, komisya jeszcze nie może uważać za wyraźny dowód istnienia" w okolicach Kwaczały „mieszkań nawodnych". Zakwestyonowano również bytność budowli palowych w kilku innych miejscach, po dokładniejszém zbadaniu rzekomych ich szczątków.

Charakterystyczna jest okoliczność, że palafity nasze w stosunku do wielu szwajcarskich są bardzo młode. Prawdziwie starych budowli palowych mamy niewiele. Kiedy gdzieindziéj już zaprzestano gnieżdżenia się na wodach, u nas w ten sposób zabudowywano się w najlepsze, a Anger nie bez prawdopodobieństwa utrzymuje, że budowle palowe, jakie w głębokości 11—20 stóp w Elblągu [2]) przy kopaniu fundamentów odkryto, są szczątkami starego Truso, które Wulfstan zwiedzał w połowie dziewiątego stulecia. Niektóre palafity nasze, jak Lonkorski [3]), posiadają słupy ociosywane ostrém narzędziem w kwadrat, co również świadczy o ich stosunkowo młodym wieku. Pod względem konstrukcyi podłóg na szczególniejszą uwagę zasługuje palafit z Persanzig. Pale kończą się tu widłowato. W te widły wkładano belki i na nich układano podłogi. Obszarem palafity nasze również nie dorównywają szwajcarskim. Najczęściéj znachodzimy taką ilość słupów, że zaledwie kilka chat na nich stanąć wygodnie mogło. Wy-

---

1) T. I. Kraków, 1874, str. 25—80 i 220—255.

2) Anger. „Preuss. Prov. Blätter", 1879, XVI, str. 126—140.

3) „Preuss. Prov. Blätter", r. 1873, str. 579.

jątek pod tym względem stanowią chyba budowle palowe z Czeszewa i Persanzig. Ten ostatni palafit mógł nawet, według Kasiskiego, z 60 chat liczyć. Palafity występują u nas zazwyczaj w okolicach, gdzie znaleziono inne wykopaliska, a często na brzegu jeziora, w którém znaleziono budowle palowe, spotkać można cmentarzysko pogańskie, jak to np. zdarzyło się w Lussowie [1], Czeszewie [2] i gdzieindziéj.

W szczątkach naszych palafitów znaleziono tylko 2 kawałki czaszki w Czeszewie. Ponieważ jednak nie ulega kwestyi, że ludność, gnieżdżąca się na palach musiała być taką samą, jak i mieszkająca w pewnéj epoce tuż obok na suchéj ziemi, możemy bez skrupułu przy oznaczaniu ludności mieszkań nawodnych posługiwać się szkieletami, znalezionemi na lądzie w bliskości palafitów.

Przypatrzmy się najpiérw mieszkańcom palafitów z epoki neolitycznéj. Oprócz wymienionych właśnie dwóch kawałków czaszki z Czeszewa, znaleziono wogóle nawet na suchéj ziemi kilkanaście tylko czaszek należących do mieszkańców téj epoki. Z pomiarów Virchowa i innych uczonych, okazuje się, że ludność już wtenczas była u nas mieszaną. Znachodzimy czaszki brachi-, meso- i dolichocefalne. Czaszki brachi- i mesocefalne przeważają jednak nad dolichocefalnemi, również dwa kawałki czaszki, znalezione w palaficie czeszewskim, które Przezdziecki na kongresie archeologicznym w Bolonii 1871 r. okazał zgromadzonym uczonym, oznaczył obecny tam Quatrefages, jako należące do czaszki brachicefalnéj [3]). Jaka to była ludność, z całą pewnością powiedziéć możemy, zdaje się, że słowiańska.

Ponieważ cała północ Europy aż po za 50^0 półn. sz. do początków mniéj więcéj epoki neolitycznéj w tych stronach pokryta była lodem, a z drugiéj strony lody prędzej topniały w bardziéj ku południowi wysuniętych okolicach, niż w północnych, człowiek więc nie mógł przybyć w te strony z północy, lecz z południa czy to zachodniego, czy téż wschodniego. W każdym razie ludność, która zawitała w te strony, nie zostawała już na najpierwotniejszym stopniu kultury. Człowiek nie wałęsał się, jak dzikie zwierzę, z miejsca na miejsce, lecz budował sobie mieszkania już to na suchéj ziemi, już to na palach. Do

---

[1]) „Tygodnik Wielkopolski" z r. 1872, n-r 4. — „Dziennik Poznański" z r. 1872, n-r 7.

[2]) Przekonali się o têm, kopiąc d-r Hockenbeck i d-r Tietz.

[3]) Sprawozdanie A. hr. Przezdzieckiego z kongresu archelogicznego w Bononii 1871 r., zamieszczone w rocznikach N. M. Tow. Nauk. Krak., tom XX poczta czwartego, XLIII ogólnego zbioru.

mieszkań tych wracał z wycieczek, podejmowanych w okolicę w celu upolowania zwierzyny. Mieszkaniec palafitów téj epoki żył u nas w towarzystwie 3 czworonożnych zwierząt domowych: psa, konia i wołu. Pies ówczesny był mniejszy nieco od wilka, a znacznie większy od lisa. Należał on albo do jakiegoś gatunku psa diluwialnego, albo téż był już bardzo blisko pokrewny z dzisiejszymi psami *(canis familiaris)*. Koń tego czasu *(equus cabalus)* był mały i zupełnie podobny do dzisiejskich koni mazurskich, zdaje się jednak, że jeszcze naówczas żył większy koń diluwialny. Wół *(bos taurus)*, który jest całkiem podobny do dzisiejszych wołów kaszubskich, był również nie wielki.

Człowiek ówczesny polował głównie na sarny, jelenie, łosie, na dwa gatunki dzikiego wołu, *Bos primigenius* i *Bos priscus*, jak nie mniéj na lisy i dzikie świnie. Sądząc z ilości zębów tego ostatniego zwierzęcia, znalezionéj w naszych palafitach, np. w palaficie czeszewskim, przypuścić możemy, że żywiono się głównie mięsem dzikiéj świni. Czy w tym czasie żył jeszcze na ziemiach polskich ren i czy świnia była już gdzieniegdzie zwierzęciem domowém — nie wiemy. Z ptaków hodowano kurę i gołębia. Liczne, potrzebne do zapuszczania sieci ciężarki gliniane, znalezione w palaficie czeszewskim, świadczą, że wiele także trudniono się rybołówstwem. Dziś jeszcze takich ciężarków, tylko że z palonéj gliny, używają rybacy czeszewscy. Kości zwierząt są zazwyczaj rozłupane w celu dobycia z nich szpiku. Jest to dowodem albo specyalnego gustu ówczesnych mieszkańców palafitów, albo, co zdaje się prawdopodobniejszém, braku dostatecznéj ilości pożywienia. Sądząc z kamieni, mogących służyć tylko do mielenia zboża, musimy się skłonić do zdania, że u nas podczas epoki neolitycznéj uprawiano jeden lub więcéj gatunków zboża. Te rozcieracze znaleziono jednak tylko na suchym lądzie nie zaś w szczątkach palafitów, stąd téż zachodzi pewna wątpliwość, czy nasi mieszkańcy budowli palowych również uprawiali zboże, jak ich sąsiedzi, mieszkający na suchéj ziemi. Ludność palafitów odziéwała się w skóry zabitych zwierząt, czy zaś już i u nas w epoce neolitycznéj wyrabiano tkaniny — niewiadomo. Narzędzia sporządzano z kamienia, a także z rogu i kości. Wykonywano je na miejscu [1]. Niektóre z nich zadziwiają pięknością kształtów i dokładnością roboty. Nie zgadzam się jednak z Libel-

---

[1]) W naszych palafitach znaleziono bowiem narzędzia, wykonane tylko z tego materyału, jaki znajduje się w okolicach, gdzie budowle palowe odkryto.

tem [1]), żeby wyroby kamienne, jakie znaleziono np. w palaficie czeszewskim, miały wyłącznie znaczenie religijne. Jeżeli tak było, z czegóż właściwie człowiek z epoki neolitycznéj, a do téj zaliczyć musimy, np. palafit czeszewski, sporządzał sobie narzędzia, służące do użytku praktycznego. Może kto powie z rogu tylko i kości. Przypuszczenie takie nie ma punktu oparcia z dwóch powodów, raz, że przy polowaniu, a z tego, jak widzimy, głównie żył ówczesny człowiek, lepiéj służy z powodu większéj ciężkości kamień, a powtóre, wykopaliska świadczą, że ilość toporków i siekier kamiennych przeważa nad rogowemi. Jeżeliby wyroby z kamienia już naówczas służyły jedynie do celów religijnych i symbolicznych, musiałoby ich być bez porównania mniéj. Jakie były pojęcia religijne téj ludności, nie wiemy, widać jednak, że to było również cechą i naszych mieszkańców budowli palowych iż dbali oni o przyzwoite pochowanie nieboszczyków; jak wiemy, w palaficie czeszewskim znaleziono tylko dwa kawałki czaszki. Nieboszczyków grzebano, a nie palono, jak to ma miejsce w następnéj epoce. — Znano także początki sztuki. Niektóre skorupy garnków znalezione w palaficie czeszewskim świadczą o tém wymownie. Sprawdzić jednak nie możemy, czy człowiek ówczesnych budowli palowych dbał również o przybranie ciała w ozdoby. Przedmiotów, któreby tego domyślać się kazały, w naszych palafitach z epoki neolitycznéj nie znaleziono. Odkryto natomiast w palaficie czeszewskim przedmiot, który według wszelkiego prawdopodobieństwa jest rodzajem świstawki.

Z epok hallstadzkiéj, *la Tène* i rzymskiéj dobrze na naszych ziemiach reprezentowanych, palafitów nie znaleziono, występują zaś one i to wcale obficie dopiéro w epoce t. zw. arabsko-północnéj, która poprzedza już historyczne czasy zachodniéj Słowiańszczyzny. To, że nie znaleziono śladów stawiania budowli palowych przez ciąg aż 3-ch epok, różnie sobie można tłómaczyć—albo tém, że nie dość dokładnie poznano jeszcze pod względem archeologicznym okolice zachodniéj Polski; albo, że przez ten czas gościły u nas ludy obce, które nie znały tego sposobu zabudowywania się. Jakie to mogły być ludy? zgoła nie ośmielam się twierdzić, albowiem w epoce hallstadzkiéj i *la Tène* zwłoki palono i stąd pozostały nam nadzwyczaj nieliczne wskazówki, które mogłyby posłużyć do poznania tych ludów pod względem antro-

---

[1]) „Mieszkania nawodne przedhistoryczne“. „Tygodnik Wielkopolski“ r. 1871, n-r 1—5.

pologicznym. Natomiast od początku epoki rzymskiéj widzimy już bezwątpienia na ziemiach polskich Słowian, choć z drugiéj strony zaprzeczyć nie możemy, że występują jeszcze bardzo obficie czaszki dolichocefalne, na zachód zaś od Wisły jest ich więcéj niż na wschód. Świadczy to, że w tym czasie odbywał się tu jakiś proces krzyżowania, który nie ustał jeszcze w epoce arabsko-północnéj.

Palafity nasze z epoki arabsko-północnéj łączą się na zachodzie z palafitami północno-niemieckiemi, które, jak wykazał Virchow, pochodzą z czasów słowiańskich.

Życie ówczesnych Słowian, zamieszkujących budowle palowe, różni się nieco od życia mieszkańców naszych palafitów z epoki neolitycznéj.

Posługują się już oni narzędziami z bronzu i żelaza, choć z drugiéj strony nie brak jeszcze kamiennych. Mieszkańcy naszych palafitów wchodzą w stosunki handlowe, rozumié się przeważnie pośrednie, z oddalonymi narodami. Widzimy to ze znalezionych monet i sprzętów obcego obchodzenia. Zastęp zwierząt domowych wzrósł, a świnia staje się już zwierzęciem domowém. Jeżeli w epoce neolitycznéj mieszkaniec naszych palafitów przestawał po największéj części na mięsie upolowanéj zwierzyny, to w epoce arabsko-północnéj w znacznéj części żywił się już płodami rolnemi, jak niemniéj mięsem, sérem i mlékiem zwierząt domowych. Do dawnego odzienia ze skór przybyła odzież z tkanin. W zimie używal on łyżew; przekonywa nas o tém łyżwa kościana z palafitu z Persanzig.

Ciala umarłych palono lub grzebano.

Zresztą życie naszych mieszkańców z epoki arabsko-północnéj chyba w niczém więcéj nie różni się od życia mieszkańców palafitów z epoki neolitycznéj. W stosunku do dawniejszéj (rzymskiéj) epoki liczba dolichocefalów się zmniejsza, górę zaś biorą stanowczo meso- i brachicefale czyli Słowianie. Konstytucya ich ciała mocna.

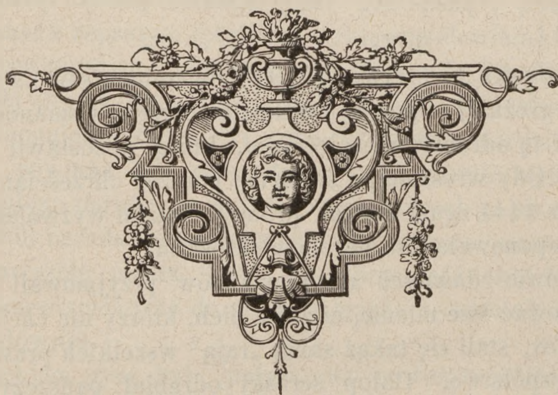
Palafity téj epoki uległy w znacznéj części temu samemu losowi, co i z epoki neolitycznéj, mianowicie stały się pastwą płomieni. Epoka arabsko-północna zamyka, a raczéj wśród téj epoki kończą się na ziemiach naszych czasy przedhistoryczne. Że i w czasach historycznych stawiano u nas zrazu palafity nie ulega kwestyi, tak łatwo bowiem tego sposobu zabudowywania się uświęconego wielowiekowém nawyknieniem nie zarzucono. Z czasem dopiéro, gdy kraj stał się suchszym, gdy podniosło się rolnictwo, gdy ogromna większość ludności mieszkała już na suchéj ziemi i gdy nastały czasy spokojniejsze,

przekonano się całkowicie, że obejdzie się bez mozolnego budowania palafitów i że równie bezpiecznie mieszkać można na suchéj ziemi.

* * *

Od dawna znano sterczące w dnach jeziornych i rzecznych pale, nikt jednak nie domyślał się ich znaczenia i pochodzenia. Dla wszystkich obojętne, nienawistne tylko dla rybaka, któremu darły sieci, długo czekały zanim i na nie przyszedł czas ogólnego zainteresowania się. Dziś pale te, ich otoczenie i grunt, na którym stoją, wszechstronnie badane, okazały nam ślady staréj i oryginalnéj kultury, która przez długie wieki kwitnąc, zasłużyła sobie na osobne miano kultury mieszkań palowych.

Stanisław J. Srokowski.



DOSYTEUSZ OBRADOVIĆ.

SZKIC Z DZIEJÓW NOWOŻYTNÉJ LITERATURY SERBSKIÉJ.

Klęska kosowska 15 czerwca r. 1389 pogrzebała samoistność Serbii, a coraz groźniéj w potęgę rosnące mocarstwo Osmanów, zniszczyło niebawem i tę odrobinę niezależności, którą pozostawił był jéj sułtan Bajazet. Gdy wreszcie po strasznéj porażce chrześcian na polach warneńskich z 1444 zgasł ostatni promyk nadziei wyzwolenia, czarna noc niewoli zapanowała nad narodem serbskim.

Potomkowie dawnych możnowładców przyjmowali mahometanizm, aby ratować swe mienie, ci zaś z nich, którzy nie chcieli wyprzéć się wiary ojców, stali się takąż samą „rają" wszelkich praw pozbawioną, jak i pospólstwo. Chłop serbski odrabiał pańszczyznę, płacił ogromny podatek poduszny i składał dziesięcinę z pola, winnicy i barci. Co lat pięć odbywał się pobór chłopiąt, które następnie przerabiano na najzawziętszych wrogów chrześciaństwa—janczarów.

Wszelkie gwałty, popełniane na „podłéj rai", były uprawnione według pojęć Turka.

Zagarniał on bezkarnie mienie Serba, porywał mu dziewczęta do haremów, a Serb nie miał nikogo, przed kim by się mógł użalić na te bezprawia.

Nic dziwnego, że wobec takich warunków bytu, wszelki ruch umysłowy ustał, a literatura upadła zupełnie.

Trwało to aż do końca wieku XVII-go, gdy potęgę turecką mocno zachwiały wojny z Austryą, a zwłaszcza cios dotkliwy, otrzymany od Jana III-go pod Wiedniem w r. 1683.

W r. 1690 kilkadziesiąt tysięcy rodzin serbskich pod wodzą patryarchy, Arsena Crnojević'a, przesiedla się do Śremu, Banatu i Baczki, pod opiekę Austryi, która zrozumiała, że Serbowie mogą być dla niéj nader korzystnymi sojusznikami w walce z Turcyą.

Stawszy się obywatelami państwa europejskiego, Serbowie poczęli ulegać jego wpływom cywilizacyjnym. Już na początku XVIII-go wieku były założone pierwsze drukarnie i szkoły, które oddziaływały pośrednio i na Serbów tureckich, ponieważ wychodźcy nie przerywali stosunków ze współplemieńcami z za Dunaju. Wielu Serbów poczęło uczęszczać do szkół niemieckich, a następnie na teologię do Wiednia. Niebawem powstała w nowéj ojczyźnie i literatura; nie wywiérała ona jednak na masy ludności żadnego wpływu, ponieważ miała charakter prawie wyłącznie religijny (gdyż inteligencya serbska składała się przeważnie z duchowieństwa), a powtóre z téj przyczyny, że autorowie serbscy, gardząc mową serbską, jako „chłopską", posługiwali się w swych pismach zepsutym językiem cerkiewno-słowiańskim, dla ludu całkiem niezrozumiałym. Wskutek tego większość narodu pozbawiona była wszelkiéj strawy duchowéj. Atoli znalazł się człowiek, który, wbrew przekonaniom inteligencyi, odważył się wypowiedziéć zdanie, że oświata nie powinna być przywilejem małéj garstki wybranych, ale własnością całego narodu, że zadanie literatury polega na wszechstronném oświeceniu narodu, przeto powinna ona porzucić ciasne ramki religijne, że nareszcie pisarz, który chce przynieść jakąś korzyść narodowi, powinien przemawiać do niego w języku zrozumiałym, t. j. w jego mowie rodowitéj.

Człowiekiem tym był „patryarcha nowożytnéj literatury serbskiéj", Demetryusz (Dosyteusz) Obradović.

Demetryusz Obradović urodził się w r. 1739 w miasteczku Czakowo, niedaleko od Temeszwaru w Banacie [1]. Wkrótce po przyjściu na świat Demetryusza, ojciec jego, który zajmował się handlem, umarł, zostawiając żoną z czworgiem nieletnich dziatek. Młoda wdowa, nie mogąc sama jedna podołać pracy gospodarskiéj, wyszła za mąż powtórnie, ale pożycie małżeńskie nie było szczęśliwém i w kilka lat potém biédna kobiéta rozstała się tym światem. Siéroty zostały przyjęte

[1] Życie jego znane jest szczegółowo z „Autobiografii" (Lipsk, 1783), a następnie z listów.

do domów najbliższych krewnych i Demetryusz dostał się do stryja, człowieka poczciwego i dobrego, który w zupełności zastąpił mu ojca. Śmierć matki, a wkrótce potém ukochanéj siostry, Julianki, wywarła na dziewięcioletnim podówczas Obradowić'u nigdy niezatarte wrażenie. Te ciosy bolesne pobudziły chłopca do rozmyślań. Zastanawiając się nad swém położeniem, zrozumiał on jasno, że go jedynie z łaski przyjęto do domu stryja; bolało go to mocno i upokarzało, więc postanowił sobie własną pracą zdobyć jaknajprędzéj stanowisko niezależne, aby nie być ciężarem dla rodziny. Dobra pamięć, jaką pozostawił był u sąsiadów jego ojciec, wzbudziła w nim chęć zasłużenia poczciwém życiem na przychylną opinię u ludzi.

Już za życia matki posyłano Demetryusza do szkółki razem z braćmi. Skromny a pilny chłopak zwrócił na siebie uwagę nauczyciela, który spostrzegłszy pewnego razu, że Obradović płacze z litości nad ukaranymi uczniami, zbliżył się do niego, obsypał go pieszczotami i obiecał mu podarować za dobre sprawowanie brewiarz. Po śmierci matki Obradović'a, stryj jego, który nie miał własnych dzieci, postanowił wychować bratanka, jak syna, przeto nie szczędził zachodów i kosztów na jego wykształcenie, mając zamiar następnie postarać się dla niego o miejsce księdza w któréjkolwiek wsi pobliskiéj. Nauczyciel szkoły, do któréj uczęszczał Obradović, był przyjacielem jego stryja, więc, gdy ten zwierzył się przed nim ze swych planów, zwrócił szczególną uwagę na małego Demetryusza.

W owych czasach w szkołach uczono jedynie czytać po cerkiewno-słowiańsku na książkach religijnych (psałtérz, brewiarz i katechizm) bez względu na to, czy uczeń rozumiał, czy téż nie, co czytał. Ale nauczyciel Obradović'a postąpił nieco inaczéj; objaśniał on swemu uczniowi katechizm i inne księgi kościelne wprost po serbsku, co mu niezmiernie ułatwiło naukę. Po dwóch leciech pobytu w szkole, Obradović umiał na pamięć nietylko katechizm, ale i kilka innych książek religijnych. Nie zadawalniało to jednak ciekawego chłopaka. Bywając często w cerkwi, gdzie znajdowała się nieduża biblioteczka księża, dostał się do niéj i czytał wszystko, co tylko tam znalazł. Ponieważ w Czakowie mieszkała znaczna ilość Rumunów, od których Obradović nauczył się po wołosku, mógł więc korzystać téż z książek w tym języku pisanych. Często zakradał się za ołtarz i po wyjściu modlących się dopóźna czytywał przy świetle lampki, wiszącéj przed obrazem. Najsilniéj podziałały nań „Żywoty świętych", po przeczytaniu których dzielił się swemi wrażeniami z rówieśnikami, z zajęciem słuchającymi jego opowiadań o mękach, postach, umartwieniach i cudach męczenników za wiarę Chrystusową. Stryj, widząc w nim taką chęć do czyta-

nia, cieszył się niewymownie, gdyż sądził, że plany jego poczynają się urzeczywistniać.

Ale na Demetryusza czytanie książek wyłącznie religijnych poczęło wywierać wpływ wcale niepożądany. Treść żywotów świętych podziałała na wrażliwą wyobraźnię chłopaka, wskutek czego postanowił on sobie pójść za przykładem świętych i, opowiadając ewangelię, ponieść śmierć męczeńską; to znowu marzył o życiu pustelniczém, gdzieś w Arabii, lub Egipcie. Na początek chciał wyszukać jakąkolwiek pustelnię w pobliżu Czakowa i w tym celu odbywał niejednokrotnie wycieczki do okolicznych monasterów, ale tam spotykało go srogie rozczarowanie. Zamiast wynędzniałych od długich postów ascetów, o jakich czytał w żywotach, widział wesołych, opasłych mnichów, wcale nie pogardzających marnościami tego świata. Smutny powracał do domu z takich wycieczek i długo potém chodził ponury i zamyślony. Zwróciło to uwagę stryja, który bardzo się zaniepokoił, dowiedziawszy się o przyczynach smutku synowca; począł więc wystawiać mu całą niedorzeczność jego postępków i zamiarów, ale bez żadnego skutku.

Wkrótce zapoznał się Obradović z pewnym awanturnikiem-mnichem klasztoru deczańskiego; ten namówił chłopaka do ucieczki w góry Turcyi, gdzie, jak zapewniał, w pieczarach śród lasów dogodnie można pędzić żywot pustelniczy. Stryj, który śledził każdy krok bratanka, puścił się w pogoń za zbiegami i dopędził w jednym z klasztorów, gdzie się zatrzymali na nocleg; wpadł do celi, gdzie mnich ów gawędził przy lampce wina z przełożonym monasteru i chciał związać mnicha, aby go natychmiast odstawić do sądu w Temeszwarze, ale ten zręcznie zdołał ułagodzić zagniewanego starca. Począł on sam odradzać Obradović'owi, żeby nie szedł do Turcyi, w jaskrawych barwach przedstawiając mu obraz nędznego życia mnichów tureckich. Ale Obradović nie zwracał uwagi na te dowody, uważając je za zmyślone, w celu zachwiania jego postanowień. Żadne perswazye stryja nań nie działały. Postanowił bądź co bądź wstąpić do klasztoru. Następujący wypadek jeszcze bardziéj utrwalił w nim to postanowienie. W Czakowie istniała szkółka dla dzieci miejscowych Greków, gdzie wykładano po grecku. Przypadkiem zasłyszany frazes grecki wzbudził w chłopcu chęć nauczenia się tego język i otóż, wmieszawszy się pomiędzy uczniaków, dostał się do owéj szkoły, gdzie téż przebył dzień cały. Ale stary nauczyciel, którego uwagi nie uszła nieobecność na lekcyi Obradović'a, dowiedział się o jego pobycie u Greków i kazał mu nazajutrz stawić się w szkole. Tu, zgromiwszy surowo za „bunt przeciwko władzy nauczycielskiéj", kazał go ochłostać. Niezasłużona kara wywarła

na Obradoviću wrażenie przygnębiające; ubodła go głęboko niesprawiedliwość, ale zarazem przywiodła mu na pamięć cierpienia świętych pańskich, których też męczono niesprawiedliwie. Odtąd postanowił we wszystkiém ich naśladować i poświęcić się całkowicie Bogu. Stryj, widząc, że bratanek jego ani myśli porzucić swych fantazyi, ale wyczekuje jedynie sposobności do ucieczki, zamierzył dowieść mu, że chléb obcy częstokroć bywa bardzo gorzkim, a obce kraje nie są wcale ponętne, jak mu się wydaje. W tym celu oddał go na naukę do fabrykanta dywanów w Temeszwarze.

W ciągu kilkunastu miesięcy zajmował się Demetryusz pilnie szyciem dywanów, sprzedając je następnie w dni handlowe na rynku, ale żadnych zdolności na tém polu nie objawiał. Gospodarz, spostrzegłszy, że uczeń jego posiada wcale ładny charakter pisma, uwolnił go od wszelkiéj pracy rzemieślniczéj, robiąc go swym pisarzem i rachmistrzem.

Na nowém stanowisku miał Obradović daleko więcéj czasu wolnego, przeto powrócił znowu do czytania, ale musiał zadawalniać się psałterzem i katechizmem w braku innych książek.

Życie w Temeszwarze było dość nudném, ponieważ towarzysze jego wcale nie odpowiadali mu ani pod względem rozwinięcia umysłowego, ani usposobienia. Ich wybryki i psoty dziecinne nie harmonizowały z posępnym nastrojem Obradovića. Nie znajdując żadnéj przyjemności w obcowaniu z rówieśnikami, Demetryusz z uwagą natomiast przysłuchiwał się rozmowom starszych. W domu jednego ze znajomych gospodarza spotkał biskupa Jerzego Popovića, człowieka rozumnego i światłego, który pod względem wykształcenia o wiele wyprzedzał duchowieństwo serbskie. Wszystkie kwestye, o które potrącał w rozmowie ów biskup, mocno zaciekawiały Obradovića. Dość często, gdy toczyły się spory o rzeczach religijnych, biskup śmiało wytykał różne niedorzeczności, które z biegiem czasu wkradły się do teologii; dowcipnie ośmieszał on bezmyślność niektórych obrzędów. Co do mnichów i pustelników, to był on tego zdania, że każdy człowiek powinien starać się przynieść jaknajwiększą korzyść społeczeństwu, którego jest członkiem, przeto oddalanie się na pustynię nie ma obecnie żadnego sensu. Rozsądne słowa wywierały wielki wpływ na wrażliwy umysł Obradovića, i marzenia o życiu pustelniczém coraz rzadziéj przychodziły mu do głowy.

Na nieszczęście zapoznał się Obradović z pewnym kapelusznikiem ze Śremu, który opowiadał, że w jego kraju, zwłaszcza na Fruszkiéj górze, są takie miejscowości, gdzie nietylko można całkowicie poświęcić się Bogu, ale nawet z łatwością stać się cudotwórcą. Ta

ostatnia okoliczność szczególniéj podziałała na Obradovića, i wyobraźnia jego poczęła znowu pracować w zaniedbanym od jakiegoś czasu kierunku. Podzielił się on nowinami, zasłyszanemi od owego kapelusznika z towarzyszem Niką, którego również opanowała chęć zostania cudotwórcą. Rozpytawszy się o drogę do jednego z większych klasztorów w Śremie—opowskiego, chłopcy postanowili uciec z domu.

Pewnego ranka świątecznego Nika z małym tlumoczkiem, w którym znajdowały się książki, chléb i bielizna, stanął na oznaczonéni miejscu za miastem; wkrótce przyłączyl się do niego Obradović, który oznajmił był gospodyni, że idzie łowić ryby, i dwaj podróżnicy udali się w drogę. Ze wszech stron roztaczający się cudny krajobraz kazał zapomnieć im o znużeniu. Ku wieczorowi przybyli do Itybeju, gdzie mieszkała ciotka Obradovića. Ta, dowiedziawszy się o zamiarach chłopców, odradzała im płacząc, ale widząc, że rady jéj nie skutkują, zaopatrzyła ich w żywność i wyprawiła w dalszą drogę. Wkrótce przybyli nad Cisę; aby zapłacić za przeprawę przez tę rzekę, musieli z wielkim żalem sprzedać brewiarz, ale za to mogli odbywać dalszą podróż na wozie. Na trzeci dzień po wyjściu z Temeszwaru stanęli w Opowie.

Klasztor Opowski leżał w miejscowości nadzwyczaj malowniczéj. nad rzeką, śród wzgórz okrytych winnicami.

Oglądając się na wszystkie strony, z wielkim strachem wstąpił Obradović z towarzyszem na podwórze klasztorne, gdzie zakonnicy przechadzali się po obiedzie. Otoczono z ciekawością podróżników, którzy jąkając się wyjawili zamiar wstąpienia do klasztoru. Staremu opatowi podobały się szczere odpowiedzi chłopaków na zapytania, więc pozwolił im pozostać.

Obradowićowi kazano utrzymywać w czystości celę opata, pozostały zaś czas mógł obracać na co mu się podobało. Obradović skorzystał ze swobody, którą mu pozostawiono i, szpérając po całym klasztorze, odnalazł małą biblioteczkę, złożoną z książek religijnych, pomiędzy któremi szczególną uwagę jego zwróciły „Żywoty świętych” na trzy miesiące. Opat był mocno zdziwiony, zastawszy pewnego razu Demetryusza nad książką. Zdziwienie jego wzrosło, gdy posłyszał z jakiém zrozumieniem rzeczy i z jaką łatwością ten czytał. Dobrodusznego starca, który sam w sztuce czytania nie bardzo był biegły, wprawiło to w zachwyt. Z dumą wskazywał on nietylko braciom zakonnym, ale i wszystkim znaczniejszym mieszkańcom pobliskiego miasteczka młodzieńca, czytającego „lepiéj od niego samego”. Z początku Obradović sądził, że opat drwi z niego, ale poznawszy zacny i szczery charakter staruszka, przywiązał się do niego całém sercem.

Pewnego dnia u furty klasztornéj stanął starszy brat Obradovića, Ilia, w towarzystwie matki Niki, żądając wydania zbiegów. Matce Niki udało się dopiąć zamiaru: oddano jéj syna. Ale Obradović nie słuchał ani prośb, ani groźb i stanowczo pozostał w klasztorze. Nawet otrzymana wkrótce po tém wiadomość o ciężkiéj chorobie stryja nie mogła złamać jego postanowienia.

Mając dużo wolnego czasu, oddawał się całkowicie czytaniu „Żywotów", wskutek czego dawne marzenia znowu zaroiły mu się w głowie. Pragnąc we wszystkiém naśladować świętych, pościł po kilka dni, modląc się gorąco. Stary opat, widząc, że jego wychowaniec zbladł, chodzi smutny, ponury, począł go rozpytywać o przyczynę tego wszystkiego i dowiedziawszy się, że Obradović zamierza poświęcić się całkowicie Bogu, począł mu tak samo jak i stryj jego, wystawiać niedorzeczność jego planów. Zapewniał go on, że Bóg nie wymaga wcale takiéj ofiary; że dość jest pościć w dni przez kościół oznaczone; że kto chce przypodobać się Bogu, nie potrzebuje wcale udawać się na pustynię, ale powinien być godnym członkiem społeczeństwa.

Aby rozerwać nieco młodego ascetę, zabierał go z sobą opat w podróż po Śremie, Baczce i Slawonii. Ale Obradović niechętnie towarzyszył staremu, bo go to odrywalo od modłów, czytania i postów. Widząc, że ani dowody, ani drwiny nic nie pomagają, opat skarcił go surowo i zagroził mu wypędzeniem z klasztoru, gdyby nie chciał zaprzestać nierozsądnych postów. Na czas pewien musiał Obradović uledz opatowi, ale myśl przyjęcia ślubów zakonnych ani na chwilę go nie opuszczała. W jakiś czas potém arcybiskup Paweł Nenadović wyświęcił go w Karlovcu na dyakona.

Odtąd oddał się Obradović pełnieniu swych nowych obowiązków z takim zapałem, że wkrótce po wsiach okolicznych rozpowszechniła się pogłoska, iż w klasztorze Opowskim zjawił się cudotwórca. Zewsząd poczęli przybywać ludzie do klasztoru, prosząc młodego dyakona o modlitwy za chorych i słabych, i byli pomiędzy nimi tacy, którzy świadczyli, że ich uzdrowiły jego modły. Nawet stary opat począł potroszę wierzyć w świętość swego wychowańca. Sława przyjemnie łechtala miłość własną Obradovića i sam on był już niedalekim od myśli uwierzenia we własną świętość, gdy przypadek skierował myśli w całkiem inną stronę.

Przeczytawszy otrzymaną od pewnego mnicha „Historyę" Baroniusza, przekonał się, że książki świeckie, których dotąd wcale nie znał, zawierają bardzo dużo ciekawego. Opat dostarczył mu kilka innych książek i, widząc, że Obradovića opanowała niepohamowana żą-

dza wiedzy, radził mu udać się do Kijowa, gdzie jako duchowny mógł znaleść pomoc i naukę w Ławrze Pieczerskiéj.

Właśnie mijał już rok drugi pobytu Obradovića w klasztorze, gdy metropolita, rozgniéwany o jakąś błahostę na starego opata, zesłał go na pokutę do Szyszatovca, zabraniając mu zabrać z sobą ulubionego wychowańca. Ze łzami w oczach pożegnał się starzec z Obradovićem. Oddał mu on cały swój majątek—piętnaście dukatów i zaklinał go, aby porzucił klasztor i, na nic nie zważając, dążył do zdobycia oświaty, powiadając:

— Wolałbym cię widziéć nauczycielem w najlichszéj wioszczynie, aniżeli archimandrytą w klasztorze Opowskim!

Obradović usłuchał rady poczciwego starca i w towarzystwie pewnego młodzieńca, który przez despotę stryja przemocą był osadzony w klasztorze, przebrany uciekł do Chorwacyi, gdzie mieszkali krewni owego młodzieńca. Gościnnie przez nich przyjęty, zwierzył się ze swego planu udania się do Kijowa. Ponieważ były to czasy wojny siedmioletniéj, więc poradzono mu udać się najprzód do Niemiec, gdzie można było znaleść oficerów Serbów w wojsku ruskiém, którzyby mu chętnie ułatwili podróż do Rosyi. W oczekiwaniu okazyi do wyjazdu osiadł Obradović w Zagrzebiu.

Wielką była jego radość, gdy posłyszał, że w tém mieście istnieje kolegium rzymskie; ale dowiedziawszy się, że uczęszczają tam jedynie unici, zaniechał zamiaru słuchania w niém wykładów, aczkolwiek przełożony kolegium zapewniał go, że wcale nie potrzebuje stawać się unitą. „Oto owoce przesądów"—powiada w swéj autobiografii.

Brat kupca, w domu którego mieszkał Obradović, uczeń szkoły jezuickiéj, darował mu gramatykę łacińską i pomagał w nauce tego języka.

Za pośrednictwem gospodarza zapoznał się Obradović z pewnym księdzem serbskim, który zamierzał jechać do Niemiec na stanowisko kapelana wojskowego i szukał pomocnika. Obradović zgodził się pojechać z owym księdzem, za co mu ten obiecał wypłacić po upływie dwóch lat pewną sumę i wyprawić go na swój koszt do Rosyi.

Ale zamiary te nie zostały urzeczywistnione, inny bowiem ksiądz zapłacił więcéj biskupowi i otrzymał patent na wyjazd do Niemiec, a Obradović pozostał nadal w Zagrzebiu.

Tu pewnego razu spotkał w kościele jednego ze swych dawnych towarzyszów, który miał zamiar jechać do Wiednia i namawiał do tego i Obradovića. Atoli biskup Daniel, w którego orszaku mieli towarzysze odbyć tę podróż, zganił zamiar Obradovića, powiadając, że bez znajomości języka niemieckiego trudno mu będzie dać sobie radę

w Wiedniu. Radził on udać się do Dalmacyi, gdzie wówczas potrzebowano dużo nauczycieli ludowych, zebrać tam pewien kapitalik i następnie udać się wprost do Rosyi.

Obradović usłuchał rady biskupa i wkrótce znalazł się w Dalmacyi, gdzie objął miejsce nauczyciela w parafii Jovana Novakovića. Szkółka, w któréj uczył dzieci czytać i pisać, a następnie wykładał im katechizm, była bardzo dobrze uposażoną pod względem materyalnym. Oprócz określonéj płacy miesięcznéj otrzymywał nauczyciel dwie miary pszenicy, nadto pewną ilość nabiału, warzywa, oliwy i owoców. Ale żywność ta była dla niego całkiem niepotrzebną, ponieważ ksiądz uważałby za ubliżenie sobie, gdyby Obradović nie chciał spożywać śniadania, obiadu i wieczerzy. Nieznacznie minęły Obradovićowi trzy lata, spędzone w cichém ustroniu dalmatyńskiém, wśród roskosznéj przyrody i poczciwych prostych ludzi. Miał tu sposobność bliżéj przypatrzyć się życiu ludu, który tu, jak i w innych krajach serbskich był ciemny, zabobonny, pozbawiony prawdziwéj oświaty, a wyzyskiwany przez zgraję mnichów. W ciągu tego czasu zdołał Obradović uciułać sumkę, która pozwoliła mu ciągnąć daléj przerwane wykształcenie.

Dowiedziawszy się, że na górze Athos wykłada znany uczony grecki Eugeniusz Bulgaris, chciał się tam udać, ale w Kotarze (Cattaro) zapadł na febrę, wskutek czego musiał zaniechać podróży morzem.

Za radą pewnego mnicha pojechał do Czarnogórza, gdzie czas jakiś był nauczycielem i gdzie został wyświęcony na księdza. Wstąpiwszy w stan zakonny przybrał imię Dosyteusza.

Wciąż jeszcze trwająca febra zmusiła go do powrotu do Dalmacyi, skąd następnie wyjechał do wód mineralnych w Golubićach, w Bośni. Tu, lecząc się i razem ucząc dzieci, przebył dwa lata. Na początku roku trzeciego wypędza go stąd dżuma i Obradović znowu jedzie do Dalmacyi pod gościnną strzechę księdza Simića, gdzie na prośbę córki jego, Heleny, przekłada kilka mów Jana Chryzostoma na mowę ludową. Przekład ten pod nazwą *Dositeove bukvice* rozpowszechnił się w licznych odpisach po całéj Dalmacyi. Powodzenie pierwszego jego utworu literackiego pobudziło go do dalszéj pracy w tym kierunku, ponieważ zrozumiał, że jedynie w ten sposób może jeden człowiek wpłynąć na cały naród.

Ale pobyt jego w Dalmacyi trwał nie długo; już na wiosnę wybrał się na górę Athos. Po drodze zatrzymał się w Korfu, gdzie w krótkim czasie nauczył się po grecku. Na górze Athos nie zastał już niestety mistrza Eugeniusza; wypędziły go stamtąd intrygi mnichów. Gorszące sceny z życia tychże, oraz zawzięta walka narodowo-

ściowa przez nich toczona, których świadkiem był Obradović, napełniły go odrazą do téj kasty samolubnéj, która wówczas myślała jedynie o powiększeniu swych dochodów, wyzyskując w tym celu pod najrozmaitszemi pozorami masy ludowe.

Usłyszawszy, że na wyspie Patmos istnieje wyższy zakład naukowy, wsiadł Dosyteusz na okręt w zamiarze udania się tam, ale burza zapędziła statek do Smirny w Małéj Azyi. W tém mieście była szkoła, w któréj wykładał słynny pedagog Eroteusz, Grek z Itaki, który całe swe życie poświęcił wykształceniu i wychowaniu młodzieży. Obradović wstąpił do owéj szkoły i przebył tu lat trzy, aż do wojny rusko-tureckiéj. Ponieważ Turcy uważali go za „moskowa", t. j. Rosyanina, zmuszony był przeto do ucieczki i powrócił do Korfu.

Tu spotkał kilku Albańczyków, którzy go namówili do zwiedzania Albanii. Obradović nie mógł oprzéć się wrodzonemu pociągowi ku podróżom i w towarzystwie pewnego zakonnika, eskortowany przez kilku od stóp do głowy uzbrojonych tubylców, zwiedził prawie całą Albanię, czyniąc spostrzeżenia nad życiem i obyczajami nawpół dzikiego, rozbójniczego plemienia. Panowały tam obyczaje grube, dzikie; najmniejsza sprzeczka pociągała za sobą pchnięcie handżaru lub kulę z janczarki. A jednak lud ten nie był pozbawiony od przyrody i dobrych przymiotów. Obradović widział, że jedyną przyczyną złego jest zupełny brak jakiéjkolwiek oświaty, postanowił przeto osiąść na czas dłuższy w tym kraju. Nauczył się wkrótce po albańsku i założył szkółkę, w któréj uczył dzieci, probując stosować alfabet serbski do dźwięków mowy albańskiéj, ku niemałemu zdziwieniu samych Albańczyków. Pokochano go za to serdecznie. Albańczycy pokładali w nim taką ufność, uprosili go, by załatwił pewną, niezmiernie ważną sprawę w Korfu. Udał się więc tam Obradowić i w ciągu kilku miesięcy szczęśliwie zakończył interes, ale do Albanii już nie powrócił, gdyż powstały tam zamieszki i rozruchy, podczas których ani można było myśléć o spokojnéj pracy nauczycielskiéj.

W Korfu zapoznał się z pewnym Grekiem, który mu całkiem bezinteresownie objaśniał klasyków łacińskich i greckich.

Brak środków materyalnych zmusił Obradovića do ponownego udania się do Dalmacyi, gdzie przebył rok cały i skąd nareszcie pojechał do Wiednia. Tu za pośrednictwem konsula greckiego otrzymał dość korzystne lekcye, co mu dało możność wynajęcia nauczycieli języka niemieckiego i francuskiego. W Wiedniu przebył lat siedm i zawiązał w ciągu tego czasu bardzo dużo znajomości. Pomiędzy innymi zapoznał się z arcybiskupem Vidakiem, który ofiarował mu miejsce nauczyciela przy swych synowcach, obiecując za to umieścić go na

swój koszt w jednym z uniwersytetów niemieckich. Ale po upływie dwóch lat daremnie dopominał się Obradović spełnienia obietnicy; biskup nie odpowiadał wcale na jego listy i biédny Obradović przekonał się, że go oszukano.

Osiadł w Tryeście, gdzie zajmował się uczeniem dzieci, ale wynagrodzenie było tak niskie, że poczęło mu zbywać na przedmiotach najniezbędniejszych.

Z tego nieprzyjemnego położenia wybawił go pewien archimandryta ruski — Barlaam, który przybrał go za towarzysza w podróży po Włoszech. Obradović uczył go języka włoskiego, służąc mu jednocześnie za tłómacza i w ten sposób zwiedził Ferrarę, Bolonię, Florencyę, Pistoję, Lukę, Pizę i przez Apeniny przybył do Livorno. Stąd udał się na koszt archimandryty — jak było umówioném—do Konstantynopola, ale po drodze zatrzymał się na czas pewien na Chiosie, zachwycony cudną przyrodą téj wyspy. Tu otrzymał miejsce nauczyciela języka francuskiego i włoskiego z płacą 60 dukatów miesięcznie.

Wkrótce jednak pojechał do Konstantynopola, gdzie złożył wizytę patryarsze, który mu obiecał dostarczyć lekcyi na tysiąc z górą piastrów rocznie. Niestety, dżuma, która zawitała do Konstantynopola, nie dozwoliła mu skorzystać ze względów patryarchy.

Obradović udał się do Galacu, a stamtąd przez Polskę, Śląsk i Lipsk do Hali, gdzie pomimo wieku spóźnionego (liczył podówczas przeszło lat czterdzieści) wstąpił na uniwersytet i słuchał filozofii, estetyki i „teologii naturalnéj” u znanego profesora Eberhardta.

Wobec mnóstwa książek, jakie zobaczył tu po bibliotekach i księgarniach, wobec znacznéj liczby szkół ze smutkiem myślał Obradović o swéj ojczyźnie, która nie posiadała nietylko podobnych zakładów naukowych lub bibliotek, ale nawet literatury zrozumiałéj dla ogółu. To go pobudziło do uskutecznienia oddawna powziętego zamiaru, by wydać taką książkę, którą-by zrozumiał i z zajęciem przeczytał każdy wieśniak serbski.

I oto w r. 1783 znajdujemy go w Lipsku, krzątającego się około wydania własnéj autobiografii p. t.: *Život i prikluczenija Dimitrije Obradovića, narećenoga u kaludjerstvu Dositea, njim istim spisana i izdana.* Książka ta, napisana w języku ludowym, wyszła z drukarni słowiańskiéj w Lipsku i była drukowana nie „cyrylicą”, któréj dotąd wyłącznie używali Serbowie, ale „graždanką”; był to krok dość śmiały, jak na owe czasy. Aby nie tracić czasu, zapisał się Obradović w poczet słuchaczów uniwersytetu w Lipsku i jednocześnie przygotowywał drugie dziełko: *Savjeti zdravoga razuma,* które wyszło w następnym, 1784 roku.

Dwa te dziełka, od których właściwie rozpoczyna się nowożytna literatura serbska, wywarły wielkie wrażenie na publiczności serbskiéj. Uczeni literaci oburzyli się, nie rozumiejąc, jak można pisać mową chłopską, a w dodatku o rzeczach zwyczajnych, na uwagę wcale nie zasługujących; duchowieństwo, a zwłaszcza mnisi, przeciwko nadużyciom których ostro wystąpił Obradović, okrzyczeli go za heretyka, podkopującego powagę religii i kapłanów.

Ale lud zrozumiał i ocenił go całkiem inaczéj. Dziełka te rozchwytywano. Krążyły one w niezliczonéj ilości odpisów po wszystkich ziemiach serbskich: w Baczce, Banacie, Śremie, Slawonii, Dalmacyi, Bośni i t. d., a kto miał możność zdobycia egzemplarza drukowanego — cenił go na wagę złota. Wielu uczyło się na pamięć wyjątków z tych dzieł; inni starali się stosować swe życie do wskazówek w nich zawartych...

Przyczyna takiego powodzenia tkwiła w tém, że Obradović świadomy był dróg, któremi można było trafić do serca i głowy ludu. I nic w tém dziwnego. Sam on wyszedł z ludu, więc od dzieciństwa przypatrywał się jego życiu; następnie wycieczki z opatem klasztoru opowskiego do Śremu, Baczki i Slawonii, daléj pobyt w Dalmacyi, na Czarnogórzu — dały mu możność dokładnego poznania tego ludu. Zarówno treść pouczająca tych utworów, jak i forma prostego opowiadania, przeplecionego mnóstwem anegdot, dykteryjek i uwag moralnych niezmiernie podobały się Serbom—tak, że i dotąd Obradović jest najpopularniejszym pisarzem ludowym.

Tymczasem Obradović, lękając się roztrwonić cały swój kapitalik nie zobaczywszy ani Paryża ani Londynu, wyruszył do Francyi, przebył w Paryżu dwa tygodnie, następnie wsiadł na okręt i udał się do Anglii.

Od kilku towarzyszów podróży, kupców francuskich, otrzymał on listy, polecające go kilku wybitnym osobistościom w Londynie, dokąd przybył w grudniu r. 1784.

Londyn wywarł na nim potężne wrażenie, a mieszkańcy jego podobali mu się nadzwyczaj. W przeciągu trzech miesięcy nauczył się dość poprawnie po angielsku i mógł rozkoszować się czytaniem książek w tym języku.

W osobie kupca Lawy, z którym go poznał pewien Grek, znalazł Obradović szczerego przyjaciela, a rodzinę jego mógł uważać za własną. W ich domu zgromadzali się literaci i uczeni, od których ciekawy Serb mógł dużo skorzystać pod względem umysłowym. Życie w Anglii tak mu się podobało, że z dnia na dzień zwlekał swój odjazd, aż nareszcie w r. 1788 rozstał się z wielkim smutkiem z przyjaciołmi angielskimi i udał się do Lipska, gdzie w tym samym roku wydał „Baj-

ki Ezopa i innych bajkopisarzów" z uwagami, zastosowanemi do ówczesnego położenia Serbów, a zawiérającemi dużo myśli wzniosłych i szlachetnych.

Otrzymawszy list od generała Symeona Zorić'a, który go wzywał do swego majątku na Białéj Rusi, udał się tam przez Wiedeń i przybył do Szkłowa, gdzie Zorić obiecał był założyć drukarnię serbską i dostarczyć mu środków na wydanie dzieł jego. Ale nadzieje co do pomocy Zorić'a zawiodły i Obradović powrócił do Lipska. Śledził on z gorączkowém zajęciem walkę o wyzwolenie, którą rozpoczął podówczas naród serbski i w r. 1789 widzimy go w Wiedniu, gdzie pisze pieśń radosną z powodu wyzwolenia Serbii.

Od tego czasu oddał się wyłącznie pracy literackiéj. W r. 1793 wydał „Zbiór opowieści moralnych". W r. 1802 osiadł w Wenecyi, gdzie mu kupcy serbscy zapewnili dwa tysiące florenów stałéj płacy rocznéj, aby mógł bez troski o jutro zajmować się literaturą. W dwa lata potém wydał podręcznik „Geografii" P. Solarić'a.

W r. 1807, gdy się Serbia całkowicie wybiła z pod jarzma, wezwano Obradović'a do Belgradu, gdzie już istniał rząd narodowy. Obradović został mianowany członkiem senatu i kuratorem szkół. Na tém stanowisku oddał się pracy z zapałem, zakładając szkoły po wsiach i miastach, a w Belgradzie dał początek wyższemu zakładowi naukowemu, z którego następnie rozwinął się obecny uniwersytet serbski *(velika szkola)*.

W r. 1811 zmarł Obradović w niewielkim swym mająteczku pod Belgradem, szczęśliwą śmiercią człowieka, który doczekał się urzeczywistnienia swych najgorętszych życzeń i widział, iż praca jego daremną nie była.

Dosyteusz Obradović, jako człowiek, który wszystko, co posiadał, zawdzięczał własnéj pracy i poświęceniu; który do wszystkiego musiał dochodzić sam, przezwyciężając liczne trudności i nieraz wiele ślepemu trafowi zawdzięczając; który z nabytych wiadomości nie uczynił martwego kapitału, ale spożytkował je dla dobra całego narodu; który nareszcie całe swe życie poświęcił sprawie oświaty i walczył z tém wszystkiém, co stawało mu na drodze do osiągnienia zamierzonego celu—wzbudza w nas niekłamany podziw i szczerą sympatyę.

Z dzieł jego poznajemy go, jako człowieka szlachetnego, prawego, moralnie czystego, wroga wszelkiego fałszu, obłudy, egoizmu i głupoty.

Wszystkie utwory jego noszą charakter dydaktyczny, ponieważ ta forma najbardziéj była zrozumiałą dla ludu serbskiego.

Najwięcéj miejsca poświęca w nim kwestyom oświaty i wychowania, gdyż brak oświaty uważał za jedyną przyczynę materyalnéj i moralnéj nędzy narodu; przeto pragnął mu przedstawić korzyści, płynące z wykształcenia i uzasadnić potrzebę nauki. Nietylko mężczyźni, ale i kobiéty powinny być przypuszczone do korzystania z dobrodziejstw oświaty, aby mogły rozsądnie wychowywać swe dzieci. Według niego kierownictwo szkół powinno przejść do rąk świeckich. Będąc człowiekiem głęboko religijnym, odróżniał on jednak pierwiastki zasadnicze nauki Chrystusowéj od naleciałości późniejszych. Opiérając się na ewangelii, w społeczeństwie pierwszych chrześcian widział ideał, do którego powinien dążyć każdy człowiek wierzący. Rozdział chrześcian według wyznań uważał za zgubny, smucił się tu wielce, zwłaszcza, gdy widział, jak niesnaski religijne dzieliły Serbów katolików od ich współplemieńców prawosławnych. Nie uszło jego baczności, że religia u ludu przetworzyła się w grubą zabobonność, w bezmyślne pełnienie obrządków, bez żadnego rozumienia nauki Chrystusowéj. Główną przyczynę tego faktu upatrywał w ciemnocie duchowieństwa wiejskiego, które samo zaledwie czytać umiało, jakąż więc mogło podać naukę swéj owczarni? Przemawiał przeto gorąco za potrzebą wszechstronnéj oświaty dla duchowieństwa, jako jedynego naówczas przewodnika ludu. Surowo gromił wyzyskiwanie ludu przez mnichów pod pozorami religijnemi. Przyszedł do przekonania, że zakonnicy są ludźmi, nie przynoszącymi żadnéj korzyści społeczeństwu, przeto żądał radykalnéj reformy klasztorów, zmniejszenia ich liczby, jeśli nie całkowitego zniesienia.

Obradović gorąco kochał swój naród i bolały go jego poniżenie i niewola. Marzeniem jego było, aby naród serbski stanął kiedyś na równi z innemi cywilizowanemi narodami Europy. Ale gorąca miłość narodu nie zamykała mu oczu na jego niedostatki i w swych dziełach wskazywał on środki poprawy. Znał Obradović i Słowiańszczyznę i uważał ją za jedną rodzinę, któréj rozłączenie przeszkadzało stać się najpotężniejszym narodem Europy. Monarchię uznawał za najdoskonalszą formę rządu, ale wymagał od rządu nieustannéj pracy nad oświatą narodu, a ideałem monarchy był w jego oczach wielki cywilizator Rosyi, Piotr I.

Długi pobyt na Zachodzie w przeddzień wielkiéj rewolucyi, dał mu możność poznania idei pisarzy francuskich XVIII-go wieku, które chciał zaszczepić w swéj ojczyźnie, ale jako człowiek praktyczny i ostrożny, nie żądał zmian radykalnych. Pragnął przeprowadzić re-

formy stopniowo. Stąd też reformy, przez niego projektowane, mogą wydać się nam zbyt małoznaczącemi, powinniśmy jednak zawsze pamiętać, w jakim stanie było to społeczeństwo, pośród którego pracował.

Aczkolwiek oddał on narodowi wielką przysługę jako pedagog, pisarz ludowy i reformator, główną jego zaletą nazawsze zostanie to, że zadał on cios śmiertelny bezmyślnéj szkole literackiéj słowiano-serbskiéj, nie przynoszącéj żadnéj korzyści ludowi; że on pierwszy wskazał drogę, po któréj powinna iść prawdziwie narodowa literatura, na którą ostatecznie wywiódł ją spadkobierca idei Obradović'a, wielki reformator, Vuk Karadżić.

Leon Wasilewski.



O SĄDACH PRZYSIĘGŁYCH
W GALICYI.

I.

Habent sua fata libelli.

Słowa te poety rzymskiego nasuwają się nam pomimowolnie, ilekroć zastanawiamy się nad instytucyą sądów przysięgłych. Na dwóch ostatnich zjazdach prawników i ekonomistów kwestya użyteczności tych sądów była w szeregu tematów zapowiedzianych, szczególnym jednak zbiegiem okoliczności spadała zawsze z porządku dziennego. I zdawaćby się mogło na pierwszy rzut oka, że temat to zbyt znany, nie nęcący i nie budzący szerszego zainteresowania. Wszak długie lata ściérały się zdania i prądy, zanim idea udziału elementu niefachowego w orzecznictwie w sprawach karnych zwyciężyła. Targnąć się więc na nią byłoby istném świętokradztwem i żadne zamachy nie mogą wzruszyć tych podwalin, na których ona spoczęła. W niej bowiem ucieleśnił się liberalizm i wszechwładztwo ludowe.

Gdy przed kilku laty oparłszy się na wynikach naszego orzecznictwa karnego, wystąpiliśmy przeciw sądom przysięgłych, w prasie podniósł się głos oburzenia i rzucono na piszącego kondemnatę za to, że poważył się zaatakować instytucyę tak liberalną, z takim trudem wywalczoną.

I głos ten poniekąd był słusznym. Przywykliśmy bowiem w są-

dach przysięgłych upatrywać jedynie instytucyę polityczną i z tego punktu widzenia je oceniać. Zapatrywanie to nie jest bez pewnéj racyi, a geneza sądów przysięgłych stwierdza, że tak je początkowo pojęto. Zaprowadzone na kontynencie w czasach wielkich wstrząśnień politycznych i społecznych, spowodowanych wielką rewolucyą francuską, wchodziły w program ówczesnych postulatów politycznych i stanowić miały paladyum wolności osobistéj przeciw wszelkim zamachom władzy państwowéj, a zarazem służyć realizowaniu celów politycznych. Historya też stwierdza, że oddały one niepoślednie usługi i teroryzmowi rewolucyjnemu i despotyzmowi napoleońskiemu. Prawo karne i sprawiedliwość ugiąć się musiały przed wszechwładzą udzielności ludu, uosobionéj w owéj *conviction intime* przysięgłych, będącéj również wyrazem najwyższéj samowoli.

Była to epoka gorączkowego zachwytu, porywu i obudzenia gwałtownego po wiekowym śnie, w któréj dla refleksyi nie było miejsca. Napróżno w Niemczech taka powaga naukowa, jak Feuerbach, a zanim jego adepci, jak Möhl, Häpfner, Jagemann, Grohmann, Vollert i inni wskazywali niebezpieczeństwo, grożące z przeniesienia instytucyi obcéj i niewypróbowanéj na grunt nieprzygotowany. Głos ich musiał przebrzmieć niemal niepostrzeżenie, a wśród wielkich przesileń politycznych w r. 1848 powitano przysięgłych jako prawdziwych reprezentantów uciśnionego ludu. Apoteoza ta w Niemczech dosięgła zenitu, gdy wystąpili autorowie starający się nadać sądom przysięgłych podstawy historyczne i narodowe, przedstawiając je jako instytucyę nawskroś rodzimą, znaną dawnemu prawu niemieckiemu.

Ale już w latach najbliższych po r. 1848 zaczyna budzić się refleksya. Poznano, że zbyt jednostronne zaakcentowanie pierwiastku politycznego z zupełném pominięciem charakteru prawnego jest niebezpieczne, a dla prawnika podobny widnokrąg jest za ciasny i niewystarczający. I zaczęto zadawać sobie pytanie, czy jeżeli ma być usankcyonowany udział elementu niefachowego w jednéj z najważniejszych funkcyi życia państwa, ten udział tylko w formie przyjętéj przez sąd przysięgłych może się dokonać? Zgodzono się w zasadzie, że społeczeństwo musi miéć swych reprezentantów w téj funkcyi życia publicznego, lecz zarazem postawiono kwestyę, czyli forma przyjęta w sądzie przysięgłych jest jedynie uprzywilejowaną, czy też zasada dopuszczenia reprezentantów społeczeństwa może być i w innéj formie przeprowadzona, a dającéj większe rękojmie dla idei prawa. I wówczas utorowało sobie drogę przekonanie, że w téj epoce gorączkowéj za mało uwagi zwrócono na charakter prawny instytucyi sądów przysięgłych i wyrodziło się pytanie, czy rzeczywiście organizacya

ich jest tak doskonałą, iżby ze stanowiska idei prawa i celów sprawiedliwości wytrzymać mogła krytykę.

Zarysowuje się więc wyraźnie charakter prawny instytucyi sądów przysięgłych i pod hasłem tém zaczynają ścierać się zdania. Występują do walki przeciwnicy sądów przysięgłych, jednak nie pod hasłem reakcyjném lub antiliberalném. Najżarliwsi antagoniści bynajmniéj nie atakują idei reprezentacyjnéj, ucieleśniającéj się w sądzie przysięgłych, nie przeoczają téż wielkich korzyści, jakich przysparza zbliżenie społeczeństwa do prawa i tendencya wyrównania tych różnic, jakie uwydatniają się między prawem pisaném abstrakcyjném, a stosunkami życiowemi. Wszak i oni bronią zapatrywania, że sędzia powinien być tłómaczem prawa na to ustanowionym, by to prawo rozciągał i prostował dedukcyjnie i kazuistycznie, by analizował objawy życia, by nie był to człowiek nie znający tego życia i jego pulsowań, a myślą gdzieś w abstrakcyach krążący. Przeciwnicy ci nie stoją więc wcale na stanowisku, jakoby tylko władza państwowa przez swe organy powołana była do realizowania prawa w wypadku jego naruszenia i nie bronią zapatrywania owego filozofa niemieckiego, jakoby usunięcie sędziów państwowych było negacyą państwa i podkopywało byt i istnienie jego, lecz dla nich forma przyjęta w sądzie przysięgłych nie jest dla idei prawa idealną i doskonałą.

Nie mamy tu oczywiście na myśli owego antagonizmu kastowego, który początkowo stanął do walki. Był to antagonizm koteryjny, biurokratyczny, formalistyczny, nie mogący pogodzić się z myślą, aby element inny, żyjący w sferze odmiennych pojęć i wyobrażeń mógł przysporzyć jakich korzyści w usługach wymiaru sprawiedliwości. W Austryi scholastycyzm ten zapleśniały przyczynił się w pewnéj mierze do upadku sądów przysięgłych, zaprowadzonych po raz pierwszy po wypadkach marcowych. Był to żywioł nawskroś reakcyjny, wrogi wszelkim liberyalnym inowacyom.

W czasach ostatnich spotykamy się ze znaczącym symptomem, że propagandę przeciw sądom przysięgłym podjęto w obozie zupełnie innym, bo w najbardziéj postępowym.

Wiadomo, że w nauce prawa karnego rozpoczął się od pewnego czasu okres fermentacyi i przesilenia. Nowe doktryny, zasilone zdobyczami nauk przyrodniczych i społecznych, wywołały ten prąd ewolucyjny, wobec którego runąć mają dzisiejsze instytucye prawne. Przyszła sprawiedliwość karząca postępować ma odmiennemi torami. Wielkie zagadnienia prawa karnego mają być rozwiązywane na innych podstawach, niż je rozwiązuje dzisiejsza apryorystyczna jurysprudencya klasyczna. A jedném z haseł wywieszonych na sztandarze tych

nowych szermierzy jest celowe zorganizowanie walki z przestępstwem i obrona społeczeństwa zagrożonego w swych podstawach.

Musi być to społeczeństwo w podstawach swego bytu zagrożone, wołają włoscy pozytywiści, skoro werdykty sądów przysięgłych przyczyniają się do wzrostu ogólnéj przestępności, a przysięgli przywłaszczyli sobie prawa monarsze, bo prawo ułaskawiania. To też między postulatami szkoły antropologicznéj i między punktami programowemi zwolenników jéj rozmaitych odcieni, znajdujemy jako jeden z najskuteczniejszych środków torujących przyszłą reformę społeczną: zniesienie sądów przysięgłych.

Moglibyśmy wymienić cały szereg dźwięcznych nazwisk między koryfeuszami nowych horyzontów, przepowiadających w niedalekiéj przyszłości upadek téj, początkowo tak sympatycznie powitanéj instytucyi, którą Włosi od pewnego czasu zaczęli z jawnym przekąsem nazywać *baroque*; chcielibyśmy jednak odwołać się do zdania niewątpliwie najznakomitszego współczesnego kryminologa francuskiego, Tarda, który aprobując najzupełniéj stanowisko zajęte przez włoskich antropologów, dowodzi, że dalsze istnienie sądów przysięgłych równa się zastojowi. Bo cóż powołało je do życia—pyta Tarde—czy istotna potrzeba, upatrująca w nich największe rękojmie skutecznego wymiaru sprawiedliwości? Była u nas epoka naśladowniczości, wskazywano nam Anglię urządzającą swe interesy prawne na szerokich podstawach samorządu, olśniewał nas liberalizm wiekowy angielski i przenieśliśmy na grunt nasz instytucyę, która w swym zaczątku nosiła już zaród śmierci. Głosowi Tarda wtóruje cała plejada kryminologów nowych szkół rozmaitych odcieni, zarówno Włosi, Francuzi, Belgijczycy, Niemcy.

Lecz porzućmy antropologów, nie przyjmujących funkcyi sądzenia w obręb swych doktryn, lecz wierzących w klasyfikatorów zastępujących miejsca sędziów, porzućmy tych przyszłych organizatorów społeczeństwa, których wyznawcy klasycznéj jurysprudencyi, nazywają utopistami, a ich doktryny paradoksalnemi, i posłuchajmy, co mówią klasycy, nicujący projekty reformatorskie pozytywistów.

W Niemczech propaganda nieprzychylna sądom przysięgłych znalazła wyraz w rezolucyach uchwalanych na kilku zjazdach prawników, a były pruski minister sprawiedliwości, Leonhardt, nosił się z myślą zastąpienia sądu przysięgłych wielkim sądem ławniczym. Jak wiadomo, w Niemczech od lat długich toczy się walka dotychczas nierozegrana między sądami przysięgłych a ławniczemi. Walka ta, początkowo namiętnie prowadzona, przyczyniła się do olbrzymiego wzrostu niemieckiéj literatury prawniczéj, dziś jednak dobiega

już kresu ostatecznego i w niedalekiéj przyszłości zakończy się zwycięstwem sądów ławniczych. Wyrazem przechylenia się szali na rzecz sądów ławników jest rezolucya uchwalona na XVIII-ym zjeździe w r. 1886-ym:

1. Sądy ławnicze okazały się w praktyce użytecznemi.

2. Obecna organizacya sądów przysięgłych wymaga gwałtownie reformy.

Rezolucya ta jednak uchwalona została po zaciętéj szermierce. Niemal wszyscy uczestnicy zjazdu oświadczyli się przeciw sądom przysięgłych, którego wyroki są wymownem świadectwem przeróżnych nieobliczalnych niekonsekwencyi. Całą instytucyę poddano gnębiącéj krytyce, rezolucya Olshausena, proponująca *votum* nieufności sądom przysięgłych zyskała niemal ogólny poklask, a w ostatniéj dopiéro chwili ocalił je liberał wiedeński Jacques. Trafiła do przekonania argumentacya, że sprawa jeszcze nie jest dojrzałą, aby ogłaszać światu bankructwo tak doniosłéj instytucyi.

II.

W Austryi upływa w roku bieżącym dwudziestolecie wprowadzenia w życie sądów przysięgłych. Okres to czasu poważny i dostateczny, aby bezstronnie i bez uprzedzenia zdać sobie sprawę z działalności téj instytucyi, która i w Galicyi powitana została jako jedna z największych zdobyczy, osiągniętych w zakresie prawa politycznego. Dziś już ten zapał ostygł, gorący entuzyazm zniknął, a miejsce jego zajęła refleksya. Nawet najzagorzalsi zwolennicy zasady reprezentacyjnéj w sądownictwie, nie zapatrują się na nią tak różowo, jak z początku i przyznają, że są pewne braki, które wymagają poprawy. W społeczeństwie zaś zdania są podzielone. Werdykt krzywdzący i stający w sprzeczności z poczuciem prawném ogółu, wywołuje okrzyk oburzenia i wyrazy potępienia. I niestety, w czasach ostatnich coraz częściéj spotykamy się z głosami niechęci, a przypominamy sobie, że gdy niedawno w Galicyi w pewnéj sprawie sensacyjnéj, ława przysięgłych wydała werdykt, nie zgadzający się z zapatrywaniem ogółu, opinia publiczna dotknięta i obrażona, gotowa była stanąć do walki i znieść ławę przysięgłych. Lecz opinia ta jest chwiejna, zmienna a pod wrażeniem werdyktu jéj sympatycznego nuci hymny pochwalne.

I najwyższa administracya sądowa nie występuje już z owym bałwochwalczym entuzyazmem w obronie werdyktów sądów przysię-

głych, jak to swego czasu czynił Glaser, ów najżarliwszy propagator idei autonomicznéj w orzecznictwie karném.

W latach ostatnich odbyło się w Austryi kilka procesów głośnych i mających ogólniejsze znaczenie, komentowanych następnie w ciałach parlamentarnych i prasie, a stawiających sędziów przysięgłych w niekorzystném świetle.

Procesy te dały asumpt ministrowi sprawiedliwości do wydania reskryptu z 3 listopada 1892 r. Minister daje tu krótki pogląd na działalność sądów karnych w ostatniém dwudziestoleciu, a przechodząc następnie do sędziów przysięgłych poddaje ich orzecznictwo ujemnéj krytyce i w sposób jasny i niedwuznaczny wypowiada swe niezadowolenie. „Instytucya sądów przysięgłych, żywo atakowana z jednéj strony, z drugiéj uznawana za niezbędną rękojmię urządzeń liberalnych, nie zupełnie odpowiedziała daleko posuniętym wymaganiom, które przypisały jéj z góry moralną siłę świadomości prawnéj, taką, iż walki życia politycznego naruszyć jéj nie są zdolne", — tak przemawia minister pod adresem sędziów przysięgłych. Prasa przyjęła ten okólnik w ogólności sympatycznie, korząc się przed prawdą słów w nim wypowiedzianych.

W czasach ostatnich spotkaliśmy się dwukrotnie z pewnemi głosami, mającemi symptomatyczne znaczenie i dającemi nam wiele do myślenia. W jednym procesie przeprowadzonym w pewném niemieckiém mieście prowincyonalném, przewodniczący rozprawy zwrócił się wprost do sędziów przysięgłych, karcąc ich za to, że wydają werdykta gwałcące poczucie prawa, a w drugim z trybuny prokuratorskiéj padły słowa zabójczéj krytyki na temat zbyt częstych i nieuzasadnionych uwolnień. I w jednym i w drugim wypadku postąpiono nielegalnie z ujmą niezawisłości sędziów przysięgłych, a jednak widocznie nie błahe musiały zachodzić powody, skoro zdecydowano się na krok niebywały w rocznikach orzecznictwa karnego. Sporadyczne to wprawdzie wypadki, nie omylimy się jednak, twierdząc, że admonicya udzielona w tych procesach przysięgłym, jest wyrazem opinii, panującéj w sferach sędziów zawodowych. A wcale niepodobna ich posądzić o antagonizm kastowy, gdy na widok zdeptanéj sprawiedliwości nie mogą powstrzymać się od głosu tłumionego oburzenia.

Bo téż szczególną etyką kierują się przysięgli. Zasiadłszy na ławie ulegają dziwnéj metamorfozie. Znaliśmy mężów surowych zasad, a nawet wytrawnych prawników, którzy powołani na stanowisko przysięgłego posuwali pobłażliwość dla ułomności ludzkich, wchodzących w kolizyę z kodeksem karnym do najskrajniejszych granic i z punktu widzenia ogólno-ludzkiego starali się najwstrętniejsze zbrodnie uniewinnić. Mają oni swój odrębny kodeks, nie paragrafowy

wprawdzie, w który ślepo wierzą, ignorując wszelkie prawo pozytywne. Wyrobiło się przekonanie, niestety, na prawdzie osnute, że pewne kategorye ciężkich przestępstw uchodzą w naszém społeczeństwie bezkarnie. Od lat kilkunastu nie pamiętamy wypadku, aby dzieciobójczyni była potępiona. Nieodgadnione, zmienne, urągające prawu zapatrywanie podmiotowe zaważa częstokroć na szali sprawiedliwości.

Wszechwładza przysięgłych wyradza się w pewnego rodzaju cynizm szydzący z prawa, a nieraz słyszymy głosy chełpienia się, że mimo przekonywającego materyału dowodowego, uwolniono oskarżonego. Idea sprawiedliwości cierpi, jeżeli w społeczeństwie pomniejsze naruszenia prawa ścigane bywają z bezwzględną surowością, a cięższe, wstrząsające podwalinami bytu tegoż nie doznają represyi. Odium jednak nie spada na reprezentantów tego społeczeństwa, wydających te krzywdzące wyroki, lecz na organy władzy państwowéj i podnoszą się zażalenia na złe funkcyonowanie sądownictwa.

Najlepiéj pojął i zrozumiał etykę przysięgłych świat zbrodniczy, który wzamian darzy ich bezgranicznèm zaufaniem.

Najdosadniéj jednak występuje cała nieudolność sądu przysięgłych w procesach o obrazę czci, popełnionych treścią pisma drukowego, a należących według ustawy wprowadczéj przed *forum* sądów przysięgłych. Wpływy zewnętrzne, namowa, głos opinii publicznéj, często błędnéj, gonienie za popularnością, czasami namiętność, źle pojęty sentymentalizm i karygodne niemal lekceważenie tego, co jest najdroższém dla jednostki, — to wszystko składa się, że dziś wiara w sprawiedliwość werdyktów, w tych sprawach wydanych, zupełnie upadła. A nie są to sprawy błahe i nieznaczące. Cóż może być boleśniejszém, jak targnięcie się na cześć i to ujść ma bezkarnie, a nawet wyrokiem sądowym otrzymać sankcyę!

Zrozumiały to sfery miarodajne, skoro zdecydowały się ścieśnić kompetencyę sądów przysięgłych, wyjmując te sprawy z pod ich orzecznictwa i przekazując zwykłym trybunałom. Projekt odnośny na pozór reakcyjny, bo ścieśniający atrybucye sądów przysięgłych, zyskał jednak powszechny poklask, lubo nie doczekał się jeszcze parlamentarnego traktowania.

Zapytajmyż się teraz, w jaki sposób urząd sędziego przysięgłego bywa w Galicyi wykonywany i oprzyjmy naszą odpowiedź na obserwacyach, jakie poczyniliśmy, spełniając przez długie lata urząd sędziego zawodowego, w ostatnich czasach zaś urząd sędziego przysięgłego. Wstrzymujemy się od wszelkiéj przesady i kreślimy te nasze uwagi bez żadnego uprzedzenia. Wyrobiło się u nas niestety na prawdzie osnute mniemanie, że cała instytucya w swém praktycznèm zastosowaniu po-

zostawia bardzo wiele do życzenia. To już oczywiście nie wina organizacyjnych jéj podstaw, lecz wina czynników biorących udział w procesie, a powołanych do ich strzeżenia i poszanowania. Czujemy, że podnosimy zbyt ciężki zarzut, rzucając bezwzględną kondemnatę na instytucyę tak poważną i może krzywdzimy ją, generalizując nasze zarzuty; a jednak te gorzkie słowa nasuwają się nam mimowoli.

I znowu musimy zarejestrować pewien fakt symptomatyczny, który w ostatnich czasach miał się u nas zdarzyć. Fakt ten odosobniony może jeszcze, niczego nie dowodzi i nie nadaje się do wysnucia wniosków generalizujących, jest jednak tak znamienny, że nie możemy powstrzymać się od podania go do wiadomości.

Czerpiemy te wiadomości ze sprawozdań dziennikarskich, może nie zupełnie wiernych, i podajemy téż z tém zastrzeżeniem. W pewném mieście zwrócono uwagę, że pewnych kategoryi obywateli posiadających kwalifikacyę na urząd sędziego przysięgłego nie umieszczano systematycznie na liście pierwotnéj. Czy działo się to z wiedzą i zgodą tych obywateli, czy téż wina spada na inne czynniki, o tém nic mamy wiadomości; wiemy jednak, że sprawa była przedmiotem postępowania karnego.

Idźmy daléj i przypatrzmy się scenom prawdziwie upokarzającym, jakich widownią jest sala sądowa przed rozpoczęciem rozprawy w czasie tworzenia składu ławy przysięgłych. I widzimy obraz nie licujący ani z powagą miejsca, ani z owym wysławianym liberalizmem. Ileż to prób, zabiegów, kłamstw, aby tylko uwolnić się od sądzenia. Wyszukuje się przeróżne prawdziwe i nieprawdziwe przeszkody, apeluje się do znajomości, protekcyi, a jeżeli wyjątkowo znajdzie się prokurator lub obrońca, głuchy na te prośby i modły, poddaje się wreszcie przysięgły z nietajoną niechęcią swemu losowi z tém przekonaniem, że spełnił w usługach społeczeństwa wielką ofiarę.

I to wszystko odbywa się w obliczu całego zgromadzonego trybunału, w obecności oskarżonego, który będąc widzem scen gorszących, stracić może wiarę i zaufanie do sędziów, w rękach których spoczęły jego losy.

Podnosimy więc zarzut względem prokuratorów i obrońców, którzy przy wykonywaniu służącego im prawa wyłączenia, nie kierują się względami rzeczowemi, lecz czy dla zdobycia sobie popularności, czy téż z lekceważenia przyjętych obowiązków, przyczyniają się pośrednio do demoralizacyi ławy przysięgłych.

Podnosimy wreszcie zarzut przeciw przewodniczącym, którzy z mocy przysługującéj im władzy policyjnéj, winni skarcić podobne, uwłaczające majestatowi sprawiedliwości praktyki.

A nie jest to sprawa błaha i nic nie znacząca, jakby na pierwszy rzut oka zdawać się mogło.

W czasie przedostatniéj kadencyi w trybunale lwowskim, naliczyliśmy kilkunastu przysięgłych, którzy ani razu nie zasiedli na ławie. Byli to właśnie ci przysięgli, którzy dawali największą rękojmię, że ze zrozumieniem spełnią swój obowiązek. I znalazł się jeden przysięgły, nie cieszący się względami prokuratora i obrońcy, który w sali sądowéj publicznie zrobił wyrzut prokuratorowi, że faworyzuje jednych kosztem drugich. W izbie zaś przysięgłych nie rzadko usłyszéć można głosy oburzenia na stronne postępowanie odnośnych czynników. Przedstawiamy jedynie wiązankę faktów odosobnionych i luźnych, niestety, zbyt często powtarzających się, z których stworzyć sobie można obraz całości.

Ustawodawstwo austryackie oparło instytucyę sądów przysięgłych na systemie mieszanym, powołując na urząd sędziów przysięgłych obywateli opłacających podatek w pewnéj wysokości, lub bez względu na podatek, posiadających pewien szczególny stopień wykształcenia. W tém połączeniu systemu szacunku majątkowego z systemem zdolności osobistéj, ustawodawstwo upatrywało jedną z najistotniejszych gwarancyi sprawiedliwości werdyktów, sądziło bowiem, że żywioł inteligentny, współdziałając z żywiołem mniéj oświeconym, usunie niejedne braki, wynikające z niskiego poziomu pewnéj części przysięgłych.

Intencya jednak ta ustawodawcy została niezrozumiana lub w praktyce wypaczona. Obywatele, w rękach których mógłby z całym spokojem spocząć los sprawy, usuwają się od spełnienia tego obywatelskiego obowiązku, spychając ciężar sądzenia na swych współobywateli, wprawdzie chętnych, lecz najmniéj do sądzenia powołanych. Sama znajomość czytania i pisania obok opłacania pewnego podatku, nie jest jeszcze świadectwem kwalifikującém przysięgłego, który w sprawach, zwłaszcza wymagających wytrawniejszego sądu i nastręczających pewne trudności i dla prawnika zawodowego, nie może spełnić należycie urzędu nań włożonego. Znane są nam procesy, w których przysięgli wydawali werdykta uwalniające z téj prostéj przyczyny, że nie pojęli i nie zrozumieli sprawy sądzonéj, a wydawali wyrok uwalniający, nie chcąc obciążyć swego sumienia. Wogóle to sumienie, to przekonanie sędziego przysięgłego, mające dla niego powagę najwyższéj instancyi, jest w jego pojmowaniu czémś bardzo elastyczném, wygodném i sankcyonującém najwyższą krzywdę, wyrządzoną idei sprawiedliwości.

Uwagi nasze skierowane są przedewszystkiém pod adresem sę-

dziów przysięgłych w Galicyi, w miastach zwłaszcza prowincyonalnych. Niski poziom inteligencyi, obniżenie się poczucia prawa i zobojętnienie wobec tych form bezprawia kryminalnego, które nie naruszają najwyższych dóbr—wszystko to składa się na zdyskredytowanie i dekadencyę wartości werdyktów.

Jeżeli do tego dodamy, że przysięgli w przeważnéj części rekrutują się z ludności ubogiéj, walczącéj z nędzą, ludności, dla któréj przebywanie w siedzibie trybunału sądu przysięgłych połączone jest z ciężkiemi ofiarami, że zdarzają się wcale nie rzadkie wypadki, iż ogołoceni z najpierwszych potrzeb, dopraszają się o przyznanie im choćby nieznacznego wynagrodzenia; to będziemy mieli w najgłówniejszych konturach obraz instytucyi téj obywatelskiéj, jak ona w świetle praktyki się przedstawia. Stosunki te idą, niestety, w parze z ogólnym stanem ekonomicznym ludności krajowéj, czego nie spotykamy w innych krajach koronnych.

Wypada nam jeszcze o jeden specyficznie galicyjski objaw potrącić, z którym przecież liczyć się nam należy. Zrobiliśmy spostrzeżenie, że przysięgli wyznania izraelskiego w sprawach swych współwyznawców kierują się niestety bezprzykładną stronniczością, wydając niemal z reguły wśród najoczywistszych dowodów werdykty uwalniające. Separatyzm wyznaniowy wszedł w kolizyę z poczuciem sprawiedliwości i odniósł nad niém zwycięstwo. Galicya acz uboga, jest często widownią oszustw i szalbierstw, popełnianych z niesłychanym sprytem i wyrafinowaniem. W miarę rozwoju stosunków społecznych rozwija się i zmysł spekulacyjny w kierunku oszukańczym i temu téż przypisać należy, że sądy nader często mają do osądzenia zawiłe postaci bezprawia kryminalnego, wymagające prawdziwie wytrawnego zmysłu jurydycznego. W tém właśnie mistrzami są Izralici, którzy w inwencyi oszukańczéj dochodzą niemal do doskonałości. Żyd galicyjski, ciemny, nieoświecony, religijnie sfanatyzowany, odznacza się jednak niezrównaną pomysłowością w obejściu ustawy i ofiarą jego padają całe masy ludności chrześciańskiéj. Etyczny jego pogląd każe mu w najoczywistszém bezprawiu upatrywać coś dozwolonego i nie podpadającego pod sankcyę karnych przepisów.

Ta etyka jest w przeważnéj części ludności izraelskiéj w Galicyi wkorzenioną i zazwyczaj Żyd, będący sędzią przysięgłym, z całym spokojem, mimo obciążającego materyału dowodowego, uwalnia swego współwyznawcę. Argumentacya jego nawskroś egoistyczna. *Hodie mihi, cras tibi.*

Spostrzeżenia nasze podzielają i prokuratorowie, jakkolwiek z dobrze zrozumianych powodów, publicznie z niemi nie występują.

Jest to jednak głośną tajemnicą, wszystkim nam dobrze wiadomą, że jedynie w braku wiary w bezstronność wykluczają prokuratorowie przysięgłych wyznania izraelskiego od udziału w sprawach ich współwyznawców.

Nie poruszalibyśmy tego objawu i nie nadawalibyśmy mu wielkiéj doniosłości, gdyby nie ta okoliczność, że w ostatnich czasach zaczęto u nas na ten separatyzm wyznaniowy zwracać baczniejszą uwagę. Początkowo uchodził on w społeczeństwie niemal niepostrzeżenie, dziś zanadto wyraźnie zarysował się, aby go można milczeniem pominąć. A zarejestrujemy ten objaw nie bez pewnéj restrykcyi. Nie rzucamy kondemnaty na całą ludność izraelską i nie odsądzamy jéj od cnót obywatelskich. Są w Galicyi obywatele wyznania izraelskiego przejęci prawdziwym duchem obywatelskim i spełniający urząd sędziego przysięgłego z całém zaparciem, odczuwający w całéj pełni wzniosłość i szczytność zadania na nich włożonego. Oby takich jak najwięcéj było.

Kreśląc te uwagi zaczerpnięte z życia, mamy oczywiście na względzie owe normalne warunki, wśród których sąd przysięgłych funkcyonuje. Miarą naszéj oceny nie mogą być owe wyjątkowe stosunki, które w danéj chwili społeczeństwem wstrząsają. Rozszalałe namiętności polityczne, zaślepiony antagonizm narodowościowy i inne zewnętrzne wpływy, podkopać mogą nieraz wiarę w prawidłowe funkcyonowanie sądów przysięgłych. Są to jednak zjawiska efemeryczne, przemijające i które nie mogą być brane za podstawę naszych rozmyślań.

III.

Na II im zjeździe prawników i ekonomistów w r. 1889 przedłożyliśmy referat: „Czy i o ile okazały się w Galicyi w praktyce sądy przysięgłych użytecznemi" i postawiliśmy tezę: „sądy przysięgłych nie odpowiedziały w Galicyi swemu zadaniu i w praktyce nie okazały się użytecznemi".

Dziwnym zbiegiem okoliczności podobną ujemną opinię wydał na tymże zjeździe i prof. Krzymuski, uznając sąd przysięgłych „za instytucyę nierozumną i w najwyższym stopniu niebezpieczną dla porządku prawnego".

Pierwszy referat posługuje się dosyć obfitym materyałem statystycznym, nagromadzonym w publikacyach urzędowych centralnéj komisyi statystycznéj, i przedstawia w świetle cyfr działalność sądów tych tak

w ogólności jak i w poszczególnych przestępstwach, drugi sięgnął do organizacyjnych podstaw téj formy sądów, a stawiając pewnik, że o winie kryminalnéj, mieszczącéj tyle zawiłości i kwestyi czysto prawnych, orzekać może i powinien tylko sędzia fachowy, odsądza sędziego niefachowego od zdolności oceniania faktu prawnego, odsądza go od udziału w orzecznictwie, widząc w nim dla wymiaru sprawiedliwości karnéj czynnik wielce niebezpieczny. Zdaniem prof. Krymuskiego w tém leży najsłabsza strona instytucyi sądu przysięgłych, podkopująca byt jéj w najistotniejszych podstawach.

Przeciwko obudwu tym opiniom wystąpił prof. Ostrożyński w swym referacie przygotowanym na zjazd, a niestety, spadłym z porządku dziennego. Odpowiadając na postawioną tezę, „w jakim kierunku należałoby przeprowadzić reformę sądów przysięgłych, by instytucyę tę uczynić pożyteczniejszą przy wymiarze każdéj sprawiedliwości", stawia sprawozdawca następujące wnioski:

1) Należy sądy przysięgłych nadal zatrzymać przy wymiarze karnéj sprawiedliwości w sprawach o najcięższe przestępstwa i przestępstwa polityczne, pozostawiając im orzekanie w kwestyi czynu;

2) rozszerzyć przyjęty przez obowiązujące prawo szereg przyczyn niezdolności do sprawowania urzędu sędziego przysięgłego, wymagając do sprawowania tego urzędu większego, aniżeli dotychczas, wykształcenia i nieskazitelnego charakteru;

3) odjąć temu urzędowi cechę ciężaru, jaką ma dotychczas, płacąc sędziom przysięgłym za sprawowanie funkcyi odpowiednie wynagrodzenie.

Sprawozdanie prof. Ostrożyńskiego bynajmniéj nie neguje obniżenia się wartości werdyktów sędziów przysięgłych i uznaje tén zasadność podnoszonych przeciw nim zarzutów. Mimo to, ta forma udziału elementu niefachowego jest dla sprawozdawcy najidealniejszą i stojącą wyżéj od formy sądownictwa mieszanego, zaproponowanéj przez prof. Krzymuskiego, w któréjby, zdaniem wnioskodawcy, sędziowie zawodowi już z mocy swego stanowiska musieli miéć przewagę nad sędziami niefachowymi.

Jeżeli sędziowie z ludu nie zawsze stoją na wysokości swego zadania, jeżeli ich wyroki spotykają się z zasłużoną, a czasami surową krytyką, to, według słów sprawozdania, przyczynę tego stanu upatrywać należy „nie w saméj instytucyi, lecz w obecnym jéj składzie, a głównie w téj okoliczności, że obowiązek sprawowania funkcyi sędziego przysięgłego wkłada obowiązujące prawo na ludzi, którzy inteligencyą swą nie mogą sprostać zadaniu, do którego spełnienia ich powołano".

Są to słowa sprawozdania prof. Ostrożyńskiego, które dosłownie powtarzamy.

Zastanówmy się nad projektowanemi przez wnioskodawcę środkami, czy zdołają one ocalić upadającą instytucyę, lub przynajmniéj usunąć te wadliwości, które nawet i najwięksi zwolennicy odczuwają.

Wniosek pierwszy jest *petitio principii* i nie zawiéra korektury istniejącego stanu.

Dwa następne wnioski są natury organizacyjnéj. Pierwszy dąży do podniesienia poziomu inteligencyi sędziów ludowych, drugi do ulżenia ciężarów z urzędem tym połączonych.

Każdy, obeznany z historyą powstania sądów przysięgłych, przyznać musi, że kwestya zorganizowania tych sądów była przedmiotem wszechstronnych rozpatrywań, przeróżnych wniosków i kontrowersyi, które znalazły wyraz w prawodawstwach pozytywnych, przedstawiających w téj mierze dziwną mozaikę.

Był czas, kiedy entuzyazmowano się projektem Feuerbach'a i innych jego naśladowców, którzy domagali się, aby winnego sądzili tylko mężowie o tym samym stopniu inteligencyi i pochodzący z téj saméj sfery społecznéj. Taki skład ławy, rekrutujący się z mężów téj saméj klasy społecznéj i tych samych zapatrywań i przekonań, zapewnić miał należyte zrozumienie indywidualności, tak sprawy, jak i oskarżonego.

Idea ta, przypominająca owo *judicium parium* z angielskiéj *magna charta,* a sądzące spory, wynikłe pomiędzy wasalem a panem lennym, nie znalazła nigdzie oddźwięku. Bezstronny i celowy wymiar sprawiedliwości upatrywał największą rękojmię, jeżeli na ławie przysięgłych zasiądą mężowie niezależni, niezłomnego charakteru, wykształceni, nie kierujący się ani religijnym fanatyzmem, ani politycznym partykularyzmem.

Lecz jaką drogą postąpić, aby zapewnić sobie współdziałanie najodpowiedniejszych czynników, w tém właśnie leży cała trudność zagadnienia.

Historya francuskiéj *jury* poucza nas, że chwytano się przeróżnych systemów. Był czas, kiedy we Francyi domagano się, na wzór ustawodawstwa angielskiego, zaprowadzenia specyalnéj *jury* dla spraw poszczególnych kategoryi, wymagających do osądzenia specyalnych wiadomości. Według ustawy z r. 1791, dla fałszerstw i bankructw złożona być miała ława przysięgłych z *citoyens éligibles ayants les connaissances relatives au genre du délit.* Tą samą drogą poszedł kodeks z 3 *brumaire l'an IV,* rozszerzając zakres spraw przekazanych temu sądowi wyjątkowemu. Wnet jednak powstaje ożywiona opozycya. Sądzono, że podobne sądy uprzywilejowane sprowadzić mogą wyłom

w zasadach sądu przysięgłych i osłabić do nich zaufanie całego społeczeństwa i znikają one w prawie obowiązującém.

W czasach pierwszéj rzeczypospolitéj nakazano wpisywać na na listę przysięgłych *propres à remplir les fonctions des jures*, przy redakcyi kodeksu z r. 1808 powołano reprezentantów trzech klas: posiadaczy ziemskich, uczonych i kupców, a ustawa z r. 1827 upatrywała najzbawienniejszą kombinacyę w połączeniu żywiołu inteligentnego z szacunkiem majątkowym. Najnowsza ustawa z 21 listopada 1892 r. wprowadziła radykalne zmiany i oparła się w głównych zarysach na ustawodawstwie niemieckiém.

Ustawa belgijska z r. 1838 wprowadziła w systemie francuskim pewną modyfikacyę. Podniesiono znacznie *census* podatkowy, przyczém uwzględniono właściwości lokalne i stopień zamożności pojedyńczych prowincyi. Najliberalniejszą i najbardziéj warującą zasadą samorządu była organizacya sądów przysięgłych, wprowadzona w r. 1844 w kantonie Genewskim. Porzucono system francuski, jako zbyt plutokratyczny i zgodzono się z listy wyborców powoływać przysięgłych. Oparto więc zdolność sprawowania urzędu sędziego przysięgłego na prawie wyborczém, każdy więc, znajdujący się w posiadaniu ogólnych praw obywatelskich, mógł być powołanym na urząd przysięgłego.

Amerykański proces, opiérający się w głównych swych zasadach na procesie angielskim, wyemancypowany od wszelkich przestarzałych reminiscencyi i zastosowany do liberalnych urządzeń amerykańskich, idzie jeszcze daléj. Każdy wolny obywatel posiada tém samém zdolność zajęcia krzesła sędziowskiego, a pośród tych wielkich mas uprawnionych los wybiéra tych mężów, którzy mają być przyjęci na listę służbową. System ten, niwelujący wszystkich, nieuwględniający wszelkich innych wymogów, które w Europie stawiamy, jest o tyle niebezpieczny, że na urząd sędziów powołani być mogą mężowie, nie posiadający ani moralnéj, ani umysłowéj kwalifikacyi do sądzenia innych. Znawcy jednak stosunków amerykańskich twierdzą, że tamtejsza ława przysięgłych, złożona z przeróżnych żywiołów, czasami o przeszłości bardzo wątpliwéj, mimo to prawidłowo funkcyonuje. Praktyczny zmysł Amerykanów, szydzący z wszelkich frazesów, deklamacyi i sentymentalizmu, wysoki stopień wykształcenia politycznego, poszanowania dla ustawy pogwałconéj, — oto są rękojmie, chroniące instytucyę tę w Ameryce od wypaczenia. Jeżeli do tego dodamy, że amerykański proces domaga się od przysięgłych, aby wydali werdykt swój według reguł *evidence*, a więc oparty na zaprodukowanych dowodach, że sędzia, kierujący roprawą, objaśnia im przy każdéj sposobności owe prawidła dowodowe i ostrzega ich, aby nie pomijali ich, to oczywiście mi-

mo woli przyznać wypadnie organizacyi amerykańskiéj wyższość nad naszą, każącą przysięgłym pod hasłem owéj nieuchwytnéj i nieokreślonéj *conviction*, czy też *conscience du jury* przystępować do spełnienia zadania i korzącą się przed *omnipotence du jury*.

Pomijamy ustawodawstwo angielskie, którego główna zaleta polega na tém, że ochroniło uboższe warstwy ludności od spełniania urzędu przysięgłego, połączonego niejednokrotnie z dotkliwym uszczerbkiem, i zadajemy sobie pytanie, czyli nowoczesne nasze kodyfikacye dążą do tego, aby tylko najdzielniejsze siły społeczeństwa powołane były do zasiadania na ławie przysięgłych.

Ustawodawstwo niemieckie opiéra się wyłącznie na systemie zdolności osobistéj, odstępując zupełnie od szacunku majątkowego. *Census* majątkowy, który w czasach przedmarcowego liberalizmu miał dziwny urok, dziś już nie pociąga. Zarzucono materyalistyczne zapatrywanie, że z posiadaniem pewnego majątku nieodłącznemi są przymioty obywatelskie, kwalifikujące na urząd sędziego, a natomiast wprowadzono *capacitas*, jako jedyną podstawę, uprawniającą do korzystania z pełni praw obywatelskich.

Postanowienia te ustawy niemieckiéj wiążą się najściślej z prawem głosowania powszechnego, wprowadzoném w Niemczech, a niezawisłem od żadnego *cenzu*. Natomiast nie ma w prawie niemieckiém owéj pozytywnéj gwarancyi, jaką zawiéra prawo austryackie, wymagające od przysięgłego umiejętności czytania i pisania. Motywa do niemieckiéj ustawy usprawiedliwiają to postanowienie uwagą, że w obecnym stanie ukształcenia w Niemczech, troska o to, aby powołany do funkcyi sądowéj umiał czytać i pisać, byłaby chyba zbyteczną.

Włoska ustawa z dnia 8 czerwca 1874 r. zbudowała nader drobiazgowy system zdolności osobistéj, podzieliwszy całą ludność uprawnioną na 20 grup i dodając 21 grupę z klasy najwyżéj opodatkowanych.

Obecnie obowiązująca w Austryi ustawa przyjmuje, jak wspomnieliśmy, dosyć niski szacunek podatkowy, a nadto uwzględnia *capacitas*.

Takie są w ulotném streszczeniu pozytywne przepisy rozmaitych prawodawstw. Nie wyczerpaliśmy wszystkich, wyliczyliśmy tylko niektóre, przedstawiające jeszcze wytyczne zasady, a ilustrujące jakiemi drogami poszły kodyfikacye, chcąc zapewnić udział wyborowego materyału sędziów.

Tém jednak bynajmniéj nie wyczerpaliśmy szeregu przeróżnych projektów, reformujących istniejące stosunki, a zdążających do ich poprawy. Rutyniści niektórzy przestrzegają przed zadaleko idącém pra-

wem wyłączania, motywując tém, że obrona zazwyczaj najdzielniejszych i najsumienniejszych sędziów wyklucza. Drudzy chcieliby, aby natomiast reprezentantowi oskarżenia publicznego przyznać najswobodniejsze prawo wykluczenia, z którego korzystając, uchylałby nieudolnych sędziów. Spotkaliśmy się wreszcie z potępieniem praktyki angielskiéj, przyznającéj oskarżonym peremptoryjne prawo wyłączania pewnéj liczby przysięgłych, stosownie do rodzaju czynów karygodnych, za które odpowiadać muszą.

W czasach najnowszych podjęto znowu myśl poruszoną przez Feuerbacha utworzenia ław zawodowych czyli klasowych. Projekt ten w praktyczném zastosowaniu niemal niewykonalny, porzucono, a natomiast wystąpił Heinze, znany procesualista niemiecki i głęboki obserwator instytucyi sądu przysięgłych z propozycyą złożenia ławy z trzech grup: ludności wiejskiéj, miejskiéj i klasy wykształconéj.

Wogóle w rozwiązaniu téj kwestyi walczą z sobą dwa prądy i dwa systemy. System pierwszy widzi w sądzie przysięgłych instytucyę czysto polityczną i powołuje do niéj wszystkich obywateli, którzy są w posiadaniu praw politycznych.

System drugi nie neguje wprawdzie politycznego charakteru sądu przysięgłych, przyznaje mu jednak drugorzędne znaczenie. Sąd przysięgłych jest przedewszystkiém instytucyą prawną, a sędzia przysięgły powołany jest do realizowania idei sprawiedliwości, podobnie, jak sędzia zawodowy. Urząd sędziego ludowego musi być pewnemi zastrzeżeniami otoczony, aby dawał rękojmię, że obywatel, wyrokujący o wolności, życiu, honorze drugiego obywatela, nie nadużyje swéj władzy. Temi rękojmiami są: pewien wyższy stopień wykształcenia i dobra wola. Te dwa przymioty moglyby podnieść sąd przysięgłych do instytucyi idealnéj.

I w téj mierze zgadzamy się z propozycyą prof. Ostrożyńskiego, lecz zarazem zapytujemy, czy nasze społeczeństwo ze swojemi wadami narodowemi, indolencyą i apatyą na sprawy publiczne, zdolne jest przy podniesieniu się poziomu inteligencyi przejąć się duchem prawdziwie obywatelskim?

Jeżeli angielski sąd przysięgłych przetrwał wieki niewzruszony w swych posadach i jeżeli pomimo przeróżnych burz i zmian politycznych nikt się nie poważył targnąć na tę uświęconą instytucyę, to nie zapominajmy, że mamy do czynienia z charakterem społeczeństwa, korzącym się przed majestatem prawa i sprawiedliwości. Wieki złożyły się na to, że w Anglii poszanowanie dla prawa dochodzi do zenitu i że każdy obywatel dumny jest z udziału swego choćby w małéj cząstce w służbie idei sprawiedliwości.

Społeczeństwo galicyjskie nie może jeszcze, niestety, wznieść się do tych wyżyn.

Powyżéj podnieśliśmy poważne zarzuty i to pod adresem tych przysięgłych, którym niepodobna odmówić wyższego stopnia wykształcenia. Może w przyszłości materyał będzie lepszy.

Zwracamy się do dalszego wniosku prof. Ostrożyńskiego, mianowicie do kwestyi przyznania odpowiedniego wynagrodzenia przysięgłym.

Kwestya ta, zwłaszcza w Galicyi, jest popularną i była przedmiotem ożywionych w prasie dyskusyi.

Zdawałoby się napozór, że nie może być nic słuszniejszego, jak ponoszącemu dotkliwe nieraz straty w swém mieniu przysięgłemu, przyznać wynagrodzenie, któreby nie było wprawdzie ekwiwalentem za usługi, świadczone spłeczeństwu, ale przynajmniéj pokryłoby koszta jego utrzymania.

A jednak żadne pozytywne ustawodawstwo dotyczczas nie zdecydowało się na zrobienie tego kroku.

Ustawa niemiecka wyraźnie zaznacza, że urząd sędziego przysięgłego jest urzędem honorowym. I wszystkie inne kodyfikacye wychodzą z założenia, że społeczeństwo ma prawo domagać się od swych członków pewnych ofiar i usług bezpłatnych, do liczby których zaliczyć należy i urząd sędziego przysięgłego. Przyznanie wynagrodzenia za spełnianie obowiązków obywatelskich, chociażby noszących cechę ciężaru, byłoby poniekąd poniżającém.

Natomiast przemawialibyśmy za przyjęciem postanowienia na wzór ustawodawstwa niemieckiego, że przysięgły może uwolnić się od obowiązku sędziego, jeżeli jest w stanie wykazać, że wydatków, połączonych z wykonywaniem tego urzędu nie ma środków ponosić. Przez przyjęcie takiego postanowienia byłby zapewniony udział przysięgłych zamożniejszych, mogących ze spokojem oddać się sprawowaniu włożonego na nich urzędu, dla których uszczerbek, spowodowany kilkutygogniową nieobecnością, od zajęć zawodowych, nie byłby tak bardzo uciążliwy.

III.

W sprawozdaniu naszém, przedłożoném II zjazdowi prawników, korzystaliśmy z materyału statystycznego, nagromadzonego w rocznikach centralnéj komisyi statystycznéj, ilustrującego działalność sądów przysięgłych i na nim sąd nasz oparliśmy.

Prof. Ostrożyński, zwalczając tezę, postawioną przez nas, podnosi zarzut, że na podstawie tak skąpego materyału statystycznego, nie podobna wysnuwać jeszcze tak daleko idących wniosków, a w szczególności wydawać ujemnego sądu o instytucyi, cieszącéj się dotąd powszechną sympatyą.

Zarzut ten byłby w zupełności usprawiedliwiony, gdybyśmy rzeczywiście posługiwali się skąpemi datami statystycznemi, opartemi nadto na obserwacyach, dokonanych w krótkim okresie czasu. I chociażby ten materyał cyfrowy wykazywał pewną rytmiczność i pewną prawidłowość, nie nadawałby się jeszcze do uogólnień.

Lecz uszło zapewne uwagi sz. sprawozdawcy, że przedstawiliśmy materyał statystyczny z ośmiu lat, bo od r. 1880 do 1888 sięgający i zarejestrowaliśmy głos komisyi statystycznéj, która z pewnym naciskiem podnosi, że cyfra werdyktów uwalniających rok rocznie się wzmaga.

W ostatnim roczniku statystycznym z r. 1892, obejmującym dane z r. 1888, czytamy, że w tymże roku ze wszystkich spraw karnych, przekazanych do sądzenia trybunałom, wydano 13,5% wyroków uwalniających, stosunek zaś procentowy w sądach przysięgłych przedstawia się 25,3%. W samym Lwowie na 1006 oskarżeń, wniesionych w ciągu lat 1881—1888, uwolniły sądy przysięgłych 358 oskarżonych, a więc 35,6%, która to cyfra w sądach obwodowych stanisławowskim i tarnopolskim dosięgła do 40% Wogóle między wszystkiemi krajami koronnemi Austryi, Galicya wraz z Bukowiną wykazuje najwyższą cyfrę uwolnień.

Statystyka téż stwierdza, że Galicya między wszystkiemi krajami koronnemi zajęła dominujące, niestety, stanowisko udziałem swym w zbrodniach przeciw własności, a w szczególności kradzieży.

Przodujemy innym prowincyom przerażającym udziałem w zbrodni najwstrętniejszéj, bo pochodzącéj z najniższych motywów, które kryminalności mieszkańców kraju nadaje typową postać.

Psychologia zbrodni uczy nas, że osią środkową i najgłówniejszym motorem przeważnéj części zbrodni jest egoizm, występujący pod rozmaitemi formami. Chciwość, próżność, żądza posiadania i używania, nędza, — są to owe częste sprężyny, pobudzające do zbrodni, a zwalczające motyw, powstrzymujący od niéj. Któraż z tych postaci egoizmu produkuje w Galicyi te wielkie masy przestępców, nie szanujących cudzéj własności? Przyznać muszą doświadczeni kryminaliści, śledzący psychologiczne strony spraw karnych, że zazwyczaj kradzieże, sądzone przez sądy galicyjskie, popełnione zostały z nędzy i niedostatku. Jestto popęd utrzymania siebie, jako jednostki, popęd najsilniej-

szy między innemi i ażeby go zaspokoić, ucieka się człowiek do kradzieży. Jestto zarazem popęd, wynikający ze stosunków ekonomicznych, a gdybyśmy byli wyznawcami fatalizmu społecznego, w który nowsi kryminologowie każą nam wierzyć, powiedzielibyśmy, że społeczeństwo galicyjskie winę za to ponosi, że nie postarało się o poprawę stosunków społecznych. Byłaby to wina kolektywistyczna, negująca winę indywidualną.

Po téj mimowolnéj dygresyi nie przedstawiamy balastu cyfr, ograniczamy się jedynie na wzmiance, że w Galicyi na 6768 zasądzonych za wszystkie zbrodnie w r. 1888 przestępców, — skazanych zostało za zbrodnie przeciw własności 5060, między tymi 4282 za kradzież, czyli niemal $^3/_4$ oskarżonych odpowiada za kradzież.

Jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę, że najsprawiedliwszemi stosunkowo są werdykty przysięgłych w przestępstwach przeciw własności, a zwłaszcza w kradzieży, co da się tylko tém wytłómaczyć, że przysięgli w tych sprawach nie kierują się względami przesadnéj litości, lecz identyfikują się poniekąd z poszkodowanym, odczuwając krzywdę mu wyrządzoną, to porównywając to symptomatyczne zjawisko z powyż wykazaną cyfrą uwolnień, dochodzimy do wniosku, że uwolnienia te dotyczą wszystkich innych czynów karygodnych, przekazanych orzecznictwu sądów przysięgłych.

I rzeczywiście przysięgli w Galicyi uwalniają morderców, gdyż zastrasza ich wielkość kary zagrożonéj, a nie chcieliby obciążyć swego sumienia krwią przelaną. A jeżeli mordercą kierowały motywa szlachetniejsze i podnioślejsze, wówczas przysięgły, odczuwając grozę sytuacyi, korzysta z każdéj drobnostkowéj wątpliwości, a podnosząc ją do znaczecia kwestyi nader ważnéj, uniewinnia sprawcę.

Korzystniejszą jest już judykatura w wypadkach zabójstwa. Owa przesadna skrupulatność przysięgłych, grająca tak wybitną rolę przy sądzeniu morderstw występuje tutaj w mniejszym stopniu, jakkolwiek chętnie dają oni posłuch obronie, która niemal w każdém zabójstwie chciałaby widzieć niewinny występek z § 335 u. k.

Natomiast w przeważnéj części sprawiedliwemi są wyniki, jeżeli oskarżony ma odpowiadać za zbrodnię ciężkiego uszkodzenia ciała. Są to jednak wypadki z natury swéj nieskomplikowane, jasne i nie nastręczające wiele trudności w osądzeniu.

Nie można tego już powiedzieć o sprzeniewierzeniu. Werdykt jest niekiedy prawdziwą niespodzianką nietylko dla trybunału, ale i samego oskarżonego, który, przyznając się szczegółowo do winy, wyczekuje zasądzenia. Trudno odgadnąć pobudki, powodujące przysięgłych do téj pobłażliwości, czyliżby nie uznawali kryminalnego charakteru tego przestępstwa?

Zbrodnia oszustwa jest niewątpliwie najtrudniejsza do osądzenia, nawet dla prawnika zawodowego. Ocenienie bezprawia kryminalnego i odróżnienie od bezprawia cywilnego, nastręcza wiele trudności i wymaga pewnego zasobu wiedzy fachowéj, aby rozwiązać wylaniające się tutaj wątpliwości. Trudności te są wprost niepokonalnemi dla przysięgłego, który nie zawsze może i chce się zoryentować w tych zawiłościach. Zadanie, jakie ma on spełnić, przechodzi zazwyczaj jego siły, to też do rzadkości zaliczyć wypada werdykty zasądzające w wypadkach oszukańczych krzywd, krzywoprzysięstw, fałszerstw dokumentów, chociażby materyał dowodowy był obciążający.

Pomijamy przestępstwa tak zwane polityczne, które należy oceniać z innego punktu widzenia. Zbyt szczupła ilość spraw téj kategoryi uchodzi w Galicyi niemal niepostrzeżenie, nie wnikają one zresztą tak głęboko jak inne przestępstwa, pomijamy i inne zbrodnie, jako nie mające charakterystycznych właściwości, a przystępujemy do odparcia innego zarzutu, jakiby podnieść można przeciw podanemu przez nas materyałowi statystycznemu.

Z niestosunkowości pomiędzy cyfrą oskarżeń a cyfrą wyroków uwalniających, jak uważa prof. Ostrożyński, można nietylko wnosić, że uwalniające wyroki sędziów przysięgłych są często niesprawiedliwe, ale także, że oskarżenia są również często nieuzasadnione, albo wreszcie jedno i drugie.

Z tém jednak zapatrywaniem niezupełnie zgodzić się możemy. Instrukcya każdéj sprawy karnéj, należącéj pod orzecznictwo sądu przysięgłych jest staranniéj i dokładniéj przeprowadzana, aniżeli w sprawach przekazanych do osądzenia zwykłemu trybunałowi, wszak śledztwo wstępne w sprawach pierwszych jest obowiązkowém. Wogóle sprawa mająca być w sądzie przysięgłych rozpatrywaną, przechodzi przez alembik rozmaitych faz procesualnych, zanim epilog jéj rozegra się na rozprawie głównéj, a wszystkie czynniki, biorące udział w procesie, z prawdziwie pedanteryjną drobnostkowością badają materyał dostarczony przez śledztwo.

W szczególności prokuratorów niepodobna pomówić o wnoszenie lekkomyślnych i nieuzasadnionych oskarżeń. Z praktyki wiemy, że oskarżyciele z całą skrupulatnością zastanawiają się nad materyałem śledczym, zanim zdecydują się wystąpić z oskarżeniem, będącém następnie przedmiotem krytyki i to bezwzględnéj ze strony ławy przysięgłych, sympatyzującéj i litującéj się nad niedolą oskarżonego.

Nie przeczymy wcale, że zdarzają się w Galicyi oskarżenia niekiedy chwiejne, powierzchowne, sztucznie zbudowane i zabarwione jednostronnym pesymizmem prokuratorskim, te jednak zaliczamy do wy-

jątków i w rachubę ich nie bierzemy. Przyznać nam jednak musi sz. sprawozdawca, że tak pod względem redakcyi i umotywowania, jak wreszcie i zasadności, oskarżenia wnoszone przez prokuratorów przed zwykłemi trybunałami, dorównywają oskarżeniom w sprawach, podpadających sądom przysięgłych.

Jakżeż wobec tego pewnika wytłómaczyć tak olbrzymi procent werdyktów uwalniających? A nie zapominajmy, że werdykty te zapadają w przestępstwach najcięższych, podkopujących w najwyższym stopniu podstawy życia społecznego. To téż nie dziw, że pozytywizm dzisiejszy, zdobywający coraz większe obszary w nauce prawa karnego z namiętną zaciekłością występuje przeciw sądom przysięgłych, które, jak się Ferri wyraża, hodują i pielęgnują armie burzycieli porządku społecznego.

Materyałem informacyjnym są dla nas również raporty, składane przez prokuratora starszemu prokuratorowi. W Galicyi wschodniéj i Bukowinie, według tych sprawozdań, stosunek werdyktów nieuzasadnionych wzmaga się rok rocznie, bo gdy w r. 1880 liczono przeciętną liczbę 17,5%, to w r. 1888 wzrosła ta liczba do 24,6%.

Cyfrom tym zarzucić by można niewątpliwie pewną jednostronność, są bowiem wyrazem podmiotowych zapatrywań prokuratorów, którzy, występując w obronie swych oskarżeń przed swym zwierzchnikiem, znajdują się w dość kłopotliwém położeniu, a może czy to pod wpływem zadraśniętéj miłości własnéj, czy téż kierując się namiętnością, zapisują niejeden werdykt sprawiedliwy na rachunek werdyktu nieuzasadnionego.

V.

Zapytajmyż się daléj, czyli wina tego niewątpliwego upadku instytucyi leży wyłącznie tylko po stronie sędziów przysięgłych, czynnie występujących dopiéro w ostatnim akcie dramatu, jaki rozegrywa się na rozprawie głównéj, czy téż tych przyczyn rozkładowych nie należy szukać także i gdzieindziéj? Zapytajmy się więc, czyli nasi przewodniczący, obrońcy, w granicach ustawą zakreślonych wywiązują się należycie ze swego zadania. I przedewszystkiém odpowiedzmy na pytanie, czy w świetle krytyki mogą wyjść obronnie nasi przewodniczący, owi najznakomitsi reprezentanci sądu państwowego, w rękach których ustawodawstwo nasze złożyło pełnię atrybucyi wywyższających ich na dominujące stanowisko, a zarazem liczne i daleko idące obowiązki,

gwarantujące wykrycie w procesie najwyższéj prawdy, a w następstwie i należyty wymiar sprawiedliwości?

Praktyka państw stałego lądu wykazuje, że należyte określenie stanowiska prezydującego, a przedewszystkiém zabezpieczenie bezstronności znakomicie przyczynić się może do wykrycia prawdy, a przeciwnie nieokreślenie jego władzy może wyrządzić doniosłą szkodę celom istotnym postępowania karnego.

Wogóle, w nauce zarysowały się trzy kierunki w określeniu władzy prezydującego. Zwolennicy systemu angielskiego chcieliby zasady i formy angielskie przenieść do ustawodawstw stałego lądu i przemawiają za oddaniem instrukcyi sprawy w ręce stron, przyznając przewodniczącemu stanowisko więcéj bierne. System francuski sądzi, iż nie jest zgodném z istotą procesu karnego, jeżeli instrukcya sprawy przekazana zostanie stronom w procesie występującym, które z natury już nie mogą dać téj rękojmi bezstronności, co osoba trzecia, stojąca po nad stronami. Téj trzeciéj osobie powierzyć więc należy instrukcyę. Niemieccy wreszcie procesualiści ze szkoły dawnéj Feuerbach'a, występując przeciw zasadom systematu angielskiego, nie przypuszczają, aby strony, mające na widoku przedewszystkiém swój interes, mogły sprawę, dochodzoną w ten sposób wyjaśnić, tak, żeby nie pozostawała żadna wątpliwość; zapatrując się więc na sprawę karną, jako na *causa publica*, nie mogą zgodzić się na to, aby zbadanie sprawy zależało wprost od dobréj woli i interesu stron. Ten trzeci kierunek reformuje zasady francuskie, odpowiednio do swego rozumowania i zbliża je do dawnego postępowania inkwizycyjnego.

Systemat angielski przyjmuje wszelkie konsekwencye zasady skargowéj, tamte zasadę inkwizycyjną ubiérają w formy akkuzacyjne; pierwszy czerpie swą siłę w argumentacyi, że prezydujący nie jest w stanie odpowiedzieć swemu zadaniu, jeżeli dwie, wręcz odmienne role, zostaną na niego włożone. Kierownictwo i instrukcya sprawy, są to funkcye zbyt różnorodne, wymagające niezrównanego taktu i sprytu, aby między niemi należyta miara mogła być zachowana. Pierwsza wkłada na sędziego przewodniczącego przedsiębranie czynności właściwie sądowych, jak rozstrzyganie pytań spornych, utrzymanie policyi posiedzenia, objaśniania przysięgłych o ich obowiązkach, przestrzeganie formalności procesowych, a w końcu wydanie wyroku, — druga upoważnia go do czynności instrukcyjnych, należących w procesie opartym na zasadzie skargowéj, właściwie do stron. Jeżeli przewodniczący zbytnią wagę przywiązuje do kierownictwa, wówczas instrukcya sprawy, a więc roztoczenie materyału dowodowego ucierpieć może na dokładności; jeżeli zaś przeciwnie zbyt gorliwie odda się instrukcyi,

urząd jego łatwo przybrać może charakterystykę inkwirenta, a wówczas niebezpieczeństwa stąd wypływające nie są mniejsze od tych, które już przyniósł proces inkwizycyjny, a które już tylokrotnie krytyce ulegały i potępione zostały.

Ustawodawstwa pozytywne stałego lądu oddały sąd przysięgłych pod kierunek i nadzór sądu państwowego, złożonego z kolegium sędziów. Owo kolegium sędziów, reprezentując tu element państwowy, w stosunku do prezydującego może zająć rozmaite stanowisko. Ustawodawstwa, wyznające zasadę biurokratyczną, wyposażają przewodniczącego pełnią władzy, dodając mu dla podniesienia powagi kolegium sędziów, któremu przyznają szczupły zakres atrybucyi, — tą drogą poszło ustawodawstwo francuskie, a w ślad za niém i wiele innych. Prawodawstwo szkockie przyjmuje zasadę kolegialną, nakazując wiele czynności procesowych rozstrzygać przewodniczącemu wspólnie z członkami sądu. System ten daje większą rękojmię sprawiedliwego wyrokowania, gdyż zapobiega arbitralności przewodniczącego, krępowanego uchwałą kolegium. Ustawodawstwo wreszcie ruskie odgraniczyło ściśle instrukcyę sprawy od czynności właściwie sądowych. Pierwsza należy wyłącznie do przewodniczącego, drugie oddane są pod postanowienia kolegium sędziów, stanowiącego o wszystkich kwestyach wyłaniających się w toku postępowania,—w szczególności układającego pytania sędziom zadać się mające.

Ustawodawstwo austryackie określając stanowisko przewodniczącego, poszło w ślady prawa francuskiego i przyznało mu między wszystkiemi czynnikami, biorącemi udział w procesie, rolę najprzedniejszą i najczynniejszą. Jest on duszą całéj rozprawy, panem wszechwładnym, ograniczonym tylko swym honorem i sumieniem, któremu we wszystkich czynnościach przyświecać winna, jako myśl przewodnia, idea wykrycia w procesie prawdy materyalnéj. Stanowisko jego jest potężne, ale zarazem i arcytrudne. Mając poruczoną sobie na rozprawie instrukcyę sprawy, musi należycie przygotować się do spełnienia tego obowiązku, musi przestudyować dokładnie materyał nagromadzony, a zarazem przyswoić sobie i rutynę i pewną technikę, któraby go ochroniła przed przeróżnemi niewłaściwościami.

Najważniejszym jednak bezwątpienia obowiązkiem jego będzie uniknąć tego wszystkiego, coby ściągnąć na niego mogło zarzut stronniczości. A zadanie to nie jest łatwe. Byliśmy świadkami, jak przewodniczący na rozprawie starali się podtrzymać ugruntowane na aktach śledczych zdanie i nie uwzględniali wyników rozprawy zadających kłam faktom, uznanym w postępowaniu wstępném za prawdziwe. To apryorystyczne przekonanie i oparta na niém tendencyjność, może utru-

dzić, a niekiedy uniemożliwić przysięgłym spełnienie zadania, a nawet spowodować niesprawiedliwy wyrok. Oczywiście, zajęcie tu stanowiska przedmiotowego uwzględniającego równomiernie interes stron walczących i zachowanie téj miary, któraby utrzymywała osoby, występujące w procesie, w szrankach ustawą zakreślonych, jest rzeczą indywidualnego taktu, rutyny, temperamentu, a nawet i pewnéj intuicyi.

Francuski kryminalista Berenger żąda od przewodniczącego nie tak olśniewającego talentu, jak raczéj pewnéj roztropności umysłu i pewności, zimnéj krwi a zarazem łagodności i dobroci serca, spokoju a zarazem szlachetności, a jeden z niemieckich praktyków, długoletni przewodniczący na sądach przysięgłych, ułożył wykaz obejmujący owe przymioty, które przeciętny prezydujący posiadać winien, jeżeli ma sprostać swemu zadaniu. Są one następujące: 1) dar słowa i pewność wyrażania się, 2) donośny organ mowy, 3) obznajomienie się z językiem ludu i jego zwyczajami, 4) surowe przestrzeganie karności i porządku, 5) unikanie wszelkich namiętnych wybuchów, 6) równość wobec wszystkich osób uczestniczących w dramacie, 7) dążenie do wykrycia prawdy i unikanie wszelkiéj choćby najlżeszéj stronniczości, 8) zachowanie powagi bez przesady i pedanteryi, 9) stanowcze wystąpienie przeciw wszelkim nadużyciom słowa, bądź w toku rozprawy, bądź w wywodach ostatecznych. Mybyśmy dodali jeszcze dwa inne, które pominął niemiecki rutynista. Mamy na myśli gruntowne obznajomienie się ze stanem sprawy, w sądzie roztrząsanéj, a więc przestudyowanie materyału śledczego i posiadanie pewnego encyklopedycznego wykształcenia, coby go chroniło od ignorancyi lub jednostronności.

Takich jednak idealnych prezydujących nie posiadamy, a rozmaite powody składają się na to, te jednak nie wchodzą w ramy niniejszych naszych uwag. Gdzieindziéj administracya państwowa dokłada starań, aby z pośród grona sędziów zawodowych wychować sobie zastęp dzielnych specyalnych—prezydujących, którzyby mogli w przyszłości sprostać zadaniu. W Galicyi czynniki powołane wobec tych postulatów całkiem uzasadnionych nauki, dziwnie się apatycznie zachowują, nie odstępując od tradycyjnych szablonów. W czasach ostatnich przebija się i tu pewna dążność do podniesienia poziomu kryminalistów. W Wiedniu urządzone zostały wykłady dla sędziów śledczych przez pewnego prokuratora, który chciałby widzieć w każdym sędzi śledczym naśladowcę owego Lecoqua z powieści Gaboriau. My nie idziemy tak daleko i nie żądamy zaprowadzenia szkoły przygotowawczéj dla przyszłych przewodniczących, jak tego domagał się w czasach ostatnich jeden procesualista.

Sądzimy jednak, że mamy prawo domagać się, aby przynajmniéj ten przewodniczący nie okazał na rozprawie takiéj nieudolności, która podkopując powagę sądu, ośmiesza go. Braliśmy udział w jednéj rozprawie, odgrywającéj się na tle doktryn socyalistycznych, w któréj oskarżeni zasobem swéj wiedzy tak zaimponowali przewodniczącemu, że ten oddać musiał dalsze faktyczne prowadzenie rozprawy pewnemu pretensyonalnemu prokuratorowi, który jednak nie zdołał ocalić sytuacyi. A wcale do wyjątków nie należy, że przewodniczący dopiéro w ostatniéj chwili ma możność dorywczego i powierzchownego zaznajomienia się z aktami sprawy sądzić się mającéj, przez co kierownictwo jego nosić musi piętno pobieżności i niepewności.

I pytamy się daléj, czyli w prawie obowiązującém nie mamy postanowienia, zdążającego do zapewnienia względnie wyborowego materyału sędziów przewodniczących. Na pytanie to twierdząco odpowiadamy, jakkolwiek praktyka nie zdaje sobie jasno sprawy z tendencyi ustawodawcy, jaką sobie zakreślił stanowiąc, że przewodniczący sądu przysięgłych i ich zastępcy, mają być mianowani. I to właśnie mianowanie ma zagwarantować wybór najodpowiedniejszych przewodniczących. Pewna rutyna, praktyka i pewna technika są nieodzownemi wymogami, którym oczywiście wszyscy sędziowe sprostać nie zdołają.

W znanym reskrypcie minister sprawiedliwości domaga się powierzania kierownictwa rozpraw tylko takim funkcyonaryuszom, po których spodziéwać się można, że zdołali należycie ogarnąć cały materyał nagromadzony i którzy odznaczają się i owym spokojem i owym taktem, jakiego wymaga powaga sądu. Wskazuje daléj na ten wysoki nimbus, jakim otoczeni są sędziowie angielscy i zwraca się w końcu przeciw owym przewodniczącym, którzy, obrażając powagę miejsca, z sali sądowéj czynią arenę swych niewłaściwych wycieczek i uwag, drażniących nieraz uczucia narodowe. Jak wiadomo, uwagi te głównie były skierowane pod adresem przewodniczącego w znanym procesie o przekupstwo, który w swojém *resumé* dopuścił się karygodnych enuncyacyi. Biorąc asumpt z tego okólnika, upomina jeden niemiecki autor: „Przewodniczącemu w procesie karnym, nie wolno działać nieoględnie, winien on raczéj dokładnie rozważyć to, co mówi, gdyż słowa jego, wyrzeczone z za stołu sędziowskiego, muszą być mierzone całkiem inną miarą, aniżeli czyjekolwiek inne słowa. Tu żadnéj oględności nie można nazwać przesadzoną."

O kierownictwie rozprawy przez przewodniczących w Galicyi moglibyśmy w ogólności powiedzieć, że zanadto mało posiadają samoistności, a natomiast za wiele oglądają się na prokuratorów. Że

faktycznie wytworzył się stosunek pewnéj zawisłości sędziów od prokuratorów, to rzecz powszechnie wiadoma i dopiéro w ostatnich czasach zaczyna się dość wyraźnie zarysowywać tendencya wyzwolenia z pod wpływów prokuratorskich. Mimo to nie wszyscy przewodniczący mogą i chcą się wyzwolić z pod téj zależności, z ujmą oczywiście swego stanowiska. Temu téż przypisać należy, że nieraz przewodniczący zwracają się do prokuratorów, żądając od nich postawienia wniosków w kwestyach, które przewodniczący z mocy swéj władzy dyskrecyonalnéj sam bez udziału stron rozstrzygać winien.

Zarzucamy daléj przewodniczącym na rozprawach, że zbytnią obawą przed zarzutem pobieżności gubią się w szczegółach drobnostkowych i utrudniają tym sposobem zadanie przysięgłym, którzy, tracąc wątek całości, nie mogą się wobec ogromu materyału należycie zoryentować. Wada ta jest u nas dość powszechnie zakorzeniona, a nieraz dają się słyszéć z ławy przysięgłych głosy niezadowolenia, że przeciąga się rozprawę ponad rzeczywistą potrzebę. Przewodniczący w niemieckich prowincyach Austryi umieją zachować tu pewną miarę i wystrzegają się wszelkich bezowocnych rozwlekłości.

Wreszcie wytknąć musimy za daleko posunięty liberalizm przewodniczących wobec stron, który nieraz wydaje zgubne skutki. Nierzadko strony nadużywają wolności słowa, a reprodukując wyniki rozprawy przekręcają najoczywistsze fakta, naginając je do swych celów. Nierzadko w sali sądowéj usłyszéć można interpretacye i wywody prawne prawdziwie monstrualne, wygłoszone jednak z emfazą i wiarą w ich prawdziwość. Tu powinien przewodniczący wkroczyć i sparaliżować wrażenie, pod którém przysięgli zostają, wierząc ślepo w prawdę słów wyrzeczonych.

Nie wyczerpalibyśmy tych, w najgłówniejszych zarysach skreślonych uwag, gdybyśmy nie dotknęli jednéj, nader ważnéj atrybucyi przewodniczącego, będącéj tak w literaturze, jak i w pozytywnych ustawodawstwach przedmiotem ożywionéj krytyki. Mamy na myśli przemówienie jego końcowe, tak jak ono w ustawodawstwie austryackiém zostało unormowaném.

W prawodawstwach możemy wyróżnić aż cztéry systemy określenia treści i znaczenia przemówienia ostatecznego.

Systemat angielski, oparty na innych podstawach od systemów na lądzie stałym, wysuwa dość wyraźnie podmiotowość przewodniczącego. Jest on wyrazem tego harmonijnego współdziałania sędziego państwowego i przysięgłych, które charakteryzuje działalność tych sądów w Anglii. Przemówienie końcowe ma na celu ułatwić zadanie przysięgłym, zwrócić ich uwagę na wątpliwości, jakie w sprawie się

nasuwają i ochronić oskarżonego od skazania, jeżeli istnieją uzasadnione wątpliwości co do jego winy.

Przemówienie jednak prezydującego nie jest istotną częścią składową postępowania. W sprawach prostych, nie nastręczających żadnych trudności w osądzeniu, przysięgli, po ukończeniu rozpraw pomiędzy stronami, oświadczają, że nie żądają dalszego pouczenia i przystępują zaraz do wydania werdyktu. Sam zresztą przewodniczący zapytuje nieraz przysięgłych, czy uznają potrzebę streszczenia sprawy.

Charakterystyką *resumé* angielskiego, wyróżniającą je od ustawodawstw kontynentalnych jest dozwolenie stronom krytyki wyjaśnienia, udzielonego przez przewodniczącego, czy to pod względem faktycznym, czy też co do pojęć prawnych. Przewodniczący angielski nie ma pretensyi do nieomylności, to też strony nieraz przerywają przemówienie i wywołują ożywioną polemikę, w którą czynnie wstępuje przewodniczący.

Druga charakterystyczna różnica polega na tém, że prawo angielskie nie zabrania przewodniczącemu wyrzeczenia swego zdania o sprawie sądzonéj i o wartości przedstawionych dowodów. Przeciwnie, poleca ono, aby on zwrócił uwagę przysięgłych na zwodniczość przedstawionych w toku rozprawy dowodów i ostrzegł ich, żeby nie wydawali orzeczenia swego na chwiejnych lub wątpliwych podstawach.

Systemat francuski zainaugurował nieomylność pouczenia udzielonego przez przewodniczącego. Przemówienie jego nie ma być wprawdzie wyrazem podmiotowego jego zapatrywania, ale nie może być téż przedmiotem krytyki przez strony, a żadne przekroczenie władzy prezydującego w tym kierunku nie jest powodem kasacyi.

Podstawą więc tego systematu jest dążenie do zapewnienia przewodniczemu jak najsilniejszego wpływu na przysięgłych, nie zapobiega stronniczości i pośrednio przyczynia się do kierowania ich orzeczeniem.

Dawny systemat bawarski pierwszy zerwał z praktyką francuską, nakreślając szczuplejsze ramy przemówieniu przewodniczącego, uwolnił go bowiem od obowiązku streszczania wyników rozprawy i reprodukcyi téjże, a natomiast zobowiązał go do udzielenia pouczenia co do pojęć prawnych, wyjaśnienia znamion, których ustawa wymaga do istoty czynu, będącego podstawą oskarżenia. Mylne jednak pouczenie prawne nie stanowi nieważności postępowania.

Wreszcie systemat przyjęty przez niektóre ustawodawstwa, wyłącza zupełnie przemówienie prezydującego.

Geneza powstania przepisów, odnoszących się do *resumé* według austryackiego prawa procesowego, wykazuje, że w ciałach prawodawczych odzywały się głosy za ograniczeniem przewodniczącego w jego przemówieniu jedynie do kwestyi prawa z wykluczeniem wszelkich wywodów, odnoszących się do kwestyi faktycznéj. Głosy te były jednak w mniejszości i pod wypływem ówczesnych zapatrywań wyszedł § 325 ust. o post. karn., który objął przepisy zaczerpnięte i z prawa francuskiego i z prawa angielskiego. I odkąd instytucya sądów przysięgłych w Austryi weszła w życie, odtąd na porządku dziennym stawioną jest kwestya reformy *resumé*, a § 325 ustawy procesowéj wystawiony jest na największe ataki.

Nie jest zadaniem naszém podawać historyę owych reformatorskich dążeń, odnoszących się do *resumé*. W krótkości jedynie podajemy, że pierwszym niejako, który w Austryi spopularyzował myśl zniesienia *resumé* przewodniczącego w formie obecnéj, który przygotował grunt dokonać się mającéj reformie, jest adwokat wiedeński Jacques. Myśl tę krzewił on począwszy od wprowadzenia w życie obecnéj procedury, przy każdéj sposobności, na wiecach, w czasopismach niefachowych występował przeciw obecnéj stylizacyi § 325 p. k., a w końcu na posiedzeniu 259 rady państwa w r. 1883-im postawił wniosek, dostatecznie poparty, o wydanie noweli do postępowania karnego.

Wniosek Jacquesa zdąża do zmiany obecnego *resumé* w podwójnym kierunku.

Pierwsza część wniosku uwalnia przewodniczącego od *resumé* we właściwém, czyli technicznem tego słowa znaczeniu, zwalnia go więc od reprodukcyi przebiegu całéj przeprowadzonéj rozprawy i stosownie do postulatów nauki i zdobyczy zebranych na polu praktycznego doświadczenia, ma odpaść w przyszłości unaocznienie momentów ważniejszych rozprawy, a przysięgli wiedząc, że powtórne streszczenie przy końcu rozprawy już nie nastąpi, pobudzeni będą tém samém do żywszego uczestniczenia, baczniejszéj uwagi i zajęcia z rozgrywającą się przed nimi akcyą.

Odpowiednio więc do zasad, na jakich opiéra się cała instytucya sądu przysięgłych, i oswobodzenie od wszelkiego wpływu drugiego z nimi współdziałającego pierwiastku, wyrokować oni mają na podstawie wrażeń bezpośrednio odniesionych z rozprawy głównéj, a werdykt ich będzie pełnym i niezamąconym wyrazem ich wewnętrznego, swobodnego przekonania.

Druga część wniosku dotyczy właściwego pouczenia prawnego. Istota, zakres i objętość téj funkcyi przewodniczącego, nie doznaje we

wniosku Jacquesa najmniejszéj zmiany i w téj mierze stoi on na stanowisku prawa obowiązującego, które na przewodniczącego nakłada obowiązek wyłuszczenia ustawowych znamion czynu karygodnego i znaczenia znajdujących się w pytaniu ustawowych wyrazów.

Po tém ulotném naszkicowaniu przystępujemy do odpowiedzi na pytanie, jak wypada *resumé* u przewodniczących, tudzież czy przysięgli mogą z niego odnieść rzeczywistą korzyść.

W ogólności o *resumé* przewodniczących w Galicyi nie dadzą się wytknąć ujemne uwagi, jakkolwiek w niejednym kierunku ono chroma.

Nie można stawiać im zarzutu, aby przemówienie końcowe nacechowane było jednostronnością lub téż wyraźną stronnością, nie zauważyliśmy także, aby przewodniczący w jakichkolwiek celach nadużył swego stanowiska. Natomiast zrobiliśmy to spostrzeżenie, że *resumé* nie czyni potężnego na przysięgłych wrażenia. Zazwyczaj jest oschłém, bezbarwném i niemal niewolniczém powtórzeniem rozprawy, bez polotu i bez barwności, pociągającéj i nadającéj życie. Brak w niém pewnéj siły argumentacyi, brak krytycznego rozumowania. Temu téż przypisać należy, że zazwyczaj przysięgli z obojętnością przysłuchują się wywodom przewodniczącego, a niekiedy swém zachowaniem zdradzają pewną niecierpliwość.

A już zupełnie odmówić musimy daru udzielania jasnego pouczenia prawnego. Zwykle odczytuje przewodniczący odnośny ustęp z ustawy karnéj, komentując go niezręcznie, a czasami całkiem mylnie. Z takiéj lekcyi przysięgli odnoszą nader problematyczną korzyść. Niewątpliwie rzecz to niełatwa, podać profanom zawiłe konstrukcye prawne w formie przystępnéj. Temu téż przypisać należy, że przysięgli przyszedłszy do izby obrad, kierują się albo swym instynktem, lub, co częściéj bywa, idą za głosem tego przysięgłego, który im imponuje pewnym zasobem wiedzy prawniczéj. A wówczas werdykt nie jest wyrazem przekonania całéj ławy przysięgłych, lecz pewnéj jednostki górującéj wiedzą i doświadczeniem.

Przystępujemy wreszcie do odpowiedzi na pytanie, czy obrońcy przejęci są szczytnością tego zadania, jakie w usługach sprawiedliwości spełnić mają.

Śledząc pilnie wszelkie symptomatyczne objawy, możemy powiedzićć, że w czasach ostatnich począł wiać prąd nieprzychylny obrońcom.

Pomijamy pozytywistów, a na ich czele Lombrosa, który utrzymuje, iż w zachodniéj Europie panuje teraz adwokacka oligarchia, zupełnie nieprzychylna porządkowi publicznemu i sprawiedliwości;

pomijamy i ten skryty antagonizm, jaki faktycznie wytworzył się między prokuratorami a obrońcami, a mącący harmonijne współdziałanie tych czynników; pomijamy wreszcie i ową utajoną niechęć naszych sędziów, objawiającą się niekiedy i na zewnątrz, a zwracamy się do znanego memoryału prezydenta wiedeńskiego sądu karnego, w którym wypowiada *votum* nieufności całemu stanowi adwokackiemu, a przedewszystkiém obrońcom.

Memoryał ten wywołał głos oburzenia i dał nawet powód wiedeńskiéj izbie adwokatów do założenia formalnego protestu. W proteście tym zaznaczono, że słowa ujemnéj krytyki, wyrzeczone w memoryale, są wyrazem owéj nieżyczliwości i niechęci panującéj w sferach sędziów zawodowych, która utrudnia obrońcom spełnianie ich zadania. Stosunek, jaki się faktycznie między trybunałem a ławą obrońców wytworzył, nacechowany jest wzajemną nieufnością, pobudzającą niekiedy przewodniczących lub prokuratorów do wypowiedzeń, podkopujących powagę obrończą. Skutkiem tego obrona stała się *officium odiosum.*

A jednak słowa wiedeńskiego prezydenta, oparte w pewnéj części na słusznych spostrzeżeniach, znalazły oddźwięk i w Galicyi.

Obrońców, którzy w dzisiejszych czasach występują tu na roz prawach, dzielimy na trzy kategorye.

Pierwsza niestety nieliczna, zwolna zanikająca, przejęta szczytnością swego powołania, nie goni za efektami, nie lubuje się w wywoływaniu scen dramatycznych i sztucznych, lecz ze spokojem, a zarazem z godnością występuje w sali sądowéj w obronie niewinności.

Ci obrońcy nie mogą uskarżać się ani na stronność, ani na nieprzychylność ze strony sądów.

Drugą kategoryę stanowią ci obrońcy początkujący, którzy dla reklamy, szukając spraw sensacyjnych, gonią za popularnością w szerszych warstwach, a dla zdobycia jéj sobie nie przebierają w środkach nie odpowiadających ich wysokiemu stanowisku. O tych obrońcach wyraża się hr. Lamezan: „Dążenie ich zwraca się, jak łatwo zrozumiéć, ku temu tylko, aby, bądź co bądź, zwrócić na siebie uwagę. Jeżeli tego nie dostarcza sama sensacyjność sprawy, to w ostrym tonie obrońcy, już to względem oskarżyciela publicznego, już względem przewodniczącego, jeśli ten użyciem swéj władzy dyscyplinarnéj dał do tego sposobność, szuka się środka stworzenia sobie rozgłosu, stania się obrońcą poszukiwanym, — podobnie jak lekarzowi pomyślna kuracya z ciężkiéj choroby nową klientelę sprowadza."

Tacy obrońcy nie mają powodzenia u sędziów, a natomiast frazesami nietreściwemi, lecz pociągającemi, wywołują niekiedy na ławie przysięgłych pewien efekt.

Ci obrońcy jednak znikają jak meteory, ustępują ze swych stanowisk i robią miejsca nowym gwiazdom.

Trzecia kategorya jest najsmutniejsza. Weterani w służbie sądowéj, adwokaci bez klienteli za nędznêm wynagrodzeniem zastępują obrońców z urzędu ustanowionych i z tymi najczęściéj spotkać się można w sali sądowéj. Jest to wprawdzie element spokojny, nie zapalny, ale zarazem odgrywający niepocieszną rolę w sali sądowéj. Przemówienia ich są zazwyczaj szablonowe, liche, nie budzące zainteresowania i przemijają bez wpływu na ławę przysięgłych.

* * *

Na têm kończymy nasze spostrzeżenia o sądach przysięgłych w Galicyi. Dotknęliśmy tylko rzeczy najważniejszych i powszechnie odczuwanych. Niejedno uszło naszéj uwagi, a pewnych sporadycznych objawów nie chcieliśmy podnosić do znaczenia ogólniejszego. Nie poruszyliśmy kwestyi układania pytań, częstokroć tak wadliwego, a w następstwie—będącego źródłem przeróżnych sprzeczności i błędnych orzeczeń. Nie zajmowaliśmy się i innemi zasadniczemi kwestyami, co do których nauka już dawno wyrzekła swój sąd stanowczy. Chcieliśmy tylko podać *sine ira et studio* ulotną ilustracyę stosunków istniejących w Galicyi.

Dr. Piotr Stebelski,
prof. uniw. lwowskiego.



ZASADY PSYCHOTERAPII.

Jeżeli psychologia hypnotyzmu pozostaje dotychczas zagadkową, nie wytłómaczoną, pełną dziwnych sprzeczności, za to, rzec można, lecznicze jego działanie zarysowuje się z taką jasnością niezamąconą, liczba faktów i obserwacyi z dniem każdym niemal wzrasta, popiérając dawne spostrzeżenia nowemi i dopełniającemi się wzajemnie, iż dziś metoda nowa lecznicza zyskała ogólną sankcyę lekarzy i znajduje coraz to szersze zastosowanie. Dzieje się tu podobnie, jak z elektrycznością: nowa siła, któréj pochodzenia nie znamy wcale, w umiejętnych rękach może być znakomitym środkiem terapeutycznym. Co prawda, to samo powiedziéć można o wielu innych środkach i lekarstwach, używanych w medycynie: empirycznie znamy ich działanie, lecz po za tém nic o nich więcéj nie wiemy. Słusznie mówi Poincelot [1]), iż nauką, zarówno jak i społeczeństwem rządzą dwa prawa zasadnicze: pierwsze, to zachowanie wszystkiego, co prawdziwe, piękne, sprawiedliwe; drugie, to ruch, czyli niszczenie ciągłe i powolne wszystkich dawnych błędów i przesądów, oraz nabywanie nowych prawd. Jeśli ludzie umieją pogodzić zachowanie dawnych ustrojów z ruchem postępowym, nauka, podobnie, jak i społeczeństwo, idą wciąż naprzód, odbywają ewolucyę równomiernie i pokojowo. Gdy zaś ludzie dzielą się na dwa obozy, z których jeden nie chce nic innego uznać prócz rutyny, drugi chwyta w lat postęp, nie biorąc w rachubę dawnych

---

1) Revue de l'Hypnotisme, 1887.

urządzeń lub teoryi, naówczas nauka staje się widownią starć gwałtownych i namiętnych, społeczeństwo targane jest głuchą pracą rozkładu. Co do hypnotyzmu, przez długi czas nawet wielce poważne umysły nie chciały uznać jego istnienia (znane są słowa Fontenell'a, wyrzeczone o magnetyzmie: „gdybym go nawet zobaczył, jeszczebym nie wierzył), dowodząc, że zjawiska te, zbyt są zawiłe i zagadkowe, aby mogły być przedmiotem badań. A czyż najważniejsze zjawiska przyrody, grawitacya, ciepło, światło, dostatecznie są objaśnione? Różnica leży tylko w stopniu. Bądź co bądź, musimy uznać, że zjawiska hypnotyzmu istnieją, a prócz tego faktem jest niezaprzeczalnym, że zastosowane w różnych chorobach, wydają niepoślednie rezultaty lecznicze. Hypnotyzm, zastosowany do léczenia chorób, czyli tak zwana psychoterapia, zasługuje na zwrócenie uwagi, dlatego mniemamy, że zapoznanie ogółu z tym ciekawym dowodem zjawisk nie będzie bez korzyści, témbardziéj, że w téj części medycyny panuje ogromne zamieszanie pojęć i wygłaszane bywają najsprzeczniejsze poglądy. Wiele nawet osób ani się domyśla zastosowań hypnotycznych w medycynie mniemając, że lekarze czynią hypnotyczne seanse gwoli własnéj przyjemności, lub téż dla podejrzanéj wartości doświadczeń psychologicznych. W istocie zaś dzieje się inaczéj. Tu nie medya wchodzą w grę, ale chorzy; hypnotyzer nie odbywa seansów medyumizmu, lecz występuje w roli lekarza, pragnącego uzdrowić osobę cierpiącą. Ta właśnie strona hypnotyzmu będzie przedmiotem niniejszéj pracy. Na bok odkładamy wszelkie doświadczenia natury psychologicznéj i tylko dla wyświetlenia mechanizmu psychoterapii, kilka słów poświęcimy psychologii hypnotyzmu.

Dotychczas używaliśmy kilkakrotnie wyrazu „hypnotyzm", w gruncie rzeczy należałoby mówić „suggestya", czyli poddawanie, gdyż nie hypnotyzm, lecz suggestya jest siłą działającą. Wytłómaczymy to na przykładach. Jesteśmy wszyscy do pewnego stopnia skłonni wierzyć w to, co nam mówią i dlatego mniéj lub więcéj przygotowani do suggestyi. Już samo usiłowanie, czynione w celu zrozumienia czyichś słów, jest początkiem suggestyi. Zrozumiéć jakieś zdanie, frazes, to wniknąć w myśli i uczucia, jakie wyraża, choćby kosztem naszych własnych zapatrywań [1]. Zdolności téj do przyjmowania suggestyi (*suggestibilité*) nie posiadamy jednak wszyscy w równym stopniu i istnieją jednostki, w specyalny sposób ulegające wpływowi poddawania, mają one wolę słabą, a wyobraźnię silnie rozwiniętą. Inne ulegają trudniéj suggestyi, posiadają zwykle umysł po-

[1] „Myśl". n-ra 9 i 10 roku 1893. Suggestya w sztuce przez I. Joteyko.

zytywny, zapatrywania ustalone, wolę energiczną. Każdy jednak człowiek posiada tę zdolność, różnica polega tylko na stopniu. Jeśli chodzi o perswazyę, o sztukę wymowy, wówczas pierwszorzędne znaczenie odgrywają uczucia, jakie osoba mówcy wywołuje w słuchaczach; pierwszym ich odruchem będzie wiara w słowa mówcy. Szacunek, jaki żywimy dla mówcy, jest również ważnym czynnikiem wiary. A przytém jest coś nieokreślonego [1]); pewne osoby mają wpływ na tłumy, zdobywają je jednem słowem. Zdaje się, że siła ta tkwi w energii moralnéj mówcy: gdy przemawia, nie prosi nas, lecz nakazuje nam, abyśmy przyjęli jego myśli i słuchamy go, odczuwając w nim mentora. Mówca używa najlepszych argumentów, aby nas przekonać, lecz do tych przyczyn logicznych, działających na inteligencyę słuchaczy, dołączają się jeszcze przyczyny, działające na uczucia i namiętności. Aby ludzi przekonać, należy przemawiać nie do abstrakcyjnych pojęć, lecz do głębokich uczuć, będących istotną dźwignią naszego postępowania. Do każdego trzeba przemawiać jego językiem, egoiście dowodzić, że jego własny interes skłonić go powinien do wyznawania tych przekonań, człowiekowi serca, że przekonania te są piękne i szlachetne. Nieraz dziwimy się, spotykając niezwykły upór w słuchaczu, ale po bliższém rozpatrzeniu się odkrywamy, że w człowieku tym znajdują się głęboko ukryte przyczyny, najczęściéj uczuciowéj natury. Wyciągamy stąd wniosek, który przyda nam się bardzo na przyszłość: chociaż wszyscy ludzie są mniéj lub więcéj skłonni do przyjmowania suggestyi, jednakże spotykamy w tym względzie znaczne różnice indywialne, prócz tego wiele zależy od osobistych zalet osoby, wmawiającéj suggestyą. Przykład ten co do sztuki wymowy zaczerpnęliśmy z ciekawego dzieła p. Souriau, profesora z Lille: „O poddawaniu w sztuce" [2]). Autor dowodzi, iż wpływ piękna, to nic innego tylko suggestya. Piękno działa na nas podobnie jak narkotyki (pisze p. Souriau), które z początku lekko podniecają system nerwowy, zanim go uspokoją. Po pierwszém wrażeniu tracimy możność sądzenia, krytykowania, wszelka czynność ustaje, poprzestajemy tylko na patrzeniu (jeśli np. chodzi o wrażenie wzrokowe). Nie zapytujemy już siebie, czy przedmiot jest pięknym i dlaczego jest takim, zadawalniamy się zwróceniem w jego stronę oczu i myśli naszych.

Patrzymy z tymże samym wciąż uśmiéchem na twarzy, z tém samém radosném wrażeniem w duszy, z tym samym obrazem w myśli. Stan ten sam przez się przedłużałby się bez końca, lecz zazwyczaj

---

1) „Myśl".
2) Souriau: La suggestion dans l'art. 1893.

ekstaza trwa krótko, warunki życia realnego są dla niéj wrogie. Souriau tłómaczy ten stan odurzeniem wzrokowém. Wchodzi tu w grę pewne oczarowanie na widok przedmiotów barwnych, świécących; uwaga nasza, zbyt długo zatrzymana na jednym przedmiocie, staje się machinalną, bezmyślną; podobni jesteśmy do zwierciadła, odbijającego promienie światła. Prócz odurzenia wzrokowego, mamy na każdym kroku do czynienia z odurzeniem słuchowém. Za wiele zwykle przypisują znaczenia przyjemności, jaką odczuwamy przy rytmie muzycznym lub poetyckim [1]; rytm jest nietyle przyjemnością, jakiéj dostarcza tylko muzyka lub poezya, ile raczéj potęgą, jaką mamy we własném rozporządzeniu. Ledwo zaczęliśmy czytać wierszowany utwór, już uniesieni jesteśmy jego rytmem, ucho nasze przyzwyczaja się do rytmu i oczekuje powrotu wrażenia dźwiękowego. W muzyce dźwięki łagodne, powabne, monotonne, długotrwałe, pogrążają nas w rodzaj letargu umysłowego, dochodzącego do hypnozy. Owo lekkie uśpienie i medytacya uważane są za jedną z wielkich przyjemności, jakich dostarcza nam muzyka. Wydaje się nam, że napawamy się pięknością przedmiotów nas otaczających, zachwycamy się zgrabnością ich kształtów, świéżością barw, harmonią dźwięków, rytmem poezyi, lecz jakież znaczenie miałyby dla nas te percepcye, gdyby umysł nasz znajdował się w zwyczajnym stanie? Istotnie w kontemplacyi estetycznéj, podoba się nam najwięcéj nasz własny stan umysłowy, czyli hypnoza. Hypnoza jest tylko środkiem, nie celem — mówi Souriau.— sztuka ucieka się do niéj dla lepszego zawładnięcia naszą duszą, dla zatrzymania uwagi naszéj na obrazach nam poddawanych. Zatém sztuka zaczyna się od zahypnotyzowania naszéj duszy i, korzystając ze stanu odrętwienia, senności, w jakim się znajdujemy, zawładanie naszą wyobraźnią i sercem. Wówczas rozpoczyna się suggestya, hypnoza zaś, powiększając czynność naszéj wyobraźni, odbiéra nam wszelką odporność i krytycyzm.

Naśladownictwo, które tak ważną rolę odgrywa w stosunkach ludzkich, iż niektórzy przypisują mu pierwszorzędne znaczenie rozwojowe, ma wiele wspólnego z suggestyą, może nawet jest tylko jedną z jéj form. Zauważono naśladownictwo nietylko między ludźmi, lecz i pomiędzy zwierzętami (np. panika koni podczas wojny lub na targach) jednego lub różnych gatunków. Romanes wspomina pewnego psa, wychowanego i wykarmionego przez kotkę, który bał się deszczu podobnie, jak jego przybrana matka, czuł wstręt do miejsc wilgotnych, lizał sobie łapy dla wymycia twarzy i całe godziny trawił nad śledze-

[1]) Souriau, loc. cit.

niem mysiéj dziury. Wreszcie d-r Féré zakomunikował paryskiemu Towarzystwu biologicznemu [1]) fakt całkiem nowy w nauce: Znakomity badacz zauważył, iż obłęd człowieka może się udzielić zwierzętom. Od czasów Lasègue'a i Falret'a znanym jest w medycynie tak zwany „udzielający się obłęd" *(folie communiquée)*; dwie lub trzy osoby, żyjące razem, doświadczają tych samych objawów choroby umysłowéj, wszelako zaznaczyć należy, iż zawsze w takim wypadku jedna z osób zapadła wcześniéj od innych, które oddalone od swéj towarzyszki, mogą powrócić do zdrowia, kiedy u tamtéj cierpienie posuwa się daléj w niepowstrzymanym biegu ewolucyjnym. Częstém bywa również udzielanie się rozmaitych anomalii czuciowych, słuchowych, lub téż dźwiękowych, wstrętów do pewnych smaków i zapachów. Stąd pochodzi zapewne podobieństwo fizyczne, jakie się wyradza między osobami, żyjącemi razem, gdyż przez długi czas były poruszane analogicznemi uczuciami. D-r Féré znał panią X, osobę lat 53, cierpiącą na agorafobię (obawę przestrzeni) od 22 roku życia. Gdy chora miała przejść przez plac publiczny lub w poprzek ulicę, doświadczała uczucia niewypowiedzianéj trwogi i obecność drugiéj osoby wystarczała, aby ją uspokoić. Piesek pokojowy téj pani również podlegał tym samym symptomatom. Pani X odbyła ciężką chorobę, a gdy wyzdrowiała i chciała z pieskiem wyjść na przechadzkę, zwierzę nie mogło zdecydować się zejść ze schodów, poczęło drżeć na całém ciele i nie było w stanie zrobić kroku naprzód. Oddalone od swéj pani, wyzdrowiało, lecz wzięte napowrót, poczęło zdradzać te same przypadłości. Widzimy z tego, jak ważną odgrywa rolę naśladownictwo w patalogii umysłowéj.

Ciekawy przykład suggestyi znajdujemy w tak zwanych cudownych kuracyach. Jak wytłómaczyć sobie, iż tyle osób w Lourdes odzyskało rzeczywiście zdrowie? Odpowiedź na to pytanie daje nam Charcot [2]). Ponieważ kwestya ta bezpośrednio związana jest z psychoterapią, przeto pozwolimy sobie cokolwiek dłużéj zatrzymać nad zapatrywaniami nieodżałowanego neuropatologa francuskiego. Nauka jest dziś w możności — pisze Charcot — określić cud terapeutyczny i prawa rzadzące jego genezą. Uleczenie cudowne drogą wiary jest zjawiskiem naturalném, właściwém wszelkim epokom cywilizacyjnym i religijnym. Cudowne zjawiska mają podwójny charakter: powstają dzięki specyalnemu usposobieniu pacyenta, zwanému dziś suggestyą, prócz tego posiadają ograniczone pole działania, wiara

---

[1]) Féré: Folie communiquée de l'homme aux animaux, compte-rendu le 25 Février, 1893.

[2]) New Review, 1893.

uleczyć może w takich jedynie wypadkach, gdy kuracya wymaga tylko działania strony duchowéj na fizyczną. Np. wiara była zawsze bezskuteczną, gdy chodziło o odzyskanie amputowanéj nogi, za to mamy pełno przykładów wyleczenia paraliżu, a nawet Charcot dowodzi, iż pod wpływem wiary mogą zniknąć rany i narośle, gdyż i te choroby, zarówno jak i paraliż bywają pochodzenia czysto nerwowego. Zatém, innemi słowy, gdy chodzi o wyleczenie choroby organicznéj, połączonéj z utratą substancyi, wiara jest bezskuteczną; gdy zaś mamy do czynienia z chorobami funkcyonalnemi, dynamicznemi, do których zaliczają się rozmaite choroby nerwowe, jak histerya, konwulsye, paraliż, a nawet rany i naroście, wówczas wiara może stać się pierwszorzędnym czynnikiem leczniczym. Czy wiara to religijna, czy nie, jest to odróżnienie bez znaczenia, w jednym i drugim wypadku odbywa się jednaka praca mózgowa. Charcot analizuje psychiczny stan człowieka uzdrowionego przez wiarę. Chory słyszy o rozmaitych cudownych własnościach leczniczych pewnéj miejscowości. Radby się tam udać, lecz nie łatwa to sprawa dla ślepego lub paralityka odbycie dalekiéj podróży. Rozpytuje się swych znajomych, zbiéra szczegóły i informacye co do téj pielgrzymki. Wszyscy zachęcają go do niéj, nie wyłączając nawet lekarza, który po części przynajmniéj wierzy w suggestyę i nie chciałby choremu odebrać ostatniéj nadziei. Od téj pory rozpoczyna się proces cudownéj kuracyi, jeszcze przed udaniem się na pielgrzymkę. Wyjazd dla chorego staje się rodzajem *idée fixe*. W tych warunkach duch zaczyna brać przewagę nad ciałem. A wreszcie, po długiéj podróży, chory znajduje się w usposobieniu nadzwyczaj korzystném dla suggestyi. Ostatni wysiłek... zanurzenie się do wody... gorąca modlitwa... I cudowna kuracya staje się faktem dokonanym.

Podobne spostrzeżenia nad psychologią suggestyi czyni Delboeuf, profesor w Liège [1]).

Aż do końca ubiegłego stulecia, mówi Delboeuf, nie domyślano się wcale, iż myśl może wywołać odpowiedni stan cielesny, że możemy widziéć coś, co nie ma realnego bytu, słyszéć głosy nie istniejące, przy jedzeniu surowych kartofli czuć smak brzoskwini, nie odczuwać rzeczywistych ukłuć i sparzeń, kiedy dotknięcie gorącego żelaza, istniejącego tylko w wyobraźni, sprowadzić może ból, zaczerwienienie i nabrzmiałość. Uczony świat długo wahał się, zanim potwierdził te zjawiska. Gdy jednak dziwy te zostały udowodnione i z konieczności

---

[1]) Delboeuf. „Psychologie de l'Hypnotisme" — „Revue de l'Hypnotisme", nr. 7, roku 1893, oraz sprawozdanie nasze o tém w „Niwie" (nr. 6, 1893).

rzeczy przyjęte, jako fakta stwierdzone, wówczas większość uczonych zaczęła w nich widzieć skutki jakiejś potęgi tajemniczéj i niebezpiecznéj, właściwéj jakoby hypnotyzmowi. Nie ma tu żadnéj potęgi tajemniczéj i niebezpiecznéj, wszystkie objawy hypnotyzmu tkwią w samym osobniku zahypnotyzowanym. Gdy hypnotyzer zamyka powieki chorym, zachęcając ich do spania, albo gdy podnosi ich rękę, wzbraniając opuszczenia jéj, wówczas do pewnego stopnia łudzi on chorych, dając im błędne pojęcie własnéj potęgi. Objaśnimy to na przykładzie. Przyszedł do mnie na poradę, mówi Delboeuf, pewien wykształcony urzędnik, mówiąc, że od dwudziestu lat jest chory nerwowo, wciąż rozdrażniony, niespokojny, gniewliwy i t. d. Pewny jest, że nic już go uleczyć nie zdoła, jeśli zaś przychodzi do mnie, to jedynie dlatego, aby jeszcze raz przekonać się o nieuleczalności swéj choroby. Miałem wówczas u siebie młodą dziewczynkę, nad którą czyniłem doświadczenia. Wobec mego pacyenta przeszywam rękę dziewczyny długą igłą, co nie sprawia żadnego wrażenia na uśpionéj. Chory mój spogląda na to z pewném zdziwieniem, chociaż słyszał już o podobnych doświadczeniach. Wówczas wypytuję chorego, jakiemi środkami leczono go dotychczas i zaczynam mu dowodzić, że brano się źle do rzeczy; lekarze nie zwrócili uwagi, że mają do czynienia z człowiekiem wysokiéj inteligencyi; sposoby przez nich używane, dobre dla pospolitego tłumu, w tym wypadku nie mogły wydać pomyślnych rezultatów. Tu nie trzeba żadnych sztucznych efektów, dość odwołać się do woli chorego. Oczywista rzecz, iż pan, jeśli zechcesz, możesz okazać żelazną wolę; wszak bezwątpienia jesteś pan silniejszym od téj dziewczyny. Daj mi pan rękę i spójrz w oczy, a nic czuć nie będziesz. Przekłułem mu ramię, nic nie czuł, i zdziwił się wielce ujrzawszy co mu uczyniłem. Wówczas rzekł mu Delboeuf: dowiodłem panu, iż jesteś pan zdolny przezwyciężyć ból, okazałeś pan tak silną wolę, iż odtąd przezwyciężyć zdołasz niepokój, gniew i rozdrażnienie. Chory mój nie przyszedł już do mnie. Był uleczony.

Czy wchodził tu w grę hypnotyzm? pyta Delbeouf. Bezwątpienia, jeśli hypnotyzmem nazwiemy suggestyę, czyli nic innego, jak działanie na wolę człowieka. W drugim wypadku, starzec jakiś, cierpiący na ból zębów od wielu lat, przychodzi do mnie, gdyż słyszał, że czynię cuda, mówi Delbeouf. Targam go za brodę, mówiąc, iż jest uleczony. Był nim rzeczywiście. W tym wypadku wiara we mnie uzdrowiła osobnika. Ale w pierwszym wypadku nie mogłem odwoływać się do wiary chorego, gdyż jéj nie posiadał. Delboeuf przytacza również ciekawy przykład manii morderstwa *(homicidomanii)*, wyleczonéj przez suggestyę. Pewna pani lat czterdziestu czuła niepo-

hamowaną ochotę zabicia męża i dzieci; codziennie walczyła z tą chęcią. Znakomity magnetyzer uleczył chorą w krótkim przeciągu czasu; usypiał ją, namawiał, aby pozbyła się tych okropnych myśli i obiecywał jéj, że nazajutrz znajdzie dość siły do walki z sobą. W leczeczeniu tém nie ma nic sprzecznego z normalnemi prawami psychologicznemi. Rola hypnotyzmu polegała na pokrzepieniu moralnéj strony pacyentki, a potęgę jego, siłę, stanowiła wiara, jaką w nim chora pokładała.

Te liczne przyklady pozwalają nam zdać sobie dokładnie sprawę z roli suggestyi. Czémże jest hypnotyzm? W hypnotyzmie działa wyłącznie suggestya, tylko z tą różnicą, że pacyentka się usypia, gdyż zauważono, iż sen hypnotyczny (czyli hypnoza) w wysokim stopniu sprzyja działaniu suggestyi. Chory uśpiony, zwykle daleko łatwiéj przyjmuje suggestyę niż na jawie. Sen hypnotyczny przedstawia wiele podobieństw ze snem normalnym, jest to właściwie sen normalny, wywołany przez poddawanie: hypnotyzer zachęca pacyenta, aby zasnął, poddaje mu myśl snu, przytém posługuje się jeszcze wpatrywaniem w oczy chorego i innemi sposobami, nie posiadającemi jednak pierwszorzędnego znaczenia. Gdy chory usypia, wówczas hypotnyzer stara się wpłynąć na niego perswazyą, bądź aby się pozbył złych przyzwyczajeń, aby zmienił swój charakter, sposób postępowania, odzwyczaił się od nałogu, pozbył chorobliwych symptomatów, zależnie od danego wypadku. Na tém właściwie polega całe działanie psychoterapii, która jest metodą kuracyjną, używającą psychicznych środków dla walczenia z chorobami.

Przedstawiliśmy wyżéj teoryę p. Souriau co do suggestyi, wywołanéj działaniem piękna. Czyż hypnotyzer, pragnący wyleczyć pacyenta, nie działa podobnie jak natura lub sztuki piękne? Z początku hypnoza, czyli gdy chodzi o wyleczenie, sen hypnotyczny, gdy chodzi zaś o działanie piękna, medytacya i kontemplacya, w czasie któréj to hypnozy osobnik zatraca wszelki krytycyzm, jest całkiem bezwładny, niezdolny do reagowania na zewnętrzne podniety i nadzwyczaj z tego skłonny do suggestyi. Wówczas rozpoczyna się rola poddawania. Hypnotyzer nie stwarza żadnego nowego stanu w chorym, nie rozwija nowéj władzy, tylko wzmacnia i potęguje poprzednio już istniejące dążenia. Każdy chory radby się wyleczyć, jeśli np. chodzi o jakieś złe przyzwyczajenie lub nałóg, sam w zupełności uznaje zgubne skutki swego postępowania lub przyzwyczajenia, tylko brak mu dostatecznéj siły woli, aby zapanować nad sobą. Lekarz wzmacnia jego osłabioną wolę, pokrzepia energię, dodaje nadziei, i sam bierze czynny udział w sprawie kuracyjnéj. Odtąd chory czuje się silniejszym, wydaje mu się, że druga wola przyłączyla się do jego

woli, że teraz we dwóch będzie łatwiéj ze złem walczyć. Tak się tłómaczy mechanizm kuracyi. Widzimy, że nie ma tu potrzeby odwoływać się do żadnéj potęgi tajemniczéj, nadzmysłowéj, dla wytłómaczenia tych zjawisk. Jeśli zaś chory nie uznaje potrzeby pozbycia się nałogu, gdy np. mamy do czynienia z dzieckiem zepsutém lub krnąbrném, to i tu doktór powoli perswazyami i namowami może wywołać korzystne zmiany w umyśle dziecka i poddać mu potrzebę poprawy. Gdy wreszcie chodzi o choroby, lekarz stara się powoli (w zwykłych wypadkach) choremu przedstawić, iż powinienby znaleść dość energii moralnéj, aby znieść swoje cierpienie, że zresztą czuć się będzie znacznie lepiéj, wreszcie obiecuje mu kompletne wyzdrowienie. Chory zaczyna nieznacznie walczyć z symptomatami swéj choroby, a gdy te ustąpią, często i choroba znika.

Hypnotyzm działa na centra nerwowe, mózg i mlécz pacierzowy, za pośrednictwem systemu nerwowego obwodowego czuciowego. Wszystkie zjawiska, jakie przedstawia osoba zahypnotyzowana, powstają wskutek zmian powstałych we wrażliwości ogólnéj lub specyalnéj. Skóra, nabłonki, organy wzroku, słuchu, węchu, zmysł mięśniowy, są pośrednikami w objawach hypnotycznych. Hypnotyzm został obecnie zidentyfikowany z magnetyzmem, gdyż niezależnie od przyczyny, jaka sen wywołuje, ten ostatni przedstawia zawsze jednakowy charakter. Sen hypnotyczny posiada trzy fazy, różniące się co do stopnia: S o m n a m b u l i z m, pierwsza faza, sen najlżejszy, osobnik wykonywa wszystkie czyny nakazane mu przez hypnotyzera, władze jego lepiéj są rozbudzone, niż na jawie (prócz woli). K a t a l e p s y a, druga faza, sen głębszy, organy zmysłów pozostają otworem dla wrażeń zewnętrznych, lecz w daleko mniejszym stopniu, aniżeli w pierwszéj fazie. Prócz tego osobnik jest rodzajem automatu bezwładnego, np. podniesiona ręka do góry zachowuje tę samą pozycyę. L e t a r g, trzecia faza najgłębsza snu hypnotycznego, jest pozorną śmiercią, osobnik całkiem bezwładny, organy zmysłów uśpione i bicie serca i oddychanie odbywają się prawidłowo, lecz nadzwyczaj słabo. We wszystkich tych trzech fazach wrażliwość na ból nie istnieje, można chorego bić, kłuć, palić, pozostanie niewrażliwy na te bodźce; lecz wrażliwość ogólna i wrażliwość zmysłów jest tylko uśpioną w rozmaitym stopniu, tak iż w każdéj z tych trzech faz hypnozy podrażnienia systemu nerwowego obwodowego wywołują symptomaty, potwierdzające niezatraconą wrażliwość. Zależnie od indywidualnych różnic, niektóre osobniki zapadają tylko w pierwszą fazę hypnozy, inne po pierwszéj zapadają w drugą, a z drugiéj w trzecią, a przytém do pewnego stopnia od hypnotyzera zależy uśpić chorego mniéj lub

więcéj głęboko. Znajomość tych faz jest nader ważną dla hypnotyzera; jeśli bowiem pragnie, aby system nerwowy chorego prawdziwie wypoczął, powinien wywołać sen letargiczny a jeśli chce poddać choremu myśl wyzdrowienia, najodpowiedniejszym do tego stanem jest katalepsya. Gdy zaś pragnie się chorego wypytać lub zmusić go do działania, wówczas najlepiéj odpowiada celowi somnambulizm. Suggestya *intra*-hypnotyczna ma miejsce wtedy, gdy myśli poddawane podczas hypnozy, mają być wprowadzone w czyn w czasie jéj trwania; *post*-hypnotyczna, gdy myśli poddawane podczas hypnozy mają się urzeczywistnić w jakiś czas potém; wreszcie suggestyą *prae*-hypnotyczną nazwać można suggestyę, w któréj myśli poddawane są choremu na jawie przed snem hypnotycznym. Tego ostatniego sposobu, mało dotychczas rozpowszechnionego, używał z powodzeniem dr. Stembo z Wilna, mówiąc choremu: niezadługo pan zaśniesz—i choroba pańska zostanie uleczona. Poczém pacyent zostaje uśpiony. Najwięcéj rozpowszechnionym jest sposób suggestyi *post*-hypnotycznéj.

Teraz możemy przystąpić do klinicznéj części pracy naszéj, czyli przedstawić czytelnikom rezultaty hypnotyzmu, jako metody leczniczéj; wpierw jednak rzućmy okiem na historyczny rozwój psychoterapii.

Medycyna pierwotna ludów nawpół ucywilizowanych, uprawiana przez kapłanów, czarowników, wróżbitów, była wyłącznie prawie terapeutyką suggestywną. Talizmany, amulety, ofiary, modlitwy, posty, działały tylko drogą poddawania i w wielu wypadkach były istotnie pomocne. Ale nie mogło być mowy o metodzie leczniczéj, wyzdrowienie było tylko szczęśliwym wypadkiem, którego nikt nie mógł przewidzieć. Mesmer i Braid, dwaj pierwsi lekarze, którzy poczęli używać magnetyzmu i hypnotyzmu, nie pojmowali jednakże całéj doniosłości suggestyi; Braid mniemał, iż otrzymywane pomyślne rezultaty przypisać należy uśpieniu chorego [1]), oraz rozmaitym specyalnym czynnościom hypnotyzera, wykonywanym w celu zmodyfikowania cyrkulacyi i inerwacyi osobnika.

Dopiéro pierwszy Liébault wpadł na myśl metodycznego używania suggestyi dla otrzymania hypnozy i leczenia chorych [2]). Liébault poświęcił życie swe zastosowaniom hypnotyzmu w terapeutyce i stworzył szkołę, znaną pod nazwą szkoły z Nancy. Charcot zaś był założycielem drugiéj szkoły, zwanéj szkołą paryską, czyli Salpêtrierowską.

---

[1]) Braid. „Neurypnologie".

[2]) Liebault. „Le sommeil provoqué et les états analogues", 2-me edition, 1889, Paris.

Mamy więc do czynienia z dwoma wielce różniącemi się teoryami co do hypnotyzmu: szkoła Salpêtrierowska dowodzi, że jedynie histerycy dają się hypnotyzować; że hypnotyzm jest to newroza w sztuczny sposób u histeryków wywołana; szkoła z Nancy przeciwnego jest zdania: hypnotyzm jest tylko podnieceniem fizyologicznéj właściwości naszego organizmu, wspólnéj wszystkim ludziom, objawiającéj się większą lub mniejszą łatwością przyjmowania suggestyi *(suggestibilité)*.

Stan hypnotyczny nie jest newrozą podobną do histeryi! woła Bernheim, jeden z uczniów szkoły z Nancy [1]; bezwątpienia, można u osób zahypnotyzowanych wywołać objawy histeryi, można w nich rozwinąć istną newrozę hypnotyczną, lecz symptomaty te nie są wynikiem hypnozy, powstały skutkiem suggestyi hypnotyzera, albo autosuggestyi wysoce wrażliwego osobnika, którego wyobraźnia, podniecona myślą magnetyzmu, stwarza owe zaburzenia funkcyonalne; hypnotyzer z łatwością może symptomata te wstrzymać. Aczkolwiek świat uczony dzieli się na dwa obozy, jednakże od pewnego czasu widać silny ruch na korzyść dowodzeń teoryi z Nancy; zdaje się, iż Charcot był w kwestyi hypnotyzmu w błąd wprowadzony. Czyby się nie dało pogodzić zapatrywań dwóch szkół? Doktór Cullerre [2] dowodzi bardzo słusznie, iż pogodzenie dwóch szkół nie jest rzeczą niemożliwą. Przedewszystkiém szkole Charcot'a zarzucić można, iż wyłącznie prawie jako przedmioty do badań brała chorych cierpiących na wielką histeryę, nic więc dziwnego, iż zjawiska zaobserwowane przypisuje wyłącznie histerykom. Po za tém zaś spotykamy wiele bardzo osobników nie histeryków, w wysokim stopniu skłonnych do suggestyi hypnotycznéj. Trzeba więc przyznać, iż dają się zahypnotyzować nietylko histerycy, ale że u nich sen wywołany może przedstawiać wiele podobieństwa z atakiem histerycznym. Obie szkoły jednak zgadzają się z sobą, iż podczas hypnozy suggestya dochodzi do największego natężenia [3].

Z pomiędzy uczniów szkoły z Salpêtrière wymienimy doktorów: Gilles de la Tourette, Babińskiego, Regnard'a, Meynert'a, Ziemmsena, Luys'a; z pomiędzy zwolenników szkoły z Nancy wyliczymy Bernheima, Liégeois, Delboeuf'a, Berillon'a, Forel'a (z Zurychu), Wetterstrand'a (ze Szwecyi), Van Eeden'a i Van Renterghema (z Amsterdamu), Jong'a (z Hagi), Augusta Voisin'a, Déjérine'a, Ladame'a (z Genewy), Moll'a, Schrenk-Notzig'a, Lloyd Tuckey'a (z Londynu), Hamiltona

---

[1] Bernheim. „De la suggestion", 1886.—Tenże, „Revue de l'Hypnotisme", janvier 1888.

[2] Cullerre. „Thérapeutique suggestive", 1893.

[3] Bernheim. „Hopnotisme, suggestion, psychothérapie", 1891.

Osgood'a (z Bostonu), Debore'a, po większéj części profesorów fakultetów i ludzi zaszczytnie znanych na polu naukowém. Liébault zaznacza, iż na 1,011 osób leczonych w jego klinice, tylko 27 nie udało mu się zahypnotyzować. Według Bernheima 80 na 100 podlega hypnotyzmowi. Wetterstrand znalazł 19 osób odpornych z ogólnéj liczby 718 chorych. Van Eeden i Van Renterghem w klinice psychoterapijnéj w Amsterdamie spotkali 15 osób odpornych na 414. Jong hypnotyzował 2,000 osób w swéj klinice, spotkał się z odpornością u 3 chorych. Liczby te przemawiają na korzyść teoryi nantejskiéj. Co zaś do uzdrowień, to statystyka przedstawia się jak następuje: Bernheim z liczby 115 chorych przeróżnych uzdrowił 99, polepszył stan 12. Berillon w swéj klinice chorób nerwowych w Paryżu w przeciągu 18-tu miesięcy uleczył 360 chorych. Lloyd Tuckey z Londynu dał sprawozdanie o wyleczonych 500 chorych (1891 roku). Na kongresie hypnotycznym 1889 r., prawie wszyscy lekarze francuscy i cudzoziemcy przyłączyli się do zapatrywań szkoły nantejskiéj. W akademii medycznéj belgijskiéj, dyskusya nad hypnotyzmem trwała kilka miesięcy, członkowie biorący w nich udział dowiedli wysokiego terapeutycznego znaczenia psychoterapii.

Jeśli hypnotyzm jako metoda lecznicza często bywa prawdziwém dobrodziejstwem dla chorych, stosowany nieumiejętnie może stać się niebezpiecznym. Charcot, Guinon, Pitres, Ladame, przytaczają wiele chorób wywołanych hypnotyzmem, lecz w tych wypadkach po większéj części hypnotyzerami byli szarlatani; dlatego świat uczony domaga się coraz usilniéj, aby wyłącznie lekarze posiadali prawo leczenia hypnotyzmem. Jest to metoda lecznicza podobna do innych, lecz więcéj skomplikowana i trudniejsza, jeśli więc trzeba być lekarzem, by módz leczyć elektrycznością lub pisać recepty, témbardziéj to samo da się zastosować do hypnotyzmu. Sądzimy jednak, iż nie wystarcza być lekarzem, aby mieć prawo leczenia hypnotyzmem, skoro psychoterapia nie wchodzi w skład nauk lekarskich, wymaganych od studenta medycyny. Jakaż rękojmia, iż pewien lekarz obeznany jest z praktyką hypnotyzmu? Należałoby więc albo wymagać od studentów znajomości psychoterapii, albo też pozwolić leczyć hypnotyzmem tylko tym lekarzom, którzy złożą odpowiedni egzamin przed komisyą kompetentną.

W przykrém położeniu znajduje się Delboeuf, znakomity uczony, nie posiadający wszakże stopnia doktora medycyny. Na mocy rozporządzenia wydanego blisko rok temu, wskutek przedstawienia Akademii medycznéj belgijskiéj, praktyka hypnotyzmu dozwolona jest w Belgii tylko lekarzom, oraz osobom, ktore złożą przed wybraną komisyą odpowiedni egzamin. Delboeuf czuje się wysoce urażony w god-

ności swéj uczonego, iż nie uczyniono dla niego wyjątku [1]), istotnie Akademia medyczna powinna była uwolnić od składania egzaminu przed ludźmi, być może elementarną tylko posiadającymi znajomość psychoterapii, uczonego, którego badania na polu psychologii i psychodynamiki ogólnie są znane.

Posługiwanie się hypnotyzmem nie wyklucza wcale innych metod leczniczych. Nie zapominajmy, iż hypnotyzm nie jest uniwersalném panaceum na wszelkie dolegliwości, to tylko jedna z metod, dlatego nie byłoby wcale pożądaném, aby się wytworzyła specyalna klasa lekarzy-hypnotyzerów, każdy lekarz powinien być obeznany z praktyką psychoterapii, aby mógł zastosować ją w potrzebie. Dr. Pitres wyrzekł te pamiętne słowa: używajcie, ale nie nadużywajcie hypnotyzmu; pozostańcie lekarzami, nie stawajcie się wyłącznie hypnotyzerami.

W leczeniu histeryi hypnotyzm dokonywał istnych cudów, wszelako nie należy sądzić, aby nawet na gruncie histeryi był zawsze nieomylnym. Zdarzają się osobniki, na które suggestya nie wywiera najlżejszego wpływu, albo też wpływ raczéj szkodliwy niż dodatni. „Bywają wypadki, gdy hypnotyzm stać się może nader pomocnym, mówi Charcot [2]), ale w wielu innych razach, albo wcale nie działa, albo działa szkodliwie; podobnie dzieje się z najskuteczniejszemi lekami, jak opium i digitalis, które w pewnych okolicznościach u niektórych osobników mogą wywołać zaburzenia. Czy dlatego mamy je zarzucić?"

Jeśli lekarzowi uda się całkowicie zawładnąć umysłem chorego, zapanować nad jego życiem psychiczném, może prawie na pewno spodziéwać się uleczenia chorego. W przeciwnym razie może tylko spotęgować chorobliwe symptomaty pacyenta, który późniéj przez własne auto-suggestye swój stan wciąż pogarsza. Według d-ra Pitres, z ogólnéj liczby histeryczek tylko dwie trzecie poddają się hypnotyzmowi, jedna zaś trzecia histeryków [3]). Prócz tego, wielu z nich nie odnosi żadnéj korzyści z hypnotyzmu: dzięki suggestyi, chorobliwe symptomaty znikają na pewien czas, lecz wkrótce, czasem w kilka dni, a nawet w kilka godzin, powracają znowu i do tego spotęgowane. Niekiedy

---

[1]) Delboeuf. „L'Hypnotisme devant les chambres legislatives belges".

[2]) Charchot. „Revue de l'Hypnotisme", 1887.

[3]) Zbyteczném byłoby chyba dodawać, iż histerya nie jest wyłącznym przywilejem kobiét, równie często spotyka się u mężczyzn. Dodajmy nawiasem, iż wbrew utartemu mniemaniu, choroba ta nie ma żadnego związku z powściągliwością płciową.

znowu symptomat pewien znika, lecz na jego miejsce zjawia się inny, jeszcze przykrzejszy, tak iż chorzy radziby powrócić do pierwotnego stanu.

Widzimy z tego, jak trudną bywa częstokroć rola hypnotyzera i że wyłącznie osoby prawdziwie doświadczone mają prawo posługiwać się hypnotyzmem. Obok tych niepowodzeń całkowitych lub częściowych w leczeniu histeryi hypnotyzmem, spotykamy prawdziwie pomyślne kuracye. „Niewątpliwie, mówi dr. Bérillon, wszyscy histero-epileptycy, którzy przez trzy lata poddawali się codziennym seansom hypnotyzmu w klinice d-ra Dumontpallier w szpitalu Pitié, powoli zaczęli pozbywać się swych ataków i wszelkich innych dolegliwości z atakami połączonych.” Przytoczymy jeden z tych przykładów: pani X, lat 28, mężatka, matka trojga dzieci, jest histeryczką od jedénastego roku życia. Od sześciu coś miesięcy wskutek gwałtownego przestrachu zaczęła nadzwyczaj często podlegać histerycznym atakom. Między zaś jednym atakiem a drugim chora cierpi silne migreny i gastralgie (newralgie żołądkowe). Prócz tego przedstawia wiele innych symptomatów właściwych histeryi, jak anastezyę kończyn, zaburzenia słuchu, zmniejszenie pola wzrokowego, nadczułość żołądka, bóle przy najlżejszém naciskaniu żołądka, prawą nogę wykręconą na zewnątrz, mięśnie kończyn skurczone. Chora łatwo dała się uśpić. Po kilku dniach ustąpiły niektóre symptomaty. Ataki konwulsyjne przerwały się po trzech posiedzeniach, po dwóch tygodniach wykręcona noga wróciła do normalnego stanu, gastralgia i wymioty znikły bez śladu, podobnie jak i migrena i wrażliwość kończyn i chora w zupełności odzyskała zdrowie.

Zauważono, że im choroba jest dawniejszéj daty, tém trudniéj z nią walczyć, suggestyą wtedy trzeba częściéj wznawiać, lecz i to wydaje wątpliwe rezultaty. Dr. Bernheim posiada niezwykły dar wpływania na chorych, nieraz zwyczajny rozkaz powiedziany stanowczym głosem wystarcza, aby przerwać atak histeryczny. Zwykle mówi on chorym: już dosyć tego; atak skończony. Albo téż zwracając się do obecnych osób odzywa się: zobaczycie, jak ta chora w téj chwili się zbudzi. I rzeczywiście, atak natychmiastowo mija. Na miejsce zaś bolące przykłada rękę, mówiąc: zabiéram ból, już go nie ma. Nie wszyscy jednak lekarze pochwalić się mogą takiém powodzeniem. Większość z nich nie była nigdy w stanie przerwać rozpoczętego ataku histerycznego.

Hypnotyzm bywa niezmiernie pomocny w paraliżach i kurczach mięśni, towarzyszących tak często histeryi.

Dowody szczęśliwie odbytych kuracyi znajdujemy w sprawozda-

niach doktorów: Charcot'a, Mesnet'a, Proust'a, Ballet'a, Richet'a, Van Velsena, Lombrosa, Briand'a, Verneuil'a i wielu innych. Zaburzenia wrażliwości, nieodłączne prawie od histeryi, bywają najczęściéj usunięte po kilku posiedzeniach. Dr. Buret przytacza wyleczoną przez siebie głuchotę: dziewczyna dziewiętnastoletnia wskutek silnego wstrząśnienia moralnego straciła całkiem słuch, tak iż rodzina jéj musiała porozumiéwać się z nią na piśmie. W dziesięć dni po tym wypadku Buret uśpił chorą, przykładając jéj rękę do czoła i naciskając powieki palcami. Podczas snu hypnotyzer powiedział choréj: gdy się pani się pani zbudzisz, usłyszysz wyrzeczone imię Eliza. Po przebudzeniu chora doskonale słyszała. Inni chorzy odzyskali w ten sposób mowę lub utraconą wrażliwość skórną. Bernheim użył następującego podstępu z pewną histeryczką, któréj nie można było skłonić do używania pokarmów: podczas snu hypnotycznego wmówił w nią, że jest ona własną swą ciotką. „A teraz, odzywa się doktór, oto jest siostrzenica pani (wskazując na ciotkę), proszę ją nauczyć, jak trzeba jeść, a zarazem dać jéj moralną naukę.” Wnet chora wystąpiła w roli ciotki, zjadła obiad z wielkim apetytem, zgromiła swą mniemaną siostrzenicę i po kilku dniach była zdrową.

Wreszcie ciekawego przykładu uleczenia histeryi przez suggestyę, dostarcza nam dr. Brémond, profesor szkoły medycznéj w Brest [1]). Obserwacya ta mogłaby być zatytułowaną: „Dzieje histeryka”. E., żołnierz marynarki lat dwudziestu trzech, łagodnego usposobienia, inteligentny, sympatyczny, okazuje nieomylne oznaki histeryi. Krótki jego żywot obfituje w niezwykłe przygody. Mając lat 17, pracował pewnego razu przy budowie domu na wysokiém rusztowaniu; przełożony czyni mu jakąś nieznaczną wymówkę, młodzieniec owładnięty rozpaczą, zeskakuje z rusztowania i byłby się niezawodnie zabił na miejscu, gdyby się nie zaczepił o wystającą belkę. W kilka lat potém wskutek kłótni z kochanką, chce wyskoczyć z okna, lecz kobiéta chwyta go za nogę i wciąga go do pokoju, gdzie bohatér nasz pada omdlały. W krótkim czasie potém wiesza się, lecz ta sama kobiéta nadchodzi w porę i ratuje mu życie. Rzuca się do morza (spacerując z tą samą kobiétą nad brzegiem morza), lecz instynkt samozachowawczy bierze w nim górę i ratuje się wpław. Wreszcie w roku 1891-ym poznaje w Brest młodą pannę, z którą chce się żenić. Panna mu sprzyja, lecz rodzice nie chcą wydać córki za żołnierza, człowieka bez pozycyi. „Chyba cię zamagnetyzował, że zakochałaś się w nim tak szybko”, mówią do córki. Młodzieniec jest zrozpaczony.

---

1) „Revue de l'Hypnotisme”, 1893.

Pewnéj niedzieli spotyka swą bohdankę na ulicy i proponuje jéj zadać sobie śmierć razem. Ona decyduje się bez wahania. Wówczas E. najmuje pokój umeblowany, ustawia tradycyonalny żelazny piecyk, a gdy ona nadchodzi, spędzają kilka godzin razem i koło 3-éj w nocy chcą w piecyku zapalić, aby zaczadzieć; lecz piecyk niedobrze funkcyonuje, przy pierwszych wyziewach gazu zakochana para mdleje. Na drugi dzień znajduje ich policya, wysłana przez rodziców panny, zaniepokojonych jéj zniknięciem. Oboje wracają do zdrowia. Po dwóch miesiącach rodzice zgadzają się na ślub córki. W kilka miesięcy późniéj E., nie mogąc znieść niemiłéj obecności świekry w domu, zażywa trucizny, lecz zostaje uratowany. Po dwóch latach dla téj saméj przyczyny, doprowadzony do ostateczności nieprzyjemném zachowaniem się świekry, chce otruć siebie i swoje dziecko kilkomiesięczne. Odesłany do szpitala, okazuje się nadzwyczaj skłonnym do suggestyi. Powoli lekarz zdołał wpłynąć na jego usposobienie i charakter, a dziś człowiek ten, kompletnie wyléczony, prowadzi tryb życia cichy, spokojny, oddany pracy.

W neurastenii hypnotyzm okazał się nadzwyczaj pomocnym. Neurastenia, czyli wyczerpanie nerwowe z zadziwiającą szykością rozprzestrzenia się wśród wszystkich klas społeczeństwa, z tą tylko różnicą, iż klasy zamożne chorują zwykle z nadużycia przyjemności, jakich życie dostarcza, klasy zaś średnie lub najniżéj stojące w hierarchii społecznéj, chorują z nadmiaru pracy, bądź fizycznéj, bądź umysłowéj. Neurastenicy okazują pewną odporność na działanie hypnotyzmu, trudno im skoncentować uwagę, umysł ich tak zajęty jest myślą własnéj choroby, iż nie może przejąć się myślą snu. Innym miłość własna nie pozwala poddać się woli magnetyzera. Ta odporność ich jednak jest pozorną, jak zauważyli Berillon i Mawrukakis, i jeśli hypnotyzm pokona pierwsze trudności, zdoła uśpić chorego dwa lub trzy razy, odtąd usypianie będzie nadzwyczaj łatwém i polepszenie stanu chorego pewném; wymaga jednak dość długiego czasu, gdyż neurastenia jest zwykle chorobą, rozwijającą się powoli, gdy więc chory pomyśli o leczeniu się, nieraz już od kilkunastu lat nosi w sobie początki neurastenii. Obok hypnotyzmu, lekarz nie powinien zaniechać używania środków leczniczych, do tych zalicza się przedewszystkiém zmiana miejsca, rozstanie się z rodziną, gdyż należy zmienić asocyacye chorego, który wciąż pozostaje pod wpływem własnych auto-suggestyi.

Z licznych obserwacyi, dostarczonych nam przez lekarzy-hypnotyzerów, niektóre rzucają ciekawe światło na rolę systemu nerwowego w chorobach żołądkowo-kiszkowych: cierpienia te niezawsze powstają wskutek zaburzeń chemicznych trawienia, mogą bezpośrednio zależeć

od nerwów. Pewien oficer — mówi d-r Berillon — wskutek nadmiaru pracy umysłowéj i złéj hygieny zapadł na chorobę nerwową, którą profesor Bouchard przypisał rozszerzeniu żołądka. Był nadzwyczaj wycieńczony, blady, funkcye trawienia były prawie zawieszone, brak apetytu, prócz tego silne bóle głowy, gwałtowne palpitacye, ból w okolicy serca, zdrętwienie lewego ramienia, bezsenność. Słowem wszystkie symptomaty neurastenii. Człowiek ten, czując się niezdolnym do pracy umysłowéj, doszedł do takiego przygnębienia moralnego, iż pod wpływem hipochondrycznych myśli marzył o samobójstwie, jako jedynéj ucieczce. Berillon w przeciągu dwóch minut pogrążył chorego w głęboki sen, w czasie którego starał się pokrzepić jego ducha, dodać odwagi, zwalczyć ponure myśli i nakłonić chorego, aby jadł z lepszym apetytem. Po przebudzeniu się chory nic nie pamiętał. Na drugi dzień polepszenie było już znaczne, w kilka dni potém chory zaczął pozbywać się swych symptomatów, a w trzy tygodnie był kompletnie uleczony. Wraz ze zdrowiem fizycznym odzyskał zdrowie moralne. D-r Lajoie z Nashua (Stany Zjednoczone) przytacza obserwacyę [1]) newralgii twarzowéj dziesięcioletniéj, wyléczonéj przez hypnotyzm; po piątém posiedzeniu bóle newralgiczne znikły i nie powróciły. Newralgie leczyli z powodzeniem metodą hypnotyczną Delboeuf, Bernheim, van Velsen, Stembo.

Na epilepsyę hypnotyzm bywa najczęściéj bezskutecznym, gdy mamy do czynienia z epilepsyą dawnéj daty, do pewnego stopnia przyswojoną przez system nerwowy; jestto ogólne prawidło, stosujące się i do histeryi i do zaburzeń systemu nerwowego. W *Revue de l'Hypnotisme* d-ra Berillona, zarówno jak i w *Revue de l'Hypnologie* d-ra Luysa, spotykamy liczne sprawozdania o epileptykach, wyléczonych przez hypnotyzm. Berillon jest zdania, iż w epilepsyi hypnotyzm nie okazuje się skuteczniejszym od innych metod leczenia (np. bromem), może być jednak wielce użytecznym, gdy chodzi o polepszenie moralnego stanu, zmianę usposobienia chorego i otamowanie popędów niepowstrzymanych, właściwych epileptykom. Wiele uzdrowień zawdzięczają hypnotyzmowi rozmaite choroby nerwowe spazmatyczne, jak taniec św. Wita, spazmy palców rąk, drżączka porażenna *(paralysis agitans)*, tężec *(tetanos)*, czkawka. Prócz tego suggestya hypnotyczna znaczny wpływ wywiéra na funkcye nerwu sympatycznego, dzięki niéj, można przyśpieszyć, lub zwolnić bicia serca, wstrzymać lub wywołać krwotok, wydzielanie płynów organicznych i t. d.

[1]) „Revue de l'Hypnotisme", 1891.

Rozmaite nałogi i przyzwyczajenia bywają skutecznie leczone przez suggestyę. Forel przytacza czterech alkoholistów, radykalnie wyléczonych przez psychoterapię. Ladame, Voisin, Berillon, Jong, Neilson (z Kanady), Sloyd-Tuckey, dostarczają licznych obserwacyi co do alkoholizmu. Zdaje się, że kuracya bywa wówczas skuteczną, gdy mamy do czynienia z alkoholizmem nabytym, przypadkowym, gdy system nerwowy chorego nie jest osłabiony patologiczną dziedzicznością. Obok zatrucia przez alkohol, spotykamy zatrucie innemi substancyami, jak morfiną, kokainą, chloralem, lub tytoniem [1]). Voisin, Burckhardt, Berillon, uléczyli kilku morfinomanów. Wetterstrand z ogólnéj liczby morfinomanów, léczonych hypnotyzmem, otrzymał 19 uzdrowień. D-r Laurent [2]) wielu chorych uzdrowił od nałogu palenia papiérosów lub fajki, dzięki kilku posiedzeniom hypnotycznym.

Prawie wszyscy lekarze, zajmujący się terapeutyką hypnotyczną, doszli do przekonania, iż psychoterapia może oddać znaczne usługi nietylko w chorobach funkcyonalnych systemu nerwowego, lecz i w chorobach ostrych i przewlekłych o r g a n i c z n y c h. Oczywista rzecz, iż w takim razie suggestya nie ma pretensyi wyléczenia saméj choroby, nie jest w stanie sprowadzić zniknięcia uszkodzenia, lecz walczyć może skutecznie z funkcyonalnemi zaburzeniami, wywołanemi chorobą. Nadzwyczaj często — mówi Bernheim — (*Hypnotisme, suggestion, psychothérapie)*, rozliczne zaburzenia nerwowe powstają na tle chorób organicznych, zaburzenia refleksyjne, związane z ogólną wrażliwością nerwową osobnika, którego wszystkie funkcye połączone są z sobą, tak, iż podrażnienie jednego nerwu znajduje oddźwięk bolesny w innych oddalonych nerwach. Niepowstrzymane wymioty, połączone z brzemiennością, histerya traumatycznego pochodzenia, newroza artrytyczna, histerya saturnizmu (kolki), zawroty głowy i palpitacye serca, wywołane chorobą żołądkową, konwulsye pod wpływem robaków, epilepsya wskutek przestrachu, migrena w połączeniu z menstruacyą, wszystkie te objawy dowodzą, iż dynamika nerwowa, dołączając się do pierwotnéj choroby, ważną odegrywa rolę w dyagnozie chorób i szeroko otwiéra pole dla suggestyi.

Inni lekarze przypuszczają nawet, iż działanie hypnotyzmu może wstrzymać bieg choroby organicznéj i doprowadzić do kompletnego niemal uzdrowienia. W niektórych bowiem chorobach organicznych

---

[1]) Nasze artykuły: „O morfinomanii" (Dodatek do „Przeglądu Tygodniowego", 1893, kwartał II), „Nikotynizm" (Dodatek do „Przeglądu Tygodniowego" 1893, kwartał IV).

[2]) Laurent. „Le Nicotinisme", 1893.

centrów nerwowych, zaburzenia funkcyonalne posiadają doniosłe znaczenie, np. krwotok mózgowy jest dowodem choroby mózgowéj, lecz sam przez się, drażniąc ośrodek nerwowy, wywołuje groźne zaburzenia; podobnie wrzód na mlèczu pacierzowym, naciskając tkankę nerwową, sprzeciwia się transmisyi prądu nerwowego. Vulpian mówił, iż rozchodzenie się prądu nerwowego odbywa się zwykle po drogach okréślonych i stałych, lecz jeśli te drogi zostaną przerwane, wówczas odbywać się musi drogą boczną. Według d-ra Cullerre, być może, hypnotyzm stwarza owe boczne drogi. Nie chcąc nużyć czytelnika długiemi opisami, nie będziemy wchodzili w zbytnie szczegóły, dodamy tylko, iż hypnotyzm przyczynił się wielce do polepszenia stanu w takich chorobach, jak bóle żołądkowe przy tyfusie, kolki wątrobiane, choroby oczu, paraliż pochodzenia mózgowego (w tym wypadku choroba mózgowa działała na mlècz pacierzowy [1]), nieulèczalne choroby mlècza pacierzowego, jak *tabes dorsalis*.

Ponieważ znieczulenie (analgezya) w większości wypadków towarzyszy cierpieniu, nic dziwnego, iż starano się ten stan zużytkować przy robieniu operacyi chirurgicznych. Największe i najniebezpieczniejsze operacye dokonywane były podczas snu hypnotycznego. Z pomiędzy chorych niektórzy byli całkiem świadomi operacyi, lecz nie czuli najlżejszego bólu, inni nie zachowali operacyi w pamięci. D-r Esdaile (z Kalkuty) w przeciągu sześciu lat dokonał 600 operacyi poważnych w czasie hypnozy, na jego zaś żądanie specyalna komisya, złożona z lekarzy i chirurgów, sprawdziła te ciekawe doświadczenia, dochodząc do przekonania, iż wszyscy chorzy bez wyjątku nie byli świadomi operacyi, po przebudzeniu się dowodzili, że nic nie czuli, tak, iż trzeba było zwracać ich uwagę na chore miejsce. Znakomite te rezultaty przypisać chyba można specyalnemu usposobieniu Indusów do snu hypnotycznego, gdyż w Europie nie wiodło się tak pomyślnie, nie wszyscy chorzy dają się zahypnotyzować, a nie wszyscy zahypnotyzowani są znieczuleni. Bądź co bądź, środek ten ma tę wyższość nad chloroformem, iż nie wprowadza do organizmu substancyi trującéj, częstokroć nawet bardzo niebezpiecznéj. Bernheim przytacza chorego, któremu wyrwano pięć zębów trzonowych bez żadnego bólu; przed operacyą wmówiono w niego, iż nic czuć nie będzie i istotnie chory nie doświadczył bólu i krew spluwał z uśmiéchem. Inne obserwacye odnoszą się do przecinania wrzodów, wycinania narości, operacyi na kościach, wyrywania paznogci, wycinania migdałków.

---

[1]) Fontan: Elements de médicine suggestive. — Revue de l'Hypnotisme, 1890.

Anestezya akuszeryjna zalicza się do rzędu największych tryumfów psychoterapii. Liebeault, Dumontpallier, Mesner, Auvard, Luys, Braun, panie: Blanka Edwards i Dobrowolska z powodzeniem posługiwali się psychoterapią w położnictwie. D-r Blanka Edwards uśpiła chorą, mówiąc jéj, że ataków mieć więcéj nie będzie [1]) i że bóle uspokoją się. W trzy godziny potém chora wydała na świat córkę, wielce zdziwiona, że odbyło się to prawie bez bólu; nadzwyczaj szybko odzyskała siły i wróciła do normalnego stanu, powtarzając, że zwykle w podobnych wypadkach cierpiała daleko więcéj. D-r Marya Dobrowolska opublikowała ośm obserwacyi [2]) połogów bez bólu pod wpływem hypnotyzmu.

Nie chcąc przedłużać téj części klinicznéj milczeniem, musimy pominąć wiele bardzo ciekawych obserwacyi, gdyż pozostaje nam jeszcze do rozpatrzenia wpływ hypnotyzmu w chorobach umysłowych, oraz zastosowania psychoterapii do pedagogii.

Terapeutyka chorób umysłowych jest tak uboga, postępy czynione na polu psychiatryi są prawie wyłącznie psychologicznéj natury, iż każda nowa metoda lecznicza, zastosowana do patologii umysłowéj, prawdziwym jest skarbem. Prawie wszyscy wyżéj wspomnieni lekarze używali psychoterapii w chorobach umysłowych. August Voisin, lekarz Salpertriery, wyraził się, iż u obłąkanych, dających się zahypnotyzować, suggestya działa uspokajająco, zmniejsza podniecenie i nadczułość, daje lepszy bieg myślom; po wielu próbach uzdrowienia chorób umysłowych, uznanych za nieuléczalne, dochodzi on do przekonania, iż hypnotyzm zaliczyć się może do pierwszorzędnych metod kuracyjnych w psychiatryi, i życzy wszystkim obłąkanym, aby byli skłonnymi do przyjmowania suggestyi. Jak słusznie jednak zauważył d-r Cullerre [3]), trudność metody polega właśnie na tém, iż nie wszyscy waryaci jednakowo przyjmują hypnozę. Według Liebeault'a ogromna liczba z pomiędzy nich odporną jest na działanie suggestyi, w żaden sposób nie może zapaść w sen hypnotyczny. Podobnego zdania są Bernheim, Dufour i Briand. Jednakże na kongresie hypnotycznym 1889 roku A. Voisin zakomunikował zebranym, iż starając się zahypnotyzować wszystkich obłąkanych, będących w jego klinice, mógł uśpić 10% chorych, a nawet przypuszcza, iż liczba ta zwiększy się przy używaniu nowych, bardziéj udoskonalonych sposobów zahypnotyzowania. „Przyznać trzeba—mówi Voisin—iż należy uzbroić się w wielką

---

1) Blanche Edwards: Progrès médical, 1890.
2) M. Dobrowolska: Revue de l'Hypnotisme, 1891.
3) Cullerre: Thérapeutique suggestive, 1893.

cierpliwość i poświęcić sporo czasu na zahypnotyzowanie chorego; nieraz spędziłem dwie lub trzy godziny przy chorym, zanim zdołałem go uśpić. Trzeba zmieniać sposoby używane do hypnotyzowania i próbować po kilkanaście razy z rzędu". Oczywista rzecz, nie wszyscy lekarze mogą poświęcać tyle czasu swym chorym. Suggestya, aby mogła być skuteczną, wymaga od osobnika skupienia uwagi, zupełnego poddania się, zrzeczenia się własnéj woli. Owe warunki są w zupełnéj sprzeczności z psychicznem usposobieniem obłąkanych. Niepodobna wywołać skoncentrowania uwagi, np. u chorego, przerzucającego się ciągle z jednéj myśli w drugą, albo przejętego wciąż jedną myślą *(idée fixe)*. Istnieją jednakże zaburzenia umysłowe, nie sięgające tak daleko wgłąb istoty ludzkiéj, np. tak zwane psychonewrozy, czyli monomanie świadome, połączone zwykle z brakiem równowagi umysłowéj. W tych zaburzeniach kuracya hypnotyczna okazała się nader skuteczną. Na kongresie medycznym międzynarodowym w Berlinie, Mierzejewski (z Petersburga), Ladame (z Genewy) i Moll (z Berlina), wyrazili rozczarowanie swe kompletne co do hypnotyzmu, gdy chodziło o wyleczenie obłędu. D-r Bérillon bronił téj metody zawzięcie, przedstawiając liczne fakty zupełnego wyléczenia obłędu metodą hypnotyczną. Bądź co bądź, pomimo téj różnicy zapatrywań, metoda ta nie jest do odrzucenia. Być może, nie wszyscy lekarze biorą się dobrze do rzeczy, względem obłąkanych trzeba używać innych metod usypiania, niż dla reszty chorych. Nieraz niepowodzenie wynika wskutek użycia nieodpowiedniéj metody.

Wreszcie przechodzimy do suggestyi, zastosowanéj do pedagogii i wychowywania dzieci zepsutych lub zwyrodniałych. Niewątpliwie, suggestya systematycznie wykonywana, może w sposób stały zmienić kierunek myśli, dążenia odziedziczone lub nabyte, słowem charakter dziecka. Hypnotyzm, zastosowany do poprawy moralnéj i wychowania jest tyle drogocennym, ile zastosowany do chorób fizycznych. W 1886 roku na zebraniu w Nancy Towarzystwa francuskiego postępu nauk, pierwszy Bérillon poruszył kwestyę suggestyi w jéj stosunku do pedagogii, dowodząc, iż środek ten może być używany, gdy mamy do czynienia z dziećmi zepsutemi, niezdolnemi do natężenia uwagi, leniuchami o złych instynktach i t. d. W ciekawéj dyskusyi, jaka się późniéj wywiązała na ten temat, wziął udział Libeault, potwierdzając zapatrywania Bérillon'a, oraz przedstawiając osobiste swe obserwacye w poruszonéj kwestyi. Hémont słusznie dowodzi (*Revue de l'Hypnotisme*, 1887), iż dotychczas nie istniała wcale medycyna moralna dla dziecka; w domach poprawy sposoby, używane dla umoralnienia dziecka, nie odpowiadają wadom i występkom, jakie trzeba zwalczyć. Je-

dnych i tych samych sposobów poprawy używa względem dzieci zdrowych, lecz zepsutych i dzieci chorych. Należy uczynić odróżnienie między dzieckiem zdrowém i chorém moralnie. Rola lekarza rozpoczyna się wówczas, gdy pedagog wpłynąć na dziecko nie jest w stanie. Ponieważ suggestya, umiejętnie skierowana, nie jest niebezpieczna, nie sprowadza chorób nerwowych, nie sprzeciwia się swobodzie indywidualnéj jednostki i nie poniża jéj godności osobistéj, nie widzimy żadnych przeszkód w stosowaniu jéj do istot ułomnych, na które żadne inne środki nie działają.

Według d-ra Bérillona na dziesięcioro dzieci od 6-iu do 15-tu lat, ośmioro zapada w sen hypnotyczny przy pierwszém lub drugiém posiedzeniu. Według Bernheima, wszystkie dzieci skłonne są do suggestyi. Im więcéj dzieci są normalne i obdarowane pod względem intelektualnym, tém łatwiéj je uśpić; u neuropatów i zdegenerowanych spotykamy największe trudności. Idyoci są całkiem oporni. Hémont używa następującego sposobu: wprowadzamy dziecko do naszego gabinetu, nowe miejsce wywiéra pewien wpływ uroczysty na umysł dziecinny i przybiéramy poważny wyraz twarzy, dziecko siada naprzeciwko nas, bierzemy jego ręce w swoje i patrząc mu prosto w oczy, przemawiamy powoli, z łagodnością, lecz stanowczo, tonem jednostajnym, nie podnosząc, ani obniżając głosu, aby tym sposobem usposobić dziecko do snu. Wola dziecka słabnie; mówimy mu o jego wadach lub winach, przedstawiamy złe skutki podobnego postępowania, dowodzimy, że jeśli się nie zmieni, rodzice przestaną je kochać, przyjaciele darzyć zaufaniem i szacunkiem. Dziecko drzémie. Nie staramy się zniszczyć jego woli, pragniemy tylko nakłonić je, aby podzielało nasz sposób zapatrywania; nie pozbawiamy go uczucia odpowiedzialności, lecz przeciwnie, potęgujemy to uczucie. Powracamy kilka razy do tych samych myśli, a gdy dziecko się budzi, znajduje się jakgdyby pod wrażeniem snu, powraca myślą do sennych marzeń. Wówczas rozpoczyna się moralne odrodzenie i za każdém posiedzeniem zaznacza się coraz dobitniéj. Do dzieci, trzeba przemawiać łagodnie, zjednać ich zaufanie, sympatyę, nie wzbudzać nigdy strachu i obawy. Przed obudzeniem nie zawadzi poddać dziecku, że gdy się obudzi, nie będzie czuło przykrego stanu, ciężkości głowy, zmęczenia. Bérillon dowodzi, iż jeśli zalecane warunki będą zachowane, powodzenie jest zapewnioném. Liebeault (*Revue de l'Hypnotique*, 1889) z liczby 22 osobników otrzymał 10 uzdrowień, 8 polepszeń, 4 niepowodzenia. Suggestya okazała się powolną w następujących razach: chorobliwe objawy (3), gniéwliwość charakteru (2), pochop do kłamstwa (1), złe przyzwyczajenie u dzieci (4). Bérillon użył następującego sposobu z dzieckiem, mającém przyzwyczajenie do kradzie-

ży [1]. Gdy dziecko zostało uśpione—pisze Bérillon—kazałem mu zbliżyć się do stołu, na którym leżała sztuka monety. „Widzisz ten piéniądz?—rzekłem mu—masz pewnie wielką ochotę go zabrać? Możesz wziąć i schować do kieszeni. — Dziecko chowa piéniądz. — To dobrze, ale teraz połóż piénądz na miejsce, z którego go wziąłeś i od téj pory będziesz tak zawsze czynić; jeśli ulegniesz pokusie, wstyd ci późniéj będzie i piéniądz odniesiesz". Po kilku posiedzeniach téj gimnastyki umysłowéj, dziecko było wyléczone na zawsze ze zgubnego nałogu. D-r Jong opowiada dzieje chłopca siedmioletniego, posiadającego wszystkie możliwe wady; pod wpływem suggestyi zmienił do gruntu swój charakter, jest jednym z lepszych uczniów swéj klasy, a matka zwie go najukochańszém swém dziecięciem.

Z tych licznych przykładów i statystycznych danych wyciągamy wniosek, iż obowiązkiem każdego lekarza jest zapoznanie się z nową metodą leczniczą, by módz zastosować ją w potrzebie. Posiadamy dziś sporą wiązankę faktów i obserwacyi, zebranych przez pierwszorzędne powagi medyczne. Przeczyć tym danym byłoby nieuctwem. Metoda hypnotyczna nie jest wszechmocną, ale właśnie dlatego ufać jéj możemy, gdyż nie posiadamy ani jednéj metody léczniczéj nieomylnéj, a ta, którąby rościła pretensye, że zawsze léczy skutecznie wszystkie choroby, nie zasługiwałaby na zaufanie.

Józefa Joteyko.



---

[1] Bérillon: „La suggestion, ses applications à la pédagogie et à l'éducation mentale des enfants.

Socyalizm i zoologia.

(H. E. Ziegler. „Die Naturwissenschaft und die socialdemokratische Theorie, ihr Verhältniss dargelegt auf Grund der Werke von Darvin und Bebel", Stuttgard, 1894).

Marx pierwszy — mówi jeden z francuskich jego zwolenników — zbudował naukę zjawisk socyalnych opartą na jedynie realnéj zasadzie — zasadzie materyalistycznéj [1]. Najpoważniejszym krytycznym rezultatem socyalizmu — naucza nas spółczesny niemiecki socyalny demokrata — leży w materyalistycznêm pojmowaniu historyi, zastosowaném do rzeczywistych zjawisk chwili obecnéj [2].

Nieobeznanym z istotą kwestyi może się po takich zapewnieniach wydawać niewątpliwém, że teorye socyalistyczne rzuciły całkiem nowe światło na historyę, że wskazały jéj nowe drogi i ścieżki, któremi odtąd kroczyć ona będzie, że dzieła Marxa i jego uczniów wywarły na rozwój nauk historycznych wpływ równie doniosły, jak na rozwój ekonomii politycznéj.

Zasadniczy pogląd Marxa na historyę streszcza się w twierdzeniu, że metody i organizacya produkcyi decydują o ustroju społeczeństwa, decydują o jego obyczajach politycznych, prawnych i ekonomi-

---

[1]) G. Deville, „Capital de Carl Marx". Wstęp, str. 3 i 4.

[2]) Conrad Schmid, w ocenie dzieła A. Wagnera „Lehr- u. Handbuch der Politischen Oekonomie" w „Archiv der Sozial-G. u. Stat.". 1893, str. 591.

cznych, że pojęcia filozoficzne i religia zależą także od metod i organizacyi produkcyi.

Metody i organizacya produkcyi, a raczéj sposoby, jakiemi społeczeństwo zaspakaja swoje potrzeby materyalne, zaliczano oddawna, już przed Marxem, do głównych danych warunkujących rozwój historyczny społeczeństw, a nawet uważano za warunek najważniejszy, i jako taki stawiano na pierwszém miejscu w szeregu różnych innych warunków. Pomysłem własnym Marxa jest uznanie metod i organizacyi produkcyi za warunek jedyny, wyłączny. Twierdzenie to jednak tak wyraźnie grzeszy jednostronnością, że żaden historyk nie próbował dotąd stworzyć całokształtu historyi ludzkiéj, opartéj na tém jedném twierdzeniu.

Za to wśród niehistoryków pomysł Marxa znalazł uznanie. Zastosowanie go jednak do historyi właściwéj, do epoki dziejów ludzkości historycznéj, spotkało nieprzełamane trudności w niemożności pogodzenia téj teoryi z dokumentami i pomnikami przez pokolenia poprzednie pozostawionemi. Dlatego téż główne próby zastosowania teoryi historycznéj Marxa dokonane zostały odnośnie do epoki przedhistorycznéj, t. j. w zakresie badań stanowiących przedmiot raczéj antropologii niż historyi.

Jest to epoka, która dokumentów po sobie nie zostawiła, w któréj jednak powstały: rodzina, małżeństwo, społeczeństwo i własność. Apostołowie socyalizmu zajęli się zbadaniem historyi ich powstania, zapominając o tém, że antropologia graniczy od góry z historyą, a od dołu z zoologią.

Antropologia, jak słusznie zauważył L. Krzywicki we wstępie do „Ludów", jest nauką świéżą i nie obcą namiętności. W chaosie nagromadzonych przez nią faktów, często ze sobą sprzecznych, łatwo jest dobiérać te, które pewnym, z góry zamierzonym wnioskom odpowiadają. Rezultatem badań antropo-socyalistycznych było twierdzenie: że rodzina, małżeństwo, państwo i własność w pierwotnéj epoce ludzkości nie istniały zupełnie, że w epokach najdawniejszych ludzkość się bez nich obywała.

Sprawdzenie tego twierdzenia z danemi historycznemi poddaje go w wątpliwość: historya bowiem zastała wszędzie rodzinę, małżeństwo, własność i państwo lub jego zawiązki. Sprawdzenia z zoologią podjął się profesor uniwersytetu Freiburskiego, Henryk Ernest Ziegler, w dziełku, którego tytuł podaliśmy na początku. Ostateczne wyniki ego sprawdzenia uważamy za pożyteczne podać do wiadomości naszych czytelników.

I.

Zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy socyalizmu, niejednokrotnie wygłaszali zdanie, że teorya socyalizmu może znaleść ugruntowanie w naukach przyrodzonych—mówi na wstępie Ziegler;—dlatego też wyjaśnienie stosunku teoryi socyalistycznych do nauk przyrodzonych i krytyka ich metodą naukową nietylko nie jest zbyteczna, ale jest obowiązkiem nauki. Socyalizm jest jednocześnie i stronnictwem i teoryą socyalną, doktryną wykończoną, nauczającą, jak powstała rodzina, własność, prawo spadkowe, państwo i t. d., doktryną, która na historyi powstania tych instytucyi opiéra swe ideały społeczne.

Ideały te, według Zieglera, nie grzeszą umiarkowaniem, obiecują nam one braterstwo ludów i usunięcie wojen z historyi; udoskonalenie jednostki ludzkiéj w stopniu, o którym pojęcia dziś nie mamy; niesłychany rozwój wszystkich uzdolnień, nieskończoną zatém ilość uczonych i artystów, wyłączne zajęcie się literatury zagadnieniami prawdy, piękna i dobra; zniesienie sprzeczności istniejącéj między egoizmem a dobrem społecznem, i doprowadzenie ich do harmonii, zniknięcie zbrodni i przestępstw zarówno politycznych, jak kryminalnych, zniesienie różnicy między próżniakiem i pracowitym, niesłychane powiększenie zbiorów rolnych przez zastosowanie do rolnictwa ostatnich wyników nauki, zaspokojenie wszystkich i wszelkich żądań, najwyższy rozwój społeczny, obiecują nam jednem słowem ten złoty wiek, o którym ludzkość marzy od lat tysiąców.

Zdrowy rozsądek, przerażony ogromem tych obietnic, uspokajają argumentami naukowemi: „Umiejętne zastosowanie praw natury w hodowli roślin i zwierząt daje zdumiewające rezultaty, — nie ulega zatém najmniejszéj wątpliwości, że zastosowanie tych samych praw do fizycznego i psychicznego życia człowieka do innych jeszcze rezultatów doprowadzi, jak tylko człowiek świadomie, celowo i samodzielnie wda się w tę sprawę. Jeśli niepomyślne i złe warunki istnienia — inaczéj mówiąc, wady organizacyi społecznéj — są przyczyną złego, wadliwego rozwoju jednostek, to koniecznie wnioskować musimy, że przez poprawę warunków istnienia ludzie tak samo poprawie ulegną.” Ostateczny wniosek brzmi jak następuje: „konsekwentne zastosowanie do istoty ludzkiéj praw natury, zwanych darwinizmem, stworzy innych ludzi w miarę wytworzenia innych warunków socyalnych, które można wedle nauk Marxa tylko w stanie socyalnym wytworzyć. Tą drogą możemy wywołać powstanie w jednostce ludzkiéj określonych przymiotów fizycznych i umysłowych, które umożliwia harmonijny jego

rozwój." Dowodzenie to jest fałszywém i niejasném zastosowaniem nauki, w którém zapomniano, że przystosowanie się i zmiana organizmu wymaga długich, bardzo długich okresów czasu. Charakter człowieka, twierdzi Ziegler, jest częścią wrodzony, częścią w ciągu życia nabyty. Popędy i instynkty, nabyte w ciągu życia przez wychowanie, ulegają zmianie tylko w ciągu życia pokoleń, a historya dowodzi, że po każdéj reorganizacyi społecznéj lub politycznéj, która téj prawdy nie uwzględniła, następowała epoka reakcyi, w któréj pogwałcone przekonania wpływ odzyskiwały, jeśli nie na lat setki, to na dziesiątki. Okresy czasu, w których ulegają zmianie popędy wrodzone, — instynkty trwają setki i tysiące lat. Teorya pochodzenia gatunków nie przypuszcza możliwości zmian charakterystycznych gatunku w krótkich odstępach czasu, a historya ludzkości, obejmująca lat tysiące, nie dowodzi, aby charakter zasadniczy jednostki ludzkiéj uległ widocznéj zmianie od czasów Mojżesza lub Homera. Popędy wrodzone, instynkty, u ludzi wytworzyły się w czasach przedhistorycznych, są starsze niż cywilizacya ludzkości i przetrwały bez zmiany nie jedną już organizacyę społeczną.

Ziegler powołuje się tu na najnowsze prace swego kolegi na uniwersytecie we Freiburgu, Augusta Weismana, podług którego wszystkie instynkty powstały drogą naturalnego doboru, i mają źródło we własnościach zarodków. Wedle téj teoryi, przystosowanie gatunku do nowych warunków następuje tylko przez wyeliminowanie jednostek nieuzdolnionych do zastosowania się, lub odjęcie im możności dalszego mnożenia się. Postęp w hodowli bydła zasadza się na sztucznym doborze, którego przeprowadzenie możliwe jest u zwierząt, przez oddawanie na rzeź lub kastracyę indywiduów, nie posiadających tych cech, których rozwój jest celem sztucznéj hodowli. Taka metoda poprawienia rasy ludzkiéj — sądzi Ziegler — chyba nie prędko znajdzie zastosowanie. Postęp ludzkości, poprawienie jednostki, możliwym jest tylko drogą wychowania i wykształcenia, a zastosowanie metod zootechnicznych nie ma szans powodzenia.

II.

W kwestyi równouprawnienia kobiét Ziegler zestawia to, co twierdzą socyaliści, z tém, co twierdzą nauki przyrodnicze w następujący sposób:

Wedle teoryi socyalistycznéj, w pierwotnym okresie istnienia rodzaju ludzkiego, wzrost, siła fizyczna, inteligencya i charakter kobiéty

i mężczyzny były jednakowe. Różnice dziś istniejące powstały stąd, że w ciągu lat tysiąca mężczyzna uciemiężał kobiétę i tamował rozwój jéj zdolności. Należy więc tylko zrównać kobiétę z mężczyzną pod względem praw politycznych i społecznych, jak tego natura rzeczy wymaga, a z biegiem czasu zdolności fizyczne i umysłowe kobiéty i mężczyzny znów się zrównają.

Nauka, wedle Zieglera, jest nieco odmiennego zdania: twierdzi ona, że u większéj części zwierząt wyższych, szczególniéj u ssących, wszystkie samce różnią się co do wzrostu, siły i charakteru od samic. Jest więc zupełnie nieprawdopodobném, aby człowiek stanowił tu wyjątek, aby kobiéta epok najbardziéj pierwotnych nie różniła się całkiem od mężczyzny co do tych przymiotów. Różnice, istniejące obecnie między jednostkami różnéj płci, powstały zatém nie drogą niewoli, ale w drodze naturalnego doboru i pozostają w ścisłym zwiazku z różnicą celów fizyologicznych, jakie im natura wyznaczyła. Zniesienie różnic psychologicznych, z temi celami związanych, nie jest w najodleglejszéj przyszłości możliwém,—a gdyby nawet nastąpiło, byłoby nie postępem, ale cofnięciem się wstecz ludzkości. Dlatego téż żądanie politycznego i społecznego równouprawnienia kobiét, nie jest zgodne z naturalnemi właściwościami obu płci. Żądanie równouprawnienia kobiét jest pozostałością z epoki racyonalizmu XVIII-go wieku, twierdzącego, że wszyscy ludzie są pod każdym względem sobie równi.

Różnica w wielkości i kształtach mężczyzny i kobiéty rozpoczyna się już w epoce zarodkowego rozwoju, a charakter chłopców i dziewcząt jest już różny w dzieciństwie. Twierdzenia takie: „kobiéta ma równe prawa, jak i mężczyzna, przypadek urodzenia nie może tu miéć znaczenia”, albo: „jeśli mówimy o równości między ludźmi — to absurdem jest połowę rodzaju ludzkości od téj równości wyłączać” — uważa Ziegler za puste frazesy, nad któremi nauka nie będzie dyskutować. Cała zresztą hypoteza osłabienia sił fizycznych i umysłowych kobiéty, wskutek niewoli i ucisku jest w najwyższym stopniu nienaukowa: opiéra się ona na założeniu przeciwném nauce i doświadczeniu, że córki odziedziczają cechy fizyczne i psychiczne tylko po matce, a nigdy po ojcu, na co się zgodzić trudno. Skutki alkoholizmu i wszelkie choroby dziedziczne przechodzą na dzieci obojga płci, bez względu na płeć rodzica-alkoholika lub chorego.

Zresztą, mówi Ziegler, co do zdolności psychicznych, to kwestya dziedziczności jest jeszcze bardziéj skomplikowana, niż co do zdolności fizycznych. Nie jest całkiem dowiedzionem, aby wykształcenie umysłowe rodziców, nabyte nauką i doświadczeniem, przechodziło na

dzieci. Drogą dziedziczności nie nabywa się ani sztuki czytania, ani sztuki pisania. Dzieci dziedziczą tylko zdolności rozumowe, t. j. zdolność nabywania wiadomości; słabszego zatém obecnie uzdolnienia psychicznego kobiét nie można tłómaczyć tém, że w epokach poprzednich kobiéta nie miała możności kształcenia się na równi z mężczyzną. Każda kobiéta jest córką nietylko swojéj matki, ale i swojego ojca. U wielu zwierząt ssących różnice fizyczne i psychiczne między indywiduami obu płci są jeszcze silniejsze, niż w gatunku człowiek; zoolog zatém musi być skłonnym raczéj do przyjęcia twierdzenia, że różnice te są u człowieka mniejsze, aniżeli do twierdzenia możliwości zupełnego usunięcia ich lub uważania za rzecz sztucznie powstałą. Odnosi się to zarówno do tego, co nauka nazywa różnicami pierwszorzędnemi między płciami (różnice w budowie istotne), jak i co do różnic zwanych drugorzędnemi, do których należą np. grzywa u lwa, rogi u jelenia, świetne pióra w ogonie bażanta, pianie koguta, etc. Nauka musi postawić pytanie: czy te drugorzędne różnice, a głównie różnice psychologiczne, są w gatunku człowieka pierwotne i usunąć się nie dadzą w najodleglejszym okresie czasu, czy też są nabyte — wskutek warunków socyalnych powstałe i ze zmianą tych warunków usunięte być mogą.

Już u małp samce są nietylko silniejsze, ale śmielsze i gwałtowniejsze od samic; samce dowodzą w stadzie, prowadzą je i w razie niebezpieczeństwa występują naprzód. To samo nauka stwierdza i u wielu zwierząt ssących: np. byków, ogierów, baranów i t. p. Nauka więc nie może różnicy między płciami w gatunku człowiek wyprowadzać z różnic społecznych, ale musi uważać ją za pochodzącą z czasów poprzednich, za odziedziczoną z góry. Psychologiczne właściwości kobiéty łączą się ściśle z instynktem macierzyńskim, który jest podstawą charakteru kobiéty i nie może zaniknąć bez najwyższéj dla całéj ludzkości klęski. Tak samo jak dla samca u ssących siła fizyczna, wytrwałość, odwaga i inteligencya były warunkami koniecznemi do walki o byt, i w tych przymiotach musiał on być wyższym od samicy, tak samo w człowieku silne rozwinięcie instynktu macierzyńskiego było konieczne dla rozwoju plemienia, dla zachowania rasy.

Różnice więc fizyczne i psychiczne płci są pierwotne, nie zaś nabyte, silniejszy u kobiét rozwój tkanek tłuszczowych i wyższy głos nie dadzą się, podług Zieglera, wytłómaczyć niewolą lub uciskiem. Wyjątkowe zdolności wyjątkowych kobiét nie mogą obalać zasady; chodzi tu nie tyle o stosunkową ilość, co o jakość.

Z tych powodów autor nasz nie spodziéwa się i nie oczekuje zmniejszenia się różnic fizycznych i intelektualnych między płciami,

w czasach nawet najodleglejszych, nie chce uważać dążenia do zmniejszenia tych różnic za uprawnione i uważa je za rzecz naturze przeciwną. Według niego, najwyższym celem rozwoju jest możliwie najwyższe przystosowanie się każdéj płci do celu specyalnego, jaki każdéj z nich wskazała przyroda, a więc kobiéty do celu wydawania na świat i wychowania potomstwa, mężczyzny do wyżywienia i obrony rodziny.

Biorąc na uwagę pojedyńcze grupy zwierząt różnych rzędów, Ziegler dochodzi do wniosku, że im pewien gatunek wyższe w rzędzie zajmuje miejsce, tém silniejszą jest w nim różnica między płciami, tém silniéj występują drugorzędne cechy płciowe. Tak w grupie małp płaskonosych różnice są najsilniejsze u małp wyjących, w rodzinie bażantów u bażanta i pawia, w rodzinie łososiowatych u łososia, w rodzinie *Dinastideae* u Herkulesa, w rodzinie Krabów u *Macroheira Kaempferi*. Należałoby więc raczéj—według Zieglera—postawić hypotezę: że im wyższym jest gatunek, tém silniejszą jest różnica między płciami, nie zaś odwrotnie. To przekonanie, oparte na faktach, przejawiło się w zoologii jeszcze przed Darwinem w połowie bieżącego stulecia, jak tylko do zoologii dostało się pojęcie podziału pracy. Im bardziéj czynności wychowania dzieci stają się trudne i skomplikowane, im więcéj one wymagają ofiar i poświęceń, im bardziéj organizm i umysł kobiéty do nich przystosować się musi, to wszystko z jednéj strony, a z drugiéj: im wyższe wymagania stawia cywilizacya mężczyźnie w walce o byt, im więcéj czasu i pracy wykształcenie jego zawodowe wymaga, tém więcéj — i to wbrew wszelkim frazesom socyalizmu — wykształcenie ich, według Zieglera, od siebie różnić się musi, tém silniejszego przystosowania się płci do tych warunków spodziéwać się należy—pod groźbą—powolnego zanikania rodzin, plemion, narodów i całych ras, któreby za cel swój postawiły psychiczny hermafrodytyzm płci. Zoologia—mówi Ziegler—uważa każdą indywidualną, fizyczną czy psychiczną, dwupłciowość za objaw niższéj organizacyi.

III.

Prace Morgana [1], twierdzi socyalizm, wyjaśniły początkowe dzieje rodziny; w czasach najdawniejszych stosunki między płciami były zupełnie dowolne, z biegiem czasu powstawały związki wewnątrz

[1] L. H. Morgan. „Społeczeństwo pierwotne czyli badania kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi“, tłóm. pol. 1887.

rodziny, potém zewnątrz rodziny, daléj rodzina monogamiczna a w końcu monogamiczne małżeństwo. To ostatnie opiera się na prawie ojcowstwa i stoi w związku z powstaniem własności osobistéj.

Cała ta historya rodziny przez Morgana zbudowana, mówi Ziegler, jest konstrukcyą dowolną i z tém co nauka musi za prawdopodobne uważać sprzeczną: rodzina ludzka w najdawniejszych czasach polegała na monogamicznych związkach i dla tego już pierwszy stopień Morgana—jego punkt wyjścia—odrzucić należy. Historya rodziny ma swoją część historyczną i część przedhistoryczną; ta ostatnia jest w każdym razie hypotezą, któréj wartość zależy od wartości materyałów do konstrukcyi użytych. Historya zastała narody starożytne na pewnym stopniu cywilizacyi, stosunkowo nawet wysokim i dla tego przedhistoryczna doba dziejów rodziny zbudowana została na danych dostarczonych nie przez historyę, ale na danych etnologicznych — przez analogię — opierając się na przypuszczeniu, że w stanie pierwotnéj dzikości wszystkie rasy, wszystkie ludy, miały jednakową organizacyę rodzinną. Najważniejszym jednak fundamentem każdéj takiéj hypotezy jest punkt wyjścia — a jak tutaj — stan pierwotny — organizacya rodziny w epoce zjawienia się gatunku człowieka na ziemi.

Aby tę kwestyę naukowo rozebrać, aby ustanowić co z punktu widzenia zoologii było pierwotném, należy wedle Zieglera szukać danych w obyczajach zwierząt — jako najbliżéj człowieka stojących— i te dane każą domniemywać się, że w najpierwotniejszéj epoce rodzaju ludzkiego — rodzina ludzka była monogamiczną, i że wspólność kobiet w stadzie ludzkiém jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobną. Samce wszystkich ssących są niesłychanie o samice zazdrosne i natura dała im broń dla walki z rywalami. Walki są zacięte, straszne, często śmiertelne. U niższych ssących panuje wielożeństwo, u wyższych — małp — monogamia. Orangutang żyje w monogamii, Goryl w wielożeństwie ale odłączony od reszty Gorylów. Pawiany żyją w wielożeństwie — w stadach, w których samiec ze swojemi samicami stanowi oddzielną rodzinę. Hipoteza ściśle naukowa nie powinna, wedle Ziglera, tych faktów pomijać; opierając się na nich, autor twierdzi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, związki rodzinne człowieka przypominały związki rodzinne u małp: były jednożeństwem lub wielożeństwem, żyjącém oddzielnie lub w większych stadach, w których każdy samiec zazdrośnie bronił swéj samicy i miał jedną lub wiele, zależnie od fizycznéj swéj siły. Twierdzenie, że stada ludzkie żyły pierwotnie we wspólności kobiet, jest odwróceniem naturalnego porządku, a tam gdzie się ono pojawia istotnie, Ziegler uznaje za

zwyrodnienie rasy, za wybryk naturze przeciwny, tak samo jak obyczaje wybijania zębów, spłaszczania głowy, wbijania ozdób w uszy, nozdra, wargi i t. p. Wszystkie te objawy spotykamy u t. zw. ludów pierwotnych, dzikich, a mimo to, za cechę pierwotną człowieka uważać ich nie możemy. Ziegler powołuje się w obronie swych twierdzeń na ostatnie prace o rozwoju rodziny Starcke'go [1]) i Westermarck'a [2]), którzy zupełnie odrzucają poglądy Bachofena, Morgana, Engelsa i Bebla.

Pierwszym obrońcą teoryi wspólności kobiet w epoce pierwotnéj był Bachofen w dziele p. t. „Prawo macierzyste" *(Das Mutterrecht)* wydaném w 1861 r. Mniemał on, że w pierwotném stadzie ludzkiém panowała absolutna wspólność kobiet, że ojciec dziecka był zawsze niewiadomym i dziecko pozostawało we władzy matki, matki zatém były głowami rodzin i dowódcami stada. Dowodów do argumentacyi szukał Bachofen w podaniach, legendach i mytach, i dla tego téż teorya jego dla Zieglera ma charakter raczéj poetycznego rapsodu aniżeli badania naukowego. Z kolei po Bachofenie idą studya Morgana, oparte na obyczajach i zwyczajach ludów dzikich Ameryki i Oceanii, wśród których jednak Morgan téj pierwotnéj familii opartéj na wspólności kobiet nigdzie nie spotkał, ale ze sposobów używania pewnych wyrazów określających stopnie pokrewieństwa między różnemi członkami rodziny wnioskował, że taka wspólność żon w stadzie istniała i że nie inną była pierwotna rodzina ludzka. W dowodzeniu Morgana, mówi Ziegler przypuszcza się, że wszystkie ludy pierwotne na pewnym stopniu cywilizacyi miały organizacyę rodziny taką, jaką on zastał u Irokezów, że powstanie własności osobistéj wywołało powstanie ojcowstwa, że używanie wyrazów pewnych w pewném znaczeniu dowodzi istnienia pewnéj organizacyi rodzinnéj, co wszystko nie przekonywa Zieglera.

Według teoryi Morgana, następném stadyum związków familijnych są związki między członkami jednéj rodziny (kazirodcze). Téj formy organizacyi nie znaleziono także nigdzie, *in natura*—„istnieć ona musiała," bo tego dowodzi system nazw stopni pokrewieństwa używany na wyspach Oceanii. Związki kazirodcze znikają, wedle Morgana, dopiéro na trzeciém stadyum rozwoju rodziny. Ziegler sądzi, że albo zni-

---

[1]) Starcke. Die primitive Familie in ihrer Entstehung und Entwickelung dargestellt. Lipsk 1888.

[2]) Ed. Westermarck. The history of human mariage, 1891, wydanie niemieckie 1893.

knęły one znacznie wcześniéj, albo nie istniały między ludźmi wcale. Wstręt do takich związków, ich względna bezpłodność, może być obserwowaną nie tylko w świecie zwierzęcym, ale w pewnym stopniu i w świecie roślinnym. Wyradzanie się nasion roślinnych i ras zwierzęcych jest faktem oddawna znanym. Autor nasz przypuszcza, że najdziksze hordy ludzkie posiadały wrodzony wstręt do związków w rodzinie. Instynkt ten mógł zaniknąć u niektórych plemion, ale zwyrodnienie hord i plemion, wśród których ten instynkt osłabł, jest naukowym pewnikiem i dla tego z szeregu naturalnych form rozwoju rodziny ludzkiej formę kazirodczą Ziegler wykreśla. Według Darwina, kazirodztwa nie spotykamy już między małpami. Stwierdzenie faktu jest bardzo trudne, gdyż małpy w niewoli się nie mnożą; analogie jednak z danemi zoologii każą przypuszczać, że stada czy rodziny, nieunikające stosunków kazirodczych, musiały wymrzéć lub zwyrodniéć.

Trzecim stopniem w rozwoju familii ma być rodzina „Punalua” t. j. rodzina, w któréj pewna ilość braci ma wspólną ilość żon, nie będących jednak ich siostrami. W rzeczywistości téj rodziny nie znaleziono też nigdzie, dowodem zaś jéj istnienia są nazwy używane do oznaczenia stopni pokrewieństwa na wyspach Sandwich. Jeśli jednak na Sandwich żona brata nazywa się także żoną, nie dowodzi to bynajmniéj, iż jest ona *de facto* żoną brata, ani też tego, że w formie pierwotnéj rodziny bracia mieli zwykle zawsze wspólne żony. Tak samo i to że stryj dzieci swego brata — nazywa dziećmi — nie dowodzi, żeby niemiał pewności, że one nie są jego dziećmi ani też tego, że w poprzednim okresie rozwoju rodziny brat miał pod tym względem wątpliwości. Język pierwotnych ludów rozwijał się powoli, różniczkował się tysiącami lat i jeśli przypuścimy na chwilę, że w pewnych epokach był on tak ubogi, że „syn” oznaczał syna, bratanka i siostrzeńca, a „żona” — „żonę i bratowę,” cały budynek Morgana wali się w gruzy [1]). Co się zaś tyczy formy rodziny na wyspach Sandwich i ich domniemanéj starożytności, to Ziegler sądzi, że wśród narodu, który ma wogóle moralność bardzo luźną, króla dziedzicznego z władzą nieograniczoną, własność ziemi, cztery stany narodu silnie

---

[1]) Na dowód, że różniczkowanie nazw stopni pokrewieństwa nie postępuje prędko i wszędzie jednakowo, możemy tu przytoczyć, że do dziś dnia wyraz „ziat'“ wśród ludu ruskiego oznacza s z w a g r a i z i ę c i a, a wyraz „szurin'' specyalnie już s z w a g r a oznaczający, nie jest jeszcze w powszechném ludowém użyciu, a w końcu choćby i to. że na zachodzie w u j i s t r y j są *oncle*, a nasze c i o t k a, w u j e n k a, s t r y j e n k a — zawsze *tante*.

oddzielone i wielkie różnice majątkowe — w takim narodzie szukać śladów pierwotnych instytucyi rodziny — jest z góry bezskutecznėm. Co do formy rodziny obecnéj na Hawai, to król ma tam 3 żony, szlachta po 2, ubodzy po jednéj. Organizacya społeczna na Hawai jest bardzo daleką od form pierwotnych, o wiele dalszą niż np. organizacya plemion germańskich i słowiańskich w pierwszym tysiącoleciu ery chrześciańskiéj.

W jakim stosunku peryodycznego następstwa czasu mogły iść po sobie wielożeństwo, wielomęstwo i jednożeństwo, to są rzeczy dla Zieglera ani pewne ani ważne. Sądzi on tylko, że wielomęstwo, które jest formą najbardziéj naturze człowieka przeciwną, jest formą zwyrodniałą, zjawiającą się u plemion, których środki pożywienia są bardzo nieliczne, terytoryum ograniczone i które instynktownie przyjmują tę formę rodziny. Wielożeństwo tylko w hordzie pierwotnéj dzikiéj może być powszechną formą rodziny, gdziekolwiek zaś spotykamy je późniéj, stanowi ono tylko formę rodziny klas wyższych, tylko ludzi bogatych i potężnych, prości zaś i ubodzy posiadają po jednéj żonie. Wielożeństwo w całém plemieniu postawiłoby go na stopie najniższéj pod względem militarnym, najsłabszym w obronie przed obcymi.

Z kwestyą formy rodziny wiąże się ściśle sprawa, wprowadzona przez Bachofena do literatury naukowéj „prawa macierzystego.” Ponieważ przy ogólnéj wspólności kobiet ojciec był zawsze niepewny, dziecko zatém pozostawało zawsze pod władzą matki, a więc ona była głową rodziny i plemienia. Po Bachofenie Mc. Lennan i Morgan próbowali teoryę tę uzasadniać na podstawach etnograficznych.

Punktem wyjścia téj teoryi jest wspólność kobiet w hordzie pierwotnéj — wspólność, którą jak wiemy, Ziegler uważa za zupełnie nieprawdopodobną. Pozostawanie dziecka w rodzinie matki nie zaś ojca, oddanie go pod władzę matki nie ojca — nie dowodzi dla Zieglera, aby ojciec był niewiadomy, ale dowodzić może, że w społeczeństwie uważa się, iż dziecko należy więcéj do matki niż do ojca. Ten pogląd trwa dotąd i trwa w umysłach nawet naszych z całą siłą szczególniéj co do pierwszych lat dziecięcia. Nie dziwnego, że istniał i dawniéj i zarodek jego spoczywać musi w przekonaniu, iż rola ojca w wydaniu na świat dziecka jest bardzo niewielka. Morgan przykłady swego dowodzenia czerpał z organizacyi Irokezów, gdzie dziecko zaliczało się do plemienia matki, gdzie mężczyzna żeniąc się, przechodził do klasy żony, a rola obrabiana przez kobiety uważała się za własność kobiet i po śmierci matki szła na dzieci i siostry. Jednocześnie Irokezi żyli w jednożeństwie, ojciec był zawsze pewny i o wspólności kobiet u tego plemienia mowy być nie może. Pokrewieństwo zatém

przez kobiety może istnieć nawet przy formie rodziny monogamicznéj i mogło, podług Zieglera, powstać bardzo naturalnie wskutek przekonania, że dziecko jest cząstką odłączoną od organizmu matki, bez względu na to czy ojciec jest pewny czy niepewny. Rodzina, w któréj ojciec jest głową, ma być dopiéro piątym stopniem rozwoju rodziny ludzkiéj. W stadach, ptaków i ssących, samiec jest zawsze przewodnikiem, obrońcą hordy i rodziny, samcowi a nie samicy dała natura broń specyalną ku obronie rodziny, rogi, kły, wzrost, siłę i inteligencyę. Odwrotnego przykładu w naturze Ziegler nie znajduje i sądzi, że w żadnym gatunku zwierzęcym samica nie posiada ani fizycznych ani psychicznych zdolności, któreby ją na przodowniczkę i obronicielkę rodziny czy stada przeznaczały. Prawa i obowiązki ojca w familii i hordzie ludzkiéj tak bezpośrednio wypływają i łączą się z tém co nam przyroda u wyższych ssących pokazuje, że twierdzenie jakoby w pierwotnéj rodzinie czy hordzie ludzkiéj kobieta miała być głową rodziny, lub hordy, jako wręcz nauce przeciwne, Ziegler odrzuca. U najdzikszych plemion znanych w Brazylii, Ziemi ognistéj, u Hottentotów, Buszmanów i Australczyków, mężczyzna jest głową rodziny i dowódcą hordy. Najstarsze mity, legendy i podania, w końcu dokumenty historyczne tego samego dowodzą, i dla tego cała ta teorya nie ma w oczach naszego autora żadnéj wartości.

Zestawiając w świecie zwierzęcym czas trwania związków samca i samicy i czas potrzebny na wychowanie młodych, Ziegler przychodzi do wniosku, że związki rodziców są tém trwalsze, im dłuższéj opieki potrzebują młode, i wyprowadza wniosek, że u małp i ludzi, u których młode rodzą się zupełnie niedołężne i wymagają stosunkowo najdłuższéj opieki i wychowania, związki rodziców muszą być trwalsze i silniejsze, i że gdy okres wychowania dziecka przeciąga się tak długo, iż w czasie jego wychowania nowe młode na świat przychodzą, rodzina potrzebuje stałéj pomocy i opieki ze strony samca *resp.* mężczyzny — że zatém małpy i ludzie z natury swojéj muszą mieć wrodzoną skłonność do ścisłych, trwałych związków monogamicznych. Po dokumenta Ziegler odsyła czytelnika, chcącego rzecz sprawdzić szczegółowo, do dzieł Brehma, von Koppenfelsa, Reade'a, Hartmanna, Huxley'a, Savage'a, Wallace'a i innych przyrodników.

IV.

Małżeństwo jest instytucyą społeczną, zbiorem obrzędów, mających uświęcić związek dwóch jednostek płci różnéj i nadać mu pewne

skutki prawnospołeczne. W epoce, w któréj małżeństwo jeszcze nie istnieje, rodzina już istnieć może i może istnieć monogamiczna. Formy małżeństwa mogą być różne: porwanie, kupno, uroczystość religijna lub rządowa (ślub cywilny), treścią téj formy jest uroczyste przy świadkach pojęcie kobiety za żonę. Skutki prawne małżeństwa też bywają różne. Jednożeństwo jest starszém od małżeństwa i do dziś dnia spotykamy ludy, które żyją w jednożeństwie, bez małżeństwa. Nie ulega wątpliwości, że małżeństwo ma na celu przedewszystkiém interesy dzieci, że celem jego jest zapewnienie dzieciom opieki obojga rodziców. Z tego też względu, forma monogamicznego małżeństwa z biegiem czasu, we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych wyrugowała powoli inne formy rodziny — wielożeństwo i wielomęstwo.

W socyalistycznéj teoryi rodziny, małżeństwo ma na celu stworzyć prawnych dziedziców własności, jest skutkiem pojawienia się własności prywatnéj, a klasy posiadające, w których interesie ono leży, zmuszają do przyjęcia go i te klasy społeczne, które własności nie mają i dla tego bez małżeństwa obywać by się mogły.

Teoryę tę Ziegler uważa za tendencyjnie zbudowaną. Postawienie własności jako przyczyny, która wywołała małżeństwo, jest zupełnie podług niego błędne. Dziedziczność jest skutkiem małżeństwa nie zaś odwrotnie.

Historyę rodziny, skreśloną przez socyalistów, zrozumiéć można tylko wtedy, gdy się ma przed oczami ich ideały rodzinne, do których starają się historyę przystosować. Dla nich „małżeństwo jest umową prywatną, zawartą bez współudziału osób urzędowych.” Zadowolenie popędów naturalnych płci jest rzeczą prywatną, osobistą, tak samo jak i zadowolenie każdego innego naturalnego popędu. Nikt nie jest zobowiązanym składać innym z tego rachunku i nikt obcy, nieproszony, do tego, nie ma prawa się mieszać. W dodatku wychowaniem dzieci ma zająć się społeczeństwo. Rodzina właściwie nie istnieje, miejsce małżeństwa zajmuje miłość.

Socyalizm jednak, podług Zieglera, błądzi, sądząc, że zniesienie małżeństwa doprowadzi ludzkość do pierwotnéj „wspólności kobiet i wolnéj miłości.” Skłonność do związków trwałych monogamicznych leży, zdaniem jego, w naturze zwierzęcia zwanego człowiekiem i téj skłonności wytępić nie możemy; przeciwnie, przewiduje on, iż małżeństwo, gdyby je zniesiono, napowrót ustanowioném by zostało w interesie płci słabszéj kobiet i najwięcéj zainteresowanych a przy zawarciu małżeństwa zwykle nieobecnych — dzieci. Że teoretycy socyalizmu pozbawieni są „zmysłu rodzinnego” to nie dowodzi, aby ten zmysł nie

miał być powszechnym w ludzkości, we wszystkich warstwach społecznych, posiadających czy nieposiadających, aby zanik tego zmysłu nie miał być dowodem zdziczenia i umysłowego cofania się wstecz ku psychologii zwierząt niższych, ryb i mięczaków. Wzrost ilości bezżennych i małżeństw bezdzietnych, w miarę wzrostu cywilizacyi nie jest dowodem postępu, ile raczéj tego, że każdy postęp ma swoje odwrotne strony, że trudniejsze warunki życia czynią założenie własnéj rodziny coraz trudniejszem, a osłabienie rasy, choroby i wyczerpanie nerwowe, zmniejszają zdolność rozrodczą pojedyńczych osobników.

Wspólność kobiet w stadzie ludzkiém, wedle Zieglera, nie istniała nigdy i nigdzie po za obrębem wyobrażeń jéj twórców i zwolenników. Trudno sobie wystawić nawet ten stan przy istniejącéj ilości ludzkich chorób zakaźnych, że tak powiemy specyalnych. Choroby te nie zjawiły się wczoraj ani w wieku XVI-tym, jak to mniemano dawniéj, ale znane były w najodleglejszéj starożytności i wzmianki o nich znajdujemy w najdawniejszych pomnikach historyi rodu ludzkiego: jak np. w przepisach indyjskiego medyka Susrûta. Plemiona, któreby żyły bez małżeństw i rodziny, w stanie wspólności kobiet, już z téj jednéj przyczyny wyginąć by musiały, kiedy odwrotnie w plemionach mających małżeństwo i przestrzegających wiary małżeńskiéj, choroby te ograniczone zostają do jednego małżeństwa i jego potomstwa i razem z tą rodziną znikają.

Twierdzenie, że warunkiem powstania większych zbiorowisk ludzkich na jedném miejscu była tolerancya mężczyzny względem innych, zupełne wyrzeczenie się zazdrości, jest w zupełnéj sprzeczności z tém, czego Zieglera nauczyła zoologia o życiu stadném zwierząt wyższych t. j. małp, które są zazdrosne i w stadach żyją. Zwierzęta ściśle jednożenne, tworzą czasowe stada (ptaki, małpy, świstaki, bobry). Pawiany, żyjące w małżeństwach, prawie zawsze żyją stadami, po 100 do 150 osobników, między któremi znajduje się po 10—15 dorosłych samców.

Zazdrość u ludzi, mówi Ziegler, nie jest wynikiem cywilizacyi, objawy jéj są zbyt gwałtowne i zbyt „zwierzęce," aby mogła być ona wynikiem cywilizacyi nie zaś dziedzictwem po zwierzęcych przodkach otrzymaném, a twierdzenie Engelsa, że o zazdrości w epokach poprzedzających wieki średnie nie było mowy, jest twierdzeniem, na które nie godzi się ani zoolog ani historyk; w starożytności stosunek żony do innych mężczyzn nie był dla męża obojętny. To, co się spotyka pod nazwą objawów gościnności w tym kierunku u ludów dzikich,

jest dla Zieglera dowodem zwyrodnienia pojęć i uczuć, nie zaś normalnym objawem pierwotnym.

V.

W kwestyi, stanowiącéj jeden z najdawniejszych i najmniéj zrozumianych punktów spornych w ekonomii politycznéj, w kwestyi, zwanéj „prawem Malthusa”, nauki przyrodnicze mają téż prawo, podług Zieglera, głos zabrać.

Wedle teoryi socyalistycznych, prawo, t. z. Malthusa, jest fałszywe i nieistniejące, jest poprostu „bąkiem”, puszczonym przez burżuazną ekonomię (czy téż wynalazkiem kapitalistów), który do socyalistycznego społeczeństwa przeniesionym nie będzie. Prawo Malthusa ma miéć sens tylko z punktu widzenia produkcyi kapitalistycznéj. W państwie socyalistyczném będzie można regulować przyrost ludności bez wstrzemięźliwości i środków prewencyjnych, wprost przez odpowiednią hygienę pożywienia, która oddziaływa na własności zarodków i reguluje mnożenie się gatunku.

Dla Zieglera, jako przyrodnika, prawo Malthusa jest tylko częścią ogólnego prawa, rządzącego światem organicznym, twierdzącego, że w całym świecie roślinnym i zwierzęcym wszystkie organizmy mają tak silne zdolności rozrodcze, że każdy gatunek—gdyby tylko miał dostateczną ilość pożywienia i nie był tępiony przez nieprzyjaciół, zdołałby w czasie możliwym do określenia, całą kulę ziemską zapełnić Jest to zatém ogólném prawém, że natura wydaje więcéj jednostek, niż ich wyżywić może, a prawo to obowiązuje i człowieka. Rezultatem tego prawa jest walka o byt, wskutek któréj ginie wielka ilość indywiduów i zmniejsza się wzrost. Twierdzenie, że przez uregulowanie pożywienia można bezpośrednio oddziaływać i regulować rozmnażanie się ludzi, pozbawione jest, według Zieglera, naukowéj podstawy.

Prawo „nadmiernéj mnożności gatunków” (*Uebermässige Vermehrung*) jest prawem ogólném, któremu człowiek, jako zwierzę, ulegać musi i ulega; — pytanie leży w tém, czy może on, dzięki wysiłkom swego rozumu, to prawo ominąć i usunąć, czy nie może? Według socyalistów może, dzięki okolicznościom ekomomicznym i przyrodzonym, które Ziegler tak streszcza.

Przedewszystkiem człowiek może podnieść produkcyjność ziemi i z tego punktu widzenia powiększanie się ludności jest warunkiem nietylko nieszkodliwym, ale nawet pożytecznym. Na kuli ziemskiéj jest jeszcze niezmierzona przestrzeń gruntów niezajętych (w Syberyi, Ame-

ryce, Afryce i Australii), a masowa kolonizacya tych krajów zwiększy środki pożywienia człowieka na ziemi w stopniu niemożliwym do obliczenia. Masowa kolonizacya, jestto środek pierwszy, niezawodny, naturalny i, dodajmy najstarszy. Ale wszystko to — mówi Ziegler — dowodzi, że absolutne przeludnienie dotąd nie nastąpiło, nie dowodzi jednak, aby prawo Malthusa, prawo nadmiernéj płodności gatunków, było fałszywém i nie dowodzi, aby społeczeństwo w przyszłości miało wytworzyć warunki nowe, zapobiegające przeludnieniu, takie, których dziś nie znamy. Tymczasem wedle zapewnień niektórych socyalistów, społeczeństwo przyszłości tak uporządkuje kwestyę ludnościową, że emigracya stanie się zbyteczną.

Dowód, że działanie prawa Malthusa rozum ludzki, odnośnie do ludzi, zawiesić, jest zdolny, mógłby być osiągnięty wtedy tylko, gdyby dowiedzioném zostało, że ilość pożywienia wzrasta w stosunku prostym do ilości pracy ludzkiéj, w ziemię włożonéj, albo też w stosunku wyższym. Tymczasem, jakkolwiek dziś trudno jest oznaczyć teoretycznie, w jakim stosunku zwiększone nakłady zwiększają wydajność ziemi, wszystko każe się domyślać, że wzrost wydajności jest słabszy, niż powiększenie nakładu pracy; w przeciwnym bowiem razie, ani uprawa pól odległych, ani kolonizacya krajów zamorskich, nie miałyby racyi bytu.

Co do okoliczności przyrodniczych, któremi można regulować przyrost ludności bez odwoływania się do wstrzemięźliwości i środków prewencyjnych, to za takie uważa socyalizm przedewszystkiém sposób żywienia i sądzi, że przez odpowiednią dyetę (rozróżnijmy tu zagłodzenie od dyety co do gatunku pożywienia), można własności zarodkowe osłabić i rozmnażanie się ludzkości powstrzymać. Brak tu tylko bliższego objaśnienia téj zbawiennéj dyety, któréj nauki przyrodnicze dotąd nie znają. Przypuszczano kiedyś, że tucząc zwierzęta, dając im zbyt dużo pożywienia, można w nich siłę i chęć rozmnażania się osłabić; tuczenie jednak takie jest tylko sztuczném wywołaniem stanów patologicznych, choroby, która zmniejsza nietylko siłę rozrodczą, ale i ekonomiczną zdolność produkcyjną człowieka. Wogóle zaś, gdybyśmy się zgodzili na regulowanie wzrostu ludności środkami patologicznemi, to chirurgia dostarczyłaby nam środków prostszych, prędszych, bardziéj niezawodnych i nie zmniejszających siły produkcyjnéj; środków tych jednak z pewnością ani socyalistyczne, ani kapitalistyczne społeczeństwo akceptować nie może i dlatego o regulowaniu wzrostu ludności drogą wywoływania patologicznych zmian w organizmie ludzkim, mowy być nie powinno. Przypuszczenie, że drogą odpowiedniego pożywienia można oddziałać na zdolności rozrodcze u człowieka bez zawikłań w całości organizmu ludzkiego, jest fałszywe. Zdolności rozrodcze

danego indywiduum — twierdzi Ziegler — i to tak do mężczyzn jak i kobiét, polegają na pewnych anatomicznych i funkcyonalnych właściwościach organizmu, na które sposób życia i dyeta wpływają o tyle, o ile wpływają na wyżywienie i osłabienie wszystkich funkcyi żywotnych organizmu. Socyalizm z szybkości, z jaką zwykle wymiérają rody bogate, wnosi, że bogactwo, zamożność, dobre pożywienie zmniejsza siłę rozrodczą. Przyczyny jednak faktu, słusznie skonstatowanego, leżą gdzieindziéj. Przedewszystkiém w tém, że rodziny zamożne chcą miéć mniéj dzieci, że ich się téż mniéj rodzi, niż w rodzinach ubogich, że małżeństwa zawiérają się późniéj, niż w klasach uboższych, nakoniec dlatego, że bogactwo prowadzi bardzo często za sobą patologiczne, głównie nerwowe objawy, które wywołują prędkie wymiéranie rodzin bogatych. Nawet tam, gdzie nie pojawiają się objawy patologiczne odziedziczone, tam bogactwo czy zamożność wywołuje zupełne zaniechanie pracy fizycznéj, osłabienie muskułów i funkcyi organizmu, osłabienie trzewiów i przewagę funkcyi mózgowo-nerwowych z upośledzeniem innych funkcyi, wczesny rozwój i zbytnią wrażliwość płciową, które siłę rozrodczą osłabiają, a czasami niszczą. Tylko dzięki wsiom, niektóre wielkie miasta nie są pustyniami.

Socyaliści powołują się na fakt: że ilość pożywienia wpływa na rozwinięcie się u pszczół matki z zarodka, z którego bez tego nadmiaru pożywienia rozwinęłaby się pszczoła robocza. Fakt, prawdziwy sam w sobie, nie jest jednak dla Ziglera argumentem. Jestto właściwością pszczół, że z larwy, stosownie do ilości pożywienia, rozwinąć się mogą: matka lub robotnica; gdy się już jednak przemiana odbyła, pożywienie dalsze wpływu już nie ma. Robotnica wzamian za utracone organa, otrzymuje inne, potrzebne do zbiérania miodu, a ta zdolność wykształcenia tych lub innych organów nie istnieje u człowieka. Zmniejszając ilość pożywienia, można gatunek ludzki do zwyrodnienia doprowadzić, a zwyrodnienie to zapewne i na zmniejszenie wzrostu ludności wpłynie; nie można jednak tego, co jest właściwością pszczół, przenosić wprost na człowieka, tém więcéj, że nawet u innych owadów téj właściwości Ziegler nie znalazł.

Prawda, że pomiędzy doskonałością zwierzęcia a jego mnożnością jest ścisły związek, ale przyrodnik widzi tu związek między mnożnością i anatomiczną, nie zaś psychologiczną doskonałością. Cywilizacya więc wpływać by mogła na osłabienie wzrostu zaludnienia o tyle, o ile by zmieniła człowieka anatomicznie, a śladów takich zmian historya nam nie daje. Dążąc do *mens sana in corpore sano*, praktyczny polityk i socyolog musi chęć i zdolność rozmnażania się rodzaju ludzkiego przyjąć za ilości stałe, ulegające zmianie tylko w szeregu lat tysięcy

i nie może budować planów organizacyi społecznéj na zasadach, których grunt spoczywa na zwyrodnieniu ludzkości, sprowadzeniu stanów patologicznych, albo téż na przypuszczeniu, że w ciągu lat dziesiątków da się zmienić to, co trwa lat tysiące.

W teoryach socyalistycznych spotykamy się nieraz z twierdzeniem, że system kapitalistyczny celowo wywołuje nadmiar ludności w klasach uboższych, gdyż potrzebuje tanich rąk, dzieci do fabryk. To już—mówi Ziegler—jest prostym szczwaniem jednéj klasy ludności na drugą, twierdzeniem, pozbawioném wszelkiéj naukowéj i faktycznéj podstawy, teoryą wynalezioną wprost w celach agitacyi. Faktem jest, że małżeństwa bogatsze mają mniéj dzieci, niż małżeństwa uboższe. Co w tym fakcie gra główną rolę, czy chęć pozostawienia dzieciom znaczniejszego majątku, czy obawa przed ciężarami rodzinnemi, czy rozumna wstrzemięźliwość, chciwość, egoizm, czy miłość rodzicielska z jednéj strony, czy też brak umysłowych rozrywek, pierwotna zmysłowość, brak przewidywania, czy wreszcie nałóg pijaństwa, z drugiéj strony, są to kwestye, które po za zakres nauk przyrodniczych wychodzą.

VI.

Walka o byt — powiada nam socyalizm — powinna być usunięta zarówno wewnątrz społeczeństw, gdzie nazywa się konkurencyą, jak i między społeczeństwami, gdzie nazywa się wojną. Jestto przepowiednia niesłychanie ponętna ale — jak sądzi nasz autor — niemożliwa do urzeczywistnienia. Można mówić na seryo tylko o zmianie form téj walki i formy te ulegają istotnie wpływowi cywilizacyi; ludzkość nie wyrzyna się i nie zjada, ale usunięcie saméj walki nie tylko nie jest możliwém, ale nawet nie jest pożądaném.

Rezultatem téj walki zarówno wewnątrz społeczeństw, jak między społeczeństwami, jest dobór naturalny, pozostawanie przy życiu istot organizacyi wyższéj i do warunków egzystencyi lepiéj przystosowanych. Tylko dzięki walce o byt—jak sądzi Ziegler—utrzymują się przy życiu indywidua zdolniejsze, silniejsze i rozumniejsze; tylko dzięki téj walce każde indywiduum stara się jak najprodukcyjniéj pracować, a potomstwo swoje do najprodukcyjniejszéj pracy przystosować. Jest więc ona najsilniejszym bodźcem do rozwinięcia w całéj pełni sił człowieka. Że ma ona i złe skutki, tego bynajmniéj on nie przeczy, sądzi jednak, że skutki coraz łagodniejsze przybiérają formy i twierdzi, że formy te i w przyszłości coraz bardziéj będą uzgadniać się z ideałami

sprawiedliwości i etyki. Coby zaś było z pracą i postępem ludzkim, gdyby sam bodziec, sama walka o byt, w obu jéj formach konkurencyi i wojny, usuniętą zupełnie została, co wtedy pobudzałoby ludzi do pracy, tego Ziegler nie wié, bo na same altruistyczne uczucia tak dziś, jak w najbliższéj przyszłości, liczyć realnie nie czuje się w prawie.

Nie należy jednak mniemać, aby w walce o byt decydowała tylko sama siła fizyczna, przebiegłość i drapieżność. Gdyby siła fizyczna była momentem decydującym, nigdy by człowiek nie doszedł do panowania nad światem i ziemia należałaby dziś do lwów, tygrysów, słoniów, lub hypopotamów. To, że dziś człowiek panuje na ziemi, dowodzi, że wobec walki o byt, siły psychiczne znaczą więcéj od sił fizycznych. Gdybyśmy zaś przypuścić mieli, że wśród tych sił przewagę mają przymioty egoistyczne i antyetyczne, to twierdzenie to dość może usprawiedliwione, o ile patrzymy na jedno tylko społeczeństwo, staje się wobec walki o byt między społeczeństwami nie do utrzymania, bo nie ulega wątpliwości, że w téj ostatniéj walce przewagę otrzymują tylko społeczeństwa silnie zorganizowane, z wysokiém poczuciem narodowéj solidarności i karności.

Mniemanie, że usunięcie konkurencyi wewnątrz społeczeństw i zastąpienie jéj jakąś władzą społeczną, czy państwową, da się połączyć, jeśli już nie z powiększeniem produkcyjności społeczeństwa, to choćby przynajmniéj z utrzymaniem jéj na obecnéj stopie, wydaje się Zieglerowi marzeniem, rzeczywistości przeciwném.

Co się zaś tyczy walki o byt między narodami — wojen, to zapewne, Ziegler uważa, życzenie usunięcia ich zupełnego, jest bardzo pobożném, ale też nic więcéj. Usunąć by je mogła nie socyalistyczna organizacya społeczeństw, ale jedynie zniknięcie różnic narodowych, plemiennych i rasowych, nic bowiem nam nie gwarantuje, aby między pojedyńczemi społeczeństwami, socyalistycznie zorganizowanemi, nie miały się zjawiać: konkurencya, wojny celne i wojny istotne.

Idea wiecznego pokoju nie jest pomysłem socyalizmu, ale pomysłem racyonalistycznych teoryi XVIII-go wieku, dla których nie istniały różnice ras, narodowości i plemion, dla których wszyscy ludzie byli sobie absolutnie równi, zawsze i wszędzie. Tymczasem ludzkość stoi dziś wobec najwyższéj różnorodności narodów i ras i nie wolno jéj o tych różnicach zapominać, ale trzeba przyjąć je za fakt, który niewiadomo, czy kiedykolwiek usuniętym zostanie.

Ewolucya form walki o byt zależy od większego lub mniejszego uspołecznienia ludzi. Na drodze poprawy tych stosunków leży droga do poprawy form, bez zniesienia zarodku — bodźca. W rodzinie, która jest formą naturalną uspołecznienia ludzkiego, walka o byt nie

istnieje, a nawet rodzina zdaje się być polem, na którém rozwijają się instynkta przeciwne: uprzywilejowanie słabszych organizmów. To uprzywilejowanie słabych ustaje jednak z chwilą dojścia organizmu do dojrzałości, a ta zapobiegliwość natury w zawieszeniu zasad walki o byt w rodzinie, może być tylko objaśniona, jeśli kto chce objaśnień, jéj nieświadomością istotnych zdolności organizmu w pierwotnym okresie rozwoju. Najniedołężniejsze w chwili narodzenia zwierzę, jest najpotężniejszém od chwili fizycznéj i społecznéj dojrzałości.

VII.

Formy zwierzęcego uspołecznienia grupuje Ziegler w cztery zasadnicze kategorye.

1) Pnie i kolonie pierwotniaków, polegające na cielesném zetknięciu i niezupełném różniczkowaniu się tkanek.

2) Pnie tkankowców *(Metazoa)*, polegające na cielesném zetknięciu się tkanek już zróżniczkowanych, jak u gąbek i polipów.

Obie powyższe kategorye — wedle Zieglera — nie mają dla socyologii znaczenia i tylko obrazowo porównywane być mogą ze społeczeństwami innych zwierząt i ludzi, których odrębność indywidualna stanowi najpierwotniejszą cechę gatunkową.

Trzecią kategoryę społeczeństw zwierzęcych stanowią u Zieglera uspołecznienia stawonogich, t. j. owadów. Podstawą tych uspołecznień jest anatomiczna różnica ciała i różnica instynktów między indywiduami, stanowiącemi społeczeństwo. Funkcye różne, związane są z różnicami ciała i od nich są nieodłączne. Socyalne zróżniczkowanie jest z góry ustanowione i żadnéj ewolucyi ulegać nie może. Jestto więc społeczeństwo, z którego człowiek niczego się nauczyć nie jest w stanie i którego zasad do siebie zastosować nie może.

Uspołecznienia zwierzęce, do ludzkich zbliżone, Ziegler odnajduje dopiéro u kręgowców, a przeważnie u ssących. Głównym celem tych uspołecznień jest wspólna obrona (konie, bawoły), rzadko kiedy wspólna zdobycz pożywienia, chociaż i takie cele i środki spotyka Ziegler u wilków i pawianów. Karność i solidarność stała jest pierwszym objawem uspołecznienia. Stary pawian, przy wspólnéj napaści na abisyńskie ogrody, karci biciem młode, które hałas sprawiają. Władzę piastują samce i one przedewszystkiém stada bronią, a między dwoma stadami pawianów, które się spotkają w wyprawie na rabunek jednego ogrodu, powstaje walka nie mniéj zacięta, jak wojny o posiadanie kolonii między ucywilizowanemi narodami.

Pomiędzy uspołecznieniem najwyższych czwororękich i najniższych ras ludzkich, Ziegler nie znajduje przeskoku. Na najniższym szczeblu rozwoju człowiek, żyjący w stadzie, musiał mieć instynkta solidarności, wierności i karności, gdyż bez nich byłby się stał pastwą innych zwierząt. W walce między dzikiemi plemionami, przy jednakowéj sile liczebnéj i fizycznym wzroście, zwycięstwo musiały odnosić plemiona odważniejsze, karniejsze i większém poczuciem solidarności odznaczające się.

Socyalistom wydaje się, że państwo powstało dopiéro w téj epoce, w któréj rodzina doszła do piątéj formy ewolucyi, do małżeństwa, t. j. w epoce powstania własności prywatnéj. Dla nich państwo wyniesione zostało tak, jak i małżeństwo, dla zabezpieczenia własności. Z tego zaś wynika bezspornie, że ze zniknięciem prawa własności, państwo, jako niepotrzebne, zniknąć może i powinno.

Społeczeństwo ludzkie na ziemi jest dla naszego autora równie dawném, jak istota ludzka, praojcowie nasi wedle wszelkiego naukowego prawdopodobieństwa żyli w stadach — hordach, tworzyli pewną organizacyę społeczną, z któréj drogą powolnéj ewolucyi wytworzyło się państwo, przez połączenie kilku hord lub plemion. Cechą państwa jest jego polityczna jedność i niezależność od innych państw. Władza państwowa rozwija się powoli z władzy ojca rodziny, naczelnika hordy, przewodnika stada. Państwo nie tylko broni interesów społeczeństwa na zewnątrz, ale stanowi o prawie i wykonaniu prawa na podstawie panujących w społeczeństwie przekonań prawnych, i jest przedstawicielem interesów społeczeństwa, jako całości wobec pojedyńczych interesów każdéj z osobna jednostki. Zamieszanie pojęć w kwestyi powstania państwa rodzi się z chwilą, w któréj przystępujemy do jego określenia, t. j. do scharakteryzowania, opisania cech zasadniczych państwa. Jeśli nie uważamy za warunki konieczne stałego osiedlenia i prawa pisanego, to państwem jest zgromadzenie ludzkie pod jedną władzą, nieuznającą żadnéj innéj nad sobą, rządzące się pewnemi zasadami obyczajowemi i istniejące w pewnych celach wspólnych, i już pierwotna horda ludzka, mająca przewodnika, pilnującego porządku między poszczególnemi jednostkami i kierującego wspólną obroną, jest tém państwem zarodkowém, z którego państwo dzisiejsze, państwo cywilizowane, rozwija się drogą niepochwytnych przeobrażeń, z których żadno nie nadaje się do zrobienia z niego takiego epokowego przełomu, aby odeń powstanie państwa datować.

Gdybyśmy za chwilę powstania państwa uważać mieli stałe osiedlenie się plemienia lub podbój plemienia przez plemię, to w każdym razie nie zgodzilibyśmy się na teoryę państwa, wystawioną przez so-

cyalizm: powstanie państwa wskutek powstania własności prywatnéj, ale państwo, musielibyśmy uważać za produkt epoki, znacznie późniejszéj, mianowicie epoki, w któréj pojawia się własność ziemi, a przynajmniéj własność stad, t. j. epoki koczowniczéj lub rolniczéj.

Socyaliści twierdzą, że państwo—władza—jest potrzebném w społeczeństwie o tyle, o ile zjawia się potrzeba godzenia czy rozstrzygania sprzecznych ze sobą interesów indywidualnych wewnątrz społeczeństwa i zdaje im się, że interesa takie powstają dopiéro w epoce pojawienia się własności osobistéj, z chwilą, w któréj organizacya rodowa znika, a państwo opiéra się na własności terytoryum. Dlaczego zaś plemiona pojedyńcze, mając swoich dowódców-królików, nie są państwami dopóki nie zdobędą się na stałe osiedlenie, i podział wewnętrzny nie rodowy, ale terytoryalny—tego zrozumiéć nie można. Przypuszczenie, że organizacya rodowa jest jednoznaczna z własnością wspólną, a raczéj z nieistnieniem zupełném własności, jest téż niezrozumiałém. Podług nich, państwo charakteryzuje się tém, że dzieli członków państwa wedle okręgów zamieszkania (nie zaś pochodzenia—rody) i że ma władzę państwową. Władza, jak twierdzi zoologia, istnieje w stadach małp i horda ludzka najpierwotniejsza musiała władzę posiadać i władzy ulegać. Zamiana organizacyi rodowéj na organizacyę terytoryalną nie może stanowić charakterystycznéj cechy państwa, bo historya zna organizacye niewątpliwie państwowe, które się opiérały na organizacyi rodów (klanów), jak np. Szkocya jeszcze w XV, XVI, a nawet XVII wieku.

VIII.

Twierdzenie jakoby wszystkie organizacye nie państwowe, rodowe, oparte były na komunizmie, nieistnieniu własności prywatnéj, Ziegler odrzuca stanowczo. Ten związek między powstaniem małżeństwa monogamicznego, państwa i własności, związany luźnie wbrew faktom historycznym i logice dla dowiedzenia, że małżeństwo i państwo czerpią *raison d'etre*, racyę bytu, w osobistéj własności i z ustaniem jéj tę *raison d'etre* utracą, nie ostaje się wobec badań nauk przyrodniczych. Własność prywatną, mówi Ziegler, spotykamy u plemion najdzikszych, ograniczoną tak, jak produkcya tych plemion, ale spotykamy. Ogranicza się ona do narzędzi obrony, ozdób i przedmiotów, do spożycia służących, ale istnieje; nie mówiąc już o tém, że wszelka kultura ziemi: ogrodownictwo lub rolnictwo, — a te spotykamy nawet w plemionach zorganizowanych w rody, a więc, wedle socyalistów, nieupaństwowionych—musi opiérać się na prawie własności, jeżeli nie saméj ziemi, to w każdym razie na prawie własności owoców — plonu z zasianego

i obrobionego kawałka ziemi. Twierdzenie więc, że trzody i uprawa roli pojawiły się przed organizacyą państw w epoce czwartéj—rodowéj, komunistycznéj, a dopiéro w epoce piątéj zostały odpaństwowione — przeszły na własność prywatną, dla zabezpieczenia któréj powstało małżeństwo i państwo,—jest konstrukcyą, wedle Zieglera, fantastyczną.

Własność osobista prywatna istnieje w świecie zwierzęcym; Ziegler, studyując obyczaje zwierząt, już się z nią spotyka. Małpy uważają za swój własny kamień, którym rozbijają orzechy, pies chowa sobie nie ogryzioną kość, ptak strzeże i broni swego gniazda. Pies broni nietylko swéj kości, ale ma pojęcie własności rzeczy do jego pana należących i broni ich z narażeniem własnéj skóry. Czy możemy przypuścić, aby człowiek nawet na najniższym stopniu uspołecznienia miał słabsze od psa pojęcie własności. Małpa kapucyńska jest chciwa: cokolwiek dostanie, odebrać sobie nie daje. Puma niedojedzone resztki zabitego zwierzęcia przykrywa gałęziami i kładzie się na nich. Każdy dziki, nawet najdzikszy, uważa za swą własność broń, ozdoby i ubranie, a plemię tak mało uspołecznione, jak mieszkańcy Ziemi Ognistéj, mają łódki osobiście własne.

Poczucie — nie pojęcie własności — jest instynktem zwierzęcym, bardzo starym, właściwym nietylko zwierzętom najwyższym, małpom i ssącym. Z tego instynktu zwierzęcego w rodzinie dbałéj o los potomstwa, rozwija się pojęcie własności, które rozsuwa się powoli na wszystko to, co los potomstwa zabezpieczyć może, obejmując narzędzia, potém stado domowych zwierząt, potém dom i ogród przy domu, a w końcu rolę, lasy i pastwiska.

Nawet instynkt własności ziemi, jak twierdzi Ziegler, możemy odszukać u zwierząt. Stada dzikie uważają pewne okręgi pastwisk i lasów za swoje i bronią ich od najścia stad innych. Łabędzie na Tamizie bronią zatok rzecznych, w których się rozsiadły, od najścia innych łabędzi; psy w Konstantynopolu wypędzają od siebie psa z innéj okolicy miasta. Nie potrzeba też chyba przypominać, że są zwierzęta oszczędzające, z rodziny gryzących, które na zimę nagromadzają zapasy żywności w miejscach ukrytych przed okiem obcém.

Instynkt własności człowiek odziedziczył po swych przodkach; powstanie zatém własności osobistéj w czwartéj epoce jest fałszywém. Niezrozumiałém jest też dla Zieglera, dlaczego prawo macierzyńskie, gdyby ono istniało, ma być epoką tylko własności wspólnéj — komunistycznéj, nie zaś własności prywatnéj. Wniosek wyprowadzony został z faktu, że u Irokezów, gdzie istniała familia macierzysta (dowódcami jednak i prawodawcami byli ojcowie), rodziny żyły w wielkich wspól-

nych domach, wspólnie obrabiały ziemię, wspólnie gospodarowały. Ale jednocześnie nie ulega wątpliwości, że u Irokezów, po śmierci ojca spadkiem dzielili się jego bracia, siostry i bracia i siostry matki. Stąd Ziegler wyprowadza wniosek, że istniała u Irokezów własność osobista, skoro ulegała dziedziczeniu i że komunizm nie obejmował całéj własności i całéj grupy, ale panował tylko w rodzinie. Ten znów rodzaj komunizmu istnieje do dziś dnia w pewnych organizacyach rodzinnych, opartych na prawie ojcostwa (zadruga słowiańska), istniał dawniéj prawie powszechnie; nie może być być więc uważany za coś wyłącznie prawu macierzystemu właściwego. To raz, a powtóre komunizm rodzinny daleki jest bardzo od komunizmu całego plemienia i może być nazwany niepodzielnością spadkową. Różnica majątku rodowego a nabytego przy dziedziczeniu do dziś dnia przetrwała w niektórych prawodawstwach i dowodzi bardzo dawnego pojęcia praw własności rodzinnéj, która nie jest ani własnością osobistą, ale téż nie jest własnością społeczną, t. j. wspólną własnością każdego członka społeczeństwa, czy téż państwa. Nakoniec całe nowsze prawodawstwo amerykańskich *home-stead*'ów i niemieckich „dóbr rentowych", opiéra się na odnowieniu pojęć własności rodzinnéj, nie osobistéj, ale bardzo dalekiém jest od pojęć własności komunistycznéj.

Komunizm, jak zapewnia Ziegler, nie panował u Irokezów, i nie panował u żadnego plemienia dzikiego: narzędzia produkcyi, i produkta pracy osobistéj były zawsze własnością producenta a istnienie komunizmu, w rzeczywistości jest konstrukcyą teoretyczną bez realnego gruntu.

IX.

Źródło błędów, zarówno racyonalistycznéj socyologii francuskiéj XVIII w., jak i socyalistycznych teoryi XIX w., odnajduje Ziegler w fałszywém pojęciu o istocie człowieka, przekonaniu, że wszyscy ludzie są absolutnie jednakowi i równi.

Wedle teoryi socyalistycznych, wszyscy ludzie pierwiastkowo byli jednakowi. Obecne różnice charakterów, zdolności i wiadomości wynikły wyłącznie z różnych waranków życia, różnego wychowania i wykształcenia. Stąd wniosek, że gdybyśmy wszystkich przychodzących na świat postawili w jednakowych warunkach, dali im jednakie wychowanie i wykształcenie, byliby oni wszyscy równymi, a równość taka jest nietylko możliwa, ale i pożądana.

Autor nasz nie zgadza się ani na założenie, ani na wniosek. Różnice indywidualne między ludźmi są dla niego skutkiem po części usposobień wrodzonych, po części różnic w warunkach otoczenia, wychowania i wykształcenia. Różnice usposobień powstały razem z człowiekiem, nie mogą być zniesione. Różnice wykształcenia powstały razem z podziałem pracy, a więc razem z cywilizacyą i te możnaby zmniejszyć, a nawet i usunąć. Jednak, jeśli już w świecie roślinnym i zwierzęcym każdy silniejszy podział pracy i większe zróżniczkowanie uważa się za wyższy stopień rozwoju, nie sądzi Ziegler, aby w społeczeństwie ludzkiém można wzmagających się coraz więcéj różnic w zawodowém wykształceniu nie uważać za dowód postępu i dlatego nie chce uważać usunięcia tych różnic za pożądane.

Socyaliści obiecują mu, że w idealném ich społeczeństwie nie będzie różnicy między głupim a mądrym, między próżniakiem a pracowitym, bo to co przez te pojęcia rozumiemy, nie będzie istniało,—i każdy człowiek, nietylko będzie miał równe prawa polityczne i cywilne, ale będzie posiadał i równą ilość dóbr doczesnych i będzie osiągał równie doskonałe zaspokojenie swych potrzeb.

Faktem jest, przypomina nam Ziegler, że dzieci jednych rodziców, w jednych i tych samych warunkach zrodzone i wychowane, przy jednakowém wykształceniu, różnią się fizycznie, umysłowo i moralnie a różnice te czasami są tak znaczne, że maksymalnemi-by je nazwać można: zbrodniarze są rodzonymi braćmi ludzi uczciwych, kretyni — rozumnych. Różnice w rodzeństwie zauważyć można już w tym wieku, w którym wpływ otoczenia i wychowanie nie zdołały stanowczego na dziecko wywrzéć wpływu—w wieku zatém, w którym istniejące różnice do wrodzonych zaliczyć należy.

Dziedziczność u ludzi co do ich usposobień fizycznych, a jeszcze więcéj psychicznych, jest teoryą dotąd raczéj przeczuwaną niż stwierdzoną, a co więcéj nie dotyczy ona samych tylko właściwości organizmów ojca i matki, ale może odpowiadać cechom charakteru dziadków. Czy w potomstwie nie zjawiają się czasami właściwości dalszych wstępnych i w jakich to następuje warunkach, wszystko to dotąd są dla nauki niewiadome. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że pewne właściwości fizyczne i psychiczne leżą już *in potentia* w zarodku i tych usunąć ani otoczenie, ani wychowanie nie może.

Różnice psychiczne, tak jak i fizyczne, odziedziczają dzieci to po ojcu, to po matce — czasem po obu — w jakim stopniu i dlaczego, to rzecz przypadku, a raczéj—to rzecz dotąd niezbadana. To tylko wiadomo, mówi Ziegler, że zdolności nabyte dzieciom się nie udzielają. Dlatego też nie wiemy, w jaki sposób możnaby oddziaływać na zdolno-

ści wrodzone. Zdaje się, że krzyżowanie wpływa na zdolności fizyczne, o psychicznych jednak z trudnością to twierdzić przychodzi — nie ma żadnego faktu, na którymby takie twierdzenie oprzéć można. Prowadzenie stałego wyboru przez krzyżowanie ras, jak to ma miejsce u zwierząt, w sferze stosunków ludzkich, nie jest możliwém i wymagałoby—tak jak powiedział już Ziegler poprzednio — stałego usuwania, t. j. mordowania istot, które przy urodzeniu okazują cechy z ostatecznym celem hodowli niezgodne. Taka, delikatnie mówiąc, eliminacya istot ludzkich z celami społeczeństwa niezgodnych, ma miejsce tylko co do zbrodniarzy, t. j. istot społeczeństwu szkodliwych, przez karę śmierci i prewencyjnie przez zamknięcie w więzieniu. Co do chorych umysłowo i wogóle osób dotkniętych chorobami dziedzicznemi, możeby było dopuszczalném odmówienie im prawa wstępowania w związki małżeńskie, co jednak nie przeszkodziłoby im pozostawiać potomstwo. Dzisiejsze społeczeństwa cywilizowane — są na tyle czy zbyt moralne, czy téż zacofane — że na eliminacyę dzieci mniéj zdolnych, mniéj silnych, słabowitych, nawet kalek, nie zgadza się i dlatego wprowadzenie sztucznéj hodowli ludzkiéj, t. zw. antropotechniki, albo nie doprowadziłoby do niczego, albo doprowadziłoby do wytworzenia się w każdém społeczeństwie dwóch klas, dwóch ras—nowéj szlachty umysłowéj i nowy pariasów, któreby w końcu dążyły do wzajemnego wytępienia się. Celem takiéj sztucznéj hodowoli musiałyby być jednocześnie fizyczne i psychiczne zdolności i tutaj leży zasadnicza niemożliwość pogodzenia obu wymagań w stopniu najwyższym. Obserwacye nad ludźmi, uprawiającemi pewien gatunek sportu, prowadzą Zieglera do wniosku, że każdy sport rozwija pewne organa, sprowadza pewne podniecenie organizmu, ale zwiększanie się to, początkowo znaczne, z czasem słabnie i w końcu ustaje: indywiduum po pewnym czasie dochodzi do *maximum* sił i zdolności, którego przekroczyć już nie może.

W każdym razie osiągnięcie celu, sprowadzenie ludzi do jednakowych właściwości ciała i umysłu nie obiecuje, wedle Zieglera, wiele dla postępu ludzkości. Cała nasza cywilizacya zrodziła się na gruncie podziału pracy i zniesienie tego podziału musiałoby ją jeśli nie cofnąć, to zatrzymać. Podział pracy gra główną rolę w rozwoju organizmów i stanowi jego zasadę. Sprowadzenie wszystkich ludzi do jednakowych zdolności i funkcyi byłoby zanikiem zdolności do dalszego rozwoju i dalszego postępu.

Zresztą pojęcie samo pewnéj organizacyi społecznéj, jako końcowéj, nie zgadza się z pozytywnemi danemi wiedzy i nie mamy prawa

przypuszczać, że pewna forma organizacyi społecznéj jest najlepszą i ostateczną.

Reasumując wszystkie przytoczone argumenty, Ziegler twierdzi, że pretensye teoretyków socyalizmu: Marxa, Morgana, Engelsa i Bebla, jakoby teorya ich miała grunt ściśle naukowy, są zupełnie bezzasadne. Fakta przyrodnicze przeczą ich założeniom i wnioskom. Argumenta, które Ziegler przytacza, jak widzieliśmy, zaczerpnięte są specyalnie z arsenału wiedzy pozytywnéj, monistycznéj, z tego samego arsenału, z jakiego czerpią swoje argumenty socyaliści. Nie ulega zaś wątpliwości, że teza, któréj dowodzi Ziegler, daje się obronić i z innego, dualistycznego punktu widzenia: środki dowodzenia będą wtedy inne, ale rezultat końcowy ten sam.

S. P.



Z pod popiołów.

— Wieku rojeń i zachwytów, złudo czarowna—młodości! Czemu nie wypełniasz sobą całego życia ludzkiego? czemu przed tobą widnieje szara, beznadziejna zima? Dlaczego wszystkie rojenia, zachwyty, ułudy, złociste wraz z tobą się kończą, wpadają w grób, gdy człowiek musi wegetować jeszcze przez długie lata?... I gdzież są te wielkie myśli, gdzie te plany olbrzymie, gdzie ta moc?!... Wszystko pierzchło, uleciało—jak sen!... została starość bezsilna...

„Niekiedy łzawy życia bieg
Radości błyska dniem —
Lecz co młodzieńczy marzył wiek,
To było tylko snem...“

Nuci sobie i duma sobie pan Adam, chodząc po pokoju w szlafroku, pantoflach, z fajką w ustach i mycką, wyszywaną paciorkami, na głowie. Czeka na kogoś, bo co chwila staje i, gdy usłyszy na schodach jakie kroki, pilnie nadstawia ucha.

— Czyżby Kostuś zapomniał o moich imieninach? — mruczy i znów chodzi.

— Fe, jakoś chłodno...

Okrywa się szczelnie szlafrokiem i siada pod piecem.

Na dworze co prawda mróz trzaskający, ale u pana Adama w mieszkaniu wcale nie zimno: termometr wskazuje szesnaście stopni powyżéj zera!

— Och, starość nie radość... Pomyśléć sobie, że człowiek niegdyś urągał zimnu, wichurze i burzom, że śmiało stawiał czoło dwu-

dziestu stopniom mrozu w lekkim paltociku... A teraz?... Na samo wspomnienie przeszywa pana Adama dreszcz od stóp do głowy; spogląda na ciepłe futro, wiszące na ścianie i uśmiécha się do niego czule.

— Bądź co bądź—wygoda i ciepło to piękna rzecz!

— E, wyjmę już zęby i włożę do wody—nikt nie przyjdzie.

Pan Adam wstał, nalał wody do szklanki, poczém bardzo zręcznie wysunął sobie z ust dwa rzędy świetnych, błyszczących zębów i włożył je ostrożnie do téjże szklanki, którą postawił na szafeczce przy łóżku, tak, aby mógł ją dostać z łóżka za wyciągnięciem ręki.

— Osioł ten Kostuś dopiéro...

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł mały chłopak z dużym koszykiem w ręku.

— Co to? drzwi były otwarte? Dlaczego ośle nie dzwonisz?! nie masz na drzwiach napisane: „Proszę zadzwonić"!—krzyczał pan Adam, starając się czémprędzéj wydobyć ze szklanki zęby, przyczém kładł fajkę, brał ją napowrt i dzwonił szklanką, nie mogąc trzęsącemi się rękami wydobyć z niéj sztucznéj łaty swego organizmu...

— Czego się gapisz, gapiu! — krzyczał daléj na skrzywionego ucieszníe chłopca, który postawił koszyk na stole i ciekawie przypatrywał się twarzy pana Adama: pierwszy raz widział go bez zębów.

— To nic, proszę pana — odezwał się przestraszony chłopiec — tylko pan kazał pedzieć panu, co i porter je w koszyku...

Pan Adam, zapominając o wszystkiém, zerwał się z łóżka, na którém znów usiadł, wojując z zębami, i szybko zbliżył się do stołu.

— Poczciwy ten twój pan! Ale powiédzże panu, na co sobie koszt robi—to niepotrzebne—mówił, wydobywając z koszyka kilka butelek i całe paki wiktuałów i pożérając je oczyma.

— A to pan pedział, że jutro przyjdzie na śniadanie do pana, bo to imieniny...

— Dobrze, dobrze, kłaniaj się pięknie panu, podziękuj i proś, aby przyszedł... koszyk weź,—na, masz tu czterdziestówkę...

Chłopak pocałował pana Adama w rękę i wyszedł.

Pan Adam zamknął za nim skrupulatnie drzwi na zatrzask, przekręcił klucz w zamku dwa razy i założył łańcuch.

— Oho! Kostuś wcale nie osioł! Starka, trzy butelki wina, kawior, arak, cytryny, dwa portery! Cudowne będzie śniadanie! Dołożyć jeszcze trochę jakiego jedzenia — ot i radca będzie kontent. Fi, fi!... sute będzie przyjęcie... potém preferansik... Co za świetna wigilia Bożego Narodzenia.

Tylko że ta Ramszowa znów będzie wymawiała panu Adamowi, iż nie przyszedł do niéj na ucztę wigilijną...

— At, baba! co ona tam wié!

Przyśle znowu służącą dowiedziéć się, dlaczego pan nie przyszedł, a pan da służącéj czterdziestówkę i powié, jak co rok mówi:

— Powiédz pani, żem trochę niedysponowany... ale to przejdzie... jutro przyjdę—nie mów tylko, że mam gości...

A dziewczyna nie omieszka powiedziéć Ramszowéj, że u pana Adama są goście, a Ramszowa nie omieszka obrazić się na wieki, jak to corocznie bywało:

— Taki stary stołownik, i zamiast przyjść do uczciwego domu i zjeść po bożemu, to bombluje po nocach, w karciska gra w taki dzień... Fuj! obraza Boska, nic więcéj!...

— Eh, co tam! przeproszę—i kwita!

Pan Adam schował wszystko do szafy i stawiając ostatnią butelkę z porterem, zadumał się mocno.

— Anglik, prawdziwy Anglik—wyszeptał—zacny chłop z Kostusia! e! wypiję to dzisiaj, dla gości jeszcze wystarczy...

Przysunął do pieca mały stolik, odkorkował butelkę, nalał połowę szklanki i usiadł, wpatrując się z miłością w ulubiony napój, poczém zwolna kosztował, smakując bezzębnemi usty.

— Dobre! prawdziwy Anglik.

Pan Adam zapalił fajkę, wyciągnął nogi, plecy oparł o piec gorący i przymknął zlekka oczy...

— Dobry ten Kostuś—dalibóg! zawsze pamięta o imieninach pana Adama. Ba! taki handel miéć, tyle porteru — to można sobie pozwolić i raz na rok uczęstować dawnego kolegę.

Zresztą — wszak pan Adam, to jedyny kolega Kostusia z tamtych minionych chwil... Inni — zniknęli gdzieś, przepadli; niektórzy spokojnie poumiérali, niektórzy znów kończą cichy żywot na prowincyi—daleko!...

W Warszawie jest ich dwóch tylko: Kostuś i pan Adam; kochają się też bardzo i widują z sobą często. Naturalnie—przyjaźni téj dopomaga wielce okoliczność, że Kostuś ma w swym handlu przepyszny porter i wiele innych doskonałych rzeczy; zresztą, to ograniczony człowiek, i gdyby nie ten porter, pan Adam nie znajdowałby żadnéj przyjemności w jego towarzystwie: wyśmiéwa np. dawne, dobre czasy, nazywając je „epoką nagości”...

Dobrze mu tak mówić po złowieniu bogatéj żony z milionową gotówką i takim sklepem... Ale kto nie ma nic, najzupełniéj nic, prócz małéj pensyjki, zarabianéj ciężką pracą, kto nie może pozwalać sobie na frykasy za własne pieniądze, oglądając się jedynie na cudze; kto już stracił wszelką nadzieję polepszenia bytu; kto, nakoniec, po sześć

dziesięciu blisko latach trudnego życia, za całą uciechę ma rozmowę z Ramszową, starym radcą, Kostusiem i papugą — ten odczuwa cały urok tych dawnych czasów, tych wspomnień złotych, kiedy to w kole dobrych towarzyszów — marzyło się, cierpiało, śmiało i weseliło — razem...

Jakie to pyszne były owe zebrania koleżeńskie! Istotnie, trzeba być kretynem, jak Kostuś, aby nazywać to epoką nagości — tak ironicznie!

Prawda, iż wszyscy oni „złota, śrybła” nie mieli; prawda, iż ciężko każdy grosz musieli zapracować; ale za to ileż rozkosznych chwil przeżyli, ile wrażeń i wzruszeń odczuli, przesiąknięci ideą braterstwa i miłości! a wszystko to było właśnie w owéj epoce, obecnie przez Kostusia wyśmiewanéj...

Jak się to ludzie zmieniają!

Gdyby to wtedy powiedział kto Kostusiowi, że ożeni się dla pieniędzy, że będzie prowadził handel pieprzem i porterem — dałby mu on!

A gdyby kto powiedział wtedy panu Adamowi, iż będzie kiedyś samotny siedział w izdebce przy piecu i szklance porteru, obok pławiących się w wodzie zębów, z peruką na głowie i łamaniem w kościach — rozśmiałby mu się w żywe oczy! Ba! któżby mógł przypuścić możliwość podobnych rzeczy, widząc pana Adama i Kostusia, i wielu, wielu innych na jakiém posiedzeniu koleżeńskiém w drugorzędnéj knajpce, tak—czterdzieści kilka lat temu!

Wchodzili z gęstemi minami, zasiadali przy stole w ustronnym pokoiku, i pan Adam wołał:

— Natalciu, prochu marny! milion piwa!

Potém wstawał Kostuś i, podniósłszy szklankę do góry, krzyczał:

— Hańba filisteryi!

— Na pohybel!—dopowiadał młody Adaś grobowym głosem.

I ucztowali, śmieli się, odczytywali swoje utwory, poddawali je krytyce, a uznane za najlepsze chowali skrzętnie do olbrzymiéj teki...

Tak — wszyscy byli autorami, i pan Adam, i Kostuś do ich grona należeli, a wynikiem tych wspólnych biesiad była niewielka książka, z serdecznych pragnień powszechnego dobra złożona.

Lecz, pragnienia pozostały tylko pragnieniami—na zawsze!

Książka w małéj ilości rozeszła się po świecie, więc na wydanie drugiéj nie znaleźli już nakładcy...

Była zaś to epoka nagości, jak ją nazywa teraz Kostuś—nagości absolutnéj...

A szkoda! kto wié, co z tych sił wyniknąć mogło... A były wśród tych zapaleńców siły niemałe: brakło tylko marnego grosza — grosza, który przychodzi jedynie wraz z zależnością. Oni zaś pragnęli być niezależnymi, słuchać tylko swoich własnych myśli i swoich własnych serc, bez wpływu obcych podszeptów, lub może—rozkazów...

Przedewszystkiém jednak trzeba było myśléć o nakarmieniu głodnych żołądków. Cisnęli się więc wszyscy do mozolnéj pracy, żmudnéj i wyczerpującéj, ale dającéj chléb.

I coraz rzadziéj schodzili się na wspólne biesiady, coraz rzadziéj uczuwali w sobie chęć podzielenia się myślą i uczuciem z ludźmi...

Potém — wielu musiało opuścić miasto dla pozyskania kawałka chleba, wielu w nędzy rozstało się z tym światem, wielu się sprzedało i przepadło dla myśli...

Obecnie—w Warszawie z całego licznego podówczas kółka pozostały dwa złamane filary: stary pan Adam i stary—choć znacznie odeń młodszy—Kostuś.

Ci dwaj, którzy wtedy z całą mocą i wiarą młodości zrywali się do lotu, stanowią teraz jedyny zabytek dawno przebrzmiałych rojeń: jeden z nich rozkoszuje się smakiem cudzego porteru, drugi za pieniądze podjął się być małżonkiem kobiéty, któréj nigdy nie kochał, z warunkiem, iż będzie nadal prowadził „interes” teścia!...

Pan Adam lubi przynajmniéj te dawne wspomnienia, — Kostuś je wyśmiéwa...

Pan Adam wspomnienia te łączy z jedynym jasnym promieniem, który świecił mu w życiu przez chwil parę, — Kostuś zaś śmieje się z jasnych promieni, chwaląc tylko praktyczność i „interes”...

Czyż tedy pan Adam mógłby lubić Kostusia, jak go rzeczywiście lubi, gdyby nie ten porter—prawdziwy Anglik?

— Pycha-porter!—szepce, przypominając sobie wyrażenie, jakie dawniéj krążyło wśród młodych „niezależnych”.

Wyrażenie to nasuwa mu znów wspomnienie tamtego jasnego promienia...

Wszak po pierwszéj zaraz z nią rozmowie mówił sobie:

— Pycha-dziewczyna!

I ta pycha-dziewczyna tak utkwiła mu w myśli, iż musiał potém widziéć ją raz drugi, trzeci—i coraz częściéj, i spowiadać się jéj z wrażeń i uczuć.

O tém jednak uczuciu, jakiém ku niéj pałał, nie powiedział jéj nigdy. Krył się z tém uczuciem i, gdy chciał o niém mówić, słowa

zamiérały mu na ustach; w dziewczynie nie postrzegał nic, prócz chłodnéj życzliwości, i bał się usłyszéć, iż na wzajemność liczyć nie może... Och! tegoby nie przeżył: on przecie ślady jéj stóp całował! — I na tém się skończyło...

Tak się rozstali, a drugiéj pycha-dziewczyny pan Adam już nigdy nie spotkał.

Wlokło się daléj samotne życie, minęła jesień i pogrążyło się w głębokiéj zimie, a pan Adam dotąd pamięta tę pierwszą i ostatnią zarazem miłość...

No—co tam! butelka skończona; trzeba uprzątnąć, nałożyć jeszcze jedną lulkę i położyć się spać.

Jutro pan Adam musi wstać wcześnie, zamówić jadło na śniadanie w restauracyi, potém wszystko przygotować na przyjęcie gości...

Schował do szafy próżną butelkę, zdjął perukę, z pod któréj wyjrzała na świat żółta, najkompletniéj pozbawiona włosów czaszka, ustawił na stoliku przed lusterkiem przybory do golenia, jakiś flaszeczki i pędzelki, potém, wydobywszy z szuflady zniszczoną książkę, zapalił fajkę i położył się na łóżku, ustawiwszy wprzód lampę do czytania.

— Mój Boże — i z tego wszystkiego wykluła się jedna tylko książczyna!

Ale ta książczyna stanowi wedle pana Adama skarb, świętość; nie oddałby jéj nikomu za nic na świecie; wolałby stracić papugę, swoją ukochaną Koko, niż pozbyć się téj książki...

A przecież Koko to też skarb niemały dla pana Adama: iluż westchnień była świadkiem, ile wysłuchała opowiadań o tém, co już przeszło—bezpowrotnie! A jak ładnie umiała wymawiać: „zmarnowane życie!"

Ha, tak często słyszala tutaj te wyrazy... Dobrze, że teraz drzémie spokojnie, bo do reszty mogłaby rozstroić pana Adama swoją paplaniną...

— No, czytajmy!

Pan Adam zawsze, gdy się rozrzewni wspomnieniami, czyta tę jedną zniszczoną książkę, a zawsze ze łzą w oku...

To—zbiorowe prace dawnych towarzyszów ze wstępnym wierszem pana Adama na czele.

Na tytułowéj karcie widnieje odbity wielkiemi czcionkami napis: „W świat!"

Pan Adam czyta głośnym szeptem:

— Lećcie pieśni i rojenia,
Myśli nasze. dumy młode!

My z ramieniem u ramienia
Tu będziemy ech czekali,
Siejąc spokój, jedność, zgodę. .

A wy lećcie daléj — dalėj —
W świat!

— I gdzież te pieśni, te rojenia, te myśli i dumy? Gdzie te ramiona, które miały pracować na jedność, na zgodę?...

— Héj, wy, złote sny, marzenia,
Nieście młodych serc zapały!

Niechaj szczere wasze pienia
Słyszą wszyscy: wielcy, mali —
Niech usłyszy je świat cały!

A wy pędźcie dalėj — dalėj —
W świat!

— Tak — wszystko było snem, marzeniem! Świat, co miał od czuć ich pienia, pogardził serc młodych zapałami... I na co zdało się to wszystko?...

Pan Adam czytał:

— Niechaj szczere wasze pienia
Życzliwości nuta goni!

Niech nas tutaj od zwątpienia
Przez was bratnia dłoń ocali,
Ciepły uścisk bratniéj dłoni!

A wy dążcie dalėj — dalėj —
W świat!

— Niech nas tutaj od zwątpienia
Chroni miłość naszych braci!

Niech z waszego każdy tchnienia
Świętym ogniem się zapali:
Sercem nam za serce płaci!

I z miłością płyńcie dalėj —
W świat!

— O, młodości, wieku rojeń i zachwytów, ty złudo czarowna! czemu nie wypełniasz sobą całego życia ludzkiego?!

Pan Adam czuje teraz doskonale, iż chciał wzlecieć na skrzydłach ikarowych, pragnąc obudzić miłość ludzi ku ludziom.

Tak! wszystko to na nic się nie zdało... a rezultatem tego tylko— zmarnowane życie, zmarnowane uczucia, zwichnięty los!...

Popioły, popioły!

— Brr! chłodno jakoś... to starość!

Dosyć już wspomnień na dzisiaj, za dużo może... Pan Adam przypomina sobie zastrzeżenie lekarza, aby unikał wzruszeń i rady Ramszowéj, aby nigdy na noc nic nie jadł i nie pił.

A dzisiaj właśnie wypił całą butelkę porteru, — i jakoś wzruszył się rzeczywiście... No, no, takiego starego, doświadczonego człowieka—wzruszył niedorzeczny wiersz, niegdyś w gorączce młodości wysnuty!...

Co za głupstwo!

Ot, lepiéj nakręcić budzik, aby jutro nie spóźnić się z przygotowaniami dla gości; zdjąć zasłonę z klatki Koko, aby od samego rana pomagała paplaniem budzikowi w dziele niszczenia snu pana Adama, ot tak,—teraz zadmuchnąć lampę, owinąć się szczelnie kołdrą—i spać! Jakie to szczęście, że przez kilka dni człowiek będzie wolny od tego nieznośnego biura!

Jutro — uczta, co się zowie; pierwsze święto u Ramszowéj, drugie — u Kostusia, trzecie — u radcy; no — a potém biuro i biuro—aż do następnych świąt!

I tak było przez całe życie—już oddawna!...

Panu Adamowi jakoś niedobrze: szkoda, że pił porter, — trzeba było słuchać rady Ramszowéj, chociaż pycha był Anglik!

. . . .

— Pycha, pycha!—majaczy mu się we śnie.

A potém znów: „hańba filisteryi” i „na pohybel!...”

A potém—promień jasny, ona... i już nic...

Próżno grudniowe słońce, skrząc się w śniegu, okrywającym ramy okienne, zagląda do pokoju pana Adama; próżno budzik terkoce przeraźliwie; próżno zbudzona papuga woła rozpaczliwie: „Adaś! Adaś!”

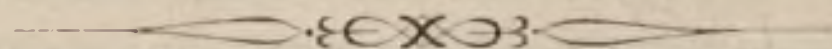
Nie zbudzi już nikt pana Adama; na łóżku leży trup tylko...

Budzik przestał terkotać i w ciszy rannéj słychać jeno Koko która z wysiłkiem wrzeszczy:

— Zmarnowane życie!

Szkoda! Ot, i radca będzie niekontent...

St. P.



TRZY AUTOBIOGRAFIE

Felix Dahn. „Erinnerungen“, 3 tomy, 1891—1893;—Werner v. Siemens. „Lebenserinnerungen“, 1893;—Ebers. „Die Geschichte meines Lebens“, 1893.

Jest w kwietniku literatury pięknéj gatunek jeden, który, nie będąc „powieścią”, zawiéra jednak pewne jéj cechy, bo jest spowiedzią i poezyą, nie należąc znowu do działu „historyi literackiéj” — jest mimo to pierwszorzędnym dokumentem literatury. Gatunek ten rozpada się na dwa organicznie związane działy, w których dusza pisarza odbija się niby w owém magiczném zwierciedle, co zachowywało na zawsze rysy przeglądających się w nim ludzi, jest fonografem — mówiąc językiem dnia dzisiejszego, delikatnym, eterycznym instrumentem, notującym każde drgnienie w duszy pisarza, każdy zwrot w jego sposobie myślenia, zapisującym skrzętnie każdą radość, każdy smutek, wszelki objaw zadowolenia, albo symptom cierpienia i walki. Wyczerpaliśmy treść życia—człowieka, poety—i czytelnik domyślił się już zapewne, że dwa gatunki—to autobiografia (albo dziennik) i korespondencya. Już dawno posiadają one dla dziejopisa i krytyka literatury znaczenie, uznane za pierwszorzędne. Ale prócz tego mają i inne nieuwzględniane często, być może, jako rodzaju literackiego, gdzie zajmują miejsce pośrednie pomiędzy powieścią a historyą literatury i inne, na które chcielibyśmy zwrócić uwagę tutaj — znaczenie dokumentów autentycznych, które w tworzeniu i budowaniu literatury powieściowéj, objawić się może w całéj pełni. Zapewne, że niektóre tylko rodzaje utworów powieściowych, rodzaj najrzadziéj używany, może korzystać śmiało z tego zbiornika motywów i sytuacyi. Autobiografie piszą lu-

dzie sławni, czoło narodu, jego apostołowie zazwyczaj, męczennicy często, a powieść szuka sobie świata szarych, codziennych interesów, ludzi maluczkich, zwykłych, ulicznych — bo żąda tego t. zw. realizm w literaturze, uzmysłowienie (nie w zasadzie, ale w rzeczywistości faktycznéj) szarzyzny bezideowéj często, nieświadoméj, niskiéj. Przysięgły znawca literatury pięknéj i jéj kat szkarłatny — rzucił zdawna już anatemę na tendencyę powieściową...

Nie piszemy tutaj studyum literackiego, a chcielibyśmy tylko poprzedzić szkic niniejszy kilku słowami, które z treścią saméj rozprawki związane są bardzo słabo. Oczywiście, nie codzień rodzą się ludzie, którzy tworzą „Autobiografie" Stuarta Milla, albo przeżywają młodość Taine'ów i Renanów. Może doczekamy się jeszcze utworu, któryby z téj przędzy faktów o czystości kryształu wysnuł opowieść, by ta służyć mogła za przykład literatury moralnéj. Wyznaję szczerze, że w godzinach snu beletrystycznego (a księgarnie śnią) marzę zawsze o obrazie Renana, opuszczającego seminaryum, o biédzie Taine'a i staje mi przed oczyma obraz Milla podczas jego mowy wyborczéj do robotników londyńskich. Może marzenie to — nie na zawsze zostanie tylko pustą, ułudną iluzyą.

I.

Nietylko w życiu narodów, ale i w drobném życiu jednostki najbardziéj przyciągającymi uwagę dziejopisa są momenta silnie napiętych nerwów, kiedy organizacya psychiczna pod wpływem bodźców zewnętrznych wyłamuje się z pod panowania dawniejszych przyzwyczajeń i w zapale „burzy i walki" toruje sobie nowe zupełnie łożysko. Takie momenty będą np. w życiu Renana, chwila zerwania z tradycyami teologicznemi, którą nam tak dramatycznie opowiedział w swéj autobiografii *(Souvenirs d'enfance et de jeunesse)*, w życiu wychowańca klasztoru będzie nią pierwsza ziemska miłość. Napróżnobyśmy szukali u Feliksa Dahna, jakkolwiek poety i uczonego, powieściopisarza, dramaturga, historyka i prawnika—takie bowiem szerokie dziedziny objęła jego myśl twórcza — napróżno szukalibyśmy w tém życiu takich chwil, które stanowią zwykle hedżirę żywota ludzkiego, rok bez liczby, od którego liczymy zwykle późniejsze lata wędrówki ziemskiéj. Obdarzony naturą poetycką (rodzice byli znakomitymi aktorami sceny monachijskiéj), już z lat najmłodszych pisał wiersze na cześć dziewczęcia, dla którego czuł cały bezbrzeżny orkan uczuć miłosnych—nadpowietrznych, niebiańskich i który pozostawił ślady swego wpływu w niezli-

czonych utworach poetyckich, równie mdłych, bezkrwistych, księżycowych, z których na szczęście niewielka tylko, ale i tak pokaźna liczba przeszła do wieczności bibliograficznéj. Możemy też śmiało z biografii rozumowanéj Dahna wykluczyć pozycyę „miłości," bo ilekroć jego lutnia śpiewacka rozbrzmiéć miała tonami „majowych upojeń"—tylokrotnie dźwięczała spokojnym dyszkantem, zawsze tym samym. Ale już tutaj jeden wybitny rys téj natury zauważyć się daje: rysem tym jest niezwykła w latach młodzieńczych równowaga psychiczna. Zawsze zapięty na wszystkie guziki konwenansu, zawsze panować umiejący nad uczuciem i namiętnością — w Monachium wobec Didosy, w Berlinie wobec Lady Ellen, szkotki, któréj udzielał lekcyi literatury niemieckiéj — dziwi początkowo dojrzałością sądu u chłopca 14—18 letniego, umiejącego tak znakomicie oceniać sprężyny i skutki postępowania swego, późniéj jednak w sympatyi czytelnika traci jednostajnością swéj natury i mimowoli przypomina opowieść z psychologii etnicznéj, jaką stworzył kiedyś znakomity Szczedryn w satyrze swéj „Za linię graniczną," opowieść o chłopczyku niemieckim „w majtkach" i słowiańskim „bez majtek..."

Wychowanie gimnazyalne otrzymał Dahn w Monachium, tam spędził także pierwsze lata uniwersyteckie. Pracował niezwykle dużo: już od lat najmłodszych (od 12-go roku) umiał godziny całe poza pracą obowiązkową poświęcać czytaniu i umiał wyrobić w sobie tę pilność, która pozwoliła mu późniéj tworzyć tyle (poczęści b. wartościowo) i na tylu polach pracy umysłowéj. Z nauczycieli uniwersyteckich jeden tylko znakomity Prantl wywarł nań wpływ niezwyczajny. „Najwięcéj wdzięczności winienem... Prantlowi: zawdzięczam mu bowiem nietylko mnóstwo wiedzy, nietylko wykształcenie umysłu do wysokości samodzielnego myślenia filozoficznego, dzięki któremu potrafiłem sobie późniéj stworzyć własny pogląd na świat, dający mi zupełny spokój ducha (p. niżéj), ale zawdzięczam mu, co dla mnie jest rzeczą najważniejszą, zupełne panowanie nad wyobraźnią, trzymaną w karbach właściwych przez dominujące, metodyczne myślenie... Jego sarkazm, wszystko niszcząca pogarda, z jaką mówił o „bohaterach katedry," o frazeologii, wysuwającéj wszędzie na pierwszy plan swoje „ja," dając zamiast tych blaszek bezdźwięcznych, czysty kruszec prawdziwéj bezosobistéj, nieliczącéj na zewnętrzny skutek, ciężkiéj, ofiarnéj pracy naukowéj — z jednéj strony raz na zawsze wypleniło ze mnie nasiona złego, a z drugiéj znowu wskazało prawdziwy ideał pracy" (t. II, 19 nn., 24). „Pogląd, jaki sobie wyrobiłem w latach późniejszych, ale którego główne podstawy tkwiły głęboko w pierwszych wrażeniach filozoficznych — nie jest pesymistycznym,

jak twierdzili niektórzy (bo gdyby był takim, świadczyłby tylko o zgniliznie naszych stosunków umysłowych, byłby chorym, a jest mi wstrętnym); mój pogląd na świat jest tragicznym, heroicznym, bo uczy rezygnacyi, bo wie, że szczęście człowieka, ani na ziemi, ani w wyśnionéni niebie nie stanowi celu, dla którego istnieje wszechświat; istotą świata jest przeciwnie konieczne urzeczywistnianie się praw, dla których szczęście ludzkie jest tak obojętném, jak szczęście zwierząt albo roślin; jest heroicznym, bo żąda rozkoszy życia i spełniania obowiązków, bez owéj nędznéj rachuby na wynagrodzenie, bez owéj nizkiéj bojaźni kary w życiu przyszłém; heroicznym, bo w bohaterstwie (umysłowém, moralném i wojenném) widzi najwyższy zaszczyt i największy obowiązek oraz najzupełniejsze szczęście..." (str. 37).

Z nazwiskiem Prantla związany jest pierwszy „grzech" literacki Dahna. Jest to jeden z najpiękniejszych ustępów autobiografii i warto opowiedzieć go szczegółowiéj. W letnim semestrze 1851 roku rozegrał się nad Izarą jeden z owych częstych niestety dramatów, zatrzymujących w rozwoju swym swobodną myśl ludzką. Ksiądz katolicki Oischinger wydał broszurę p. t. „Antropologizm d-ra Prantla w oświetleniu krytycznėm," w któréj w celu „niewątpliwéj" denuncyacyi objaśnił teorye młodego docenta, jako nie odpowiadające dogmatowi, moralności, wierności poddańczéj autora. Książeczka ta, jak i wiele innych, bliźniaczo zwykle podobnych jéj siostrzyczek, musiała z natury swéj wywołać silną i przez długie lata niemilknącą, dla Prantla fatalną burzę. O ile więc oburzonym i zagrożonym był oskarżony filozof, o ile strwożeni byli przyjaciele jego (Pözl, Maurer), o tyle na siedmnastoletniego Dahna spadła ona niby piorun złowróżbny z jasnego nieba młodzieńczych iluzyi. Nie uspokoił się w prawdziwéj swéj szczeréj rozpaczy nad losem ukochanego nauczyciela, aż na nędzną elukubracyę denuncyanta odpowiedział siarczystą krytyką. Pisał bez wytchnienia dwa dni i dwie nocy (z trzygodzinnemi przerwami dla snu) — i napisał cztery arkusze druku. Wstydził się sam swéj pracy, więc posłał ją tylko Prantlowi, który w odpowiedzi na tę niespodziankę odwiedził ucznia swego i nic miał nic do zarzucenia utworowi — ale całą siłą uczciwego przekonania odradzał mu wydrukowanie elaboratu. Jesteś Bawarem, chcesz posadę otrzymać w Bawaryi; pamiętaj, że tutaj na czas nieograniczony zapanowali „czarni." Jeżeli nawet panować nie będą, wpływ ich i wtedy będzie stanowczy. Przyszłość twoja będzie złamana: bo wiedz, że „czarni" nie przebaczą ci póki życia..." Nie usłuchało oczywiście młode serce téj przestrogi i pomimo całego protestu i ku wielkiemu zgorszeniu sfer miarodajnych, obrona wydrukowaną została. Ale — jak zwykle — ani Prantla

nie ochroniła, a autorowi umiała w późniejszém życiu na drodze profesury podkładać ukryte kamienie, o które raz po raz rozbijał się słaby statek doczesnego szczęścia uczonego niemieckiego. Prantlowi przez długie lata zamknięto wstęp na katedrę uniwersytecką i zabito w ten sposób jedno z niewielu źródeł czystéj, uczciwéj wiedzy w kraju.

Natychmiast po napisaniu obrony, nie mogąc na miejscu upajać swéj dumy autorskiéj kadzidłem młodego tryumfu, musiał Dahn na rok jeden przenieść się do Berlina, ażeby późniéj po całorocznéj pracy przystąpić wreszcie do egzaminu i zdać go oczywiście ku zupełnemu zadowoleniu nauczycieli uniwersyteckich. Na tę dobę właśnie przypada jeden ustęp z dziejów walki uczonego i poety z warunkami rzeczywistości materyalnej. Chciał, jakkolwiek kończył wydział prawny, habilitować się z filozofii. Ale tutaj ustąpił rozumnéj radzie Prantla, który potrafił go przekonać, że władza nigdyby nie zatwierdziła go w charakterze docenta filozofii, jako ucznia Prantla, że gdyby nawet udało się przeprowadzić ten wybór, nigdyby nie mógł uzyskać stopnia rzeczywistego profesora, zapewniającego utrzymanie stałe. Cóż miał począć biedny 22-letni doktór? Dusza rwała mu się ku zaziemskim krainom filozoficznego ideału, ale ustąpić musiał przed „imperatywem" siły. Prantl poradził habilitacyę z umiejętności prawnych, co po długiéj walce przyjąć musiał młody zapaleniec — a tuż na domiar złego istnieje zwyczaj w Bawaryi wymagający od kandydatów na posady profesorskie dwuletniéj praktyki prawniczéj i egzaminu państwowego. Co to była za walka! Na jednéj szali poezya, filozofia, nauka, wolność, możność objawiania swego „ja" — na drugiéj żelazne okowy praktyki sądowéj, zimnéj, niezmiennéj, szematycznéj, mundurowéj. Cóż było czynić? Wprzągł się do ciężkiéj taczki obowiązku.

Historyi tych właśnie dwu lat, spędzonych na posadzie aplikanta sądowego, oraz następnych kilku aż do otrzymania profesury w Würzburgu (1863), poświęcony jest tom trzeci niedawno wydany „Wspomnień." Materyał w nim zebrany, uwzględniający z maszynową ścisłością fonografu każde słowo wypowiedziane kiedykolwiek i gdziebądź przez czas lat dziewięciu, tylko w małéj, względnie do objętości książki (str. 571) cząstce może interesować obcego czytelnika. Zanotujemy więc kilka tylko idealniejszych ustępów z długiéj litanii zdarzeń, osób i czynów — idealniejszych, to znaczy takich, które zainteresowanie swe znaleść mogą bez względu na czas i przestrzeń.

Prędko przy ciężkiéj pracy biurowéj, uzupełnionéj równie pilném przygotowywaniem się do egzaminu państwowego oraz wykończaniem

dwu wymaganych rozpraw uniwersyteckich — prędko minął czas dwuletnich „robót ciężkich” i w ostatnich już miesiącach r. 1857-go rozpoczął młodziutki, 23-letni docent wykłady uniwersyteckie. Praca była wielka, bo oczywiście przygotowywać się musiał wiele i przytém była darmą, więc musiał opędzać potrzeby zarobkiem literackim. Zdarzyło się szczęśliwie, że przyjaciel Scheffel (autor „Eckharda”), opuszczając Monachium, polecił go, jako zastępcę swego przy wydawnictwie państwowém „Bawarya.” Zajęcie to odpowiadające charakterowi pracy, któréj się oddawał, zapewniało sześćset guldenów rocznego dochodu — więc żyć było z czego. Kilka tedy lat następnych przeszło spokojnie; młody uczony ożenił się i praca zawodowa przynosiła coraz lepsze owoce moralnych rozkoszy. Nic zdawało się nie zamąci jasnego nieba młodości, gdy w tém za jednym zamachem pokryło się ono złowrogą chmurą grożącéj nędzy: zajęcie przy „Bawaryi” ustało i tém samém wyschło główne źródło dochodów, gdy znowu obiecana profesura pomimo starań nie otrzymywała najwyższego zatwierdzenia. Zwrócił się więc do zarobku literackiego i począł fabrykować artykuły do gazet, znaczy to inaczéj, że sam wprowadził do organizmu swego pompkę ssąco-tłoczącą, która — przy sześciogodzinnéj pracy codziennéj — pozbawiała go stopniowo najlepszéj krwi serdecznéj, pragnień i nadziei naukowych. Przechodził rzeczywiście chwile ciężkiego absolutnego zniechęcenia do pracy — do życia nawet. Duma nie pozwala mu zwrócić się o pomoc do rodziny własnéj i żony — o pomoc materyalną, duma także nie pozwalała mu zboczyć na drogę „karyery” i u władzy, która mu nie mogła zapomnieć obrony Prantla i sympatyi względem tego „kacerza,” drogą wysług zdobyć należne stanowisko w uniwersytecie. Apatya była tak silna, że źródło natchnienia poetyckiego przestało się sączyć zupełnie — że wreszcie nieunikniona kryzys cierpienia moralnego i wysiłków fizycznych nastąpić musiała: zapadł w długą chorobę płucną, kilka miesięcy spędzić musiał zdala od katedry profesorskiéj w zaciszu domowém, innych kilka znów przeżył pod słoneczném niebem włoskiém, które pomogło mu wrócić do równowagi umysłowéj. Wreszcie skończyły się i lata „głodowe” — w 1863 r. otrzymał upragnioną posadę profesora nadzwyczajnego w Würzburgu (600 guld. płacy). Dalszą historyę zewnętrznego życia swego opowie Dahn w następnym tomie (IV) swych „Wspomnień.”

W drobnym tylko stopniu zaciekawia nas życie „wewnętrzne” w téj epoce jego, którą nam opowiada w tomie trzecim. Kilka zaledwie ustępów téj ogromnéj książki zasługuje na bliższe zaznaczenie:

mamy tu na myśli owe np. stronice, na których kreśli nam Dahn drogi, jakiemi przeciętny profesor niemiecki zdobywa sobie palmy odznaczeń zawodowych; jakto on prędko, najszybciéj odczytuje najnowsze prace wpływowych kolegów, dzieli się natychmiast z autorem wrażeniami (oczywiście najsympatyczniejszemi), jak posyła sążniste oceny dytyrambiczne do czasopism — poważnych i popularnych — jak czasu wakacyjnego używa na podróże w celu osobistego zaznajamiania się z autorami, jak bacznie śledzi każdy najmniejszy bodaj utwór, przez który prześliznąć się można na lepszą, wyższą posadę. Albo ten rozdział, gdzie odpowiadając na zarzuty krytyków swoich, oświadcza się Dahn przeciwko naturalizmowi w sztuce, jak broni gorąco i uroczyście starych tradycyi idealizmu niemieckiego, albo ten w ostatku, gdzie do księgi osobistych wspomnień wkleja kartkę, na któréj opisane zostały krótkie dzieje klubu „Krokodylów" — młodych poetów monachijskich. Właściwy epokowy moment w dziejach rozwoju świadomości niemieckiéj — rok 1870 — który i dla autora pamiętników naszych był ostatecznym i z pod przygniatającego wpływu którego wyzwolić się dzisiaj nie może — z pod uroku Bismarcka; którego szczerze nienawidził za czasów pobytu swego w Bawaryi, a dla którego tak szczerze rozgorzał uczuciem, że i dzisiaj nawet w pielgrzymkach do Friedrichsruhe i w publicznych przemowach przed całym czytającym światem głosić o niém musi — ten rok fatalny w swych skutkach dla serca i umysłu niemieckiego opowiedziany będzie dopiéro w tomie następnym. Właściwie więc mówiąc, rozwój psychiczny i umysłowy Feliksa Dahna, jako późniéj dopiéro ostatecznie zakończony—nie może dla nas, którzy znamy go tylko do r. 1863 stanowić przedmiotu rozprawy. Zaznaczymy więc te tylko rysy, które były mu właściwe zawsze. A więc przedewszystkiém nawet dla Niemiec niezwykłą, zadziwiającą i niezrozumiałą pracowitość i płodność literacką. Dahn pisał jako poeta, jako historyk, jako dramatopisarz, jako prawnik wreszcie, ostatnio jako publicysta. W każdéj z tych kilku dziedzin stworzył po kilka, kilkanaście utworów jedno-dwutrzytomowych. Nie będziemy oczywiście wyliczali tutaj całego katalogu jego „twórczości," która umiałaby potomstwem swém zapełnić biblioteczkę całą. Historyczne jego utwory, w których bada dzieje pierwotne Germanów, składają się z następujących dzieł: „Królowie Germanów" tomów dziesięć (z tych wydanych sześć, reszta jest już zupełnie skończona), „Dzieje Niemieckie" (pierwotne) tomów sześć, prócz kilku tomów studyów historycznych i ośmiu tomów szkiców historycznych; następnie do dwudziestu tomów powieści, dramatów i poezyi, a w końcu działalność profesora prawa. Jeżeli się weźmie pod

uwagę tę ostatnią i uwzględni, jak Dahn opowiada, że przez czas swéj działalności pedagogicznéj miewał wykłady z dziesięciu (!) różnych dyscyplin prawnych, że w Królewcu np. miewał po 17 godzin wykładów tygodniowych — to zrozumiéć nie sposób, skąd uczony brał czas, potrzebny na zapisanie chociażby tylu ryz papieru. Prócz wyrobionéj w sobie za młodych już lat pracowitości — przyczynia się do tego i pewna wrodzona już zdolność: łatwość pisania, a także wrodzona wada: niezwykła lekkość formy i treści. „Pamiętników" swych wydał już Dahn tomów trzy i jeżeli w dalszym ciągu będzie tak drobiazgowo snuł nam cienką przędzę swego żywota, to możemy oczekiwać drugiéj seryi tak samo wielkich tomów! Nie dziw przeto, że ma Dahn powody skarżenia się ciągle na opinię publiczną, która nie oceniła jego „pracy" — w pocie czoła — i kazała np. czekać lat 34 na rozsprzedanie pierwszéj edycyi jego „Poezyi." Z tego powodu „ułożył" (i rzeczywiście poezya Dahna i rymowana i prozaiczna — jest tylko barwném układaniem mozaiki obrazów, zdarzeń i charakterów) ku zadowoleniu wydawcy swego epigramat, który przytoczymy, jako mający poczęści i międzynarodowe znaczenie:

Pisać książki jest łatwo: wystarcza atrament i pióro
Oraz papier cierpliwy. — Książki drukować już trudno
Boć „geniusz" zazwyczaj nieczytelném jest pismem obdarzon.
Książki czytać trudniéj jeszcze—ze względu na sen morzący!
Aleć najtrudniéj już—rzecz dla śmiertelnika śród gajów
Niemieckich niewykonalna: — to książkę sprzedać!...

* *
*

Znakomity, niedawno zmarły elektrotechnik niemiecki, Werner Siemens, był typem angielskiego *self-made-man* [1]. Nietylko dlatego, że pochodząc z rodziny niezamożnéj dzierżawcy wiejskiego, obarczonego dziesięciorgiem dzieci, bez odpowiedniéj nauki, wychowania i fachowego przygotowania, potrafił zdobyć sobie i wielką magnacką fortunę, tytuły i nazwisko otoczyć aureolą powagi narodowéj, ale dlatego także, że zachował i w duchowéj swéj naturze, w umyśle i charakterze cechy, typowi temu właściwe, niezwykłą bezułudną praktyczność, umiejącą trzeźwo, bez zapału, ale i bez zniechęcenia każdą oceniać sytuacyę, jakich wiele złożyć się mogło na to długie, zgórą 70-letnie życie, optymizm, zezwalający na nietracenie nadziei w najgorszych konjunkturach życiowych i starający się budować na

[1]) Lebenserinnerungen. Berlin. 1893. p. 317

najsłabszych fundamentach powodzenia różowe zamki przyszłych zwycięstw, ale tylko na takich, które z istoty swéj, nie z iluzyi, były trwałe, spiżowe; pewną wrodzoną już obojętność na wypadki polityczne i społeczne, pozwalającą bez wyrzutów sumienia iść prostą drogą ku zamierzonemu celowi, nie zbaczając z gościńca karyery na wąskie drożyny poświęcenia i litości; wreszcie silną, żelazną wolę, umiejącą nietylko zdobyć stanowisko, ale je utrzymać i zwycięzko obronić. Taki umysł np. nie lubi i nie bada przeszłości, nie rozumié klasycyzmu i wiecznie pięknego nieba Hellady, nie pociągają go postaci Marka Aureliusza, ani Grachów, nie nęcą szkarłatne barwy odrodzenia i surowa powaga reformacyi; dla niego istnieje tylko teraźniejszość z jéj ruchem ciągłym, nerwowym, teraźniejszość żywa i przeżywana z jéj wciąż zmieniającym się bilansem zysków i strat—przedewszystkiém pieniężnych, potém dopiéro kulturalnych. Dlatego téż Siemens, jak sam po kilkakroć przyznaje, nie mógł zebrać autobiografii swéj w jeden całkowity obraz, musiał w tym celu wyszukać sobie samotni pustelniczéj w Harzu, gdzieby sztucznie stworzone warunki mogły dobroczynnie wpłynąć na szkicowanie biegu myśli w przeciwnym niż zazwyczaj kierunku. Dodajmy wreszcie, że takie dusze nie lubią... spowiedzi: boć tak tylko pisana autobiografia może mieć wartość literacką, psychologiczną i pomnożyć potrafi liczbę „dokumentów”, potrzebnych do stworzenia prawdziwego portretu człowieka współczesnego. Już w tych kilkunastu zdaniach, mogących powstać i w niezależności zupełnéj od faktu istnienia Wernera Siemensa i jego „Wspomnień”—mieści się charakterystyka dzieła i jednocześnie ocena jego literackiéj wartości, która uwalnia nas od drobiazgowego opowiadania przejść tego życia. Kilka tylko drobnych ilustracyi. Kiedy np. w fabrykach swych Siemens wprowadza zasadę udziału w zyskach pracowników fabrycznych, nie kieruje się bynajmniéj w tém ludzkiém — rzadkiém jednak — postępowaniu zasadą etyczną, np. usłyszaną w Akademii, któréj jest członkiem, albo wyczytaną w którémś z dzieł swych nowszych kolegów. Oto, jak sam opowiada (na str. 270—2): „Wcześnie już zrozumiałem, że zadawalniający rozwój naszéj firmy osiągniętym zostanie wtedy tylko, kiedy uda się w życie wprowadzić chętne, samodzielne współdziałanie wszystkich współpracowników dla dobra własnego. W tym celu zdawało mi się koniecznem, ażeby wszyscy, należący do firmy, mieli udział w zyskach...” Ziomków nawet raził ten rys „interesu”, jaki był wybitnym w charakterze Simensa, tak silnie widocznie, że aż na stronicach „Autobiografii” bronić się musiał. Niekoniecznie jednak sam potępia podobne usposobienie, widząc w niém i dobre strony, z których również i bogactwo narodowe korzystać może.

Był znakomitym praktykiem, ale miewał niekiedy i głębokie myśli filozoficzne. Szczególnie w ostatnim odczycie „O stuleciu przyrodoznawczém" (1886 r.) złożył wielkie świadectwo zdolności poważnych. Zastanawia się tutaj nad zmianą w stosunkach społecznych wskutek opanowania przyrody przez człowieka; wskazuje, że technika, spoczywająca na podstawach przyrodoznawczych, uwolni człowieka od ciężkiéj pracy, na którą skazany jest dzisiaj—nie będziemy oczywiście powtarzali tutaj tych wyliczanych tylokrotnie, przesłanek, a zanotujemy tylko sylogizm—że, jednem słowem, praktyczne cele demokracyi społecznéj osiągnąć się dadzą bez zniszczenia dotychczasowego ustroju społecznego. Zauważył jednak także, że to poznanie przyrody wpłynie dodatnio i na podniesienie moralności i idealizmu ludzkiego, bo — mówiąc słowami „Autobiografii", str. 285—prowadzić będzie do podziwiania nieujętéj a przenikającéj wszechświat mądrości.

* * *

Trzecim, a tém samém ostatnim w trójlistku autobiografii omawianych dzisiaj, jest życie egiptologa i romansopisarza—drugiego prędzéj jeszcze niż pierwszego — Jerzego Ebersa. Pierwszy rozdział tego szczęśliwego życia opowiedział nam dotychczas i u nas aż do przesytu znany autor „Uardy" i piętnastu innych, a jednak zawsze tych samych mdłych, gwiazdkowych romansów. Pierwszy, ogłoszony dotychczas tom [1]) opowiada w zwykłéj, przewlekłéj formie powieści *à la* Marlitt „Historyę życia", doprowadzając ją aż do czasu, kiedy rzeczywiście staje się zajmującą, t. j. aż do końca lat młodzieńczych. I tutaj wierny swéj dewizie, kończy Ebers sakramentalném zdaniem: „Dalszy ciąg nastąpi". Urodził się w bogatym domu kupca berlińskiego—więc nędzy nie zaznał nigdy; matkę miał niezwyczajnie inteligentną, gromadzącą wokoło siebie wybrane koło literatów i uczonych berlińskich — więc od lat najmłodszych urabiano mu głowę i serce według pewnych, za najlepsze w owym czasie uznanych metod i wskazówek. Nie było w jego rozwoju chybionych celów, straconych lat, szedł zawsze bitym gościńcem „cudownego dziecka". Nie zawiera też ta młodość tych częstych, a tak strasznych dramatów niedostatku, beznadziejnéj walki, tych zwątpień — słowem, owéj aureoli cierpienia, która zdobi męczeńskie czoło tylu znakomitych w późniejszém życiu uczonych i badaczy i która w ich rozwoju osobistym jest czynnikiem chrztu, nadającym ich charakterowi i umysłowi cechy niezłomnego śpiżu. Rozumiał

[1]) „Die Geschichte meines Lebens", Sztutgart, 1893 (str. VIII i 522).

osiwiały w robocie pisarskiéj romansopisarz, że sam mało nadaje się na bohatéra,—chcąc atoli utrzymać ton powieści (wszak już tytuł zawiéra w sobie coś niecoś romantycznego), wstawił zewnętrznie tylko spojoną z treścią opowieść o wypadkach 48-go roku, których grozę i znaczenie zrozumiéć miało dziesięcioletnie, obce życiu ulicy dziecko. Te stronice są jedynie może piękne w całéj książce, jakkolwiek mimowoli sprowadzają na usta czytelnika uśmiéch niedowierzania względem domniemanéj inteligencyi dziecka. „18-go marca oczekiwano w Berlinie ostatecznego załatwienia nieporozumień pomiędzy królem i narodem. Wracając ze szkoły poszliśmy umyślnie ulicą Lipską, ażeby przekonać się naocznie o fakcie, wiadomość o którym dotarła już do klasy. Uśmiechały się do nas tysiące twarzy. Król zgodził się na „konstytucyę” i na „wolność prasy”. Nie trzeba było szukać plakatów, które obwieszczały monarsze słowa: na każdym rogu, przy każdéj studni odczytywał ich brzmienie każdy, kogo parło do tego serce; opowiadały sobie je cegły na dachach... Berlin czynił wrażenie człowieka, którego piersi przygniatał ciężarem swym silniejszy od niego przeciwnik. Teraz wolny od ciemięzcy, nabiéra głęboko tchu, wyje z radości i wznosi ramiona ku niebu... Cieszyliśmy się niezmiernie: tego wieczora jeszcze mieliśmy pójść na bal do radcy tajnego Romberga i z niepokojem czekaliśmy na nowe niebieskie ubranie, które miał nam przynieść niebawem krawiec. Była może trzecia po południu, gdy stanął przed nami. Matka moja, będąc obecną przy ubieraniu, powiedziała, że teraz już wszystko będzie dobrze—ale majster w odpowiedzi na to potrząsł tylko przecząco głową i zapewnił, że przyzwolenie królewskie miało na celu tylko chęć stłumienia niezadowoleń i że rzeczywistéj wartości miéć nie będzie żadnéj... Niebawem usłyszeliśmy huk armat.” Rzeczywiście pięknem jest zakończenie tego rozdziału. Czytamy tutaj: „Dopiéro w dojrzalszym wieku zrozumiałem, że owe walki marcowe, które nazywano o wiele póżniéj jeszcze w pewnych sferach „przeklętemi” i „plamą pruskiéj historyi” — są przeciwnie godne największych dzięków narodu. One to były ową burzą oczyszczającą niebo szczęścia narodów. W owe przecudne dni wiosenne, ręce najszlachetniejsze i najczystsze posiały godność życia publicznego, z któréj korzystamy dzisiaj. Piorun zniszczył wprawdzie niejeden dach, pod którym spoczywali bezpiecznie i wygodnie wybrani, powinniśmy jednak błogosławić plon, który wyrósł z owych ziaren dla ojczyzny całéj i dla jéj synów” (str. 165—6).

Wychowanie średnie otrzymał Ebers w zakładzie specyalnym, do którego założycieli należał Fröbel i gdzie wedle jego tradycyi prowadzono daléj wychowanie młodzieży, poczém wstąpił na wydział praw-

ny w Getyndze. Nie słuchał jednakże wykładu nudnych i suchych Pandektów, ale za to pilnie uczęszczał na prelekcye znakomitego Lepsiusa i wtedy już obrał sobie pole badań i marzeń zarazem, które go sławnym uczynić miało. Tutaj powaliła go na łoże ciężka choroba piersiowa, która przez lat kilka ubezwładniła go fizycznie zupełnie, ale pozwoliła pracować i marzyć dowoli. Tak oto powstały pierwsze rozdziały „Królewny egipskiéj”. Kiedy wreszcie do zdrowia powrócił, wziął się z zapałem do wykończenia powieści, która miała stworzyć najsilniejszy fundament pod gmach sławy jéj autora — i zaniósł ją Lepsiusowi. Stary egiptolog zdołał zapalić się dla romantycznie oświetlonéj przeszłości — i przepowiedział uczniowi swemu łatwe zwycięstwo. Jednocześnie radził mu pamiętać o pracy naukowéj — i habilitować się przy uniwersytecie z egiptologii. Tutaj przerywa się wątek opowieści Ebersowéj.

X. Y. Z.



EWOLUCYA SPOŁECZNA

W ANGLII.

I.

Nic częstszego, jak ubolewanie nad bankructwem naszego stulecia. Jeżeli skargom tym wierzyć by się miało, zburzyliśmy wszystkie podstawy, na jakich spoczywały społeczeństwa dawniejsze — władzę, hierarchię, rodzinę, własność, a nie postawiwszy żadnego dodatniego czynnika na ich miejscu, wywołaliśmy stan chaosu anarchicznego, którego padamy ofiarą. Złe ma być posunięte do rozmiarów takich, że ratunek jest niemożliwy. Co najgorsze, to, że pod wpływem superkrytycyzmu, sprężyna wszelkiéj działalności — energia woli — miała osłabnąć do takiego stopnia, iż przestaliśmy troszczyć się o wszelką syntezę społeczną i że idziemy na oślep do jakiegoś nieuniknionego kataklizmu.

Spotykając się z tego rodzaju jeremiadami, nie można wiedzieć, czego jest w nich więcéj — czy tendencyjnego fałszu, czy braku faktycznéj informacyi, czy ślepoty na najjawniejsze dążenia naszéj epoki. Nie ma potrzeby zresztą brać ich zbyt do serca, gdy się zwróci uwagę, kto przedewszystkiém i w jakim interesie wygłasza skargi na ów upadek ideału moralnego i na rozstrój społeczny. Ci co są najkrzykliwsi w urągowiskach, widzą ideał religi w teokracyi i zastąpieniu nauki przez wiarę, ideał własności w przywilejach i monopolach ekonomicznych drobnéj mniejszości narodu, a wyzyskiwaniu

służebniczéj masy. Z drugiego krańca naturalnie odwrotne rozchodzi się hasło i zamykając oczy na niezmierny, już dokonany postęp, na podniesiony dobrobyt, na wyswobodzenie całkowite podkładowych warstw społecznych, na szybkie zbliżanie się do nieznanéj dawniéj sprawiedliwości, przeklinają świat współczesny, jako nie odpowiadający aprioryczném ich modle.

Można tedy przesadne i egoizmem skażone krytyki współczesnéj organizacyi zostawić w spokoju. Prawdą jest natomiast i w oczy bijącą, że epoka nasza jest przechodową, że cały złom dawniejszych instytucyi, urządzeń, teoryi, poglądów, zwyczajów, wali się w przepaść i że do swych nowych potrzeb, nowego ustroju społecznego stopniowo naginamy się i zbliżamy. Jest rzeczą nieodzowną, że my, co stoimy na tym wąskim przesmyku, podmywanym przez wirującą gwałtownie falę, nie czujemy się bezpieczni, że życie staje się nam trudne i że nie wiemy nieraz, po któréj stronie jest słuszność i z jakich obłoków ukaże się brzask świetlanego jutra. Ci, co ubolewają gorzko nad chaotyczną anarchią naszego czasu, i ci, coby pragnęli pewną ilością dogmatycznych formułek przywieść nas do zastoju, albo nawet chwilowego spoczynku, składają poprostu dowód umysłowego swego niedołęztwa, żądają materyalnego niepodobieństwa. Historya pokazuje nam już epoki przechodowe, gdy z wnętrza starego świata nowy się wytwarzał i porodowe bóle ówczesne musiały być tak dotkliwe, jak są nasze dzisiejsze. Różnica jest chyba ilościowa: obecnie jest więcéj osobników cierpiących, bo masy dawniéj były bryłą, czém nie są już i czém żadną miarą nie chcą być nadal.

Ale te skargi, te ubolewania, usprawiedliwić się jeszcze dają utratą spokojnie dawniéj zajmowanego stanowiska. Trudniejszém jednak jest do wytłómaczenia, że są krótkowidze, którzy ośmielają się oskarżać epokę naszą o brak wytkniętego celu, o błąkanie się bezwiedne po manowcach, o słabnącą energię w działaniu. Są to brednie, które zbijać wstyd prawdziwy. Społeczeństwa obecne mają jasno postawiony przed sobą ideał i zdążają do niego nie jedną, ale tysiącami dróg. Wiemy dobrze, czego one chcą: chcą podniesienia poziomu dobrobytu, oświaty, moralności, chcą takiéj organizacyi społecznéj, którаby zbliżyła wspólnością interesów i duchowém braterstwem powaśnione z sobą jeszcze warstwy, chcą sprawiedliwości, prawdy, dobra, piękna, chcą pojednania narodów i wymazania raz na zawsze z programatu przyszłości mordów, wojen, niesprawiedliwości, prześladowań, ciemięstwa.

Oto godło, wypisane na silnie utwierdzonym sztandarze i nikt nie ma najmniejszego prawa utrzymywać, że społeczeństwo błąka się, jak

stado bez pasterza. Nie słucha ono wprawdzie starych pasterzy, bo się stało oczywistém, że je oni zamykali w ciasnym obrębie, gdzie już strawy brakowało. Na każdéj piędzi ucywilizowanego świata powstają zato teraz, jak owi zaklęci rycerze w pieśni, zapaśnicy i orędownicy wspólnego dzieła. Jedni walczą pod uświęconém tradycyą wieków znamieniem kościoła i ewangelicznego miłosierdzia, drudzy, zagrzani filantropijnym altruizmem, usiłują do takiegoż samego dojść rezultatu za pomocą organizacyi świeckiéj. Filozoficzne teorye ewolucyonistów, bezustanne parcie działalności agitacyi socyalistycznéj i wiele innych czynników nie pozwalają ani na chwilę rąk skrzyżować. Mrowisko ludzkie jest w ciągłym rozgwarze i jakże wobec tego mówić, że nie ma u nas woli do działania i że nie ma żadnych owoców realnych społecznéj pracy reformatorskiéj. Przeciwnie, jest tych symptomatów coraz więcéj, jest ich tyle, że ich zliczyć, zszeregować nie podobna.

To, na co istotnie społeczeństwa ucywilizowane cierpią, to na rozstrzelenie się działalności reformatorskiéj. Tysiące oderwanych ognisk i kółek obraca się bez zetknięcia się z innemi, a o miedzę sąsiedzi nie wiedzą, co się już za materyały przygotowały i jakie instytucye weszły w życie. Jasném jest, że gdyby sięześrodkowała ta akcya i gdyby wszyscy ludzie dobréj woli, wszystkie stowarzyszenia dobroczynne, pomocnicze i t. d. podały sobie ręce i zsolidaryzowały swą działalność, szybciéj i skuteczniéj zbliżylibyśmy się do mety.

Synteza pracy reformatorskiéj, oto konieczność dnia dzisiejszego. Jest czystém niepodobieństwem, aby mogła być zupełną; nic nie przeszkadza wszelako dążyć choćby do częściowéj. Usiłowania takie rozpoczęte już zostały w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, a jednocześnie, w energiczniejszy i bardziéj systematyczny sposób w Anglii. Na kongresie religijnym w Chicago i na konferencyi w Lucernie w Szwajcaryi w roku zeszłym doniosła ta sprawa przedstawiona była światu. Na tegoroczněj konferencyi w Grindelwaldzie nowy krok w tym samym kierunku uczynionym zostanie.

Nie z mrzonkami, wylęgłemi w czczym jakim umyśle, ma się tu tedy do czynienia, ale z faktami, i faktami wyjątkowego znaczenia. Można się dziwić, że ludzie wykształceni, albo przynajmniéj za wykształconych się uważający, nic, albo tak mało o tego rodzaju ruchu wiedzą. Nie przeszkadza im to wszelako twierdzić, że społeczeństwa dzisiejsze, jak konie w deptaku, kołują wciąż po tym samym torze!

Zadaleko by nas ogrom przedmiotu zaprowadził, gdybyśmy go w organicznéj jego całości traktować mieli. Ograniczymy się do Anglii i jesteśmy przekonani, że ten jeden przykład potrafi nawet zrozpa-

czonemu pesymiście wskazać możebność przyśpieszenia ewolucyi społecznéj w niemarzonych jeszcze niedawno rozmiarach.

Zrośliśmy się już w ostatnich lat dziesiątkach z pojęciem ewolucyi i przestała ona wywoływać oburzenie nawet najbardziéj dogmatycznych umysłów. Wyzuwszy ją z krańcowości, do jakiéj prowadził systemat Darwina, zastosowany do organizmu fizycznego i Herberta Spencera, zastosowany do organizmu społecznego, nie ma już dzisiaj zwolenników—niezmiennych, po wsze czasy istniejących w typowym kształcie jednostek i społeczeństw. Ciągłe, a powszechne przekształcanie się świata, przechodzenie z jednego stadyum organicznego rozwoju do drugiego, nie potrzebuje zresztą być udowodnianém. Pojęcie ewolucyi położyło kres pojęciu radykalnéj, gwałtownéj rewolucyi, jakiéj możebność należy do dziedziny fantazyi, ale z postulatami wiedzy nie ma nic wspólnego. Głównym zarzutem, jaki sformułować trzeba przeciwko agitatorom socyalistycznym jest właśnie to, iż nie rachują się oni z istniejącém środowiskiem i że zdążają się do zaimprowizowania ustroju społecznego, absolutnie innego od istniejącego obecnie. Jestto niepodobieństwem i w łańcuchowo trzymających się ogniwach społeczeństwa składowe czynniki przeszłości wejdą i wejść muszą do świata przyszłości. Ogólne przyjęcie, często nawet bezwiedne, doktryny ewolucyjnéj pochodzi właśnie stąd, iż opiéra się ona ona zatrzymywaniu wszystkiego, co jest żywotném i produkcyjném w organizacyi współczesnéj, a że jednocześnie otwarte są naróściéż podwoje wszelkim ulepszeniem i reformom.

Społeczeństwa rozwijają się tedy i przekształcają. Dążenie do uczynienia warunków bytu lepszemi jest nieodłączne od każdéj manifestacyi życia. Dążenie to nabiéra większéj siły wśród narodów wyżéj stojących na drabinie cywilizacyjnéj. Oświata rozwinięta ułatwia poszukiwania i urzeczywistnienie wszystkich reform już wykonalnych i toruje gościniec do następnych. Humanitaryzm spotęgowany wprzęga coraz liczniejszy zastęp działaczy do wspólnego dzieła i wywiéra wpływ pobudzający na umysły bierne i na chłodniejsze nawet temperamenty.

Zadanie, jakie narzuciło się epoce naszéj, uczynić byt społeczny lepszym i uczynić każdego społecznego osobnika szczęśliwszym—zadanie to zaprząta świat zachodni, a Anglię przedewszystkiém w wysokim stopniu. Jakiekolwiek mogą być religijne i filozoficzne przekonania jednych, jakiekolwiek materyalne interesa drugich, jakiekolwiek różnice stanowiska towarzyskiego, wszędzie spostrzedz się daje spotęgowane uczucie obowiązku społecznego jednych względem drugich, a solidarność warstw narodowych do spełnienia tego obowiązku napędza.

Pewną część zadania społecznego wzięło na siebie, jak się samo przez się rozumie, państwo, jako przedstawiciel woli narodowéj. Od niego oczekiwać można reform politycznych, otworzenia szranek dla indywidualnéj swobody, zniesienia różnic i wykluczeń jeszcze istniejących, protekcyi dla uciemiężonych, słabych, jaknajwiększéj dozy swobody, równości i sprawiedliwości. Ale wolno się ruszająca machina państwowa z natury swojéj nie bierze inicyatywy, lecz poprostu wprowadza w czyn zasady długą przygotowawczą pracą w łonie narodowém uprzednio wyrobione. Obok państwa stoją organizacye samodzielne, jak kościoły, jak najrozmaitsze stowarzyszenia filantropijne, stoją daléj jednostki bądź jako myśliciele w poważnych książkach teoretycznych, bądź jako agitorowie w pamfletach i broszurach, stoją nakoniec praktyczni działacze, *ad hoc* poświęcający się w téj lub owéj specyalnéj gałęzi dobru publicznemu. Ta działalność wielostronna, niezależna, samodzielnie powstająca na głos sumienia, rozwiniętego i rozbudzonego poczucia obowiązku, oto, co stanowi oryginalne piętno ruchu reformatorskiego w Anglii. Z tylu rozmaitych źródeł sączące się strumyki musiały z konieczności wielkie stworzyć zbiorowisko.

Posiadając w wysokim stopniu zmysł praktyczny, Anglicy nie tracą sił i czasu na narzucanie jednolitéj modły wszystkim usiłowaniom reformatorskim. Myśl taka dobrą jest w ich oczach zaledwie dla nas, zacofanych mieszkańców stałego lądu; na kontynencie są jeszcze marzyciele, którzy ubolewają np. nad pozbawieniem kościoła jego średniowiecznéj hegomonii i którzy pragnęliby zmonopolizować w jego ręku kierunek publicznego i indywidualnego odrodzenia jednostek. Anglicy uznają to za niepodobne już do urzeczywistnienia. Przyjmują z wdzięcznością pomoc i współdziałanie, jakie im kościół przynosi, a silna jego organizacya jest cennym dla dopięcia celu społecznego żywiołem, ale nie myślą krępować swéj działalności, na inne tory zwróconéj, jego wyłącznością. Obok regularnéj armii wytworzyć jak największy zastęp wyćwiczonych ochotników: oto, czego ich zdaniem, trzeba i do tego téż przedewszystkiém zmierzają. Zadanie jest olbrzymie i konieczna rozdzielić je na serye podług odmiennéj ich natury. Nie ulega wątpliwości, że aby środowisko społeczne uczynić lepszém i wznieść je do wyższego poziomu, należy podnieść każdą upadłą, wykolejoną, każdą zacofaną jednostkę, odrodzić ją jedném słowem moralnie. Tak umoralnione indywidua wytworzą same przez się czystszą atmosferę duchową w całym organizmie. Jestto niezaprzeczonym pewnikiem; ale naprzód rodzi się tu zagadnienie, jakie są podstawy moralności, czy zależne od dogmatów religijnych, czy istniejące po za ich sferą: kwestya nietylko sporna, ale roznamiętniająca przeciwników. Lecz i na tém nie dość. Naj-

elementarniejsze doświadczenie przekonywa, że gdy idzie nam o duchowe odrodzenie człowieka, musimy się jednocześnie, a często nawet uprzednio, zająć zaspokojeniem jego potrzeb fizycznych: trzeba go umyć, odziać, nakarmić, dać mu dach nad głową. Obok akcyi moralnéj i ręka w rękę z nią idzie tedy akcya materyalna, rozgałęziona, wszechpotężna, pochłaniająca życie nieprzebranéj liczby pionierów dzieła cywilizacyjnego.

Jest istotnie pocieszającém widowiskiem, świadczącém o szlachetności natury człowieczéj, użyznionéj przez cywilizacyę, owa działalność humanitarna społeczeństwa angielskiego. Nie buja ona jedynie na wyżynach, ale schodzi do codziennych, najpowszedniejszych, najprozaiczniejszych potrzeb życia i wszędzie swe znamię wyciska. Lecz nawet żyjąc wśród społeczeństwa angielskiego i bacznie śledząc zjawiska i wznoszenie się jego ku wyższemu poziomowi, niepodobna całości tego ruchu poznać, ani rozmiarów jego oznaczyć. Dla spostrzegacza jest to niewygodném po prostu, ale dla czynnie do agitacyi reformatorskiéj należących, owa niemożliwość ogarnięcia wszech-ruchu staje się przeszkodą, hamującą swobodę i użyteczność propagandy. Musiała się zrodzić myśl ześrodkowania jéj i skrystalizować się w formie jakiéjś federacyi postępowéj. Myśl wisiała, że tak powiemy, w powietrzu i z różnych stron do jéj urzeczywistnienia zdążano, ale nikt nie widział przez długi czas sposobu jéj praktycznego urzeczywistnienia. Nie wiedziano nawet, jakiém imieniem ochrzcić to centralne stowarzyszenie ludzi dobréj woli. Pomiędzy rozmaitemi innemi, proponowano nazwać je „Unią praktycznego postępu", albo „Sługami ludzkości", albo „Ligą miłości", albo „Federacyą sprawiedliwości", albo nakoniec „Kościołem cywilnym". Za tą ostatnią nazwą agituje gorąco i jak dotąd skutecznie, jeden z najgorliwszych orędowników ruchu, W. T. Stead. Ale nazwa jest, bądź co bądź, rzeczą podrzędną. Główną jest utworzenie ogniska centralnego dla owéj zbawczéj misyi. Nie ma wątpliwości, że do tego niebawem przyjdzie. Ażeby ten krystalizacyjny proces uczynić, pomimo jego charakteru abstrakcyjnego, zrozumiałym dla czytelnika, najwłaściwszém zdaje się przedstawić kolejno, jedne po drugich żywioły, jakie się do wytworzenia tego organizmu etyczno-filantropijnego przyczyniły.

II.

Pierwszym czynnikiem moralnego podniesienia społeczeństwa był, bezwątpienia kościół, albo wyrażając się dokladniéj, kościoły, bo

jest ich trzy o odmiennych charakterach rodzajowych: państwowy, dysydencki i katolicki.

Kościół anglikański jest instytucyą wszechpotężną. Z jednéj strony opiéra się na powadze państwa, od którego otrzymał monopol dogmatycznéj prawdy, z drugiéj na olbrzymim majątku, którym rozporządza. Dochód roczny regularny, urzędowo stwierdzony, jakim duchowieństwo anglikańskie rozporządza, wynosi blisko 10 milionów f. szt., a należy do niego dodać wszystkie napływające doń datki, ofiary, legaty, fundacye. Gdyby skarby, któremi rozporządza, były obracane na cele dobroczynne i filantropijne, łatwo wyobrazić sobie ogrom przysług, jakieby mógł był kościół państwowy wyświadczyć społeczeństwu. Ale aż do ostatnich lat dziesiątków nie panował w nim duch obywatelskiéj działalności, ani nawet miłosierdzia chrześciańskiego. Nie można zarzucać duchowieństwu anglikańskiemu, że przedewszystkiém dbało o zabezpieczenie swego osobistego bytu i dobrobytu, że rozciągało tę pieczę na bliższych i dalszych członków swych własnych rodzin, że szło mu o budowę wspaniałych katedr, kościołów i gmachów do biskupstw należących, jako środków przyczyniających się do splendoru instytucyi kościelnéj: było to rzeczą ludzką. Lecz historya surowo wyrzucała mu brak poczucia swéj misyi społecznéj i niewystarczającą troskę o dobro publiczne. Trwał ten opłakany stan rzeczy aż do połowy bieżącego stulecia. Ruch reformatorski, wtedy żywo rozbudzony, dał się uczuć i na kościele urzędowym. Rywalizacya z rozmaitemi sektami dysydenckiemi i z powstającym do życia katolicyzmem, była dlań pierwszą ostrogą, drugą było zniesienie monopolu państwowego w Irlandyi. Sekularyzacya, tam dokonana, była wskazówką, że może przyjść do niéj i w innych krajach koronnych i że należy przygotować grunt, coby pozwolił oprzéć się instytucyi kościoła już nie na ramieniu świeckiéj władzy, ale na sympatyach u szerokich warstw społeczeństwa.

Na tych ostatnich wyłącznie się opiérały sekty dysydenckie. Wyzwoliwszy się z dogmatycznéj nieruchomości urzędowego anglikanizmu, nie mające w sobie jego arystokratycznéj pychy, ruchliwe sekty, duchem apostolskiéj propagandy ożywione, odwoływały się po warunki swego materyalnego bytu i po moralne poparcie do demokratycznéj masy narodu. Wiadomo, jak potężném było powodzenie niektórych z tych sekt i jaki ruch prawdziwie ewangelicznego miłosierdzia ożywiać nie przestał całego tego niższego kościoła. Żyjąc wśród biédaków, zbliżywszy się do ich duchowego nastroju, pastorowie i kaznodzieje tych dysydenckich wyznań zagrzani zostali zapałem do polepszenia bytu swych współwyznawców, do ich oświaty i uro-

ralnienia. Towarzystwa wstrzemięźliwości i rozmaite inne ligi i związki powstawały ciągle i świadczyły, jak skutecznym może być wpływ duchowieństwa dla podniesienia poziomu społecznego. Gdy propaganda dysydentów rozciągnęła się do zamożnych warstw mieszczaństwa i gdy stąd miliony zaczęły padać na ich szalę, wtedy kościół anglikański spostrzegł niebezpieczeństwo i sam ruszać się zaczął w kierunku, dla którego brakowało mu uprzednio wszelkiego współczucia.

Katolicyzm w Anglii walczył naprzód o swój byt i organizacyę pod sterownictwem dwóch osobistości, odmiennych charakterem i nastrojem ducha, ale jednakowo znakomitych, kardynałów Wisemana i Newmana. Nie można było odeń wymagać w owych pierwszych latach jego jeszcze chwiejnego istnienia, aby się wysunął na pierwszy plan jako agitator publiczny. Zaledwie się jednak na swém stanowisku usadowił, łódź swą pod sterem kardynała Manninga skierował ku podniesieniu demokratycznéj masy. Nie można dość silnego nacisku położyć na jego socyalną działalność. Gdy ten purpurat i książę kościoła wszystkie siły swego wielkiego ducha obrócił ku podniesieniu proletaryatu, gdy budował dlań domostwa, zakładał szkoły, domy przytułku, szpitale, towarzystwa wstrzemięźliwości, korporacye i ciała pomocnicze, gdy stawał wszędzie i zawsze po stronie uciemiężonych i wyzyskanych, gdy ku niemu, jego rozjemczym sądom i pośrednictwu zaczęły się garnąć krocie stołecznego proletaryatu i błogosławić go nie przestawały, gdy się przeświadczono, że ów kościół katolicki, uważany za despotyczny i fanatyczny, okazuje tak szeroką tolerancyę, i że na pierwszym planie stawia nie formalizm dogmatyczny, ale żywe działanie w duchu ewangelicznym, wtedy całkowicie otwarły się oczy duchowieństwa anglikańskiego. Rezolutnie i ono wstąpiło na nową drogę.

Zmiana, jaka zaszła w jego temperamencie i usposobieniu, jest zdumiewająca. Kościoły protestanckie, które swarzyły się jedne z drugimi o ceremonie liturgiczne, o kazuistyczne odcienie w teoryach teologicznych, przeświadczyły się, że naród stracił do téj formalistycznéj strony religii, do jego subtelności dogmatycznych, wszelki interes. Postanowiły iść w tropy katolicyzmu i ruszając się, działając, udowodnić, że żyją. Encyklika Leona XIII-go o socyalizmie, wybitne stanowisko amerykańskich książąt kościoła, a przedewszystkiém kardynała Gibbons'a, składającego publiczne oświadczenie na religijnym wiecu w Chicago, że z kościołem wiąże go przedewszystkiém jego socyalna misya, usunęły ostatnie wątpliwości. Jednocześnie uprzywilejowane jego stanowisko zaczyna trząść się na swych pruchniejących podwalinach. Walia i Szkocya domagać się zaczynają sekularyzacyi kościoła

urzędowego, a urzeczywistnienie tego dzieła emancypacyjnego jest już jedynie kwestyą czasu, coraz bliższego. Nie potrzebujemy zresztą wchodzić w osobiste pobudki, które wiodą duchowieństwo anglikańskie na nowe tory: wystarcza stwierdzić zapał, z jakim rzuciło się do agitacyi. Nietylko że na kongresach i zjazdach kościelnych kwestye czysto dogmatyczne schodzą do *minimum*, że rywalizacya z bezpłatnemi szkołami państwa i municypalności wywołała niebywałą dotąd działalność kościoła w dziedzinie oświaty, że powstają instytucye pomocnicze, stowarzyszenia filantropijne różnorodne, na które onegdaj jeszcze duchowieństwo anglikańskie spoglądało ze sceptyczną obojętnością, ale ta ruchliwość i apostolska działalność owładnęła wielu dygnitarzami jego. Możnaby przytoczyć tu cały szereg imion i faktów. Ograniczymy się do wskazania na świeckie misye, organizowane przez słynnego kaznodzieję opactwa westminsterskiego, archidyakona Farrar. Dzięki wpływowi, jaki posiada w kołach wyższego towarzystwa, zachęcił młodych i czynnych członków płci obojéj do regularnego odwiedzania dzielnic ludowych stolicy, badania ich potrzeb materyalnych, udzielania im pomocy materyalnéj bez żadnego nawracania religijnego. Od lat kilku istniejące zaledwie, misye świeckie mogą się pochlubić nadzwyczajnemi sukcesami. Zakładane są kluby i sale zebrań dla tych kroci biédaków a w nich rozdawane są podwieczorki i kolacye, odbywają się koncerta, przedstawienia dramatyczne, odczyty ilustrowane latarnią czarnoksięską, etc. i przy wytrwałém działaniu takiém zawiązują się osobiste stosunki pomiędzy dobroczyńcami i ich klientelą, a dzięki im, w tych zakątkach nędzy i zepsucia zaczyna się wyraźnie manifestować wyższy niż dotąd nastrój umysłowo-moralny, a zwierzęce instynkta ustępują pod wpływem humanizmu.

Byłoby tu miejsce przypomniéć wiele przedsięwzięć, rozwijających się i kierowanych przez stowarzyszenia, które lubo ściśle ani do kościoła państwowego (ani do sekt dysydenckich) nie należą, jednakże idą w równoległym z nim kierunku i chętnie się z nim solidaryzują, wiedząc dobrze, że nie postradał on jeszcze wpływu swego dawniejszego na naród. Przedewszystkiém należałoby wymienić „Armię Zbawienia" *(Salvation Army)*, znajdującą się pod dowództwem p. Booth'a. Jakkolwiek wstrętnym zdawać się mógł dla wszystkich wyrafinowańszych umysłów jarmarczny sposób tego agitatora i jego hałaśliwe obębnianie swéj działalności, niepodobna jest obecnie, gdy się blisko trzydziestoletnie jego dzieło ma przed sobą, odmówić mu istotnéj zasługi. Nie ocalił wprawdzie całego proletaryatu z czeluści, w któréj ginął, jak to był zapowiadał, ale zrobił mimo tego niezmiernie wiele. Na miliony liczy się ludzi, których armia zbawienia karmi i udziela mie-

szkanie, na krocie tysięcy tych, którym dostarczyła pracy i zarobku, na dziesiątki tysięcy tych, których z występku, rozpasania i zgnilizny moralnéj sprowadziła do uczciwego życia. To samo można powiedziéć o dziele filantropijném d-ra Barnardo, i mnóstwa innych stowarzyszeń, oraz jednostek, które stoją w bezpośredniéj bliskości kościołów.

Obejmując całość téj wieloramiennéj akcyi i biorąc pod uwagę zbawcze jéj następstwa dla społeczeństwa, i nietylko dla tych, którzy dobrodziejstwa otrzymują, ale i dla tych, co je świadczą, nie można zaprzeczyć, że charakter i nastrój kościołów uległ zmianie widocznéj, nieledwie nieprawdopodobnéj. Dogmaty istnieją w nich, samo się przez się rozumié, ale zeszły na plan drugorzędny. Przestano na nie napadać, napastować, zwalczać je namiętnie, przestano się o nie swarzyć i wzajemnie się wyklinać. Teologiczny prąd, dawniéj tak silny wśród społeczeństwa, maleje, słabnie, znika. A natomiast rozwielmożnia się strona ewangelicznego miłosierdzia, strona czynna. Wszystkie klasy narodu, przedewszystkiém wszyscy, co są uciśnieni, prześladowani, zaniedbani, otrzymują ciągłe, namacalne oznaki sympatyi, troski i opieki od kościołów wszelkich wyznań. Tylko fanatyczni jakobini, a tych na szczęście Anglia liczy mało, tylko doktrynerzy o ciasnéj mózgownicy mogą siać nienawiść do kościołów, tak misyę swą socyalną pojmujących. Każdy prawdziwy orędownik postępu winszować sobie nie omieszka, że takie organizacye wypróbowanéj żywotności nieoszacowane swe współpracownictwo przynoszą.

Szeroki duch humanitarny, który przebiega obecnie całą społeczność angielską od krańca do krańca, który obniża zapory, rozdzielające różne warstwy towarzyskie, zanim je zniesie całkowicie, który usiłuje zagoić rany, otrzéć łzy, zmniejszyć cierpienia, zagładzić niesprawiedliwości, przygotować jedném słowem lepsze jutro, duch ten rozniecany i wyrabiany był nietylko przez członków kościołów, ale i przez ich teoretycznych przeciwników, przez agnostyków i racyonalistów rozmaitego autoramentu. Trzebaby najzupełniejszéj nieznajomości naukowego, profesorskiego, piśmienniczego i publicystycznego świata angielskiego, to jest kwiatu jego inteligencyi, ażeby stawiać go pod tarczą kościoła i religii dogmatycznéj. Z biernéj postawy, jaką względem niego zajmują i z braku napadów gwałtownych nie należałoby wnosić, że uznają jego autorytet. Dzieje się wprost przeciwnie, a cudzoziemiec, świeżo wkraczający do tych sfer intelektualnych, znajduje się w całkiem niespodziéwanéj dla siebie atmosferze, zupełnéj obojętności dogmatycznéj. Jako istotnie ciekawie specymina, cytowane są osobistości o pierwszorzędném stanowisku w świecie wysokiéj intelektualnéj kultury, któreby, jak np. Walter Pater, solidaryzowały się

z kościołem, jako takim. Przywódzcy angielskiego ruchu umysłowego są w znacznéj, w ogromnéj większości wykarmieni na mléku pozytywizmu. Są pisarze, którym się podoba, i nie od dzisiaj, traktować pozytywizm jako doktrynę przeżytą, pogrzebaną. Sądzimy, jeżeli o Anglii przynajmniéj jest mowa, że się zbyt pośpieszyli z pogrzebem i że chory bynajmniéj nie wyzionął ducha. Do formułek i dziwactw Augusta Comte'a nie przywiązują i tutaj wielkiéj wagi, chociaż Towarzystwo pozytywistów nawet i onych się nie wypiéra. Ale jądro doktryny żyje, krzewi się i żywotności swéj wykazywać nie przestaje. Na czele grupy pozytywistów angielskich, idących równolegle ze szkołą czysto ewolucyjną Herberta Spencer'a, ale nie identyfikując się z nią bynajmniéj, szli i idą ludzie jak Pollock, Clifford, Barratt, J. Morley, Cotter Morrison, Robertson, Stephen Leslie, Simcox i wielu innych, równie poczytnych myślicieli. Niezaprzeczonym ich dowódzcą atoli jest Fryderyk Harrison i jego imię nasuwa się zawsze jako pierwsze, gdy o pozytywistach angielskich jest mowa. Gra on względem nich tę samą rolę, co Piotr Laffitte względem francuskich. Ale szczęściem dla grupy, któréj jest wodzem, posiada on umysł szeroki, rzutny i bujny i łączy z gruntowną a wielostronną wiedzą smak artystyczny i talent pisarski pierwszorzędny. Jest on bez żadnego wątpienia najznakomitszym ze współczesnych krytyków essayistów i o każdy drobiazg choćby, jego pióra, dobijają się po obu stronach Atlantyku wszystkie przeglądy i miesięczniki. Wieloletnia, gorliwa i systematyczna siejba p. Fryderyka Harrisona zyskała już plon, a najbardziéj obiecujący pisarze, wstępujący do życia czynnego, na jego urobili się modłę. Zasadą jego, osią, około któréj się obraca nie przestała być formuła Aug. Comte'a. Jako zasada — miłość, jako podstawa — porządek, jako cel — postęp. Napisano już tyle o téj formule, że nie ma zapewne potrzeby nowym komentarzem ją wzbogacać. Bądź co bądź, jest niezaprzeczoném, iż po za nią trudno jest stworzyć religię humanitarną. Dla Harrisona, wszystko do urzeczywistnienia tego ideału zmierzać się powinno. Nietylko, że wszystkie zagadnienia polityczne maleją u niego wobec etycznych, ale pojęcie obowiązku prowadzi niezbędnie do pojęcia obywatelstwa i do służby ludzkości. Ogniwa łańcucha są z sobą skute szczelnie. Mowy być nie może, ażeby ten szeroki humanitaryzm, zagrzany duchem poświęcenia i działania dla dobra powszechnego, nie w celu pozyskania nagrody, ale dla zaspokojenia potrzeby wewnętrznéj, stał wrogo względem kościoła i religii dogmatycznych. Pozytywizm angielski przez organ Harrison'a bezustannie głosi, że nie ma sposobu urzeczywistnić ideału etycznéj kultury człowieczeństwa, jak przez zlanie, zespolenie religii z filozofią. Religia jest podług niego uczu

ciem i wiarą w wyższą potęgę, istniejącą po za wszechspołecznością, a filozofia — ogólną ideą o porządku przyrody i ewolucyi człowieka. Jest w takiém zjednoczeniu pierwiastków, z wielu stron uważanych, za niepogadzalne, widoczny postęp, namacalna zmiana stanowiska. Nie walczyć z sobą, i wzajemnie się ściérać z sobą, ale działać dla powszechnego dobra, podając sobie ręce: oto hasło pozytywizmu i całego agnostycyzmu angielskiego. Kościół działa w myśl Chrystusowych słów: „Kochaj bliźniego, jak siebie samego", — a pozytywizm wówi to samo: „Żyj dla drugich". Nie na teoryi się kończy, ale pokazuje się to w czynie. Potężna agitacya organizacyjna radykalno-socyalistycznych kół angielskich,ześrodkowująca się w Towarzystwo Fabianów, nie przestaje stawiać, jedne po drugich, ekonomicznych zagadnień przed społecznością i rozwiązywać ich praktycznie w duchu i po myśli pozytywizmu. Ale nie ma wśród Fabianów ani śladu owéj ciasnéj, fanatycznéj nienawiści do kościoła, jaką socyaliści francuscy zioną. Nie tracąc z przed oczu celu, którym jest coraz wyższe podniesienie poziomu indywidualnego i społecznego, korzystają z pomocniczéj działalności kościołów. Obaj bracia, duchowny i świecki, zyskują na tym sojuszu, ale przedewszystkiém zyskuje na nim cały organizm społeczny.

III.

Jeżeli nam się udało jasno przedstawić ewolucyę, jaka zaszła we wzajemném względem siebie stanowisku wielkich organizacyi kościelnych i wolnomyślicielskich, polegającą na postawieniu na pierwszym planie działalności społecznéj, umoralniającéj i filantropijnéj, a upodrzędnieniem dogmatyzmu i scholastyki, to nie może wątpić czytelnik, że ten ogólny nastrój, te tendencye, wyrażają się w wielu utworach piśmienniczych i że cała literatura na tym zagonie wybujała. Tak się mają rzeczy istotnie i można nawet powiedziéć, że nie ma ani jednego działu piśmienniczego, gdzieby to hasło postępowe nie oddźwiękło wyraziście. Zmuszeni do ścieśnienia tego szkicu, dotkniemy tylko dwóch utworów piśmienniczych, które do charakterystyki ogólnéj wystarczą. Pierwszy z nich wyszedł przed kilku miesiącami, drugi przed kilku tygodniami dopiéro. Pierwszy jest utworem poważnego, oryginalnego, wczoraj całkiem nieznanego myśliciela, uznanego odrazu za mistrza; drugi jest popularnym pamfletem, napisanym przez publicystę, który swoim ferworem moralnym wprowadza w zdumienie najbardziéj zaciętych swych przeciwników. Oba utwory, i filozoficzny i popularny, zyskały powodzenie nadzwyczajne i świadczą, jak dalece

autorowie ich odpowiedzieli potrzebom chwili bieżącéj. Mamy tu na myśli gruby tom, wyszły już w trzeciéj edycyi u Macmillana, a napisany przez p. Beniamina Kidd'a: „Ewolucya socyalna” i grubsza jeszcze książka, świéżo wydana po powrocie ze Stanów Zjednoczonych przez W. T. Stead'a pod niespodziéwanym tytułem: „A gdyby Chrystus przybył do Chicago?” Znaczenie pierwszéj pracy jest teoretyczne przedewszystkiém i pokazuje, jaka jest oryentacya umysłowa społeczeństwa angielskiego u schyłku naszego stulecia; znaczenie drugiéj jest praktyczne, natychmiastowe i czytelnik zgodzi się bezwątpienia z wyrokiem krytyki tutejszéj, która odkładając na stronę wszelkie osobiste uprzedzenia i wstręty, widzi w niéj czyn, i czyn o doniosłych następstwach społecznych.

O osobistości p. Beniamina Kidd'a, który dotąd znany był jedynie w kilku redakcyach miesięcznych przeglądów z gruntownych artykułów naukowych, ale którego bytu nie podejrzéwała szeroka publiczność, wiemy obecnie, że ma zaledwie 36 lat życia, że pracuje w jednym z wydziałów administracyi krajowéj i że poświęcił sześcioletnią pracę dziełu, które szturmem wzięło publiczność. Nie ma przeglądu miesięcznego, gdzieby poważni pisarze, jak książę Argyll, lord Ferrar, d-r Alf. Wallace, d-r Marcus Dodds i t. d. nie rozbierali go wszechstronnie. Kiedy entuzyaści twierdzą, że jego „Ewolucya społeczna” jest najznakomitszém dziełem stulecia, inni, chłodniejsi, twierdzą, że stanowić ono będzie epokę, jak *Origin of Species* Darwina. Wszyscy przecież sprawozdawcy, nawet najpochlébniejsi, muszą przyznać, że autor jest jako pisarz wysoce niezadawalniającym, że mu brakuje wszędzie systematyczności w wykładzie, że nawet jasności nie ma całkowitéj w jego teoryach, tu i owdzie trącących dogmatyzmem. Jestto niezaprzeczoném. Ale gdy się do saméj treści dzieła przechodzi, to niewiele stronic potrzeba, ażeby się przeświadczyć, iż mamy tu do czynienia z myślicielem pierwszorzędnym.

Z wielu punktów było już i będzie niezawodnie dzieło p. Kidd'a rozbiérane. Dla nas tutaj jedna tylko, ale właśnie przewodnia jego strona ma interes. Autor wyrzuca dziewiętnastemu wiekowi, iż przecenił rolę, jaką rzekomo odegrał w rozwoju cywilizacyjnym czynnik rozumu, inteligencyi, a nie oddaje należnéj sprawiedliwości drugiemu czynnikowi—uczuciu, *alias* religii. Twierdzi, że przy ciągłéj zmianie pierwiastków, przy wypychaniu słabszych przez silniejsze i żywotniejsze, religia nietylko nie znika, nie słabnie, ale, przeciwnie, coraz wyższéj potęgi składa dowody. Wniosek z tego, zdaniem jego, konieczny, że religia nie skończyła jeszcze swéj misyi społecznéj i że jest ona potrzebna dla rozwoju dalszego ludzkości. Gdyby ludzkość posiadała za

jedynego przewodnika rozum, wykazać by on nie omieszkał nietylko brak harmonii, ale jaskrawe przeciwieństwo jednych interesów indywidualnych z drugiemi, a obojga z interesami całości społeczeństwa. Ale na szczęście istniał i działał drugi pierwiastek — religia, zwracający się do wnętrza natury człowieczéj, do jego uczuciowości i czerpał u niéj czynniki nadnaturalne, nadrozumowe, ale właśnie dlatego skupiające społeczeństwo w jeden ścisły organizm. Kościół, jako objaw zewnętrzny pierwiastku religijnego, mógł go wykrzywiać i wywoływać reakcyę rozumu, ale duch ewangeliczny przeniknął i przesiąkł tak głęboko i tak radykalnie cały organizm ludzki, że nawet czynniki postępu dzisiejszego, najsilniéj o swéj niezależności od tego ducha przekonane, jak demokracya, socyalizm, solidarność, altruizm i t. d. są gałęziami strzelającemi z pnia religii.

Jest istotną oryginalnością p. Kidd'a wprowadzenie religii, a raczéj chrystyanizmu, do biologicznéj doktryny Darwina i wprowadzenie jéj, jako dominującego kierownika. Naturalnie, że daje szorstką odprawę ewolucyonizmowi Herberta Spencer'a, który nie widzi dla społeczeństwa ludzkiego innego procesu rozwojowego, jak dla gatunków świata zwierzęcego. Ta interwencya religii wystarcza do wzniecenia kagańca wśród téj ciemni, jaka panowała przy walce o byt gatunków, plemion i ras. Wyższy ideał bytu społecznego stworzony jest odrazu. Ideał ów nie może być urzeczywistniony przez socyalizm, gdyż ten jest z natury swéj materyalistycznym. Biorąc równość do społecznego wyścigu, jako punkt wyjścia i jako jedyny możebny punkt, dochodzi się naturalnie do pognębienia wszystkich zacofanych, upośledzonych czynników, gdyby jednocześnie przez bezustanne działanie religii opór, reakcya i zła wola czynników silniejszych nie były niweczone. Ponieważ atoli owe klasy, społecznie uprzywilejowane, są już i będą głębiéj jeszcze przesiąknięte duchem altruizmu, *alias* chrześciańskiego miłosierdzia, zatém do porozumienia między masą, a uprzywilejowaną ongi mniejszością, przychodzi co moment i demokracya tryumfuje wszędzie, dzięki duchowi poświęcenia i miłości, rozwijanych przez religię.

Nie ma wątpliwości, że doktryna p. Kidd'a, polegająca na pojednaniu darwinizmu z religią, znajdzie, gdy pierwsza gorączka przeminie, wielu oponentów i że nie jeden z nich zauważy, że można było daleko właściwiéj darwinizm całkiem w pokoju zostawić. Ale mniejsza o miejsce, jakie ostatecznie zajmie w historyi umysłowego rozwoju wiedzy to dzieło, dość jest powiedziéć, że znalazł się myśliciel bezspornie za hegemona uznany, myśliciel, wyrobiony na wiedzy materyalistycznéj, a wprowadzający naraz zasadę religii, jako konieczność bytu społe-

cznego. Nadzwyczajne powodzenie jego pracy, powtarzamy, udowadnia, że cała społeczność angielska w tym kierunku steruje.

Popularna książka p. W. T. Stead'a nosi tytuł *If Christ came to Chicago?* Wiemy, że autor lubi uderzać w wielki bęben reklamy, nie może tedy jaskrawość tytułu zadziwiać. Gdy przybył do Ameryki, uderzyła go, po bliższém rozpatrzeniu się w moralnych czynnikach społeczeństwa, jego radykalna zgnilizna i wytknął ją z tą odwagą cywilną, któréj mu nikt zaprzeczyć nie może i z całym umyślnym brakiem delikatności i pół cieniów, nieodłącznym od jego plebejuszowskiéj natury. Jako *criterium* tego moralnego upadku, autor stawia nie mniéj jak samą osobę Chrystusa i przebiegając organizacyę polityczną, municypalną Stanów Zjednoczonych, opisuje stosunki giełdowe, przemysłowe, fabryczne, stan proletaryatu, wyzyskiwanie milionów przez setki, stawia sobie ciągle jedno i to samo pytanie: a coby Chrystus na to powiedział, gdyby po raz drugi na ziemi naszéj się ucieleśnił? Samo się przez się rozumie, że nie do Chicago tylko i nie do Stanów Zjednoczonych, ale do całego anglo-saskiego świata (o resztę się nie troszczy, i słusznie!), możnaby takie *criterium* zastosować, a gdy się czytelnik raz z jego dziwactwem oswoi, to może mu jeden tylko zrobić zarzut, a mianowicie, że wziął probierz zbyt podniosły, zbyt idealny i że wskutek tego praktyczne rezultaty mogą być utrudnione.

Ideą zasadniczą autora jest to, iż należy raz na zawsze zerwać z konwencyonalnym chrystyanizmem, zastygłym w dogmatach, ceremoniach i obrządkach, a natomiast wprowadzić go w czyn, czerpać w nim wskazówki i regułę działania. Dwa tysiące lat upłynęło od objawienia ludzkości tego zakonu, a gdy się jéj uważniéj przyjrzy, to dojdziemy do wniosku, że jądro miłości, poświęcenia, zawarte w chrześciaństwie, nie wydało owoców spodziewanych. Ześlizguje się po powierzchni natury człowieczéj, ale do głębi nie przenika. Nie trudno było autorowi poprzéć malowidło moralnéj zgnilizny tysiącami przykładów i nie wahał się nigdy wymienić z imienia i nazwiska osób, które zdobyły sobie wielkie stanowisko polityczne i municypalne, albo miliony nadużyciami. Nie wyszukiwał on umyślnie brudów i krytyka miejscowa otwarcie oświadczyła, że można było te same fakta znaléść ogłoszone już oddawna i często i że pominął wiele równie skadalicznych. Ci, którzy sądzili, że W. T. Stead raz jeszcze zwróci się do prostytucyi i napisze w innéj formie pamflet, jak jego niezapomniany *Maiden Tribute*, zawiedli się: prostytucya jest tylko jednym punktem w długiéj liście wykroczeń moralnych, któremi się jednostki, zewnętrznie chrześciańskie i społeczeństwa, rzekomo na doktrynie chrześciańskiéj wyrobione, skaziły.

Nie ma potrzeby zatrzymywać się dłużéj nad szczegółami téj książki wiele z nich przedstawia potworności. Dla każdego przyszłego badacza stosunków Stanów Zjednoczonych Ameryki, jednéj z ostatnich szlachetnych iluzyi, jakie się były ostały, koniecznością będzie studyowanie téj pracy, która zachodu długich poszukiwań oszczędzi. Oryginalnością jéj jest to ciągłe, logiczne i namiętne odwoływanie się do religii, jako do jedynéj siły zbawczéj, będącéj w stanie wyrwać świat z chaosu i rozstroju, a wprowadzić doń harmonię, prawdę, dobro i piękno. Gdy homilie takie spotykane bywały w listach pasterskich, albo, gdy rozbrzmiéwają z kazalnic, społeczność świecka slucha ich z roztargnieniem, bo podejrzéwa, że idzie w nich zawsze o interes tego lub owego kościoła. P. Stead walczy nie o kościół, ten lub ów, ale o urzeczywistnienie w czynie ducha, który każdy z nich zagrzéwać winien. Jest widoczny nastrój szerokiéj, humanitarnéj tolerancyi w téj religijnéj jego krucyacie.

Będąc nawskroś człowiekiem i agitatorem dnia dzisiejszego, W. T. Stead ma bezpośredni cel przed oczyma i do spełnienia go zdąża. Chcąc podnieść moralny poziom społeczny, wytrzebić występki, znieść nędzę, osłodzić dolę ubóstwu i t. d., on, jako człowiek, posiadający uczucie religijne i żywą wiarę, chce, jako dźwigni, użyć religii. Ale religia nie jest u niego celem sama w sobie, lecz tylko środkiem, najlepszym ze środków. Już zaraz z tego wypływa, że inemi środkami nie pomiata, i ktokolwiek do odbudowania owéj idealnéj budowy przykłada rękę, witany jest przezeń ochotnie, skwapliwie. Należąc do kościoła dysydenckiego, wzywa do współdziałania kościół anglikański, kościół katolicki, mojżeszowy. Wolnomyśliciele, agnostycy i ateusze takiego samego doznają odeń przyjącia. Przekonał się właśnie w téj Ameryce, któréj upadek napiętnował, że może istniéć, rozwijać się i skuteczne następstwa sprowadzać unia ludzi dobréj woli i taką samą organizacyę przedsięwziął w swéj własnéj ojczyźnie stworzyć. Książka jego jest hasłem do czynu. Zaledwie parę miesięcy upłynęło od jego powrotu, a już agitacya około utworzenia narodowéj unii społecznéj i ognisk obywatelskich rozpoczęła się na dobre. Zanim szkic obecny pojawi się w druku, szlachetne, ale dotąd nieuchwytne marzenie wejdzie do rzędu spełnionych faktów. Być może, że się daléj i szerzéj rozwinie, aniżeli to obecni inicyatorowie przewidują. Ale wystarczy się przypatrzyć już zakréślanemu planowi i już uczynionym krokom do centralizacyi filantropijnéj akcyi, ażeby oddać sprawiedliwość jednemu z najwznioślejszych porywów do syntezy społecznéj.

IV.

Gdy raz duch tolerancyi przeniknął do szpiku społeczności angielskiéj, nie było wątpliwości, że rozmaite stowarzyszenia filantropijne i kościelne, zarówno jak socyalistyczne grupy i koalicye zapomną o dzielących je punktach, a zrozumieją, iż podawszy sobie dłonie, uda im się wspólnemi siłami dźwignąć potężną bryłę, któréj inaczéj nie poruszyłaby z miejsca żadna z nich samodzielnie. Ale, jak już wyżéj powiedziano, łatwiéj byłoby zrozumiéć potrzebę centralizującego ciała, aniżeli znaleść sposób wprowadzenia go w życie. Prób pojedyńczych nie brakowało. Sam W. T. Stead stworzył pierwsze praktyczne ogniwo przez swoich *Helper*, t. j. pomocników. Byli to ludzie dobréj woli, którzy działali jako pośrednicy pomiędzy wielu dobroczynnemi stowarzyszeniami, religijnemi i świeckiemi w danéj miejscowości, obznajmiając je albo z potrzebami jeszcze niezaspokojonemi, albo podsuwając plany przeprowadzenia pewnych skutecznych reform. Na setki liczą się już od czterech lat, odkąd organizować ich poczęto, miasta, w których ci pomocnicy działają. Ale nie reprezentując żadnego centralnego ciała, nie mogli posiadać innego wpływu, prócz tego, który im stanowisko indywidualne zapewniało. Trzeba było czegoś więcéj.

Na konferencyi zeszłorocznéj w Lucernie, a następnie na wiecu religijnym w Chicago, plan ogólniejszy został jaśniéj niż dotąd i treściwiéj sformułowany. Nie trzeba także zapominać, że upór, którym się odznacza p. W. T. Stead, stawał jako przeszkoda praktyczna. Znalazłszy dla swéj idealnéj organizacyi nazwę *Civic Church* (kościół obywatelski), nie chciał od niéj odstąpić. Kardynała Manninga, jak sam p. Stead przyznaje, jedynie ta nazwa powstrzymała od przyłączenia się do wielkiego dzieła społecznego i dania mu całego tego poparcia, któreby jego powszechnie wielbione imie zjednało. Ażaliż można się dziwić, iż dla purpurata kościoła, był jeden tylko kościół i że do żadnego innego przyłączyć się nie mógł? Podobnież w oczach wolnomyślicieli wyraz kościół sprowadza za sobą pojęcie dogmatów, rytuału, prozelityzmu, prześladowań, a w uszach socyalistów brzmiał on jeszcze bardziéj ponuro. Trzeba było pobytu p. Stead'a w Ameryce i przeświadczenia się, że istnieje już tam organizacya centralna pod nazwą Unii praktycznego postępu i że mimo krótkiego dopiéro istnienia, licznych warunków niekorzystnych, zdziałała już wiele i świetne na przyszłość rokuje nadzieje, ażeby ostatecznie pozbawić go wiary w niezbędność słowa kościół. Gdy wyraził gotowość zastąpienia go innem, np. Unia narodowa społeczna, natychmiast z wielu stron tłumnie

gromadzić się około tego jądra zaczęto: nie było powodu boczyć się. Sama nazwa pokazywała zakres i sferę działalności wspólnéj.

Plan zakreślony dla ś. p. Kościoła obywatelskiego, pokazuje się zupełnie odpowiednim dla Unii narodowéj społecznéj. Wyłuszczony on już był wielokrotnie i wystarczy streścić go w głównych rysach.

Celem, który sobie owo stowarzyszenie zakreśla, jest, jak wiemy, odbudowanie społeczności ludzkiéj takie, ażeby sprowadzić do *minimum* zło a zabezpieczyć *maximum* dobra dla możliwie największéj liczby jéj osobników. Powinno zwalczać egoizm i próżniaczą apatyę i wprzęgać wszystkich ludzi dobréj, choćby nawet istniejącéj *in latenti* dobréj woli do współdziałania. Wyznawcy religii Chrystusowéj znajdują już drogę dla siebie ułatwioną na poły, bo mistrz ich boski wskazał im miłosierdzie i poświęcenie jako przewodnią gwiazdę. Tak jak jest wszędzie kościół dla modlitwy i nabożeństwa, tak powinien być wzniesiony wszędzie gmach, gdzie się będą zbierać delegaci wszystkich kościołów, stowarzyszeń, organizacyi filantropijnych i postępowych, dla porozumiewania się co do działalności jednokierunkowéj. Wprawdzie istnieje już w każdéj gminie municypalność, która się wielu potrzebami materyalnemi masy zajmuje; ale ciało to wyklucza właśnie całą stronę moralno-religijną, całą propagandę duchową. Pod wpływem Unii narodowo-społecznéj, nie ma wątpliwości, że zarówno kościoły jak municypalności rozwiną większą niż dotychczas energię akcyi postępowéj i wszędzie wspomaganie biednych, wznoszenie szpitalów, bibliotek publicznych, szkółek, domów mieszkalnych zdrowych, przybierze znaczniejsze rozmiary. Organizatorowie Unii przewidują, że działalność ich oddźwięknie na polityce narodowéj i że nie omieszkają wypowiadać swoje *quos ego* przy wyborach publicznych, wytykając przedajność, nacisk, prześladowania, niesprawiedliwości, zapewniając większość prawdziwie postępowym reformatorom. Wystarczy przypomnieć sobie potężną rolę, jaką już dzisiaj odgrywają towarzystwa wstrzemięźliwości, ażeby znaczniejszą jeszcze przewidywać dla nowéj organizacyi.

A działalność jéj zwracać się będzie do każdego wieku, obojéj płci, wszystkich stanów i zawodów. Opieka nad niemowlętami rozpocznie się przed ich urodzeniem, gdyż legalizowanie przez małżeństwa uwiedzionych dziewcząt albo na wiarę żyjących stadeł, leży w programie, zarówno jak prywatna akcya na rodziców, ostrzegająca ich o odpowiedzialności, jaką biorą na się płodząc dziatwę, jak opieka nad kobiétami brzemiennemi, doglądanie ich w połogu, pielęgnowanie przy powrocie do zdrowia, nadzór nad niemowlętami, zapobieganie

prześladowaniom, żłobki, i nakoniec ubezpieczanie niemowląt. Ze wzrostem dzieci rosną także obowiązki społeczności względem nich, a zatém Unia będzie dokładała wszelkich starań, ażeby dzieci wychowywały się zdrowo. Wielkie znaczenie przywiązywane jest do zabezpieczenia dla nich wszędzie szerokich przestrzeni do zabawy, placów, ogrodów, parków, gimastyk, łaźni; w drugim dopiéro szeregu stają szkółki i szkoły, zarówno jak następnie kształcenie techniczne oraz zabezpieczanie dziatwy przed eksploatacyą majstrów, fabrykantów a w wielu razach własnych ich rodzin.

Dla młodzieży chce Unia w każdéj gminie stworzyć stypendya pozwalające na wyższe kształcenie się, otworzyć odczyty publiczne, towarzystwa zabaw, politechniki, kluby młodych robotników, towarzystwa zabezpieczające ją przeciwko wybrykom płciowym i demoralizacyi, czego już tak olbrzymio dokonało *Christian Young Men Association*. Skoro liczba godzin pracy staje się coraz krótszą, należy godziny poświęcane rozrywce uczynić i pożytecznemi i przyjemnemi. Jest tu niezmierzone pole dla inicyatywy filantropijnéj.

Misya Unii rozpada się w obec dorosłych ludzi z konieczności na rozmaite działy. Zwracając się do człowieka jako obywatela kraju, wyrabia w nim ducha patryotycznego i poczucie potrzeb publicznych, usposobienie pokojowe, proteguje mniejszości, etc. Robotnikowi daje organizacyę *Trades-Unions* popiéra wszystkie jego kroki, zdążające do pozyskania dla pracy lepszych warunków, przez pośredniczenie, nadzór, stowarzyszenia spożywcze i wytwórcze, współudział w zyskach i przedsiębiorstwach. Choremu daje szpitale, domy konwalescencyi, odpoczynek, zmianę klimatu i pobytu. Biedakowi w domu przytułku, starać się będzie, o ile to możliwe, uczynić pobyt tam znośnym i przyjemnym. Troszczy się, ażeby starzy robotnicy mieli pensye emerytalne i ażeby wszyscy ubożsi członkowie społeczeństwa mieli na starość umożliwiony pogodny schyłek żywota.

Możnaby do tych rysów zasadniczych dodać mnóstwo innych, któreby więcéj jeszcze wyjaśniły, że tu nie idzie jedynie o chléb powszedni, o materyalną stronę życia. Naturalnie, że ta stoi na pierwszym planie, a ponieważ dwie trzecie części społeczeństwa walczą o byt w trudnych warunkach, zatém potrzeba olbrzymich wysiłków powszechnych, ażeby im los znośnym uczynić. Im więcéj przedstawicieli warstw zamożnych do tego dzieła się wprzęgnie, im gorętszego ducha solidarności okażą, tém spiieszniéj da się podnieść poziom ekonomiczny masy, zbliżyć do siebie klasy i zaszczepić jedność i miłość na gruzach dzisiejszych uprzedzeń i niechęci. Anarchia i kolektywizm będą sobie miały wytrącony oręż z ręki. Ale nie tylko o to ma-

teryalne zniesienie nierówności społecznych chodzi. Już z wyłuszczonego planu widać jakie znaczenie Unia przywiązuje do innych stron obecnie wadliwych. Kościoły będą podnosić moralność pomiędzy swymi wyznawcami, ale po za ich obrębem zostaje jeszcze szerokie pole działalności. Unia nie pominie żadnego środka do uszlachetnienia natury człowieczéj. Samo się przez się rozumie, że walczy z prostytucyą, z pijaństwem, z grą, z zakładomanią. Ale jeżeli masa ma nabrać wstrętu do atmosfery w jakiéj dotąd się truła i wziąć rozbrat z nałogami upadlającemi, to nie da się tego dokonać inaczéj, jak otwierając przed nią świetlane perspektywy i wprowadzając ją faktycznie do czystszego świata. Stąd nietylko znaczenie szkolnictwa, popęd dany zakładaniu bibliotek, muzeów, ułatwienie zabaw zabezpieczających zdrowie fizyczne, gimnastyki, gier po parkach, ale przedsiębranie miejscowych igrzysk, zabaw publicznych, wycieczek do miejscowości pięknych albo historycznie wsławionych i tysiączne przedsięwzięcia. Praca, ułatwiona sama w sobie, przestanie być ciężką, gdy po jéj ukończeniu, życiowe środowisko będzie na każdym kroku przedstawiało tyle przyjemnych i powabnych okazyi do wypoczynku i odnawiania sił. Zniknie stopniowo to upokarzające poczucie zależności od klasy uprzywilejowanéj, inaczéj wychowanéj i posiadającéj *graces d'Etat* a wyrobi się istotna solidarność i podobieństwo moralno-umysłowe zamiast otchłani dzisiejszéj.

Plan powyższy może się zdawać fantastycznym oddalonemu i nieznającemu tutejszych stosunków. Gdy się jednak tutaj stale przebywa i widzi na każdym kroku ten potężny prąd do wyjścia po za swą ciasną indywidualność, nikt o jego praktyczności nie wątpi. Tak samo jak każda zamożniejsza rodzina angielska w swoim codziennym budżecie ma rubrykę stałą na subskrypcye i wydatki publiczne, tak samo nabrała przekonania, że nie tylko pieniędzmi ale czynami trzeba publiczną służbę spełniać. Coraz mniéj jest ludzi, którzyby nie poświęcili się jakiéj specyalności publicznéj, każdy posiada zakres altruistycznéj akcyi. Nikt nie wątpi tedy, że skoro społeczność cała chce żyć podług pięknéj zasady *work less life is a worth less life* i że skoro wszyscy biorą się do działania, to praktyka żadnych trudności niezwyciężalnych nie przedstawi.

Kampania jaką przedsięwziął w kilku ostatnich miesiącach p. Stead objeżdżając wielkie miasta angielskie i szkockie, przemawiając wszędzie na kilkotysięcznych meetingach i stawiając wszędzie to pytanie: „A gdyby Chrystus tu przybył, coby zrobił?” dolała ostatniéj kropli do pełnéj już czary. On i jego współdziałacze uznali grunt za dostatecznie przygotowany i zwołane zostało zebranie dla

ostatecznéj organizacyi Unii społecznéj narodowéj i obywatelskiego ogniska (*National social Union and civic centre.*

Zebranie odbyło się w dniu 18 maja i da wystarczające wyobrażenie jakie żywioły do téj centralnéj organizacyi wejdą, gdy wymienimy te stowarzyszenia, które delegatów swych na przygotowawczą sesyę wysłały. Są tu, między innemi: Liberalna federacya narodowa i Zachowawcza Unia narodowa, t. j. dwa wielkie ciała polityczne whigów i torysów, obejmujące całość narodowego terytoryum, daléj Niezależna Partya Pracy, Rada hrabstwa londyńskiego, Londyńska Unia Reformy, Towarzystwo Fabianów, t. j. cztery organizacye obejmujące wszystkie żywioły socyalistyczno-radykalne; daléj Rada nonkorformistów londyńskich, misya zachodnio-londyńska, chrześciańsko-socyalna liga, t. j. organizmy socyalne, wyłonione przez kościoły dysydenckie. Następnie przybyli delegaci od *Trades Union*'ów, od filantropijnych instytucyi, jak *Toynbee Hall*, *Oxford House*, *Bermondsey Settlement* i wielu innych. Osobną grupę stanowili delegaci towarzystw wstrzemięźliwości, towarzystwa pokoju, federacyi kobiét, unii socyalnéj katolickiéj. Nietylko stolica, ale i wiele większych miast prowincyonalnych, oraz miasta, w których już ogniska obywatelskie uorganizowane zostały uprzednio przez *Helper*'ów.

Dyskusya trwała długo i wszyscy biorący w niéj udział zastrzegali się, że nie idzie o stworzenie jednego jeszcze Towarzystwa w kraju, który posiada już ich tysiące a tysiące, ale o zjednoczenie ich dla wspólnéj akcyi wszechstronnéj i skupionéj. Nie znalazłszy żadnych przeszkód zasadniczych, zgromadzenie wybrało komitet centralny tymczasowy i jemu poruczoném zostało wygotowanie statutów unii. Nie wymienimy wszystkich członków komitetu tymczasowego, ale niektóre jego imiona wystarczą do scharakteryzowania ducha, co nim kierować będzie. Z figur urzędowych znajduje się zaledwie sir John Ghorst, dawny minister w gabinecie Salisburego, delegat na wiec berliński, zwołany przez cesarza Wilhelma dla rozjaśnienia kwestyi robotniczéj. Sidney Webb, prezes Fabianów, reprezentuje radykalizm socyalistyczny i radę municypalną Londynu, tak samo jak John Burns, znany przywódzca i organizator masy robotniczéj, członek parlamentu. Hrabina Helena Somerset, anioł opiekuńczy towarzystw wstrzemięźliwości, miss James, organizatorka kobiécych *Trades Unions*, powinny być wymienione, jako kobiety i Rev. Clifford, jako reprezentant sekt kościelnych, oraz wielki rabin londyński; p. Bosanquet reprezentuje towarzystwo etyczne, p. Massingham, redaktor radykalnéj *Daily Chronicle*

i p. P. Bunting, redaktor *Contemporary Review* — prasę i publicystykę. Kościół państwowy będzie miał swego przedstawiciela w ks. Darmer, a katolicki w p. Castello i t. d.

Co za organizacya wyjdzie z łona tego komitetu, niedaleka przyszłość pokaże. Nikt jednak nie ma prawa wątpić, że unia społeczno-narodowa za parę miesięcy będzie czynem spełnionym. Sceptycy mogą sobie, naturalnie, mniemać, że nawet takie centralne ciało nie potrafi dokonać cudu i z ziemi ciernistéj i łzawéj zrobić rajskiéj jakiéjś dziedziny. Gdyby piszącego zapytano, jaką rokuje jéj przyszłość, to śmiało odpowié, że wielką. Owoce nie dojrzeją natychmiast, ale rozpryśnięta, niesystematyczna działalność reformatorska skojarzy się i ramię do ramienia silnemi łańcuchy opasze brytańskie kolisko. Jestto jutrzenka owéj ewolucyi, o któréj rozprawiano tyle, ale do któréj urzeczywistnienia praktyczna Anglia bierze się skwapliwie pierwsza.

D-r M. E. Trepka.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Monumenta Poloniae historica." Pomniki dziejowe Polski. Tom VI, opracowany przez lwowskie grono członków komisyi historycznéj Akademii Umiejętności. Kraków. Nakładem Akademii. 1893.

Po pięciu latach przerwy okazał się szósty tom „Pomników dziejowych." Wyczerpawszy niemal zupełnie pierwotne dzieje narodu, wydawnictwo przeszło do czasów późniejszych, uzupełniając już tylko dodatkowo to, co w tomach poprzednich było niedokładném lub niepoprawném. Tom niniejszy zaczyna *Philippi Callimachi Experientis Historia rerum gestarum in Hungaria et contra Turcos per Vladislaum Poloniae et Hungariae regem* (str. 1—162). Wydawcą jest znany historyk p. Saturnin Kwiatkowski. Imię Kallimacha budziło zawsze żywe zainteresowanie historyków, wpływ zaś, jaki uzyskał na dworze królewskim talentem pisarskim i nauką, sprawił, iż prace jego autorskie były i są poszukiwane, gdyż zawsze oczekuje się w nich czegoś wybitnego i doniosłego. Praca niniejsza zachowała się w kilku odpisach, sam autograf się spalił. Odpisy te znajdują się w kodeksach weneckim biblioteki watykańskiéj, MS. Reginae Suec., petersburskim, biblioteki watykańskiéj sygn. MS. Ottobiniani 2280 i wiedeńskim.

Historya była napisana w jednéj księdze, wydawcy, na dwie, względnie trzy, księgi ją podzielili. Obejmuje ona opis wypadków, które poprzedziły wyprawę pod Warnę, tudzież opis saméj klęski. Rzecz bardzo małéj wartości, głównie oparta na Długoszu. Najbardziéj uderza brak chronologii. Roku autor nie wymienia nigdzie, a wyjątkowo tylko określa dzień i to zawsze fałszywie. Zaniedbanie chronologii

sprawia, że autor zestawia odrębne i zupełnie niezależne fakta w stosunku przyczyny do skutku. Za to pod względem formy dziełko stoi wysoko. Pełno tu barwnych opisów miejsc, czynów i osób — pełno wyrażeń, z których jasno przebija się sympatya dla jednych, antypatya dla drugich. Historyk jednak na dzieło Kallimacha, jako źródło pierwszorzędne nigdy się nie powoła.

Po tém następuje *Vita et mores Gregorii Sanocei, leopoliensis archiepiscopi, auctore Philippo Buonacorsi Callimacho* (str. 163—216). Wydawcą jest prof. uniw. lwows. dr. Ludwik Finkel.

Oryginału rozprawki téj nie posiadamy, najprawdopodobniéj spłonął on, dochowała się tylko jedna kopia z r. 1555 w bibliotece Jagiellońskiéj, w rękopisie Nr. 2198. „Żywot" powstał około r. 1476 i jest właściwie apologią arcyb. Grzegorza. Jedyne ważniejsze wiadomości nasze o tym dygnitarzu przeważnie opierają się właśnie na dziełku Kallimacha, stąd téż brak nam zupełnie materyału do należytéj oceny, o ile pochwały jego są uzasadnione. Winniśmy jednak zaznaczyć, iż żaden przez autora podany fakt nie okazał się wręcz fałszywy. Stąd téż dla przyszłego biografa Grzegorza *Vita et mores* Kallimacha pozostaną materyałem tém cenniejszym, że Kallimach w chwili, kiedy dziełko swe pisał, nieznał jeszcze kroniki Długosza. D-rowi Finklowi należy się szczera podzięka za staranne wydawnictwo i sumiennie (str. 170—175) zebrane *regesta* wiadomości znanych skądinąd o Grzegorzu.

Daléj następuje również praca Kallimacha p. t. *Vita et mores Sbignei Cardinalis auctore Philippo Buonacorsi Callimacho*, wydane przez d-ra Finkla (str. 217—256). Rękopis żywota kard. Zbigniewa także nie zachował się w oryginale, posiadamy zaledwie jednę jego kopię z XVI w., która znajduje się w tymże rękopisie, co „Żywot Grzegorza." Czas napisania żywota przypada na r. 1479—1480. Wydawca publikuje go po raz pierwszy, zaopatrzywszy tekst w rozdziały. Pisząc biografię niniejszą, Kallimach nie znał jeszcze „Historyi" Długosza i oparł pracę swą na *Vita Sbignei Cardinalis et Episcopi Cracoviensis*, któréj fragment znajduje się w kopii z XVII w. w bibliotece Jagiellońskiéj pod Nr. 107. Praca Kallimacha stoi w najściślejszéj styczności z *Vita*. Biografia ta stoi niżéj od żywota Grzegorza z Sanoka, gdy i Kallimach mając tylko szczupłe i niedostateczne źródła starał się stworzyć z nich rzecz wielką i barwną. Jest to zbiór luźnych wiadomości, poprzegradzanych poglądami o początku narodów, które miały rzecz ożywić i w ciągłości utrzymać.

Następna część tego tomu obejmuje *Fontes olivenses* w wydawnictwie d-ra W. Kętrzyńskiego (257—382).

Po szczegółowym bardzo opisie rękopismów, z których wydawca, prócz znanych, jeszcze trzy odkrył nowe, t. j. w bibliotece Jana hr. Tarnowskiego, Kórnickiéj i Wiktora hr. Baworowskiego i oznaczenie ich wzajemnego stosunku, przechodzi on do spornéj i zawikłanéj kwestyi autorstwa. Hirsch domyślał się, że autorem jest przeor oliwski Gerhard z Braunswalde, Perlbach szukał go między notaryuszami klasztornymi. Dr. Kętrzyński twierdzi, że jest nim Stanisław, opat oliwski, który sprawował ten urząd najprawdopodobniéj od roku 1330—1356. Hipotezę tę, trafnie pomyślaną, opiera on na tym szczególe, że w czasach gdy opat oliwski bardzo często osobisty bierze udział w sporach klasztoru z Wielkimi mistrzami, autor nigdy jego imienia nie podaje, choć opatów pelplińskich, występujących razem z nim, po imieniu przytacza. Mógł to uczynić tylko autor pisząc sam o sobie, a ponieważ właśnie podówczas Stanisław był owym opatem, przeto jego za autora uważaćby należało.

Na naczelném miejscu „Fontes Olivenses" stawia dr. Kętrzyński *Exordium ordinis cruciferorum seu chronica de Prussia*. „Exordium" stało się przedmiotem gorącego sporu między uczonymi niemieckimi. Zajmował się niém Hirsch, następnie Rethwisch, Didolf, Lorenz, Perlbach, Weber, dr. Walter Fuchs, a polemika jaką przeprowadzono, przyczyniła się do wykazania, że między kroniką Jarocińskiego a „Exordium" bardzo blizki istnieje związek, że autor jednego znał autora drugiego i zeń czerpał, a takiż sam związek istnieje między tekstem „Exordium" a kroniką Piotra Dusburga. Wreszcie stosunek „Exordium" do kroniki oliwskiéj jest nienaturalny, narzucony i to tak dalece, że tekst kroniki bez „Exordium" stanowi stylistycznie i co do treści ściśle odrębną całość. Opat Stanisław nie jest autorem „Exordium," lecz zastał je już ukończoném przed r. 1260, co zdaje się być niewątpliwém, chociaż są tu i wtręty z czasów późniejszych (jak np. wiadomości o Oliwie). Wedle wydawcy, „Exordium" było źródłem dla Dusburga, lecz ma więcéj od niego wiadomości a nawet więcéj niż Jarociński, który również czerpał z „Exordium." Autorem jego był prawdopodobnie Polak. Jako pracę samoistną i najdawniejszy pomnik historyografii pruskiéj drukuje go wydawca odrębnie i prostuje jego tekst.

Prócz „Exordium" obejmują „Fontes": *Chronica Olivensis (autore Stanislao, abbate olivensi)*, *Tabulae fundatorum et benefactorum*, *Annales olivenses* i *Epitaphium Dithardi abbatis*. „Annales" obejmują lata od 1356—1545 a ułożone zostały najprawdopodobniéj przez dwu autorów, z których jeden żył w ostatniéj ćwierci XV w., drugi około środka XVI w. Pierwszym był prawdopodobnie braciszek Jan,

który co do wiadomości z dawniejszych czasów miał przed sobą notatki o obiorach i śmierci opatów, nadto korzystał z dokumentów, nagrobków oraz zapisek sąsiedniego klasztoru w Żarnowcu.

Daléj idzie *Brunonis vita Quinque fratrum*, wydana przez d-ra Kętrzyńskiego (383 — 428). *Vita* mieści się w rękopiśmie odkrytym przez d-ra R. Kade z Świerzyna w Meklemburgii i na podstawie samego dzieła wykazał odkrywca, że Bruno jest jego autorem. Był on serdecznym przyjacielem pustelników Benedykta i Jana i stąd to praca ta szczególne ma dla nas znaczenie, jakkolwiek nie jest w zupełności wykończoną. Styl Brunona jest bardzo zawiły i niejasny, stąd téż rękopis, kopia oryginalnego tekstu, rozliczne zawiera błędy, które wydawca poprawił.

Następna praca, zawdzięcza również wydawnictwo swe d-rowi Kętrzyńskiemu. Jest to: *Chronicon Monasterii Claratumbensis, ordinis cisterciensis auctore Fratre Nicolao de Cracovia* (429—480). Kronika Mikołaja zachowała się w oryginale, pisanym przez samego autora i znajduje się w bibliotece ks. Czartoryskich. Między pojedyńczymi żywotami pomieścił autor wyciągi z bull papiezkich, listów biskupich i arcybiskupich. Autor kroniki wstąpił do klasztoru r. 1450, a żył jeszcze 1505 r.; kronikę zaczął pisać 1504 r. i doprowadził do roku następnego. Bez zdolności pisarskich, słabo władający łaciną, niepanujący nad materyałem, nie stworzył dzieła znakomitego, atoli pozostawił jedyne źródło, z którego, gdy braknie dyplomów, czerpać musimy. Opierał on się na dokumentach klasztoru, z których nawet kopiaryusz sporządził, nie podając jednak nigdzie dat — katalogach opatów, nekrologu klasztornym, tudzież zapiskach znalezionych w rozmaitych rękopisach i nekrologach. Tam gdzie dzieje klasztorne opowiada w czasach za własnéj bytności, jest świadkiem naocznym przez się opisywanych zdarzeń.

Także i następujące zabytki zawdzięczamy pracy d-ra Kętrzyńskiego.

Miracula S. Johannis Cantii (481 — 533). Cuda, jakie miały miejsce przy grobie św. Jana Kantego, spowodowały Matyasza z Kościenia, proboszcza przy kościele św. Anny, do ich spisania i ogłaszania ludowi z ambony. Pracę tę doprowadził on do r. 1483 i posiadamy ją w oryginale w bibliotece Jagiellońskiéj. Ręką Matyasza spisane są tylko niektóre cuda, inne spisali notaryusze lub ci, którzy sami na sobie ich doświadczyli.

„Katalogi biskupów wrocławskich" (534— 585). Były one już kilkakrotnie ogłaszane. Można je podzielić na pierwotne i kompilacyjne. Pierwsze zaś rozpadają się na dwie familie: 1) henrykowski,

krzesoborski, 2) Series i Stenzlowski — oraz lubiąski i głogowski. Wydawca sprowadza je do wspólnych źródeł. Wydawnictwo obecne daje jasny pogląd na stosunek wzajemny tychże katalogów, a sposób publikowania niezmiernie ułatwia naukowe ich zbadanie.

Varia e codicibus vratislaviensibus (586—591) obejmują: *Taxa episcopatus Wratislaviensis, Brevis descriptio Slavoniae* (którego autor żył prawdopodobnie w XIV w.), *Historia de abbate recepto a dyabolo i Notae.* Oryginalnym jest podział słowiańskich ziem, które *descriptio* podaje. Oto: „*Et est Slavia duplex, maior videlicet, que habet Dalmatiam, Syrmiam, Croaciam.... Circa divinum cultum minus est pia, piraticam vitam ducens et maxime illi, qui habitant iuxta mare. Alia Slavia est minor, que a finibus Saxonie protenditur, lacualis sive stagnalis; lingue sue populos habet conterminos Bohemos...*"

Joannis Długossii vitae episcoporum plocensium abbreviatae cum continuatione Laurentii de Wszerecz (592—619) z autografu należącego do kanonika Ignacego Smoleńskiego w Płocku. Rzecz to niewielkiéj wartości, ale ponieważ autor jéj opiérał się na Kromerze i Długoszu i że miał pod ręką nieodszukane dotąd dzieło tego ostatniego, t. j. *Vita episcoporum Plocensium,* wartość jéj nieco powiększa. Tekst jest skrócony.

Joannis Dlugosii Articuli de incorporatione Masoviae (620—627). Dnia 4 stycznia 1462 r. zmarł ks. płocki Ziemowit, bezdzietnie, a do dziedzictwa po nim rościła sobie prawo także i Korona. Powstało też podówczas kilka memoryałów uzasadniających jéj pretensye, a między innemi memoryał niniejszy, napisany przez Długosza, który podówczas wygnany z Krakowa bawił w Melsztynie. Artykuły te przechowały się w liście pisanym widocznie z kancelaryi królewskiéj do Dziersława Rytwiańskiego, wojewody krak. Gdy w r. 1496 kwestya mazowiecka stanęła znowu na porządku dziennym, korzystano z tego listu, atoli wtrącono doń niektóre nowe ustępy.

Articuli Vladislao regi Poloniae a ducibus Masoviae traditi A. D. 1426 et 1428 (628—641). Gdy na zjeździe sandomierskim r. 1426 po śmierci Ziemowita IV jego synowie Ziemowit V, Trojden i Władysław złożyli hołd królowi i Koronie, przedłożyli zarazem swe żale i skargi spisane w t. zw. artykułach. Nieznane dotychczas, odkryte zostały przez wydawcę w rękopiśmie biblioteki Włodz. hr. Dzieduszyckiego we Lwowie. Rzucają one ciekawe światło na niewyjaśnione dotychczas stosunki książąt mazowieckich Ziemowita IV tudzież jego synów z królem Władysławem Jagiełłą, tudzież na politykę Korony wobec książąt mazowieckich. Roku 1428 złożyli hołd Koronie

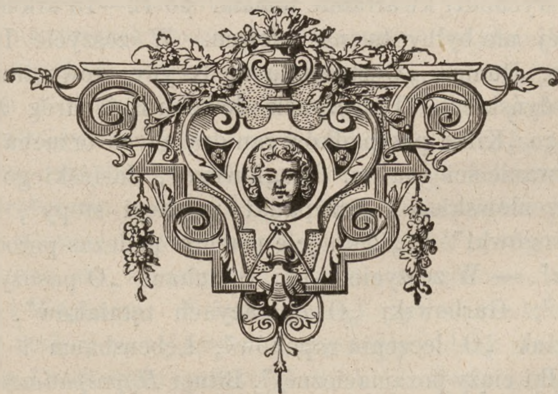
książęta Kazimierz i Bolesław, wnuk Janusza i przedłożyli również artykuły, które wydawca opublikował.

Varia (642—644). Są to notatki krótkie z aktów kapituły płockiéj z lat 1438 do 1502.

Calendarii Cracoviensis notae historicae ad annorum dierumque ordinem redactae (645—677) wydał Wilhem Bruchnalski. Jest to już trzecie z rzędu wydanie tego kalendarza. Pierwszego dokonał ks. Łętowski, lecz wadliwie, drugiego ś. p. Bielowski w tomie drugim Monumentów, usuwając wady swego poprzednika. Jednak i tym razem jeszcze nie odpowiedziano potrzebie nauki, gdyż zapiski zostały przedrukowane w tym porządku, jak idą w kalendarzu, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, a tém samém utonęły w kilkuset dniach roku. Obecne wydanie zaradza temu brakowi.

Kończy tom VI Monumentów: *Annalium Polonorum fragmentum*, wydawnictwo d-ra Kętrzyńskiego, obejmujące kilka notatek z lat 965—1013, nie zawierających nic nowego i *Index nominum* zestawiony sumiennie przez d-ra Bruchnalskiego.

Z. L.

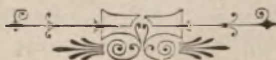


NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— **Przegląd Chirurgiczny** pod redakcyą dr. *W. H. Krajewskiego*. T. I, zeszyty 1, 2 i 3 (lipiec i październik, 1893, styczeń, 1894). — Nowo założone i poważne to wydawnictwo naukowe, poświęcone rozmaitym gałęziom chirurgii (włączając w to oftalmologię, dermatologię, otiatryę, akuszeryę, gynekologię i laryngologię) ze wszechmiar zasługuje na uwagę i poparcie ze strony lekarzy. W celu zwrócenia na nie uwagi, — gdyż sama redakcya, więcéj dbała o staranne redagowanie, doskonały papiér, druk i rysunki, słowem, o wewnętrzne i zewnętrzne zalety pisma, bardzo mało uczyniła, aby zawiadomić szersze koła lekarskie o jego powstaniu, podajemy tu krótką wzmiankę, ograniczając się do ryczałtowego zaznaczenia treści 3-ch pierwszych zeszytów („Przegląd" wychodzi kwartalnie tomami po 12—15 arkuszy), bliższy rozbiór któréj nie byłby tu na miejscu. W zeszycie I-ym znajdują się prace: Dunina „O stosunku medycyny wewnętrznéj do chirurgii"; Jawdyńskiego „Przyczynek do chirurgii dróg żółciowych"; Karczewskiego „Kilka przypadków ran drążących brzucha", Ciechomskiego „Zerwanie ścięgna m. dwugłowego", Jasińskiego „O przerostach", Korzeniowskiego „Przypadki resekcyi stopy", Kamockiego „Stłuczenie rogówki" i „Pęknięcie macicy podczas porodu uleczone chirurgicznie". — W zeszycie II-im: Steinhaus „O pasożytném pochodzeniu raka", Garbowski „O operacyach tętniaków", Karczewski (d. c.), Sędziak „O leczeniu ropoków", Lebensbaum i Warszawski, „Trzy wypadki ciąży pozamacicznéj", Bitner *Hypospadiasis* u kobiéty", Grosglik „O zapobieganiu nieżytowi pęcherza", Sokołowski „Kula w krtani". — Zeszyt III-ci cały zajęty jest obszerną rozprawą p. Janowskiego „O przyczynach ropienia". W każdym zeszycie znajduje się krótkie streszczenie po francusku zawartych w nim prac, oraz obszerny przegląd prac chirurgicznych, umieszczonych w innych czasopismach lekarskich polskich również w języku francuskim. Świadczy to o dążności redakcyi uprzystępnienia dla wiedzy europejskiéj naszych

zdobyczy na polu chirurgii. Cena czasopisma, biorąc pod uwagę staranność wydania i doskonałe kolorowe tablice, jest bardzo przystępna (10 rs. w Warszawie, 12 rs. w związku pocztowym). Z całego serca życzymy powodzenia temu przedsięwzięciu, nie mającemu na celu żadnych osobistych korzyści (przeciwnie zaś połączonego z wielkiemi kosztami), a jedynie interesa nauki.

— *Bolesław Wilczyński.* **Historya muzyki w krótkim zarysie.** Warsz., 1894. — „Dziełko to, poczęte w części podług Reismana i Marcillac'a, uważać należy jako pracę znacznie w stosunku do oryginałów odmienną", pisze autor w przedmowie. Nie znając owych oryginałów nie możemy sądzić jak daleko sięgają zmiany, o których mowa. W każdym razie, książka ta nietylko jest bardzo na czasie, bo, o ile mi wiadomo, przekład „Zaryzu historyi muzyki" Brendla, wydany jeszcze w r. 1866, został już wyczerpany — ale i bardzo dobrze odpowiadająca potrzebie. Przedmiot traktowany jest w takim zakresie i z takiego stanowiska, które najlepiéj odpowiadają wymaganiom wykształcenia ogólnego. Historya muzyki przedstawiona jest nietylko w związku z ogólnemi warunkami cywilizacyjnemi, oraz w jéj zależności od wpływów innych sztuk pięknych, a zwłaszcza poezyi, ale i w trafny bardzo sposób opiérając się na szeregu wybitnych przedstawicieli i pomijając niepotrzebnie szczegóły. Charakterystyki są po większéj części bardzo trafne, treściwe i jasne. Nie pominięto niczego, co ma związek z rozwojem téj sztuki: znajdujemy tu historyę wytworzenia się skali, rozwój pisma nutowego, melodyi, form kontrapunktycznych i muzyki instrumentalnéj. Trafnie podniesiony jest wpływ na pieśni świeckiej na rozwój melodyi, która, łącząc się z kontrapunktyczną muzyką kościelną, wytworzyła współczesną polifonię. W rozwoju oratoryum, opery i innych form nowożytnych jasno zaznaczony wpływ poszczególnych narodów i jednostek twórczych; historya ta doprowadzona do najnowszych czasów — ciekawe tu są ustępy o Gounodzie i Wagnerze. Książkę zamykają dwa rozdziały o muzyce słowiańskiéj, ruskiéj (w téj ostatniéj pominięty jednak został tak oryginalny i śmiały Czajkowski) polskiéj i czeskiéj. Żywo napisana i czytająca się z łatwością, książka ta, miejmy nadzieję, znajdzie się w ręku nietylko miłośników muzyki, ale wogóle w bibliotekach wykształconych ludzi. *Wł. M. K.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Zapis hr. Suchodolskiego.—Różne opinie o zapisach dobroczynnych.—Towarzystwo przeciwko żebractwu. — „Jak myślicie?“ K. Zalewskiego. — Zalety i braki jego sztuk.—Reklama i krytyka. — Rozmowa z młodzieńcem o przyszłych studyach. — Ofiary prądu artystycznego. — Szwaczki na wsi. — Wystawa inwentarza w Tow. wyścigów konnych. — Tanie kuchnie.

Towarzystwo dobroczynności w Warszawie zostało obdarzone znakomitym zapisem. Eligiusz hr. Suchodolski z Gościeradowa majątek ten, zawierający około 500 włók obszaru i na 2½ mil. rs. oceniany, zapisał na cele Towarzystwa, z zapewnieniem dożywocia bratu swemu i z warunkiem urządzenia w Gościeradowie szpitala dla mieszkańców miejscowych, przedewszystkiém zaś dla osób podupadłéj warstwy szlacheckiéj.

Testament nie wskazuje szczegółowo celów, na jakie zapis ma być użyty, pozostawiając pod tym względem swobodę Towarzystwu. Instytucya ta, która zakres swoich czynności z biegiem czasu rozszerzyła, wsparta tak znakomitym w naszych stosunkach kapitałem, otrzyma poważny środek nietylko do zadośćczynienia dotychczasowym potrzebom, lecz, jak spodziéwać się należy, i do dalszego rozwoju swego filantropijno-społecznego programu.

Zapisy dobroczynne, zależnie od swego przeznaczenia, spotykają u ludzi rozmaite opinie. Nie wspominając o tych, które zarzucają testatorom pominięcie w zapisie krewnych, inne zarzuty, jak się to stało i w tym razie, krytykują zapis, z tego wychodząc zapatrywania, że racyonalne przeznaczenie filantropii polega nietylko na kojeniu już istniejącéj nędzy, lecz także na usuwaniu przyczyn, które tę nędzę sprowadzają i że zatém należałoby zapisodawcom przez hojność swoję po-

woływać do życia i rozwijać takie środki, które wzmacniają intensywność społeczeństwa i przysparzają mu fachowych, do pracy produkcyjnéj przygotowanych członków, czyli, że robiąc tak znaczne zapisy, pamiętać powinni np. i o szkołach technicznych i rzemieślniczych, których nam tak bardzo brakuje, o szkołach rolniczych wiejskich i t. p.

Naturalnie, że i filantropi, przy całéj dobréj woli swojéj, pilnych i istotnych potrzeb swego społeczeństwa mogą nie znać, mogą się mylić, bo dobra wola nie wyklucza możności omyłki. Zasady, któremi się rządzi filantropia, jéj środki i cele, jak wszystko, co ludzkie, podlega i krytyce, i zmianom, oprócz zasady naczelnéj, że zawsze można i trzeba czynić dobrze. Chociaż więc wola zapisodawcy i filantropa wobec moralnego i formalnego prawa nie może być krępowana, to mogłaby jednak być należycie, ku większemu pożytkowi, skierowaną do tego lub owego celu.

Dlatego, ponieważ zapisy dobroczynne w tych czasach nie są rzadkością, ponieważ zmysł dobra ogólnego, bądź co bądź, nie zanika, lecz wzrasta i rozpowszechnia się, — a z zapisów i darowizn albo powstają nowe instytucye, albo już istniejące czerpią znaczne środki, więc warunki i potrzeby społeczne, na które mogą iść zapisy, powinny być roztrząsane i znane, aby i dobroczyńcom były wiadome.

Słowem, trudno uznać słuszność powodów, któreby pod tym względem ograniczały dyskusyę. Mówmy więc i piszmy o zapisach jawnie i otwarcie, jak o każdym innym fakcie społecznym. Lecz w takim téż razie, trudno byłoby chyba znaleść, z publicznego stanowiska, poważniejszy zarzut przeciwko celowi, na jaki zapis swój przeznaczył hr. Suchodolski. Towarzystwo dobroczynności opiekuje się nędzą i ubóstwem wszystkich form, zaczynając od dzieci, a kończąc na starcach. Z jego ochron mogą téż wychodzić pożyteczni w przyszłości ludzie. Błędy naturalnie mogą być w każdéj instytucyi: chodzi o to, ażeby ich nie konserwować, lecz usuwać.

Zawiązuje się w Warszawie towarzystwo przeciwko żebractwu. W ostatnich czasach powstało kilka zakładów poważniejszego znaczenia, jak domy zarobkowe i noclegowe, tanie kuchnie i herbaciarnie, których zadaniem jest dostarczanie najuboższéj ludności zdrowego i taniego posiłku, schronienia i ewentualnie pracy. Nowe towarzystwo ma niejako zjednoczyć te wszystkie zakłady przez wspólny zarząd i budżet, przez opatrywanie ich potrzeb. W tym celu odbyło się posiedzenie, na które zaproszono obywateli, przedstawicieli prasy i osoby, znane z działalności filantropijnéj, oraz odczytano projekt

ustawy towarzystwa, którego głównym celem będzie wciągnięcie ogółu do prac i drobnych choćby ofiar.

Jedynym stałym funduszem nowéj instytucyi dotychczas jest suma 6,000 rs., wyasygnowana z wydziału kontroli służących. Towarzystwo więc, oprócz zwykłych dochodów, jakie mają zakłady filantropijne, to jest koncertów, balów, widowisk, odczytów i ofiar, liczy na składki członków, którzy jako rzeczywiści zobowiążą się opłacać rocznie 5, a jako zwyczajni 1 rs. Prawo uczestniczenia w zebraniach ogólnych służyć będzie tylko członkom honorowym i rzeczywistym; interesa towarzystwa zostają pod kierunkiem komitetu i zebrania ogólnego członków. Komitet zbiérać się będzie na posiedzenia miesięczne, a członkowie jego wybierani będą na zebraniach ogólnych.

Jeżeli zważymy, że nowa instytucya obejmie 4 przytułki noclegowe, 2 domy zarobkowe, 9 tanich kuchni i herbaciarni w umyślnie zbudowanych barakach i że na utrzymanie tych zakładów wpłynęło w ciągu r. 1892—3 przeszło 67,000 rs., to jest zasada do przypuszczenia, iż otrzymawszy organizacyę stałą, towarzystwo rozwinie się i odda nietylko ubogiéj ludności, lecz i całemu miastu rzetelne usługi.

Dodać téż trzeba, że wymienione zakłady powstały drogą czysto praktyczną, drogą obserwacyi. Za wzór im posłużył zakład niejakiego Janasza, który utrzymywał kuchnię prywatną, gdzie sprzedawał dziennie 400—500 porcyi po kop. 3. Ubogi właściciel tego zakładu, który utrzymywał we wzorowéj czystości, został też powołany do kierownictwa pierwszéj taniéj kuchni i herbaciarni.

Nowe towarzystwo nietylko z humanitarnych, lecz i z praktycznych pobudek ma powody do popularności wśród obywateli warszawskich. Usunięcie natrętnego żebractwa obchodzi każdego; ocalenie zaś z pośród tego zdemoralizowanego elementu jednostek zdrowszych jeszcze i do pracy przydatnych godne jest ambicyi obywatelskiéj.

Dobrze téż uczyniono, oznaczywszy składkę roczną członka zwyczajnego przystępną dla wielu jednorublową kwotę.

Komedya p. Kazimierza Zalewskiego „Jak myślicie?”, grywana od miesiąca w naszym teatrze, nastręczyła powód do dyskusyi o opinii publicznéj i moralności społecznéj.

W sztuce p. Zalewskiego rzeczy tak się układają, że jeżeli Józef Chormiszewski, znaleziony przypadkiem w biurku testament wuja, w którym ten cały majątek zapisuje swemu naturalnemu synowi, Szymczakowi,—ujawni i mienie, którém od lat kilkunastu, jako prawy właściciel, włada i które dobrym rządem do wysokiéj wartości podniósł, temuż Szymczakowi dobrowolnie odda — dawni przyjaciele nietylko unikać go będą i urągać ubóstwu, lecz nawet nie uwierzą w uczciwość,

podejrzewając, że Chormiszewski dobrze ukrył kapitały zebrane w czasie długoletniego posiadania majątku; i przeciwnie, jeżeli zniszczy testament, przedstawiciel balansującéj moralności społecznéj poklepie go po ramieniu i powié: „Jednakże dobrześ pan zrobił, zniszczywszy ten testament.”

Jak myślicie? — zapytuje autor, co w podobnych okolicznościach uczynił, czy mógł uczynić mój Chormiszewski.

W takiém otoczeniu, w jakiém bohatéra swego postawił autor, w otoczeniu płytkiém, pasorzytniczém i fałszywém, widz teatralny ma wszelki powód do myślenia, że Chormiszewski zniszczył testament. Ci, którzy mają tam pretensyę do wyobrażania pojęć moralnych swego otoczenia, którzy chcieliby krytykować i roztrząsać czynniki i stosunki opinii publicznéj, sami są dziwnie wątli, niepewni, niejaśni, i w najlepszym razie zdobywają się na dwuznaczne wybiegi i wytarte sofizmaty. Takim jest właśnie adwokat Poksiewicz, który prowadzi dyalog i został powołany, zdawaćby się mogło, do oceny czasu, opinii i ludzi i do robienia wniosków. Bierze on właśnie wszystko ze strony formalnéj, w sprawach wątpliwych zastawia się kodeksem, choć i dla kodeksu nie miałby zbyt wielkiego uszanowania, gdyby sprawa tego wymagała.

Możnaby téż powziąć mniemanie, że zadaniem autora było raczéj przedstawienie pewnego obrazu życia, bez zamiaru rozstrzygania razem z publicznością zagadnienia ogólniejszéj doniosłości, boć, prawdę powiedziawszy, komedya ta wielkiego powodu do głębszego namysłu nie podaje, i myśléć tam nie ma nad czém. Gdyby to było zagadnienie, czy teza ogólna, autor byłby niewątpliwie uzbroił swoich bohatérów w silniejsze przekonania i argumenta, na których im tak bardzo zbywa.

W pierwszym razie, t. j. rozważając sztukę bezpośrednio, samą w sobie, bez wniosków natury ogólno-etycznéj, może się ona widzowi i krytykowi podobać lub nie podobać, zależnie od skali wymagań: na efektach jéj nie zbywa i odznacza się wprawną robotą zewnętrzną. W drugim razie, to jest rozpatrywana jako sztuka, podnosząca poważny temat funkcyonowania opinii publicznéj i dramatycznego starcia między sumieniem, poświęceniem się i wyrzeczeniem pojedyńczego człowieka, a obłudném okrucieństwem otoczenia — krytyki-by nie wytrzymała, bo szablonowa i zużyta sofistyka adwokata Poksiewicza do samego nawet postawienia takiéj kwestyi nie wystarcza.

Złą téż przysługę wyrządzili autorowi ci właśnie, którzy nadmierną reklamą wywołali w publiczności wielkie oczekiwania, przez późniejsze poznanie sztuki nie usprawiedliwione. Jeżeli widz lub czytel-

nik spotyka się z systematycznemi zapowiedziami czegoś nadzwyczajnego, skala jego wymagań podnosi się; widzi on póżniéj rzecz może i nie złą, lecz mierząc ją właśnie tą skalą swego uprzedniego oczekiwania, które w nim sztucznie rozbudzono, nie stosuje już do niéj oceny normalnéj i bezpośredniéj; łatwo więc może wyrządzić krzywdę autorowi, mając żal do jego utworu, że głośnych zapowiedzi i zachwytów nie sprawdza.

Tę oczywistą prawdę powinna miéć na uwadze prasa i krytyka, stronniczo reklamę uprawiająca, która, przez nadużycie tego sposobu własnych celów może nawet nie osiągnąć, bo jeżeli uda jéj się niekrytycznéj i surowéj większości zdanie swoje narzucić, to tém nieprzyjaźniéj usposabia krytyczną mniejszość, podrażnioną przez bezmyślną reklamę. Ta mniejszość, przez zwykłą logikę opozycyi, gotowa znów wszelkiéj wartości krzykliwie zachwalanemu utworowi i autorowi odmówić.

W bardzo bliskim takiemu stanie znajduje się obecnie nasza literacka krytyka, któréj zadaniem, między innemi, jest przecież kształcić smak, zwłaszcza zaś być rękojmią umysłowéj samodzielności ogółu.

Przyjęcie sztuki Zalewskiego służyć także może za wymowną ilustracyę tego stanu. Otóż zamiast do przesady gorących i stronnych panegiryków z jednéj, oraz zbyt szyderskich i lekceważących krytyk z drugiéj strony, należałoby powiedziéć zdolnemu niewątpliwie dramaturgowi, że gdyby obok pomysłowości i dobréj roboty zewnętrznéj, chciał sztuki swoje pogłębiać przez krytyczniejszą budowę psychiczną swoich postaci, przez popiéranie i wyjaśnianie opinii solidniejszą argumentacyą, gdyby zwłaszcza przestał wojować łatwym i szablonowym frazesem, zdradzającym w jego figurach wielkie lenistwo umysłowe, — sztuki jego posiadałyby wartość, od pochwał i lekceważeń niezależną.

Tak, jak obecnie, obok dobrych nieraz idei, brak im wykonania, na które użyto zleżałego materyału. Te pomysły i idee, gruntowniéj obmyślane, odziane w silniejsze i treściwsze słowo, działałyby i przekonywały niezawodnie.

Rzecz prosta, że skutku takiego nie osiągną krytyki pierwszego i drugiego gatunku, bo pierwsze są w gruncie rzeczy reklamą, drugie — szyderstwem; pierwsze zapewne zwodzą i bałamucą, drugie drażnią.

Dziennikarstwu obecnemu przydałoby się téż może wogóle pamiętać, że reklama, która jest często jego sprężyną, dosięga chyba swego szczytu.

Każda rzecz przez samo trwanie zużywa się. Nie ufajcie więc,

panowie, zbytecznie téj fałszywéj gwiaździe, która jeżeli was nawet zrazu prowadzi do jakich takich rezultatów, to późniéj, niechybnie na manowce, do wstydu i upokorzenia. Reklama w zakresie literatury i sztuki zwłaszcza, nie może już być skuteczną, bo ten ogół, na którego omamienie ją wymyślono, coraz więcéj się przekonywa, że takim publikacyom coraz rzadziéj wierzyć można. Nadwyręża też co raz więcéj powagę drukowanego słowa, a ta powaga nie na kamiennych, stoi fundamentach.

I gdyby doszło do tego, na co się już zanosi, że wybredniejsza i rozumniejsza część czytelników zacznie lekceważyć sądy prasy dziennikarskiéj i co za tém idzie, samą prasę, to może być wówczas źle i z reklamą, i z prasą. Wprawdzie zajęty chwilą bieżącą reporter lub ekwilibrysta dziennikarski, który wierzy mocno, że mu się zawsze uda „zrobić" taką opinię, taką „sławę", jaka odpowiada jego upodobaniom, czy interesom, albo zabić milczeniem czy złośliwością to, co mu jest nieprzyjazne — może się sceptycznie uśmiechnąć na podobne przypuszczenie. Rzadko kto wątpi o przymiotach swego narzędzia, choć i jemu oczy otworzyć się muszą. Zmiany takie zdają się tkwić w pewnéj logice rzeczy i miejmy tę przynajmniéj pociechę, że i zło się zużywa. Zaczyna się też zużywać rozpanoszona reklama. Źleby jednak było, gdyby zachwiała się bardziéj powaga prasy; baczmy, ażeby ją podnieść i wzmocnić.

Jesteśmy na schyłku sezonu letniego. Biuletyny z wycieczek wodnych, konnych i pieszych, z równin i gór, sprawozdania z wyścigów dżokejów i welocypedystów spotykamy na każdéj stronicy dzienników. Kultura sportowa rośnie.

Jest pewien odłam społeczeństwa, społeczeństwa *in spe*, dla którego wakacye mają poważne znaczenie. To młodzież, która otrzymawszy „patenty dojrzałości" waha się w wyborze przyszłych studyów. Dla jednych jest to kwestya bytu. Dla szczęśliwszych i nielicznych wahanie to polega na takim wyborze, któryby najlepiéj zaspakajał ciekawość umysłową, ewentualnie najlepiéj przygotowywał do przyszłéj działalności. Rzecz jasna, że jest to mniejszość, zamożniejszych rodziców mająca, która ma widoki urządzenia sobie życia przyjemnie i pożytecznie.

Słyszałem właśnie jednego z tych nielicznych, stawiającego pytanie:

— Co mam robić?

— Masz młodość, czas, zdolności, chęć, a nadewszystko możność swobodnego kształcenia się.

— Tak, ale jabym pragnął...

— Czego? Wobec takich warunków i środków pragnienie łatwo zaspokoić.

— Pragnąłbym urządzić sobie życie pięknie i pożytecznie, ale jak się wziąć do tego? Zdaje mi się, że mam prawo do nieograniczonéj karyery, choć sił swoich nie jestem pewny. To mi właśnie nasuwa wątpliwości.

— Nieograniczonéj karyery nie ma; każdą określają warunki, czas i miejsce. Należy sobie stawiać pytania jasno i dopiéro na nie odpowiadać. Przy danych, jakie pan posiada, trudności są raczéj fikcyjne, niż istotne. Nieokreślone pragnienia albo prowadzą człowieka na manowce, albo niszczą siły, w każdym razie zasłaniają jasne i proste cele życia.

I niezawodnie lepiéj wychodzi ten, kto od celów prostych i pewnych przechodzi do złożonych i dalszych, niż ten, kto bałamucony długo rozstrzelonemi pragnieniami, kończy na rzeczach prostych, do których mu może nawet w końcu sił zabraknąć.

Młodzieniec zwierzał się w dalszym ciągu, że pragnąłby uczyć się i matematyki, i studyować literaturę, i obserwować przyrodę, lecz nie wié, coby właściwie było lepsze, coby jego zdolnościom pewniéj odpowiadało.

— Mam wielki pociąg do pióra—mówił. — Moje poezye i szkice zachwycały kolegów i zyskiwały mi wielkie pochwały nauczycieli. Gdybym był pewny, że potrafię dokonać reformy w literaturze, że wprowadzę do niéj wyższe pojęcia...

— Nie licz na to. Każde młode pokolenie marzy o przewrocie literackim; jest on zawsze trudny i wątpliwy; najczęściéj przerasta możność i dobre chęci tych, którzy go wszczęli.

— Więc cóż mam robić?

— Niech się pan nie waha w wyborze pomiędzy rzeczami pożytecznemi a pięknemi; te najczęściéj wieńczą tamte, lecz rzadko udaje się budowa na odwrót. Do literatury najlepiéj pana usposobią studya poważne i ścisłe. A przy tém dobrze mieć na pamięci przestrogę Goethego: „Nie ustawaj w bezpośredniém pełnieniu obowiązku dnia i doświadczaj przytém czystości swego serca i pewności swego ducha. Jeżeli następnie w swobodnéj godzinie odpoczniesz i znajdziesz możność wzniesienia się wyżéj, to z pewnością zajmiesz słuszne stanowisko.”

Zajęcie tego słusznego stanowiska w młodości znaczy bardzo wiele. Wypoczynek wakacyjny dobrze by było przeplatać zastanowieniem się nad obowiązkiem.

Warszawa jest, jak wiadomo, miastem z wielkiemi pretensyami artystycznemi. Rozprawia się u nas bardzo dużo o sztuce, znajduje tu ona wielu adeptów i adeptek, których marzeniem jest dojść wielkiemi krokami do majątku i sławy. Od czasu zaś, kiedy kilku artystom naszym udało się pozyskać rozgłos na widowni europejskiéj, młodzież obojéj płci, ta, która wierzy w święty ogień, tlejący w niéj, uległa prawdziwéj zarazie artystycznéj. Ponieważ wyraz „talent" stał się bardzo popularnym, i każda prawie panna albo młodzieniec, którzy uczą się śpiewu, muzyki i malarstwa, posiadają ten talent w przekonaniu mam, ciotek i kuzynków, dzienniki zaś faworytom swoim także go nie szczędzą—więc owa zaraza artystyczna ofiar pochwyciła sporo. Nie zabrakło także szarlatanów, którzy, tytułując się „profesorami śpiewu", wmawiają w swoje ofiary przyszłą karyeryę, i wyciągają z nich ostatni grosz. Nie jednemu chyba zdarzyło się widzieć, jak uboga rodzina wydała fundusz, stanowiący ostatnią rezerwę, na kształcenie przyszłéj gwiazdy, na wyprawienie jéj za granicę, w nadziei, że laury i złoto wszystkie wysiłki z nagrodą zwrócą.

Najczęściéj dzieje się inaczéj. Panienka zaziębiła się i straciła głos—takich mamy najwięcéj; innéj trema, powtarzająca się przy każdém wystąpieniu na estradę nie pozwałała nigdy osiągnąć całkowitego sukcesu; inna ma za małą rękę do fortepianu i t. d.

Dzienniki oburzają się na wyzyskiwaczy, mieniących się profesorami i opłakują ofiary zapału czy zarazy artystycznéj, które przeklinają chwilę, kiedy naukę śpiewu rozpoczęły; ale należałoby także pamiętać o tém, że blaga i sensacya artystyczna, systematycznie na szpaltach uprawiana, bardzo dużo głów i główek obałamuciła, chore ambicye podniecała i pchnęła nie jednego na śliską drogę.

Wiadomo zaś, że jedną z najnieszczęśliwszych istot na świecie jest artysta, który chybił swego powołania. Człowiek taki prawie nigdy nie może się pogodzić ze swojém nowém stanowiskiem, które, rzecz naturalna, musi być skromném. Niech dzienniki rozsądnie i krytycznie piszą i wspominają o sztuce i artystach, zwłaszcza śpiewakach i wirtuozach; niech nie podają ustawicznie przesadnych wiadomości o ich laurach i honoraryach, a ograniczą liczbę ofiar tego niezdrowego i wprost anti-społecznego prądu.

Wobec odczuwanéj powszechnie potrzeby odpoczynku letniego dla ludzi słabych i pracujących, p. Kuczalska-Reinschmit wystąpiła w „Kuryerze Warszawskim" z projektem zapewnienia wakacyi szwaczkom. Aktorka zwraca się w tym celu do właścicielek ziemskich, uważając, że dla dworów wiejskich wakacye stanowią pewien sezon wyjątkowy. Poprzedza on oddanie dzieci do szkół, wraz z nieodzow-

ną wyprawą, jest okresem zjazdów rodzinnych i towarzyskich, przyśpieszających tętno życia, wzmagając związane z niém potrzeby tualetowe. Wreszcie stroje gości z Warszawy dałyby powód do wielu przeróbek, gdyby był ktoś na miejscu, mogący roboty wykonać.

Pożytek wzmógłby się jeszcze — dodaje autorka — gdyby z czasem weszło w zwyczaj sprowadzanie szwaczek na wakacye, celem dokonywania robót, nie związanych ściślejszym terminem.

Niech wejdą w zwyczaj wakacye dla szwaczek, jak je projektuje p. K., boć i drobna ulga i pomoc jest dobrą, choć nie można się łudzić co do jéj zakresu. Wskazaną przez p. Kuczalską drogą mogłoby wyjechać na wieś kilkadziesiąt szwaczek, a jest ich przecież kilkanaście tysięcy. Potrzeby tualetowe nie zawsze się téż dadzą odłożyć do wakacyi; szczęśliwszych zaś, którzy z „przyśpieszoném tempem życia towarzyskiego" potrzebowaliby szwaczek do poprawek tualetowych jest znów bardzo nie wielu.

Przy dobréj woli mogliby jednak jakiéjś drobnéj cząstce licznéj armii szwaczek ulgę przynieść. Lecz gdyby dobra zresztą myśl p. K. urzeczywistnić się w poważniejszym rozmiarze mogła, musiałoby się przyczynić do tego miasto, czy to w postaci pomocy pracodawczyń, czy klientek, boć trudno z potrzebami miejskiemi zwracać się wyłącznie do tradycyjnych „właścicieli dóbr", kiedy te dobra zmalały, a potrzeby specyalnie wiejskie wzrosły.

W Towarzystwie wyścigów konnych podniesiono tym razem skutecznie myśl wznowienia wystaw inwentarza wiejskiego, od dłuższego już czasu nie urządzanych. Wniosek ten podniósł August hr. Potocki. Trudności polegały na braku funduszu, ponieważ Towarzystwo na cele wystawy rozporządza tylko sumą 10,000 rs., oraz na znalezieniu odpowiedniego i dość obszernego miejsca. Co do funduszu, to postanowiono do budżetu roku przyszłego wnieść jeszcze drugie 10,000 rs., z zastrzeżeniem, aby wydatkowano z nich tylko w miarę konieczném potrzeby; wybór zaś miejsca postanowiono powierzyć komisyi technicznéj Towarzystwa.

Pomimo jednak pomyślnego obrotu dla wniosku wznowienia wystawy, można jeszcze o niéj wątpić, bo uchwalono ją i w roku zeszłym. Przeszkody, naturalnie, znajdą się zawsze; leżą one w porządku rzeczy i naturze każdego przedsięwzięcia. Źleby téż było, gdyby Towarzystwo wyścigów, które liczy w swojém gronie tyle osób wpływowych, nie umiało ich ominąć lub usunąć.

Kuchnie tanie w Warszawie obchodzą w tym roku 25-ciolecie swego założenia. Powstały one w r. 1869 z charakterem filantropijnym. Inicyatorem ich był Józef Unger i pierwszy złożył na tę in-

stytucyę ofiarę. Z biegiem czasu tanie kuchnie straciły nieco swój charakter początkowy; obecnie, przy podniesionych cenach (początkowo obiad kosztował 12 kop., dziś 20—25 kop.) kuchnie liczą przeważnie na klasę średnią i na uboższą inteligencyę. Próby zapewnienia w kuchniach posiłku klasie wyrobniczéj nie miewały dotychczas powodzenia. Sprawozdawca pisze, że „nasza klasa robotnicza, stojąc na niskim szczeblu oświaty, nie jest przyzwyczajoną do przyzwoitego zaspakajania swoich potrzeb i przekłada posiłek suchy, z kieliszkiem wódki nad pokarm zdrowy i hygieniczny, bowiem jeszcze nie pojmuje, iż przez należyte odżywianie się organizm odzyskuje siły, wyczerpane pracą."

Próby jednak przyjścia z pomocą téj klasie ludności warszawskiéj zarzucone nie zostały i zarząd kuchni tanich znów myśli o zebraniu środków, któreby uwzględniły potrzeby ubogiéj pracującéj ludności, zapewniając jéj tani i zdrowy posiłek.

B. Lut.



POLEMIKA.

Odpowiedź autorowi rozbioru mojéj pracy **Czém filozofia jest a czém będzie** *podznaczonemu: Dr. A. S.*

Ze wszystkich argumentów doktora A. S., które mają wyświetlić, jaki zachodzi stosunek pomiędzy niemieckim podręcznikiem historyi filozofji *(Friedrich Ueberwegs Grundriss der Geschichte der Philosophie)*, a moją historyczno-filozoficzną erudycyą, już na oko najpoważniejszym jest zarzut plagiatu, poparty dowodem chyba niezbitym, bo zestawieniem tekstu książki mojéj i książki Ueberwega tuż obok siebie. Otóż... ażeby z kolei rzeczy wyświetlić, jaki zachodzi stosunek pomiędzy twierdzeniami doktora A. S. a rzeczywistością, uprzejmie proszę wszystkich czytelników niniejszéj mojéj odpowiedzi, o zestawienie odnośnych tekstów u źródła, a więc bez pośrednictwa doktora A. S. Jedynie dla tych, którzy nie mają książki mojéj i książki Ueberwega, a więc prośbie mojéj uczynić zadosyć nie mogą, niechaj służy zestawienie tekstów autentyczne:

Książka moja:

Dlatego to uczeni greccy nazywali siebie zawsze mędrcami, nigdy filozofami. Dopiéro pierwszy Pitagoras nadaje sobie przydomek filozofa. Podanie to pochodzi od Heraklidesa Pontyjczyka. Za nim powtórzyli je inni, a mianowicie: Cicero (Tusculanae Quaestiones V. 3)—Quintilianus (Institutio oratoria. XII. 1)—Dio-

Książka Ueberwega:

Die Philosophie als Wissenschaft soll zuerst Pythagoras mit dem Worte φιλοσοφία bezeichnet haben. Die Angabe welche wir darüber bei Cicero (Tusc. V. 3) Diogenes Laertius (I. 12; VIII. 8) und Anderen vorfinden und die (nach Diog. L. VIII. 8) auch in einer jetzt nicht mehr erhaltenen Schrift (διαδοχαί) des Alexan-

genes Laertius (περὶ βίων καὶ γνωμῶν τῶν ἐν φιλοσοφία εὐδοκιμησάντων. I. 12 i VIII. 8) — Clemens Alexandrinus στρωματεῖς. I. 400. C. i IV. 447. C.)—Eusebius (Praeparatio evangelica. X. 4)—Firmianus Lactantius (Divinarum institutionum III. 14)—Jamblichus (devita Pythagorica. VIII. 44. i XII. 58). Ważne to podanie już nieraz uważano za fałszywe. Jedynie dlatego podaliśmy wszystkie źródła, na których się opiera. (od strony 18, wiersz przedostatni do strony 19, wiersz 21).

driners Sosikrates stand, stammt von Heraklides dem Pontiker einem Schüler Platons her. Cicero lässt den Pythagoras in einer Unterredung mit Leon dem Herrscher von Phlius sagen: raros esse quuosdam, qui ceteris omnibus pro nihilo habitis rerum naturam studiose intuerentur: hos se appellare sapientiae studiosos—id est enim philosophos. (tom I. strona 2, wiersz 20—28).

Z tego autentycznego zestawienia tekstów wynika, że: 1) Ueberweg nie wspomina wcale o tém, kto pierwszy nazwał siebie filozofem, ja nie wspominam wcale o tém, kto pierwszy nazwał pojęcie filozofii wyrazem φιλοσοφία, 2) Ueberweg przytoczywszy jedno podanie Heraklidesa Pontyjczyka, powołuje się na Cycerona i Dyogenesa Laërtiusa — ja przytoczywszy inne podanie, powołuję się między innemi na pięciu u Ueberwega nie wymienionych, a mianowicie na: Marka Fabiusza Kwintyliana, Klemensa Aleksandryjczyka, Euzebiusza Pamphili, Lucyana Coelius Firmiana Laktancyusza i Jamblichosa z Chalkis.

Dr. A. S. zestawia teksty dalej—i nam zatém stawać nie wolno.

Książka maja:

Dlaczego? Różni tłómaczą różnie. Jedni utrzymują, że Pitagoras nazwał się filozofem dlatego, bo jego zdaniem, Bóg tylko jest mądrym, człowiek może być jedynie dążącym do mądrości. (O prawdzie tego tłómaczenia słusznie bardzo powątpiewają: Meiners, Haym, Zeller i inni. Zaufanie bowiem pitagoreizmu w potęgę nauk nie licuje z ową sokratesowską skromnością). Inni twierdzą przeciwnie, że powodem, dla którego Pitagoras nadał sobie przydomek filozofa, była właśnie zarozumiałość. (Tak między innymi sądzi Valerius Maximus. „Spytany Pitagoras (Andrzej Wargocki. Walerego Maksyma o dziejach i powieściach pamięci godnych. Kraków 1609. 272) jakoby się dał zwać, nie chciał mędrcem, bo to już ten tytuł ubieżeli byli inni siedem mędrców, ale się filozofem tj. miłośni-

Książka Ueberwega·

Als Grund dieser Benennung wird bei Diog. Laërt. (I. 12) nach Heraklides beigefügt, weise sei kein Mensch, sondern nur Gott. Dass die Erzählung historische Wahrheit habe ist sehr unwahrscheinlich. Schon Meiners (Gesch. der Wiss. in Griech. u. Rom. Bd. I. S. 119) und neuerdings Haym (a. a. O. S. 3), Zeller (Philos. der Griechen. Bd. I. 4 aufl. S. 1) und andere haben daran gezweifelt; wahrscheinlich ist sie nur eine von Heraklides ausgegangene Uebertragung eines sokratisch-platonischen Gedankens (s. unten) auf Pythagoras (vielleicht als poetische Fiction, welche Spätere für historisch nahmen). Zu dem ungebrochenen Vertrauen des Pythagoreismus auf die Kraft wissenschaftlicher Forschung stimmt nicht wohl die Sokratische Bescheidenheit des Verzichts auf die Weisheit, noch auch zu

kiem mądrości nazwał". (Strona 19, wiersz 2—30).

der ungetrennten Einheit seiner theoretischen und praktischen Tendenz die platonisch - aristotelische Bevorzugung der reinen Theorie vor jeder Praxis und selbst vor dem ethisch-politischen Handeln. (Strona 2, wiersz 28—40).

Z tego autentycznego zestawienia tekstów wynika że: 1) Ueberweg nie wspomina wcale o Waleryuszu Maksymie i podaniu zupełnie odmienném od podania Heraklidesowego, 2) i ja i Ueberweg powtórzyliśmy to tylko, co się znajduje prawie w każdym podręczniku historyi filozofii.

Ze wszystkich argumentów doktora A. S., które w przeciwstawieniu do tamtych mają tym razem na celu wyświetlić, jaki zachodzi stosunek pomiędzy najznakomitszém i najpowszechniéj znaném dziełem filozoficzném dzisiejszéj doby, niejako ostatnim wyrazem dzisiejszéj filozofii (*System der Philosophie von Wilhelm Wundt)* a mojemi poglądami filozoficznemi, znowu już na oko najpoważniéjszym, najcięższym jest zarzut plagiatu, poparty znowu dowodem chyba niezbitym, bo zestawieniem tekstu książki mojéj tuż obok tekstu książki Wundta. Aby i teraz wyświetlić ile jest prawdy w twierdzeniach doktora A. S., po raz wtóry proszę wszystkich czytelników mojéj odpowiedzi o łaskawe zestawienie odnośnych tekstów u źródła, a więc bez żadnego pośrednictwa. Jedynie dla tych, którzy owych książek nie mają, niechaj służy zestawienie tekstów dosłowne:

Książka moja:

Filozofia badająca wiedzę tworzącą się, jest nauką *o metodach*, filozofia badająca wiedzę wytworzoną, jest nauką *o zasadach*.

Nauka o metodach rozpada się na dwie części: formalną i realną. Nauka o metodach formalna nie daje wskazówek i nie uczy, w jaki sposób należy dokonywać myślenia bezwzględnie prawdziwego, ale ogranicza się do: 1) wykazywania, jakim warunkom naszego myślenia musi dane zdanie czynić zadosyć, ażeby mogło wszystkich zobowiązywać, 2) przepisywania, wśród jakich warunków i według jakich reguł można od danego przypuszczenia w sposób wszystkich obowiązujący postępować dalej. Wobec tego formalna nauka o metodach

Książka Wundta:

Ihnen entsprechen die zwei allgemeinen philosophischen Wissenschaften: die *Erkenntnisslehre* und die *Principienlehre*.

Die Erkenntnisslehre scheidet sich in zwei Theile: in die formale und in die reale Erkenntnisslehre. Die erstere oder die formale Logik steht im selben Verhältnisse zu der realen Erkenntnisslehre wie innerhalb der Einzelwissenschaften die Mathematik zu den Erfahrungswissenschaften. Darum ist sie zugleich die philosophische Fundamentalwissenschaft der Mathematik und die mathematische Speculation ist überall an die Gesetze der Logik, keineswegs aber nothwendig mit ihren Veraussetzungen an den realen Inhalt der Erfahung gebunden. Die reale Erkenntnisslehre trennt sich wie-

ręczy nie za wyniki ale za formę postępowania, zmierzającego do odkrycia prawdy. Jest to logika formalna czyli *teorya wnioskowania.* Nauka o metodach realna poddaje się warunkom wspólnym wszystkim badaniom naukowym i porzuca założenie, jakoby dla form myślowych obojętną była treść w te formy ujęta. Jest to logika realna czyli *teorya poznawania.*

Nauka o zasadach rozpada się na trzy części: naukę o zasadach prawdy (metafizykę), naukę o zasadach piękna (estetykę), naukę o zasadach dobra (etykę). (od strony 29, wiersz 5 od dołu do strony 30, wiersz 8 od góry).

derum in zwei Gebiete: die Geschichte und die Theorie der Erkenntniss. Jene beschäftigt sich mit der thatsächlichen Entwickelung des Erkennens, wie sie in der Geschichte der Wissenschaft, ins besondere in der Entwickelung der allgemeinen wissenschaftlichen Anschauungen, enthalten ist. Die Theorie der Erkenntniss, die mit der formalen Logik zusammen die Logik im weiteren Sinne des Wortes bildet hat die logische Entwickelung des Erkennens darzustellen indem sie die Entstehung unserer Vorstellungen und Begriffe auf der Grundlage der allgemeinen Denkgesetze zergliedert. Sie zerfällt abermals in zwei Bestandtheile: in die allgemeine Erkenntnisstheorie, welche die Bedingungen, Grenzen, und Principien der Erkenntniss im Allgemeinen untersucht und in die Methodenlehre, die sich mit der Anwendung dieser Principien auf die wissenschaftliche Forschung beschäftigt. Der zweite Haupttheil der Philosophie—die Principienlehre kann ebenfalls in einen allgmeinen und in einen besonderen Theil getrennt werden. Der erste für den wir den Namen Metaphysik beibehalten hat die Grundbegriffe und Grundgesetze der Wissenschaft überhaupt in ihrem systematischen Zusammenhang darzustellen. Der zweite gliedert sich nach den Grundbegriffen der einzelnen Wissenschaftsgebiete. Auf diese Weise treten hier zunächst die Philosophie der Natur und die Philosophie des Geistes einander gegenüber. (Od strony 33 wiersz 12 od dołu, do strony 34 wiersz 21 od góry).

Królestwo temu, kto mi pokaże dwa podziały filozofii mniéj podobne do siebie niż mój do wundtowskiego. „Jakto! — zapytasz wzburzony—więc doktór A. S. miał odwagę tak różne teksty zestawić tuż obok siebie i to na dowód, że książka Gabryelskiego jest plagiatem wundtowskiéj"? Gorzéj! Stokroć gorzéj! Doktór A. S. miał przedewszystkiém odwagę przerwać w stosownėm miejscu dalsze zestawianie tekstów i zastąpić je pełnym świętego oburzenia wykrzyknikiem:

„Jaka karykatura poglądów Wundta z takiego *samodzielnego przepisywania daléj* (str. 29—30) wynikła w kwestyi poszczególnych działów fiozofii *o tém nie warto wcale wspominać.*"

A następnie doktów A. S. miał odwagę odnośny ustęp jeszcze tak zakończyć:

„Szkoda tylko, że autor, czytając niewątpliwie zgryźliwą rozprawę Schopenhauera z r. 1851: *Ueber die Universitätsphilosophie*, nie zrozumiał lub nie dostrzegł głównego jéj motywu. Gdyby bowiem był pojął z niéj tylko to, że Schopenhauerowi chodziło głównie o rzetelność na polu badań filozoficznych, byłby i sam może nie do

puścił się żadnego grzechu przeciwko *sumienności pisarskiéj* i byłby tak sobie nie lekceważył naszéj krytyki literackiéj".

Kto aż do tego miejsca odpowiedź moją uważnie przeczytał i dotąd jeszcze zawrotu głowy nie dostał, wié teraz dobrze, co sądzić o iście katonowskiéj todze pana A. S. doktora.

Cała reszta czynionych mi przez niego zarzutów, daje się zamknąć w jego własnych wyrazach:

„Jeżeli zaś spotykamy się i z pełnemi tytułami tego lub owego filozofa, to powiedzieć można śmiało, że na 100 nie było w ręku autora 99."

Na tę ostatnią grupę zarzutów mimo najszczerszéj chęci skutecznie odpowiedzieć nie mogę. Ażeby doktora A. S. przekonać, że się myli, musiałbym go zaprosić do siebie i pokazać mu we wzorowym porządku utrzymywane wyciągi z książek czytanych oraz uwagi dopisywane na marginesach owych książek. A że nazwiska doktora A. S. nie znam, więc go zaprosić nie mogę.

Kraków 26 Kwietnia 1894 r.

Z. Gabryelski.



Wydawcy: ***W. Spasowicz*** i ***A. Pawiński.*** — Redaktor ***P. Chmielowski.***

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Іюня, 1894 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM”.

1. **Historya filozofii** nowożytnéj. (Dodatek do „Prawdy“. Kwartał I-szy — 1894 r.), ark. 19—24.
2. *Armand Schweiger-Lerchenfeld.* **Geografia** powszechna illustrowana. Przełożył i uzupełnił Dr. *Karol Jurkiewicz.* Warsz., nakł. Maur. Orgelbranda. Zeszyt 9, str. 193—216 (cena zeszytu 25 kop.).
3. **Słownik geograficzny** Królewstwa Polskiego, wyd. pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego.* Tom XIII, zesz. 147, (str. 161—240. Wągrodno—Wesoła).
4. *Włodzimierz Wysocki.* **Satyry i bajki**. Kijów i Odessa, nakład Bol. Koreywy, 1894, 8-vo, str. 173.
5. *Maryan Gawalewicz.* **Mechesy**. Powieść. II. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 544.
6. **Encyklopedya rolnictwa**. wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Tom III, zeszyty XXXI i XXXII. Warsz., 1894, (str. 609—778: Grzyby—Handel inwentarzem żywym).
7. **Studyowanie** świata antycznego w zależności od postępów nauki i oświaty. Mowa profesora *Miszczenki* (po rusku). Kazań, 1894, 8-vo, str. 49.
8. **Elementarz dla pilnych dzieci** ułożył *Kazimierz Gliński.* Warsz., nakł. księg. S. Bukowieckiego, str. 15 (cena kop. 2).
9. *B. Ulanowski.* **Acta capitulorum** Gnezuensis, Posnaniensis et Vladislaviensis (1408—1530). Krak., nakł. Akademii umiejętn. 1894, 4-to, str. VI i 663.
10. *Z. Gabryelski.* **Czem filozofja jest** a czem będzie. Krak., nakł. G. Gebethnera i S-ki, 1894, 8-vo, str. 78.
11. *Zofia Kowerska.* **Siostry**. Powieść. Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1894, 8-vo, str. 329.
12. *Marya Czesława Przewóska.* **Fryderyk Nietzsche**, jako moralista i krytyk. Studyum filozoficzne. Warz., nakł. Hieronima Cohna, 1894, str. 59.
13. *M. Flaum.* **Alkohol** i alkoholizm. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 53.
14. *Henryk Gliński.* **Zrzędzenie**. Wiązanka pierwsza. Petersburg, druk. Kornatowskiego, 1894, 8-vo, str. 224.
15. **„Charitas“**. Księga zbiorowa wydana na rzecz R.-K. Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Petersb., 1894, str. 585.
16. **Pisma Jordana** *Juljana Wieniawskiego.* T. I. Wędrówki delegata, T. II. Przygody panów Marka i Agapita. Nakład Gebethnera i spółki, 1894, 8-vo, str. 440 i 344.
17. **Wiadomości statystyczne**, dotyczące dóbr stowarzyszonych, zebrane z akt Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. № I. Warsz., 1894, 4-to, str. 40.
18. *Juljan Łętowski.* **Rogata dusza**. Powieść. Warsz., nakł. S. Lewentala, (1894), 8-vo, str. 260.
19. *Włodzimierz Zagórski.* **Poezye**. Z teki Chochlika. Nowa serya. Warsz., nakładem T. Paprockiego i S-ki, 1894, str. 194 i IV.
20. *Oskar Lenz.* **Do wybrzeży Azyi wschodniej.** Wrażenia turysty. Przełożył *S. Stetkiewicz.* Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1894, 8-vo, str. 136.
21. Dr. *Władysław Rabski.* **Asceta**. Dramat w 3-ch aktach, 1893 r., 8-vo, str. 106.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

